Josie Lloyd, Emlyn Rees

ZNOWU RAZEM

Tytuł oryginału COME AGAIN

(dedykacja dopiero będzie)

Podziękowania

(dopiero będą)

CZĘŚĆ I

H

Sobota, godzina 13.15

Przyjaciół lepiej nie mieć. To jedyne rozwiązanie. A jeżeli już się ich ma, najlepiej zmieniać ich mniej więcej co pół roku. Wyrzucić wszystkie kartki z ich numerami telefonów, wyczyścić pamięć elektronicznego notatnika, spalić notes z adresami i zacząć od nowa. Inaczej można sobie bardzo skomplikować życie.

Bo jeżeli, dajmy na to, posiadamy tak zwanego najlepszego przyjaciela, może nadejść dzień (jak dzisiaj), kiedy jesteśmy na nogach od dziewiątej rano, głowę rozsadza nam potworny kac, jest niedziela, a my w strugach ulewnego deszczu przewozimy naszym samochodem pudła pełne rzeczy, będących własnością owegoż przyjaciela.

I chociaż ostatnio, kiedy pomagaliśmy mu w przeprowadzce, zaklinał się na wszystkie świętości, że tym razem będzie to jego stałe miejsce zamieszkania już do końca świata, znowu zlani potem wdrapujemy się na kolejne schody, zachodząc w głowę, co my tu właściwie robimy? Przecież to nie nasz ukochany, śliczny domeczek.

Ale to moja ukochana, śliczna najlepsza przyjaciółka. Co prawda na co dzień mówię Amy, że jest nie lepsza od starej, wyliniałej torby. Od prawienia komplementów i słodkości ma w końcu swojego Jacka. Ja muszę pilnować, żeby nie straciła kontaktu z rzeczywistością, co jest zadaniem raczej trudnym, zważywszy na stan permanentnego szczęścia, w jakim się ostatnio znajduje. Tak jak i w tej chwili.

—To przechodzi wszelkie wyobrażenie — mamroczę, z brodą wspartą o stertę papierzysk, wypełniających kartonowe pudło.

—Przestań zrzędzić — szczebiocze, śląc mi przez ramię

promienny uśmiech, a Jack tymczasem otwiera przed nią drzwi wejściowe.

—Pospiesz się, Jack — jęczę błagalnie i przesuwam kolano pod ciężkim pudłem w nadziei, że nie stracę równowagi i nie zlecę razem z nim ze schodów.

—Jesteśmy! — rozlega się triumfalny okrzyk Jacka, gdy drzwi do ich nowego, wspólnego mieszkania nareszcie stają otworem. Amy piszczy i klaszcze w dłonie.

—Ależ jestem podniecona! — krzyczy rozradowana Amy, a ja czuję, jak dno pudła wygina się niebezpiecznie w moich rękach.

—Chwila, moment. — Jack odbiera od Amy torbę i ciskają przez otwarte drzwi. — Tradycji musi się stać zadość — dodaje w moją stronę, po czym przerzuca sobie Amy strażackim uchwytem przez ramię i przenosi przez próg.

—Nie uważasz, że trochę się z tym pospieszyłeś? — pytam i chwiejnym krokiem pokonuję ostatnie stopnie dzielące mnie od ich mieszkania. — O ile wiem, takie rzeczy robi się dopiero po ślubie.

Ale Jack mnie nie słyszy, bo z Amy w objęciach wiruje w radosnym tańcu po całym przedpokoju. Amy, przewieszona przez jego ramię, protestuje, nie przestając się śmiać.

—Gdzie mam to położyć? — pytam poniewczasie, bo pudło się rozpada i stos gazet i książek wysypuje się z niego na podłogę.

—Gdziekolwiek. Nie krępuj się, później posprzątamy — odpowiada Jack i puszcza Amy.

—Bardzo dowcipne — syczę, ciskając w niego książką. Amy podchodzi i kuca koło mnie. Zaczynam zbierać wszystko do kupy, układam czasopisma w porządny stosik i nagle zauważam, że jedno z nich to „Panna Młoda".

—Co ja widzę? — mówię i spoglądam na Amy z uniesioną brwią.

Wyrywa mi czasopismo i przytula do piersi.

—Dostałam od kogoś w pracy — rumieni się, ale za dobrze ją znam. Najnormalniej w świecie łże.

Okładką w dół odkłada „Pannę Młodą" na kupkę, gwałtownie się podnosi i nerwowo wyciera dłonie w stare, spłowiałe dżinsy. Ona wie i ja wiem, że została przyłapana.

Przez kilka ostatnich miesięcy ciągle mi truła, ile to ludzie robią zamieszania wokół ślubów i że ona nie ma najmniejszego zamiaru dać się wciągnąć w cały ten skomercjalizowany kołowrót przemysłu ślubnego, a ja zgadzałam się z nią całym sercem. Podziwiałam, wspierałam i umacniałam ją w zdrowym, spokojnym, niechętnym wszelkim ekstrawagancjom podejściu do ich ślubu z Jackiem. Aż tu nagle, na trzy tygodnie przed tym zaczytuje się w czasopismach dla przyszłych młodych panien, najwyraźniej jednak urzeczona całym tym wariactwem.

—No cóż, rzućmy okiem — mówię i idę za nią do pokoju dziennego.

—Będzie fantastycznie — wzdycha Jack, rozglądając się po pustym pomieszczeniu. — Idealne światło do mojej pracy... Tam, w alkowie zrobimy półki, a tutaj parapet do siedzenia...

—Mam rozumieć, że zamierzasz sam się tym wszystkim zająć? — w moim głosie słychać jawną kpinę.

—Przekonasz się — odpowiada, patrząc na mnie z ukosa. — Chodźcie, musimy przynieść resztę.

—Jacku Rossiter, jesteś gorszy od nadzorcy niewolników — jęczę, ale on obejmuje mnie ramieniem i łagodnie prowadzi do wyjścia. Ręce mi się wyciągnęły jak u goryla, jeszcze trochę, a od tego całego noszenia zaczną mi się wlec po ziemi.

—Im szybciej skończymy, tym szybciej pójdziemy do pubu — stwierdza obojętnie i szczerzy do mnie zęby w uśmiechu.

Jednak wyładowywanie całego śmietnika Amy z mojego samochodu trwa wieczność, a czeka nas jeszcze wynajęta ciężarówka pełna rzeczy Jacka, nie wyłączając kilku paskudnych płócien.

Kiedy wnoszę ostatni obraz, Amy jest już w kuchni, zajęta rozpakowywaniem.

—Czy on nie jest trochę... za żółty? — pytam, przyglądając się malowidłu.

— Trafiłaś w sedno, nazywa się *Studium w żółci,* nie sądzę

jednak, żebyście wy, telewizyjni szefowie, byli w stanie ocenić zawarte w podobnych rzeczach przesłanie — pokpiwa Jack i próbuje wziąć ode mnie obraz.

Powstrzymuję go jednak, bo chcę się przyjrzeć dokładniej. Nigdy nie należałam do zagorzałych fanek twórczości Jacka, w pełni popierając oburzenie Amy jego szczególnym zamiłowaniem do portretowania nagich kobiet—na dodatek pięknych. Ten obraz jednak jest inny.

—Sama nie wiem. Chyba mi się dosyć podoba — zastanawiam się na głos.

—Mój tata jest odmiennego zdania. Zapłacił mi za niego, ale uznał, że do jego biura jest zbyt jaskrawy, i powiedział, żebym go sobie zatrzymał.

—Według mnie do biura pasuje idealnie. Z radością powiesiłabym go w swoim. Podobno żółty działa uspokajająco.

—W takim razie jest twój — mówi niespodziewanie Jack.

—Nie mogę... ja...

—Poważnie. Weź go sobie, H. Któregoś dnia może mi się powiedzie, stanę się niesamowicie sławny i wtedy będzie wart fortunę.

—Jesteś pewien?

Amy uśmiecha się, podchodzi do Jacka i obejmuje go w pasie.

—Tylko tyle możemy zrobić, żeby ci podziękować — mówi i przechyla głowę, wspierając ją o pierś Jacka.

Rany boskie!

My? Mieszka z Jackiem zaledwie od czterech godzin i dziewiętnastu minut, a już zachowuje się jak szczęśliwa połowica z ckliwych reklam towarzystw budowlanych. Ale Jack obejmuje ją ramieniem i już wiem, że on także zwariował. Nagle zaczynam się czućbardzo niepewnie, jak intruz naruszający ich prywatność.

—No, dobra... To co, do pubu? — pyta Jack, wypuszczając Amy z objęć.

—Beze mnie — mamroczę.

—Daj spokój, H — protestuje Amy. — Przecież musimy to oblać.

— Nie, nie. — Wycofuję się do drzwi. — Zostawiam was, żebyście mogli oznaczyć teren: obsikać ściany, bzyknąć się w każdym pokoju...

Studium w żółci wcale nie działa uspokajająco. Ledwo następnego ranka wieszam je na ścianie mojego gabinetu, ogarnia mnie depresja. Może bardziej na miejscu byłyby ogłoszenia „poszukiwane stracone poczucie humoru"?

Nawet w najgorszych snach nie sądziłam, że nadejdzie dzień, w którym zacznę się zaliczać do grona ludzi zestresowanych. Zawsze uważałam, że stres to przekleństwo ludzi w City obracających milionami czy przeprowadzających zagrażające życiu operacje. To znaczy ludzi ważnych. Starszych ludzi. Nie ludzi zajmujących się produkcją najgorszych z możliwych (tak, tak, *Miami Vice* również) programów telewizyjnych, jakie można obejrzeć na małym ekranie. To znaczy mnie.

Przedtem nigdy taka nie byłam. Dawniej wpadałam do biura (na ogół późno), przeglądałam kilka propozycji programowych, obdzwaniałam wszystkich znajomych i już o szóstej zmywałam się do pubu. Współczynnik przyjemności do pracy z grubsza miał się jak 70 : 30. Ideał.

Ale dzisiejszy dzień jest typowy dla reżimu, który od pewnego czasu stał się żelazną regułą. W pracy znalazłam się o świtaniu, cały ranek upłynął mi na załatwianiu wściekłych w tonie e-maili i nawet nie miałam czasu wyjść do klopa.

Jakby tego było mało, z Brata, mojego ledwie co wyrosłego z pieluch asystenta, pożytek przez cały ten czas był właściwie żaden. Naprawdę staram się zachowywać jak uosobienie cierpliwości, ale musiałam go aż pięć razy odsyłać z korektą scenariusza jutrzejszego programu *Rywalizacja w rodzeństwie* (tego, w którym mleczarz z Sheffield o imieniu Alan oskarża swoją siostrę Jean, gospodynię domową z Grimsby, o pomaganie ufoludkom w uprowadzeniu jego dziecka), i wyglądało, jakby lada moment miał zalać się łzami. Przed chwilą spytałam recepcjonistkę Olive, czy Brat (naprawdę nazywa się Ben, ale najwyraźniej imię Brat do niego przylgnęło)

na pewno dobrze się czuje, na co usłyszałam, że go przerażam.

Ja kogoś przerażam? Myślałam, że jestem łagodna jak baranek.

W porze lunchu dzwoni Amy z podziękowaniami za wczorajszą pomoc, potem zeznaje, że po moim wyjściu w samej rzeczy bzykali się z Jackiem w każdym pokoju po kolei.

—Nadmiar informacji, dziękuję ci bardzo — krzywię się.

—Coś cudownego. Wspaniale będzie mi się z Jackiem mieszkało — wzdycha rozanielona.

—Miło to słyszeć. Kawał czasu przed wami.

—Mówisz, jakby to był wyrok.

—Hm. Tylko poczekaj. Ani się obejrzysz, jak będziesz fruwać po ścianach. Może teraz się jeszcze stara, ale miną dwa tygodnie, a założę się, że zacznie kupować zielony papier toaletowy i uprawiać tym podobne męskie obrzydliwości.

—H, jesteś cyniczną starą torbą.

—Nie cyniczną. Doświadczoną — poprawiam ją.

—Dobra, dobra, ty i cała reszta możecie mnie przestrzegać przed tymi strasznymi facetami w mój panieński weekend. Czasu będziecie miały aż nadto. Wszystko już załatwione, prawda? — Pytanie ją rozśmiesza. — Co ja wygaduję? Jasne, że tak. Rozmawiam przecież z najlepiej zorganizowaną osobą na świecie.

—Czyli ze mną — ćwierkam radośnie, choć jednocześnie przeszywa mnie poczucie winy. — Wyślę ci e-maila.

Zmytłana, odkładam słuchawkę. Wiem, że jestem niewdzięczna, ale kiedy Amy poprosiła mnie, żebym została jej główną druhną, nawet przez myśl mi nie przeszło, że tyle z tym będzie zachodu. Sądziłam, że w wyznaczonym dniu postoję chwilę z bukietem w ręku, przypilnuję, żeby nie przydepnąć jej trenu, na koniec poobściskuję się z kimś zupełnie nieodpowiednim. Bardziej chyba nie mogłam się mylić. Doprowadzenie Amy do błogosławionego małżeńskiego stanu okazuje się kosztowniejsze i bardziej czasochłonne, niż zorganizowanie olimpiady.

Na razie największym problemem okazał się panieński weekend (nie wieczór panieński, nie panieńskie popołudnie czy chociażby lunch, ale cały cholerny panieński weekend), ponieważ spotkanie w pubie—na co decyduje się każdy normalny człowiek i którego zorganizowanie to bułka z masłem — nie jest w stanie przyszłej panny młodej zadowolić.

Nie, nie i jeszcze raz nie. Coś podobnego w ogóle nie wchodzi w rachubę. Gdyby tylko było to możliwe, Amy pognałaby całą hordę swoich bliższych i dalszych koleżanek na całotygodniowe wakacje. Wyskoczyła nawet z dziesięcioma dniami na Ibizie, „dla upamiętnienia starych dobrych czasów".

O jakie stare dobre czasy jej chodziło, doprawdy nie mam zielonego pojęcia. Z całą pewnością nigdy w życiu nie byłyśmy na Ibizie, a ostatnie wakacje spędziła z Jackiem, nie wiem więc, skąd to całe zamieszanie z pożegnaniem „dziewczyńskiego" życia. Nie jest przecież uroczą dziewiętnastowieczną heroiną (choć robi wszystko, żeby za taką uchodzić), siłą wciąganą do Świata Mężczyzn. Ona już w nim jest. Gdyby groził jej dożywotni wyrok w Alcatraz, do tego bez prawa do ułaskawienia, skłonna byłabym wybaczyć jej całe to zamieszanie. Ale cóż, jestem bezradna.

Wzywam do siebie Brata i wręczywszy mu do napisania kilka listów, jak również próbując choć częściowo przeprosić go za poranne męczarnie, których mu przysporzyłam, zmieniam temat, starając się, aby wypadło to jak najbardziej niezobowiązująco. Rozsiadam się wygodnie w fotelu i przybieram najbardziej przyjacielski ton, na jaki mnie stać.

—No dobrze, powiedz mi jeszcze tylko, jak ci poszła rezerwacja na ten weekend, o którą cię prosiłam?

Brat zapala papierosa i zakłada obutą w adidasa stopę na ubrane w modne spodnie kolano.

—Jaki weekend? — pyta z tępym wyrazem twarzy. Nienawidzę, kiedy tak się zachowuje. Doskonale wie, o czym

mówię.

—Przecież wiesz. Ten weekend? Prosiłam cię o rezerwację na siedem osób. Wieki temu.

Patrzę, jak wydmuchuje dym i niespokojnie wierci się na krześle. Denerwuje mnie, że pali w moim pokoju, ale ponieważ tylko ja jedna palę u siebie, hipokryzją byłoby zabraniać tego innym.

—Ach, o to chodzi. Niestety, nie udało mi się znaleźć niczego, o co prosiłaś— zaczyna.

Opieram się łokciami o biurko i zanim na niego spojrzę, przecieram oczy.

—Ale coś chyba zarezerwowałeś?

Kiwa potakująco głową i strzepuje popiół z papierosa mniej więcej w kierunku popielniczki, którą kiedyś Amy ukradła dla mnie z jakiejś szpanerskiej restauracji przy Piccadilly. Niestety, chybia i popiół zasypuje mi biurko.

—Cóż... w zasadzie tak — mówi, sięgając jednocześnie ręką, żeby strzepnąć popiół. Udaje mu się to zaledwie z jego połową. — Trafiło mi się coś wspaniałego.

—Mianowicie?

—Hm... „Niebiański Wypoczynek".

—„Niebiański Wypoczynek"! To obrzydlistwo, które reklamują w telewizji?

—To kapitalne miejsce, jak Boga kocham — mówi Brat. — Chciałaś przecież, żeby była sauna i takie tam dziewczyńskie rzeczy, a oni wszystko to mają. Mnóstwo zjeżdżalni wodnych, a w sobotę wieczorem jest nawet dyskoteka...

Odsuwam włosy z czoła.

—Nie mówisz poważnie, prawda? Wzrusza ramionami.

—Nic innego nie udało mi się znaleźć.

Zamykam oczy i z przerażeniem wyobrażam sobie chmarę rozwrzeszczanych, brudnych bachorów sikających do basenu. To na przystawkę. A na danie główne dyskoteka w stylu wakacji na kempingu pełna bliskich omdlenia z ekstazy nastolatków.

—A wiejskie pensjonaty, o których ci mówiłam? — pytam bliska paniki. — Nie znalazłeś żadnego?

—Wszystkie zajęte. Zresztą i tak już za późno. Jeśli chcesz,

mogę ci pokazać reklamówkę. — Robi ręką gest w stronę swojego biurka.

Zrezygnowana kiwam głową.

Co mnie pokusiło, żeby właśnie jego o to prosić? Czemu nie zajęłam się tym sama? Przecież to istny koszmar. To by było na tyle, jeśli chodzi o najlepiej zorganizowaną osobę na świecie.

Po chwili wraca Brat z reklamówką i kilkoma wiadomościami.

— Wielkie dzięki — mruczę pod nosem i obracam się w stronę *Studium w żółci.* W szybie okiennej widzę odbicie wychodzącego Brata. Czy mi się zdaje, czy też rzeczywiście dostrzegam na jego twarzy wyraz złośliwej satysfakcji?

Popołudnie wcale nie jest lepsze. Przez większość czasu Eddie szaleje nad harmonogramami i choć nie kryję zniecierpliwienia, po raz kolejny muszę z nim ustalać wszystko, co uzgodniliśmy ponad miesiąc temu. Na koniec, żeby dobić mnie ostatecznie, zamyka drzwi i konfidencjonalnym szeptem zdradza mi, że góra przebąkuje o nadzwyczaj groźnych przetasowaniach programowych. Tylko tego mi trzeba: władz grających w rosyjską ruletkę z całą moją ciężką pracą. Żeby zajść tak wysoko, harowałam wiele miesięcy. „Dalej, Eddie, dołóż mi jeszcze", mam ochotę wrzasnąć, gdy w końcu decyduje się wyjść, puszczając do mnie oczko i stukając się palcem w nos. „Nie krępuj się, ty świrze, dobij mnie".

Dopiero kiedy wszyscy wreszcie wynoszą się do domu i zostaję w biurze sama, mam czas przejrzeć wiadomości, które przyniósł mi Brat. Jest wśród nich kolejna od Gava. Zwijam ją w kulkę i z dziką satysfakcją celnie trafiam nią do kosza na śmieci. W końcu nie na darmo byłam rozgrywającą w szkolnej drużynie koszykówki.

Sprawdzam e-maile i na widok nowej wiadomości uśmiecham się. Otwieram ją i nachylam się nad ekranem, żeby delektować się jej treścią.

Do: Helen Marchmont Od: Laurenta Chaptala

Witaj, Helen. Jesteś gotowa na spotkanie ze mną? Będę cię potrzebował od poniedziałku. Zadzwoń do mnie.

Laurent

Dotykam dłonią ekranu.

Laurent. Ach. Słyszę, jak wymawia swoje imię z tym słodkim francuskim akcentem. Wiem, że lecieć na Laurenta to czysty idiotyzm, tym bardziej że nie ma chyba dziewczyny, która by go nie uwielbiała, ale nic nie mogę na to poradzić. Poza tym ja mam nad nimi przewagę: one nie dostają od niego codziennie osobistych e-maili. Jak również nie one mają w perspektywie spędzenie z nim tygodnia w Paryżu.

Nie mogę się już doczekać.

Muszę przyznać, że wykazałam się wyjątkowym geniuszem, gdy wysunęłam propozycję odwiedzenia siostrzanej firmy w Paryżu. Eddiemu wytłumaczyłam, że wydatki na tego rodzaju działalność są niezbędne, tym bardziej że powinniśmy być bardziej otwarci na Europę. A ponieważ rozmowy z Laurentem, szefem sieci w Paryżu, są jedynym pozytywnym atutem mojej pracy, głupia bym była, nie wykorzystując nadarzającej się okazji zagarnięcia go wyłącznie dla siebie, przynajmniej na jakiś czas.

Wiem, to pobożne życzenia. Po prostu jego błyskotliwy galijski urok działa na mnie nieodparcie. I tak nic z tego nie wyjdzie, nawet gdyby okazało się możliwe. Postąpiłabym bardzo nieprofesjonalnie, lecąc na niego. Z drugiej jednak strony, . Paryż jesienią...

Oswobadzam się ze skotłowanych prześcieradeł własnej wyobraźni i postanawiam wziąć się w garść. Przecież to śmieszne. Laurent jest zapewne żonaty albo coś równie potwornego...

Po prostu potrzebne mi bzykanko. Wszystko bierze się z jego braku.

W końcu o 9.30 wieczorem udaje mi się zamknąć komputer.

W głowie mi pulsuje, więc połykam kilka trochę już zwietrzałych anadinów, które odkrywam na samym dnie szuflady. Zamykam biura, mówię dobranoc sprzątaczkom i czekam na windę.

W windzie nucę sobie coś, co z grubsza brzmi jak *Cry Me a River,* gdy nagle winda zatrzymuje się na trzecim piętrze i do środka wkracza Lianne, jedna z prezenterek.

Trudno zaliczyć Lianne do moich ulubienic. Ma około pięćdziesiątki, choć utrzymuje, że skończyła dopiero czterdzieści lat i należy do tych afektowanych kretynów, którzy twierdzą, że „siedzą w tym biznesie", odkąd telewizja została wynaleziona.

Akurat.

—O, Helen. Wszystko przygotowane na jutro? — pyta, potrząsając wielką blond koafiurą.

—Jasne — kłamię, chyba po raz setny dzisiaj. Jakbym miała czas! Dzisiaj załatwiałam sprawy z wczoraj. Wieczorem będę myśleć o jutrze. Przecież to chyba oczywiste?

—W takim razie z samego rana przejrzę poprawki w scenariuszach — oznajmia.

Z samego rana? Po co ja w ogóle wybieram się do domu? W tym tempie muszę pracować także w nocy. Chociaż w sumie nic nie stoi na przeszkodzie, przecież kochanek na mnie nie czeka. I tak niewiele miałby ze mnie pożytku.

—Na pewno nic nie nawali? — pyta.

—Nie martw się, wszystko pójdzie jak z płatka — zapewniam ją, poprawiając na ramieniu torbę i wykrzywiając usta w mało przekonującym uśmiechu. Lecz Lianne również się uśmiecha. Niesamowite, uwierzyła mi! Przez chwilę zastanawiam się, co by było, gdybym otworzyła gębę i na głos wypowiedziała słowa, które z trudem powstrzymywałam: „Spadaj, znajdź sobie inną ofiarę, ty przemądrzała krowo. Sama sobie poprawiaj scenariusze. Słyszysz, ty pomarszczony przeżytku lat osiemdziesiątych? Mnie to nic a nic nie obchodzi. Mam ważniejsze sprawy".

Tyle że nie mam żadnych.

— Miłego wieczoru — mówi, gdy winda z przenikliwym *ding-dong* zatrzymuje się na parterze. Miłego wieczoru? Też coś!

Wchodzę do mieszkania, w którym panuje taki bałagan, że mam ochotę zawrócić na pięcie i wynająć pokój w hotelu. Myślałam nawet, czy nie zatrudnić sprzątaczki, ale jakoś nie potrafię się na to zdobyć. Byłby to chyba zbytek ekstrawagancji, zważywszy, że cały ten bajzel jest tylko i wyłącznie moim dziełem.

Zrzucam buty i otwieram lodówkę. W środku jest gotowe lasagne od Marksa & Spencera, makaronowa zapiekanka z kurczakiem i szynką, a także rodzinna porcja chilli z ryżem, niestety jednak wszystko przeterminowane co najmniej od pięciu dni. Mogę się również uraczyć rodzinną porcją włoskiej sałatki, tyle że już zbrązowiałą i oślizgłą, lub wyśmienitą zupą Vichyssoise, w której rozpoczął się właśnie proces fermentacji, w ostateczności zaś opróżnionym do połowy opakowaniem humusu.

Wspaniale.

To się powtarza regularnie co tydzień. Postanawiam zreformować swoje życie i w drodze do domu robię ogromne, drogie zakupy, obiecując sobie, że w tym tygodniu będę się zdrowo odżywiać, zamiast podtrzymywać tylko funkcje życiowe za pomocą tostu z dżemem albo żarcia na wynos późnym wieczorem kupowanego w indyjskiej knajpie za rogiem. Naturalnie przyrzeczenia zostają bez pokrycia, bo i tak za każdym razem wszystko przeterminowane ląduje w koszu.

Mija właśnie sześć miesięcy, odkąd prowadzę życie samotnej kobiety, ale wciąż jeszcze nie przyswoiłam sobie podstawowych zasad gotowania dla jednej osoby. To wyjątkowo trudne. Więc kupuję wszystko w rodzinnych porcjach, wyobrażając sobie w skrytości ducha, że ktoś — trudno mi jednak sprecyzować kto — wpadnie niespodziewanie wieczorem, a ja otworzę lodówkę i w mgnieniu oka przygotuję wyszukany posiłek. Nie wiem, skąd biorą mi się takie pomysły, ponieważ nikt nie ,odwiedza mnie bez zaproszenia. Prawdę powiedziawszy, życie towarzyskie mam zaplanowane co do

minuty, i to na wiele tygodni naprzód. Wszelki przypadek został z mojego życia wyeliminowany, a gdyby nawet jakiś się przydarzył, nie mógłby zajść w moim mieszkaniu; zanadto wstydzę się panującego w nim bałaganu.

Przełykam garść płatków owsianych i przeglądam pocztę. Jak zwykle, nic interesującego: kilka wyciągów bankowych i zwykłe śmieci, reklamowe ulotki, które ktoś gdzieś z uporem kieruje do mnie. Przerażające, że osiągnęłam już wiek, który kwalifikuje mnie do tego rodzaju przesyłek: wakacyjnych ofert dla posiadaczy kart kredytowych, „właśnie wygrałaś 2000 funtów", subskrypcji, kopert z zakładów fotograficznych i obrzydliwych katalogów sprzedaży wysyłkowej. Ciskam je wszystkie na kanapę i włączam automatyczną sekretarkę. Jest wiadomość od mojego brata, uskarżającego się, że od wieków nie daję znaku życia, potem rozlega się głos Gava, mojego byłego chłopaka.

Siadam na kanapie i słucham, co ma mi do powiedzenia, wkurzona, że wciąż jeszcze odczuwam skurcz żołądka na sam dźwięk jego głosu i że nie przestałam wspominać, jak to było, kiedy mieszkaliśmy razem.

— Cześć, to ja. Słuchaj, próbowałem złapać cię w pracy, ale nigdy nie oddzwaniasz. H, naprawdę muszę z tobą porozmawiać. Zadzwonisz do mnie? Dzisiaj późno się położę, a jeśli nie, to zadzwoń jutro do pracy. To tyle. Na razie, trzymaj się.

„Na razie, trzymaj się", przedrzeźniam go, wykrzywiając się do telefonu.

Czy to nie aroganckie z jego strony?

Cóż on sobie wyobraża? Że może sobie do mnie zadzwonić, a ja z miejsca przyjmę go z otwartymi ramionami? A może sądzi, że bez niego czuję się równie samotna, jak on z całą pewnością beze mnie? Niech się pocałuje gdzieś! To on bał się zobowiązań. I to on, po spędzonych wspólnie szczęśliwych dwóch latach, celowo i z zimną krwią doprowadził do tego, że nie pozostało mi nic innego, jak z nim zerwać. On odszedł, nie poczuwając się nawet do tego, żeby powiedzieć choćby przepraszam.

Jeśli chce, żebym do niego wróciła, będzie musiał ruszyć tyłek i poważnie się wysilić.

Z drugiej strony, w głębi ducha jestem zadowolona. Ponieważ od początku wiedziałam, że robi poważny błąd i może właśnie także to do niego dotarło. W przeciwnym razie po cóż by ciągle do mnie wydzwaniał?

Tego wieczoru, kiedy postanowił odejść, patrzyłam, jak pakuje torbę, ściąga książki z mojej półki, wyjmuje bokserki z moich szuflad, szampon i golarki z szafki w łazience, którą razem wieszaliśmy. Patrzyłam na to wszystko w milczeniu, a serce pękało mi na kawałki. Ponieważ wcale nie chciałam, żeby między nami był koniec. I nie chciałam, żeby odchodził. Chciałam tylko poznać przyczynę. Jedną, jedyną, dla której pozwolił, żeby nasz cudowny związek rozlazł się w szwach.

Niestety, na próżno. Tydzień wcześniej błagałam go, żeby powiedział mi, czy ma romans. Inna kobieta wydawała się jedynym rozsądnym wytłumaczeniem jego zachowania. Lecz moje podejrzenia doprowadziły Gava do szału i wcale nie krył, że wszystkie nasze problemy wynikają wyłącznie z mojej winy, a to idiotyczne oskarżenie ostatecznie przeważyło szalę. Jak mogę oczekiwać, że będzie mnie kochał, skoro nieustannie nękam go podejrzeniami? Jak może być sobą, skoro ciągle go dołuję i zadręczam? Skąd ma się w naszym związku brać zaufanie, jeśli bez przerwy oskarżam go o niewierność? Perorował tak i perorował, aż zabrakło mu pary. I przestał się odzywać przez tydzień.

Chciałam, żeby spojrzał na to z mojego punktu widzenia, błagałam o rozmowę, ale w końcu zrozumiałam, że przegrałam. Jeśli więc miałam zachować przynajmniej odrobinę godności, nie pozostało mi nic innego, jak pozwolić mu odejść.

Więc odszedł.

Dochodziła północ, kiedy uspokoiłam się na tyle, że odzyskałam mowę. A jedyną osobą, z którą chciałam porozmawiać, była Amy. Wiedziałam, że tylko ona nie będzie mnie osądzać, sprawi, że przygniatające mnie poczucie klęski stanie się łatwiejsze do zniesienia.

Wiedziałam, że poszła z Jackiem na kolację, tak jak wiedziałam, że pora jest raczej późna, ale z zapartym tchem wsłuchiwałam się w sygnał jej telefonu, modląc się w duchu, żeby była w domu. Wreszcie podniosła słuchawkę, zwinęłam się więc na kanapie, gotowa wylać przed nią całą złość i żal.

— Amy, to ja.

—Och, właśnie miałam do ciebie dzwonić. W życiu nie zgadniesz, co się stało.

—Zaczekaj chwilę. Słuchaj, ja...

—Jack i ja bierzemy ślub! Czy to nie wspaniałe?

STRINGER

Czwartek, godzina 19.02

O 19.02 wracam z meczu w squasha z Martinem i sprawdzam czas na stoperze mojego zegarka. Według planu Londynu, odległość dzieląca klub sportowy Martina od domu mojej matki w Chelsea wynosi równo trzy mile. Sprawdziwszy, że na tym dystansie pobiłem swój własny rekord z ubiegłego tygodnia równo o minutę, uśmiecham się bardzo z siebie zadowolony. Dwa lata temu przebiegnięcie trzystu jardów, nie mówiąc już o trzech milach, bez wątpienia położyłoby mnie trupem. Chociaż wrześniowe powietrze jest dość chłodne, pocę się jak koń wyścigowy. Nie ruszam się przez chwilę z miejsca i kontempluję pęknięcia w chodniku przed domem matki, wspominając, jak grałem na nim w klasy z moją siostrą, kiedy byliśmy mali.

Dom—trzypiętrowy wiktoriański budynek z czerwonej cegły — kupili rodzice przed dwudziestu pięciu laty. Był wtedy rok 1974, w którym się urodziłem. Właśnie z powodu mojego zbliżającego się przyjścia na świat mama i tata przeprowadzili się tu z moją starszą siostrą, Alexandra. Stary dom w Putney byłby za ciasny dla naszej czwórki, a ponieważ po śmierci dziadka skapnęło im trochę gotówki, zakup był jak najbardziej uzasadniony. Po rozwodzie rodziców

w 1993 roku, dom przypadł mamie. Została w nim sama, bo oboje z siostrą zdążyliśmy się wyprowadzić (Xandra zamieszkała u swojego chłopaka, ja wyjechałem na studia), więc przeniosła się wraz z całym dobytkiem na ostatnie piętro, parter i pierwsze przerobiwszy na dwa oddzielne mieszkania pod wynajem.

Zdejmuję z ramion plecak, wyciągam klucze do mieszkania i zbiegam z kilku schodków, wiodących do dolnego lokalu, który obecnie wynajmuję od mojej matki. Wchodzę i przeglądam pocztę. Przyszły dwa rachunki: za telefon i prąd. To ostatnie, czego mi potrzeba, biorąc pod uwagę moje obecne dochody (a raczej ich brak). Jest też list od mojego terapeuty z poradni narkotykowej „Rzuć to na dobre" z propozycją spotkania w przyszłym miesiącu na „pogawędkę." Różowa koperta zawiera zaproszenie na bal przebierańców w „Kids From Fame" organizowany przez Rogera dla uczczenia jego rozwodu z Camilla. Ciekawe, czy ten nawrót do lat osiemdziesiątych kiedyś się wreszcie skończy? Poza tym przyszła kartka od Pete'a, mojego najlepszego kumpla z uniwersytetu, który właśnie bawi się w tenisowego trenera w ramach Camp America w Kalifornii, i formularz z Ken's Gym na przesłanie datku na imprezę charytatywną dla potrzebujących dzieci. Już sobie wyobrażam, co to będzie za udręka.

Wchodzę do pokoju i wita mnie śpiewny głos Karen:

—Cześć, kotku.

Mówi z cudownym akcentem z Cheshire, na punkcie którego dostaję kompletnego świra. Siedzi zwinięta na kanapie, w naciągniętej głęboko na czoło ukochanej czapce Reeboka, skrywającej jej krótko obcięte włosy w kolorze miedzi. W dłoniach ściska konsolę playstation, na której jej palce wykonują szaleńczy taniec. Nie odrywa wzroku od ekranu telewizora, gdzie Lara Croft pokonuje przeszkody swojej najnowszej misji.

—Kto wygrał? — pyta Karen.

Idę do kuchni i wyciągam z lodówki karton soku. Czuję zapach ostro przyprawionego jedzenia, a w zlewie zauważam brudną patelnię i talerz.

—Martin — wołam w odpowiedzi, po czym wracam do pokoju i opadam obok niej na kanapę. — Dosłownie mnie zmiażdżył. Dziewięć — cztery, dziewięć — dwa, dziewięć — cztery.

Przez te wszystkie lata ani razu nie udało mi się pokonać Martina. Chodziliśmy razem do szkoły, a potem obaj zaczęliśmy studiować ekonomię na uniwersytecie w Exeter. Podczas gdy ja wybrałem specjalizację didżeja i balangowicza, on pozostał przy zgłębianiu tajników makro- i mikroekonomii. Skutek: on wygrał, ja zostałem z tyłu. Dzisiaj jest sprinterem i robi karierę jako bankier inwestycyjny w City.

—Wypróbowałeś ten serw, który pokazałam ci w niedzielę?

— upewnia się Karen.

Poza tym, że chwilowo jest moją sublokatorką i skrytą, choć niespełnioną miłością mojego życia, Karen pełni również rolę sprzymierzeńca w potajemnej wojnie, jaką teraz toczę z Martinem na londyńskich kortach do squasha. Wypowiedziałem mu ją wiedziony dziecinnym pragnieniem pokonania go choć w jednej rzeczy, ponieważ we wszystkim, czego się tknie, odnosi niesamowite sukcesy. Karen w szkole grała w squasha w turnieju hrabstwa i teraz w tajemnicy próbuje mnie nauczyć kilku sztuczek.

—Owszem — potakuję.

—I?

—Wszystko schrzaniłem — przyznaję ponuro. — Poniosło mnie. Doprowadzał mnie do szału, a wiesz, że tracę rozum, kiedy za bardzo mi zależy...

—Lej to — powiada, dodając mi otuchy trąceniem kolana.

— Przećwiczymy to jeszcze raz w przyszłym tygodniu. Popijam sok z kartonu i przyglądam się, jak Karen skutecznie

dokopuje wirtualnej dupie. Jest jedyna w swoim rodzaju, co do tego nie ma dwóch zdań. To największy narwaniec, jakiego znam. Na jej strój składają się dżinsowe ogrodniczki i ściachane Reeboki. Obok niej na podłodze leży zaprawiona w bojach deskorolka. Pokój mojej sublokatorki mówi sam za siebie: ściany obklejone są skate'owskimi plakatami i zdjęciami Manchesteru United, na półkach pełno jest piłkarskich memorabiliów, a spod porozrzucanych ubrań

prawie nie widać podłogi. (Od mojej matki usłyszała kiedyś, że tak wyglądał mój pokój, gdy miałem dziewięć lat. Typowa matczyna uwaga, tym bardziej że jako dziewięciolatek zajmowałem dokładnie ten pokój.) Bałaganiarstwo Karen wcale mi nie przeszkadza. Tak naprawdę rajcuje mnie, że czuje się tu jak u siebie. Zupełnie, jakbyśmy byli razem, które to złudzenie pryska za każdym razem, gdy przyjeżdża jej chłopak, Chris. Zadurzyłem się w Karen po paru miesiącach wspólnego mieszkania i na razie moje uczucia nie wykazują tendencji zmiennych. Na dźwięk wkładanego przez nią klucza do zamka ściska mnie w dołku, a czasem w pracy łapię się na tym, że o niej marzę, zastanawiając się, gdzie jest, co porabia i z kim. Mimo to nigdy do niczego między nami nie doszło i chyba już nie dojdzie. Spotyka się z Chrisem niezmiennie, odkąd ją poznałem, a ja ani razu nie próbowałem się do niej przystawiać. O ile wiem, nie ma najmniejszego pojęcia o uczuciach, jakie do niej żywię. Choć czasem daje się między nami wyczuć delikatne napięcie o podłożu seksualnym, obawiam się, że ona traktuje nasz kumplowski układ jako niezmienny i raz na zawsze ustalony. Zawsze mam takie zasrane szczęście: zakochuję się w kimś, po czym rejteruję; słucham głosu serca, ale nie potrafię postąpić, jak mi ono nakazuje. Z drugiej jednak strony skłamałbym, mówiąc, że sprawa jest beznadziejna. Bywają chwile — zwłaszcza gdy jesteśmy sam na sam albo gdy ona zżyma się na Chrisa — w których patrzy na mnie w sposób szczególny, a ja zastanawiam się, czy przypadkiem jej serce nie bije równie mocno jak moje.

Dziwny typ z tego Chrisa. Może trudno w to uwierzyć, ale nie zmieniłbym zdania, nawet gdyby nie cuchnęło mu wiecznie z gęby, a jego dziewczyny nie uważałbym za sam miód i nie zazdrościł mu każdej spędzonej z nią sekundy. Są razem od pierwszego roku w college'u. Nigdy nie zamieszkali razem i Chris niezmiennie odrzucał każdą propozycję, wysuwaną przez Karen przez wszystkie te lata. Uważa, że wspólne mieszkanie nie wchodzi w grę, póki oboje nie ułożą sobie życia zawodowego. Dwa razy zdradził Karen, za każdym razem twierdząc, że były to nic nie znaczące incydenty.

Pierwszy raz złamał Karen serce, drugi je zahartował i dała mu ostatnie ostrzeżenie. Wiem o tym wszystkim od niej samej. Wiem też, że gdybym to ja z nią chodził, o karierze zawodowej i spotykaniu się z innymi na pewno bym nie myślał.

Karen mieszka ze mną od sześciu miesięcy, kiedy to postanowiłem poprawić stan swoich finansów i zamieściłem w „Loot" ogłoszenie o tym, że poszukuję współlokatora. Zawarta w nim treść była dość ogólna: „Dwudziestopięciolatek poszukuje sublokatora w podobnym wieku do obszernego mieszkania w Chelsea. Kobieta / mężczyzna. Z wykształceniem lub bez". Liczba chętnych szczerze mnie zaskoczyła. Karen zgłosiła się ostatnia. Miała satysfakcjonującą pracę (dziennikarka — wolny strzelec). Chris zatrudnił się właśnie w firmie inżynieryjnej w Newcastle. Spotykali się co dwa tygodnie i w zasadzie zawsze nieźle się bawili. Karen z całą pewnością nie należała do osób symbiotycznych. Nigdy do niczego mnie nie zmuszała, ja traktowałem ją podobnie. Była chodzącym ideałem. Wprowadziła się po tygodniu. Potem pojawiło się moje zadurzenie, następnie zostaliśmy przyjaciółmi i do dnia dzisiejszego nic się nie zmieniło.

—Jakieś plany na wieczór? — pyta.

—Idę na drinka z Jackiem.

—Co u niego? Wciąż zakochany po uszy?

—Bez reszty. Wybierzesz się z nami? Kręci przecząco głową.

—Chyba wcześniej się położę. Cholera! — klnie w stronę ekranu, bo Lara Croft po raz kolejny wykorkowała, co tak rozwścieczа Karen, że ciska konsolę w przeciwległy kąt pokoju. — Wciąż nie mogę przejść tych cholernych, zasranych paskudztw!

Bierze ode mnie karton i głośno siorbiąc, pociąga z niego łyk.

—Jakieś pół godziny temu wpadła tu Alice...

Moja matka. Coś w głosie Karen sprawia, że czuję się nieswojo.

—Szpiegowała? — pytam.

—Ehe.

—Czego chciała tym razem?

—Standard. — Twarz Karen wykrzywia dziwny uśmiech.

—Boże —jęczę.

W takich sytuacjach żałuję, że w ogóle wprowadziłem się tu z powrotem. Choć brzmi to groźnie, nie jest tak źle. Bardzo kocham swoją mamę. Szczerze i z całego serca. Po prostu czasem chciałbym, żeby trochę mniej interesowała się moim życiem. Rzecz jasna rozumiem, skąd bierze się jej troska, ale nawet największe ofiary losu mają od czasu do czasu prawo do błogosławionych chwil zwątpienia. W moim życiu jest jedna bardzo ponura tajemnica: w chwili obecnej w dużej mierze przypominam zdjęcia pod hasłem: „Potem" z kolorowych magazynów. Na początku ubiegłego roku przedstawiałem istny obraz nędzy i rozpaczy, co zaczęło się wkrótce po śmierci mojego taty w 1996 roku.

Umarł na atak serca, który powalił go, gdy wracał z posiedzenia rady nadzorczej Sang, elektronicznej korporacji, w której pracował jako dyrektor do spraw europejskich. Miał pięćdziesiąt dziewięć lat i za sześć miesięcy powinien był przejść na emeryturę. Kochałem go i razem z jego sercem pękło także moje. Zamiast spoglądać w przyszłość, czego zawsze usiłował mnie nauczyć, skoncentrowałem się na tu i teraz. Tata był taki młody. Na tydzień przed śmiercią wybrał się ze mną do restauracji i wyglądał najzupełniej normalnie. Trochę mi truł o studiach podyplomowych, bo —jak stwierdził — głupi nie jestem i szkoda, żebym marnował swój potencjał jako didżej. Powiedziałem „truł", ale tak naprawdę nigdy tego nie robił, przynajmniej nie w tradycyjnym znaczeniu tego słowa. Miał po prostu względem mnie ambicje, a ja byłem zbyt wielkim gówniarzem, żeby to zrozumieć.

Zostawił mi trochę kasy, za którą kupiłem sobie używane porsche 911, wynająłem dom w Notting Hill, ubierałem się jak świr i czas spędzałem głównie na dłubaniu w nosie. Nic się dla mnie nie liczyło. Nie żal mi było, że się marnuję i nie pamiętam o bożym świecie, skoro dzięki temu nie musiałem szczególnie wysilać mózgownicy.

Pieniądze — dzisiaj myślę, że Bogu dzięki — skończyły się

na początku ubiegłego roku, a razem z nimi życie, jakie prowadziłem. Pierwszą ofiarą było porsche. Zamieniłem je na zdezelowanego renault 5, który w tej chwili stoi zaparkowany na zewnątrz. Następnie pod młotek poszedł dom w Notting Hill. Musiałem się z niego wyprowadzić i ulegając namowom mamy, zamieszkałem tutaj. Twierdziła, że zrobiła to wyłącznie dlatego, iż nie stać mnie było na nic innego (prawda), przypuszczam jednak, że chciała też mieć mnie na oku. Ostatnim, ale też najbardziej bolesnym epizodem w moim poprzednim życiu było uzależnienie od koki. Poszedłem na odwyk w „Rzuć to na dobre", co nastąpiło dokładnie w moje dwudzieste czwarte urodziny, to znaczy 15 marca 1998 roku. Było to ponad rok temu i okazało się najlepszym prezentem urodzinowym, jakiego mógłbym sobie zażyczyć. Mniej więcej w tym samym czasie porzuciłem karierę didżeja, a kluby omijałem z daleka, ale koniec końców jeden nałóg zamieniłem na drugi i zacząłem codziennie trenować na siłowni. Ostatecznie zacząłem w niej pracować w niepełnym wymiarze godzin.

Gdy dzisiaj spoglądam wstecz, zdaję sobie sprawę, że rezygnacja z bywania w klubach nie była wcale taka straszna. Poza prochami niewiele mają do zaoferowania. Tamtych dni nie pamiętam zbyt dobrze: były jak długa, bezsensowna podróż, podczas której za kierownicą siedział ktoś inny.

Lecz ten „standard", o którym wspomina Karen, to nie obawa mamy, że znowu się wykoleję. „Standard" mamy ma znaczenie bardziej ogólne. Nie może mianowicie pojąć, że osiągnąwszy nadzwyczaj dojrzały wiek dwudziestu pięciu lat, nie dość, że nie zdołałem znaleźć sobie stałej pracy, to na dodatek — co chyba dręczy ją jeszcze bardziej — nie przedstawiłem jej stałej narzeczonej. Chciałaby wiedzieć, jak to możliwe, że na przekór moim bez trudu zauważalnym zaletom — urodzie, mądrości, zdrowiu — pałętam się w ogonie rasy ludzkiej, podczas gdy według niej ukochany synuś dawno już powinien był zająć pierwsze miejsce w życiowym wyścigu.

Naturalnie na wszystkie te pytania mam gotowe odpowiedzi.

Przede wszystkim — co nieraz było przedmiotem moich sporów z mamą — nieposiadanie stałej dziewczyny jest w moim wieku czymś na. wskroś naturalnym i wbrew jej teorii nie świadczy bynajmniej, że niebezpiecznie dryfuję ku kategorii mężczyzn, przez moją ciotkę Sarah określanych jako „dziwaków, których najlepiej omijać z daleka". Pozostaje jeszcze kwestia stałej i interesującej pracy, założywszy, że taki ideał w ogóle istnieje — mit, któremu hołduje dziewięćdziesiąt procent znanych mi ludzi. Wreszcie, problem z koką. Przynajmniej na tym polu mogę uczciwie stwierdzić, że uczyniłem znaczący postęp. Nie czekałem z nałogiem, jak tylu innych, aż dojdę do dwudziestu paru lat (przyznać trzeba, że zwłoka częściej spowodowana jest brakiem odpowiednich funduszy niż świadomym wyborem), lecz —jak powiadają — uległem mu i wiem, jak smakuje. Wcześnie, zdecydowanie za wcześnie, ale żywię nadzieję, że przynajmniej jedną przeszkodę na drodze ku przyszłości szczęśliwie mam za sobą.

—Co jej powiedziałaś? — pytam Karen.

—Że nie powinna się martwić. Wytłumaczyłam jej, że każdy rozwija się w innym tempie i to, że wciąż jeszcze mieszkasz w tym samym domu co matka, nie masz dziewczyny i żyjesz z miesiąca na miesiąc ze źle płatnej, stresującej pracy, niekoniecznie musi oznaczać, że jesteś nieudacznikiem.

Zdolności analityczne Karen chyba nigdy nie przestaną mnie zdumiewać.

—Co ona na to? — chcę wiedzieć.

—Że w twoim wieku była już mężatką z dwójką dzieci, żyła w szczęśliwym związku, natomiast to, co robisz, nie jest według niej normalne.

—Normalne? — powtórzyłem zrozpacz

3oe7J5K*
e j02wtoc (e) T

Karen przyjmuje moją tyradę ze stoickim spokojem.

—Nie sprecyzowała, o co jej chodzi. Po prostu spytała, czy nie mogę jej wytłumaczyć przyczyn obecnego stanu rzeczy.

— A możesz?

Karen oddaje mi karton z sokiem, przechodzi przez pokój i podnosi konsolę. Spogląda na mnie ze ściągniętymi ustami.

—Powiedziałam jej, że zastanawiasz się, czy nie wstąpić do klasztoru.

Nieomal dławię się sokiem, który właśnie przełykam. Karen wraca na kanapę i wali mnie w plecy.

— Co ci strzeliło do łba? — wykrztuszam z siebie.

—Pomyślałam sobie, że w ten sposób wreszcie się odczepi. Chowam głowę w dłoniach.

—Co takiego?

— Słowo daję, Stringer, przychodzi tu trzy, cztery razy w tygodniu. Tobie to nie stanowi, bo i tak jesteś w pracy, na siłowni czy gdzie cię tam diabli noszą. Ale poważnie, coś jej musiałam powiedzieć. Doprowadza mnie do szału. I pomyślałam sobie, że w ten sposób wreszcie się zamknie. Nie można przecież jednocześnie kłócić się z Panem Bogiem i Kościołem. A moja teoria pasuje do faktów idealnie: nie masz dziewczyny, nie odnosisz sukcesów w społeczeństwie monetarnym...

Potrzebuję chwili, żeby to przetrawić. W końcu pytam:

—Podziałało?

—Co podziałało?

—Zamknęła się?

—Aha.

—Cóż — mówię i wstaję, żeby iść pod prysznic. — Przynajmniej tyle.

Jakąś godzinę i kilka piw później otrząsam się wreszcie z szoku wywołanego świadomością, że moja matka jest od dzisiaj przekonana, że jej jedyny syn niedługo zgoli sobie tonsurę i za-szyje się w jakimś zapadłym klasztorze na odległej szkockiej wyspie.

Jestem „U Zacka", ulubionym pubie Jacka. Siedzę przy naszym stałym stoliku, a Jack, w dżinsach i szarym T-shircie oparty o bar nawija z Janet, właścicielką. Janet serwuje drinki. Zbliża się do czterdziestki i potrafi flirtować w zależności od potrzeb klienta. Pastisz butelki piwa, którym Jack uregulował swój barowy dług za ubiegły rok, zajmuje honorowe miejsce na ścianie ponad jej głową. Nie jestem nim zachwycony, ale z drugiej strony współczesne malarstwo nigdy specjalnie mi nie leżało.

Chętnie spędzam czas z Janet. Zawsze tak było. Co prawda jest prawie o piętnaście lat ode mnie starsza, ale świetnie się dogadujemy. A ponieważ między mną a Jackiem jest trzy lata różnicy, nie ma to większego znaczenia. Któregoś wieczoru w zeszłym roku gadaliśmy z Janet przy barze do piątej nad ranem. Jack wytrzymał gdzieś do trzeciej, w końcu wyszedł z doskonale przetrenowanym wyrazem twarzy mówiącym „Nie rób niczego, czego ja bym nie zrobił". Niepotrzebnie się martwił. Seks z Janet nie był przewidziany. Byliśmy po prostu dwojgiem ludzi dobrze bawiących się w swoim towarzystwie. Taką noc chętnie powtórzyłbym jeszcze nie raz.

Pamiętam, że następnego ranka rozdzwonił się telefon. W owym czasie pracowałem tylko na siłowni, więc z domu wychodziłem na ogół dopiero po lunchu.

—No i? Ustrzeliłeś ją? — spytał męski głos, który nie od razu udało mi się skojarzyć z twarzą.

Ustrzeliłem ją? Czarujące.

—Ustrzeliłem kogo? — zapytałem.

—A jak myślisz? — pytał dalej głos. — Janet.

—A.—Do głosu dopasowała się twarz.—Jeśli się nie mylę, pan Jack Rossiter?

—A któż by inny przeprowadzał śledztwo w sprawie twojego życia intymnego o tej porze? — pyta, dość rozsądnie zresztą, ponieważ Jack to jedyny z moich kumpli, który uważa, że Pan Bóg wyznaczył go na seksualnego spowiednika wszystkich jego znajomych.

— Nikogo nie ustrzeliłem, Jack — mówię mu. — Strzelają

strzelby, kiedy pociągniesz za spust. Natomiast jeżeli pytasz, czy zastrzeliłem Janet, odpowiedź brzmi nie. O ile wiem, dzisiaj jak zwykle otwiera swój pub i znajduje się w jak najlepszym zdrowiu.

—Nie pytam, czy ją zastrzeliłeś — przerywa mi Jack. — Chcę wiedzieć, czy ją puknąłeś, wydymałeś, przeczyściłeś jej komin, zakisiłeś ogóra, wyruchałeś ją, umoczyłeś człona, dałeś po zaworach?

Przedstawiam państwu Jacka Rossitera: Mistrza Metafor Wszelakich.

—Chodzi ci o to, czy odbyłem z nią stosunek seksualny? O to pytasz, Jack?

—Tak jest.

—To byłaby niedyskrecja.

—Więc bądź niedyskretny...

—Nie.

—Cóż, więc jednak tak.

Nie wyprowadziłem go wtedy z błędu; nigdy tego nie robię. Za dobrze go znam. Uporczywe zaprzeczanie z mojej strony utwierdziłoby go tylko w jego podejrzeniach. Choć pozwalając mu wierzyć, że faktycznie przespałem się z Janet, byłem wobec niej nie fair, to przecież w zasadzie nie skłamałem. W tej kwestii to Jack miał problem, nie ja.

Wszystko to bierze się ze sposobu, w jaki Jack mnie postrzega. Należy do tych typów, którzy wykazują skłonności do przesadnej analizy. Uwielbia, kiedy wszystko układa się w logiczną całość i pasuje do siebie jak ulał. Okrągłe sęki, okrągłe dziury, coś w tym rodzaju. Z grubsza biorąc, według niego dziurka, do której ja pasuję, to każda między damskimi nogami, na którą padnie mój wybór. Jack uważa, że taki właśnie powinienem być, przyjmuje więc, że taki jestem.

Dowód w sprawie: przezwiska, które mi nadaje. Większość moich znajomych, kierowanych rozsądkiem, zwraca się do mnie po imieniu albo po nazwisku: Greg bądź Stringer. Dla Jacka jednakże, dziewięć razy na dziesięć jestem Czajnikiem — dlatego, że się czaję, a nie dlatego, że taki jestem gorący (choć podejrzewam, że

według niego to drugie również do mnie pasuje). W zeszłym roku, zanim dostał kręćka na punkcie Amy, lubił także nazywać mnie Przynętą. Normalnym ludziom kojarzy się to z muchami, dżdżownicami, pulpą z chleba — słowem wszystkim, na co żarłoczna ryba może się połakomić. W ustach Jacka jednakże, przezwisko to było swoistym komplementem, wyrażającym uznanie dla mojej urody. Według niego jestem typem faceta, którego towarzystwo ułatwia połów płci pięknej. Pewnego razu powiedział:

—Wiesz, co myślą kobiety na twój widok? Myślą: „Wysoki facet. Ciemny. Przystojny. Niezły kawał miecha". Myślą: „Panie Boże spraw, żebym mogła spędzić z nim dzisiejszą noc". A wiesz, co w tym wszystkim jest najlepsze?

—Nie mam zielonego pojęcia. Oświeć mnie.

—Najlepsze jest to, że nigdy ich nie zawodzisz. Podobnie jak z Janet, w tej kwestii również nie wyprowadziłem go z błędu.

Dużo mojej winy w tym, jak Jack mnie postrzega. Żeby mógł sobie dalej myśleć o mnie w ten sposób, zawsze w odpowiedniej chwili znikam mu z oczu. Dzisiaj nazywa mnie Czajnikiem, wcześniej jednak byłem Bestią Imprez. Zresztą właśnie na jakiejś imprezie zaczęła się nasza znajomość. Było to trzy lata temu, w 1996 roku. Mówię ‚jakiejś", choć tak naprawdę była to moja impreza. Mówię , jakiejś", ponieważ w owym czasie—zanim spłukałem się z pieniędzy —tyle ich urządzałem, że w końcu przestałem uważać za swoje.

—No dobra — mówi, wracając do stolika ze świeżym zapasem piwa. — Dość już o Amy i o mnie. Gadaj, co tam u ciebie?

Roztargnionym ruchem przeczesuje palcami swoje ciemne włosy.

—Spotykasz się z kimś aktualnie? — pyta i z trochę nieobecnym wzrokiem rozsiada się wygodnie na krześle. — Przypomnij mi, jak to jest, kiedy ma się dwadzieścia pięć lat i żadnych zobowiązań? Wydaje mi się, jakby to było tysiąc lat temu.

—W tej chwili nic szczególnego się nie dzieje, doświadczony starcze — odpowiadam, nie odrywając oczu od drzwi do męskiej

toalety, przez które wtoczył się przed chwilą jakiś facet w kolarskich spodenkach. Wiercę się niespokojnie na krześle, bo okropnie chce mi się lać.

Jack spogląda na mnie sceptycznie.

—No, co ty, nie masz nikogo?

—Nikogo na poważnie.

—Ach — oddycha z ulgą. -— Teraz gadasz po ludzku. Pozwól, że zgadnę: to ta studentka, którą wyrwałeś w „Lupo"? — pyta z porozumiewawczym błyskiem w brązowych oczach.

Studentka ma na imię Mandy. Podobała mi się, niestety nic z tego nie wyszło. Jack widział ją ostatnio dwa tygodnie temu, jak razem ze mną wsiadała do taksówki przed „Lupo", winiarnią w Soho — stąd jego zainteresowanie.

— Historia — odpowiadam zdecydowanie.

—I tak za młoda dla ciebie — mruczy, zdając sobie sprawę, że więcej ode mnie na ten temat nie usłyszy.

—Nie, staruszku — poprawiam go. — Za młoda dla ciebie. Zanim zdąży zaprotestować, zmieniam temat.

—Pomówmy o próbnym lunchu. Środa wam odpowiada? Próbny lunch. Wspominam o nim niby mimochodem, ale tak

naprawdę jest to dla mnie niebywałe wydarzenie. Dwa miesiące temu, ni stąd, ni zowąd zadzwonił do mnie Freddie DeRoth. Ostatni raz widzieliśmy siew 1997 roku, na imprezie urodzinowej zorganizowanej w ogromnej wiekowej ruderze w Yorkshire, na której ja byłem didżejem, a on zajmował się wyżerką. Jest właścicielem szpanerskiej firmy w Londynie, Chichi, która zajmuje się organizowaniem przyjęć, zwłaszcza dla wielkich tego świata. No nieważne; zadzwonił. Okazało się, że facet, jego prawa ręka w biznesie, postanowił zwinąć żagle i wyjechać do Australii, a nasza wspólna znajoma — czytaj: moja matka — podsunęła mu, że ja mógłbym go zastąpić. Chociaż przy pierwszym spotkaniu byłem nafaszerowany koką po uszy, gadało nam się nieźle, pomyślałem więc, czemu nie, mogę spróbować.

Zrezygnowałem z pracy w siłowni i od ponad sześciu tygodni jestem zatrudniony w Chichi. Godziny pracy są długie, zarobki

nędzne, presja ludzkich oczekiwań ogromna i cholernie trzeba się starać, żeby reputacji firmy nie narazić na szwank. Mimo to jednak jestem zachwycony. Freddie okazał się nie tylko szefem, ale i mentorem; ciężko muszę harować, ale mnóstwo się od niego uczę. Po raz pierwszy od ukończenia studiów wylądowałem w miejscu, z którego nie tylko nie chcę odejść, ale które daje mi poczucie, że się rozwijam.

Dlatego właśnie ten próbny lunch tyle dla mnie znaczy. Jest częścią przygotowań do ślubu Jacka i Amy. To moje pierwsze samodzielne zadanie, a Freddie zachował się wspaniale, pozwalając mi dopilnować wszystkiego od początku do końca. Chcę się spisać na medal, udowodnić Freddiemu, że zatrudnił właściwego człowieka i że nepotyzm nie był jedynym powodem, dla którego to zrobił. Ocena Jacka również nie jest tu bez znaczenia. Chcę, żeby jego wesele okazało się najlepszą imprezą na świecie.

—Tak, wszystko już jest ustalone — mówi Jack. — Amy załatwiła sobie wolne w pracy.

— A u ciebie? — pytam. — Co z „Zirą"?

Wzdycha. „Zira" to restauracja w Notting Hill. Według Freddiego, który zawsze jest w tych sprawach na bieżąco, bardzo sobie ceni stałych klientów, ale jej właściciele zgodzili sieją wynająć Jackowi w rewanżu za fresk, którym od trzech tygodni ozdabia w niej ściany.

—Wciąż to samo — mówi. — Ciągle nie wiedzą, kiedy ją zamknąć, żebym mógł podgonić z robotą. — Wzrusza ramionami. — Skoro jednak gotowi są wypłacać mi tygodniówkę za nic, nie mam nic przeciwko temu. ,

—Fajna fucha — zauważam, ręką odganiając od twarzy dym z Jackowego papierosa i pociągając łyk piwa.

—Nie masz nic przeciwko temu, żebym na próbny lunch przyprowadził jeszcze kilka osób?

—Żaden problem — zgadzam się automatycznie, zaraz jednak staje mi przed oczami twarz KC, nieco kapryśnego kucharza z Chichi, któremu ten pomysł wcale nie musi się spodobać. — Kogo? Rodziców?

— Moich rodziców? — Jack parska śmiechem. — Coś ty.

Ma być fajnie, nie chcę powtórki ze *Sprawy Kramerów*. Myślałem raczej o Matcie i H. Aha, i jeszcze o Susie, kumpeli Amy. No i o tobie, rzecz jasna — chyba przyłączysz się do nas, no nie?

—Jasne, ale mamy teraz kupę roboty i mogę być w ciągłym ruchu.

—Dobra, jak tam chcesz. Ale zasadniczo będzie nas równo sześcioro, więc możemy usiąść na przemian, facet, dziewczyna, facet, dziewczyna.

Równo sześcioro. Już widzę minę KC; trudno nazwać ją zadowoloną. A, co tam, w końcu Jack to klient, a klient ma zawsze rację. KC będzie to musiał jakoś przełknąć.

—Kto to jest Susie? -— pytam, zapominając o KC. Jack natychmiast służy wszystkimi szczegółami:

—Susie nie ma faceta. Susie jest bardzo ładna. Susie jest cool. Susie to dziewczyna, którą na pewno chętnie poznasz.

Przewracam oczami.

—Mówisz tak o wszystkich babkach. Uśmiecha się.

—Zawsze tak mówię, bo to zawsze prawda.

—Podaj jeden przykład.

—Jaki przykład?

—Jeden przykład na to, że odkąd się poznaliśmy, udało ci się z powodzeniem z którąś mnie umówić.

—Och. — Jack jest wyraźnie dotknięty. — To złośliwa uwaga.

—Raczej kpina — prycham. Unosi brwi i prostuje się.

—Wyjątkowo złośliwa uwaga.

—Nic podobnego — nie ustępuję. — No, proszę, wytłumacz mi, gdzie tu złośliwość?

Ściąga usta i milczy, a ja wietrzę zwycięstwo.

—No, co, nie potrafisz, prawda? Nie przypominasz sobie ani jednego razu.

Nagle w jego oczach pojawia się błysk.

—A Julie Wright? — atakuje.

—Kto?

—Julie. Dziewczyna, z którą ustawiłem cię w zeszłym roku na grillu u Chloe. Metr siedemdziesiąt, miły uśmiech, świetne nogi...

—Mózg jak komputer, chłopak, który gra w rugby w Bath? — kończę za niego. — O, tak, pamiętam j ą, nie ma co. Wyjątkowo celny strzał. Szpanerski wypierdek z Londynu. O ile się nie mylę, tak właśnie mnie nazwała. Prosto w oczy.

—To już nie była moja wina.

—Nie — przyznaję. — Zapewne też nie ty ponosisz winę za dodatkową atrakcję wieczoru, a mianowicie usunięcie siłą tego świra w skórzanych spodniach, który próbował cię zabić za próbę zarwania jego dziewczyny...

—Jons — mówi, machając lekceważąco ręką. — To było zwykłe nieporozumienie.

—I pewnie też nie z twojej winy resztę wieczoru kiblowałem z okładem z lodu na oku, ponieważ rzeczony świr postanowił się ze mną rozprawić, kiedy wracałem do domu...

—O co ci chodzi? — nie rozumie Jack. — Chcesz powiedzieć, że nie umiesz wyrwać panienki, czy też, że żaden ze mnie swat? Szczerze powiedziawszy, Czajniku, żadnej z tych teorii nie mogę potraktować serio. Może po prostu to Julie jest winna? — podsuwa.—Może Panna Właściwa w rzeczywistości okazała się Panną Niewłaściwą?

—Nie, Jack. Nie ma w tym żadnej winy Julie. Po prostu Julie Wright znienawidziła mnie od pierwszego wejrzenia — do czego miała pełne prawo. To ty jesteś winny, że tego nie zauważyłeś i mimo wszystko postanowiłeś nas skumać.

—Dobra, dobra — Jack w końcu się poddaje. — Po prostu plan się nie udał.

—Fakt, a chcesz wiedzieć, dlaczego?

—Nie chcę, ale pewnie i tak mi powiesz...

—Bo nie nazywasz się, do ciężkiej cholery, Cilla Black*[1].

[1] * Cilla Black—popularna w latach osiemdziesiątych brytyjska piosenkarka z Liverpoolu, która później prowadziła program telewizyjny *Randka w ciemno.*

Nazywasz się Jack. Jack Rossiter. Gdybyś był supermanem, twoimi głównymi atutami byłaby głupia gadka, cuchnący papierosami oddech i niezwykłe techniki masturbacyjne, ale na pewno nie mało wyszukany talent do swatania, ryże włosy i wpadająca w ucho melodyjka.

Jack wkłada do ust świeży listek miętowej gumy do żucia. Oczy błyszczą mu niebezpiecznie.

—Nie rozumiem, czego chcesz od mojego...

—Świetnie — przerywam mu. — Ale poza tym przyznajesz, że mam rację?

—Susie to co innego — ten w kółko swoje. — Mówię poważnie. Dokładnie w twoim typie.

W moim typie, też coś. Jeśli chodzi o kobiety, wątpię, czy Jack ma choć cień pojęcia, co naprawdę mnie kręci.

—W sumie sześć osób — zaczynam z innej beczki. — Będzie nas na lunchu sześcioro?

—Zgadza się — potakuje niechętnie. — Sześcioro. Zauważam, że rowerzysta siedzi już przy barze i wczytując się

w podkładkę pod butelkę, sączy piwo. Mam wrażenie, że jeszcze chwila, a rozsadzi mi pęcherz.

—W porządku — mówię. — Ustawię wszystko na pierwszą trzydzieści. A teraz na chwilę cię przeproszę... — Pociągam jeszcze jeden łyk piwa, wstaję i kiwam głową w stronę klopa.

—Pora przewinąć małego?

—Otóż to — odpowiadam i ruszam przez salę.

Dwie dziewczyny przy barze—jedna blondynka, druga ciemna — taksują mnie wzrokiem, gdy przechodzę obok nich. Blondynka posyła mi uśmiech, który odwzajemniam. Skądś ją chyba znam, ale nie mogę sobie przypomnieć, jak się nazywa. To w Londynie typowe. Mogłem ją zauważyć w metrze, autobusie albo którymś z rozlicznych pubów. Mogliśmy się spotkać wszędzie.

Idę dalej.

W męskiej toalecie wzdłuż całej tylnej ściany biegnie pisuar z nierdzewnej stali. Przed nim, na wyłożonym kafelkami podwyższeniu stoi dwóch facetów. Jestem zaskoczony. Przecież obserwo-

wałem wchodzących i wychodzących z klopa i byłem przekonany, że w tej chwili nie ma w nim nikogo. Gapię się na plecy lejących facetów. Obaj przyjęli zwykłą, po koguciemu zadziorną postawę z lekko zgarbionymi ramionami, typową dla facetów będących w połowie satysfakcjonującego opróżniania pęcherza. Dźwięk spływających do pisuaru dwóch strumieni jest tak głośny, jakby odlewała się świeżo napojona w oazie para wielbłądów. Pieprzą coś o piłce nożnej, a jeden z nich obrzuca mnie przez ramię pozbawionym zainteresowania spojrzeniem, po czym przesuwa się nieco, żeby zrobić mi miejsce, i na powrót skupia uwagę na trzymanej w ręku ważnej części ciała.

Chwilę taksuję wzrokiem dzielącą ich przestrzeń, ale nic z tego. Dobrze wiem, co się stanie, gdy pokonam te dwa maleńkie, dzielące mnie od nich kroki i stanę obok: nic. Odepnę rozporek, wyciągnę maćka i skamienieję. Hałas wydawany przez dwa wielbłądy porazi mi uszy, a ja będę się wpatrywał w mój pomarszczony koniec i modlił się, żeby choć jedna łezka uryny przekonała mnie, że jest mu przykro. Ale tak się nie stanie, jak zwykle zresztą. Cierpię na nerwicowe zaburzenia pracy pęcherza i jeśli od innego faceta dzieli mnie mniej niż trzy metry, za nic w świecie się nie odleję. Potem ogarnie mnie fala wstydu. Dwóch stojących po moich bokach facetów skończy się załatwiać, zapadnie cisza, której nie przerwie moje rzucone niedbale pytanie: „Nie wkurza was, kiedy nie możecie się odlać?" Nie przerwie, ponieważ im się to nie przytrafia; tylko ja jeden znam ten ból. Będą chcieli wiedzieć, co się stało, więc spojrzą i od razu wszystko stanie się dla nich jasne. Poznają przerażającą prawdę.

A brzmi ona następująco: mój maciek jest miniaturowy.

Jest nie tylko miniaturowy, ale na dodatek tchórzliwy i prędzej upokorzy mnie publicznie, chowając się między włosami łonowymi, niż odegra prostą rolę kanału, którym mój mocz mógłby spłynąć.

W kabinie męskiej toalety zamykam drzwi na zamek i na użytek dwóch facetów przy pisuarze odpowiednio głośno podnoszę klapę sedesu, ściągam spodnie i siadam. Oznajmiam w ten

sposób publicznie, że wszedłem tu, żeby załatwić grubszą potrzebę, a nie dlatego, że wstydzę się nikczemnych rozmiarów mojego fiuta. Potrzeba odlania się powraca ze zdwojoną siłą i kiedy w końcu mogę ją zaspokoić, czuję, jak zalewa mnie fala psychicznej ulgi, nie dająca się porównać z żadnym innym doświadczeniem. Spoglądam w dół, na łonowe zagłębienie i ukrywające się w nim włochate jaja. Mam minikutasika.

Nie ma co owijać w bawełnę. Jest tam, zadomowiony na dobre, zwisający (jeżeli coś o tak znikomej wadze w ogóle podlega prawom grawitacji) żałośnie pomiędzy moimi udami. W miejscu, gdzie inni mężczyźni chowają w spodniach prawdziwe węże, ja dorobiłem się zaledwie nędznego robaczka. Cała męska populacja może w tym względzie konkurować z osłami, ja nie jestem rywalem nawet dla komara. Oni chwalą się, że mają trzecią nogę, ja wyglądam jak po jej amputacji. Myli się Jack w swoich ocenach, żaden ze mnie Czajnik, najwyżej imbryczek na herbatę.

Skłamałbym, mówiąc, że ta część mojego ciała budzi we mnie mieszane uczucia. One są jednoznaczne i dokładnie sprecyzowane: nienawidzę swojego fiuta. Równie mocno, jak inni faceci w moim wieku nienawidzą podatku dochodowego, wojskowego drylu czy, dajmy na to, śpiewki panienki z 911.

W pedałówie, którą ukończyłem w wieku lat trzynastu, nie miałem z nim problemów. Stosunkowo wcześnie zacząłem dojrzewać i podczas porannych wspólnych kąpieli pod prysznicem nie tylko górowałem nad innymi dzieciakami wzrostem, ale także mogłem się poszczycić niezłym zarostem w niższych rejonach ciała. W owym czasie nikt nie zwracał uwagi, że mój maciek nie nadążał w rozwoju za resztą. To się zaczęło później, w szkole średniej. Wtedy pozostali kumple szybko nadrabiali braki we wzroście, podobnie jak ich interesy, natomiast dla mnie zaczęła się udręka wstydu.

Smutną stroną całej historii jest fakt, że co moje, to moje i poza radykalnym zabiegiem chirurgicznym, nic tego zmienić nie może.

Rzecz jasna, rozważałem możliwość oddania się w ręce chirurga. Kiedy początkowo dowcipy na temat niedorozwiniętej części mojego ciała były szczególnie dotkliwe, pewnego dnia w przystępie rozpaczy wyciąłem z gazety ogłoszenie kliniki zajmującej się problemami z męskością i nawet wykręciłem jej numer. Niestety, odebrała kobieta i na dźwięk jej głosu stchórzyłem. Kiedy byłem już na uniwersytecie, na tylnej okładce „świerszczyka" znalazłem reklamę SwellSize Rodpump™, lecz uboższy o 19,99 funtów i z ostrym przypadkiem łokcia tenisisty, po dwóch godzinach pompowania ręcznym urządzeniem, poza kilkoma czerwonymi zadrapaniami, dalej nie miałem się czym pochwalić.

Starałem się dostrzec jaśniejsze strony tej dramatycznej sytuacji. Przypomniało mi się, że Bóg daje i odbiera, tłumaczyłem więc sobie, że mnie obdarzył niezłą powierzchownością, zdrowiem i ciałem, którego niejeden by się nie powstydził, w zamian poskąpił mi kilkunastu centymetrów mięśnia miłości i nic na to nie mogę poradzić. Niestety, nie na wiele się to zdało. Gdybym mógł swoje fizyczne atrybuty zamienić na te brakujące centymetry, pierwszy ustawiłbym się w kolejce i błagał, żebym odtąd nazywał się Quasimodo.

Zza drzwi dobiega mnie odgłos zaciąganych zamków, kroków, wreszcie zamykanych drzwi. W ciszy toalety słychać tylko szum mojego moczu.

—Zostałeś poddany ocenie — informuje mnie Jack, gdy wracam do stolika. — Te dwie dziewczyny przy barze. Kiedy szedłeś do klopa, obejrzały cię od stóp do głów, a teraz ciągle tu zerkają.

—Wydaje mi się, że skądś znam tę blondynę — mówię mu. Kusi mnie, żeby się obejrzeć i przyjrzeć jej dokładnie, powstrzymuję się jednak. To by było zbyt oczywiste. — Nie umiem sobie tylko przypomnieć, gdzie ją widziałem.

—I co zamierzasz z tym zrobić?

—Mianowicie?

—Przecież nie możesz siedzieć tu jak dupek.

—A to czemu? — śmieję się.

—Ponieważ ona właśnie tu idzie...

—Stringer, prawda? — pyta blondyna. Ignoruję nieskrywane rozbawienie Jacka i mówię:

—Zgadza się.

Uśmiecha się, po czym oznajmia:

—Poznaliśmy się na imprezie, mniej więcej na początku ubiegłego roku.

Nie pamiętam jej. Nic dziwnego, zważywszy na stan, w jakim na ogół się wtedy znajdowałem. Bacznie jej się przyglądam, w szczególności ustom i dochodzę do wniosku, że może nawet trochę się poobmacywaliśmy. Z całą pewnością do niczego więcej nie doszło. Po prostu usta na jedną noc.

—Doprawdy? — pytam niezobowiązująco. — A gdzie dokładnie?

—W jakiejś szpanerskiej knajpie na Notting Hill. Byłeś didżejem.

—Dawniej wciąż tam przesiadywałeś, stary — spieszy z pomocą Jack. Po czym zwraca się do dziewczyny: — Świetnie grał, no nie?

Przytakuje skinieniem głowy i mówi do mnie:

—Jestem Samantha. Moja koleżanka, tam przy barze, ma na imię Lou. Możemy się przysiąść?

Dopijam piwo.

—Niestety, wychodzimy — mówię, udając, że nie widzę zdziwionej miny Jacka.

Jack wzrusza ramionami, po czym podnosi swoją szklankę i potwierdza moje słowa.

—Właśnie. Jesteśmy umówieni gdzie indziej.

Kilka minut później, kiedy jesteśmy już na ulicy, Jack chce wiedzieć, czemu przepuściłem okazję, która sama pchała mi się w ręce. Mówię mu, że Samantha nie jest w moim typie. Mówię tak dlatego, że prawdziwego powodu zdradzić mu — tak jak nikomu innemu — nie mogę, a mianowicie, że nie tylko przed facetami wstydzę się swojego fiuta.

SUSIE

Sobota, godzina 6.50

O rany. Leżę w łóżku i staram się skoncentrować wzrok na suficie i chociaż robię to zazwyczaj po przebudzeniu, to tym razem problem w tym, że ani łóżko, ani popękany sufit nie należą do mnie.

O Boże, o Boże, o Boże: panna Morgan znowu poszła w tango.

Obracam się po cichutku, starając się wyswobodzić spod włochatej, ciężkiej ręki należącej do... do... hm... zastanówmy się... Dave'a. Nie, nie Dave'a. Dave to był ten bardziej łysy.

Niech to szlag! Jak on się nazywa?

On chrząka i przewraca się na bok, a spod kołdry wydobywa się odór stęchłego seksu. Wpatrzona w jego plecy staram się ułożyć w logiczną całość wydarzenia, które doprowadziły do tego, że po raz kolejny nie udało mi się obudzić we własnym łóżku w sobotni poranek. To tyle, jeśli chodzi o prowadzenie dziennika snów.

No dobrze, pomyślmy. Pamiętam, że piliśmy z całą bandą w pubie, zabawiając się na całego, jak to zwykle bywa. Następnie przypominam sobie, że zaczęłam gadać z grupą muzyków, potem poszłam z nimi do tego snobistycznego klubu w Soho, a na koniec wróciłam do domu z tym tutaj — chyba piosenkarzem. Zawsze miałam słabość do klepiących biedę artystycznych typów.

Odśpiewał mi kilka swoich kawałków, a ja z maślanymi oczami uległam sile własnych hormonów i zaproponowałam, że zrobię mu masaż. Chciałam w ten sposób przekazać mu nieco swojej pozytywnej energii, zaprezentować swoje wyjątkowe w tej dziedzinie talenty, o czym zapewniałam go, szepcząc mu namiętnie do ucha. Tak naprawdę chciałam się w końcu dobrać do tego jego słodkiego ciałka.

Tylko jak on się nazywa? Cholera, przecież wiem.

Ed. Aha, trafiłam.

Ed o wspaniałym głosie.

Jestem pewna, że to Ed.

Podnoszę się na łokciach i staram się przyzwyczaić wzrok do

obcych cieni. Daleko na ścianie tyka sobie cicho zegar, zezuję więc w jego stronę. Bez okularów widok mam trochę zamazany, ale wydaje mi się, że pokazuje za dziesięć siódmą.

Zbieraj się, dziewczyno, pora spadać.

Odrzucam kołdrę i wychodzę z łóżka. Mam duże doświadczenie i w takich sytuacjach potrafię się poruszać cicho jak myszka. Co prawda kiedy staram się być cicho, nie umiem powstrzymać ataków gwałtownego chichotu, ale dzisiaj postanawiam sobie solennie, że za nic w świecie nie obudzę Eda. Nie znoszę tych krępujących poranków w towarzystwie wirtualnie obcego mężczyzny, zwłaszcza że wieczorem nie umyłam zębów. Założę się, że z gęby cuchnie mi jak owczarkowi niemieckiemu.

Na czworakach przesuwam się po dywanie, zbierając po drodze części mojej garderoby, które ścielą się od samych drzwi. Chwilę zajmuje mi namierzenie stanika, ponieważ zaplątał się pod prześcieradłem. Kiedy nie siedzą w nim moje cycki, wygląda monstrualnie. Nie dam rady go teraz włożyć, zbyt skomplikowane. Upycham go w torbie i zakładam na nos okulary, odzyskując w ten sposób ostrość widzenia, co pozwala mi oszacować straty. Aksamitna spódnica cuchnie pubem, a w kołnierzu bluzki zieje wielka wypalona dziura, poza tym jednak jestem cała i zdrowa. Biorąc pod uwagę okoliczności, w sumie nie najgorzej.

Przez chwilę toczę cichą walkę z rajstopami, rzucając się po całym dywanie jak przewrócony na grzbiet chrząszcz, ale w końcu udaje mi się ubrać do końca. Przed wyjściem spoglądam na Eda jeszcze raz. Jest naprawdę słodki, typowy śliczny chłopczyk z boysbandu, ale mimo wszystko nie zostawię mu swojego telefonu. Dość mam kłopotów i dodatkowe atrakcje wcale nie są mi do szczęścia potrzebne.

Zresztą na co mi sentymenty. I tak wiem, że wszystko schrzaniłam. Ed zapewne niczym by się nie różnił od całej reszty jednonocnych kochasiów. (Trudno mi w tym względzie zarzucać skłonność do stereotypów, ponieważ moja osobista statystyka w tej dziedzinie z powodzeniem nadawałaby się dla rządowego programu badawczego.) Chodzi o to, że jeżeli na pierwszej randce lądujesz w

łóżku, automatycznie klasyfikujesz się w kategorii przypadkowego seksu. Nic dodać, nic ująć.

Och, wiem, że mężczyźni powinni byli wreszcie dojrzeć i pozbyć się starego seksistowskiego sposobu myślenia, ale jak wszyscy wiemy, jest to głęboko zakorzeniony nawyk, a tych ciężko jest się pozbyć. Takie jest życie. Jeśli dziewczyna jest delikatnym, rumieniącym się przy byle okazji kwiatuszkiem z niskim libido i masą cierpliwości, wszystko jest w porządku. Jeżeli natomiast, jak dzieje się to w moim przypadku, jej potrzeby seksualne są równie silne jak u ogiera, a samokontrola równie skuteczna jak w bolidzie, który wypadł z toru, wówczas znalezienie chłopaka staje się dużo trudniejsze.

Co wcale nie oznacza, że chciałabym zostać dziewczyną Eda. Przecież w zasadzie go nie znam. Zresztą z takim ciałem na pewno jest już zajęty. Ale miło by było, gdyby choć raz ktoś potraktował mnie poważnie, żebym choć na chwilę mogła przestać być taką, co to moja babcia jednoznacznie określa mianem „jednej z tych panienek".

Problem w tym, że jestem jedną z nich. Zawsze byłam. Jeszcze jako mała dziewczynka, kiedy o seksie nawet mi się nie śniło, zawsze pakowałam się w kłopoty z chłopakami. Myślę, że miałam nie więcej niż siedem lat, kiedy po raz pierwszy, za dwie gumy balonowe sprzedałam prawo do zajrzenia mi w spodenki gimnastyczne.

Znowu spoglądam na zegar, posyłam z daleka całusa w stronę śpiącego Eda i na paluszkach wycofuję się z pokoju. Zsuwam się po schodach, przy każdym skrzypnięciu desek w podłodze przystając ze wstrzymanym oddechem, aż w końcu szczęśliwie docieram do drzwi wejściowych. Wrzucam klucze Eda do jego skrzynki na listy (stara sztuczka) i jestem wolna.

Dawniej, w taki poranek jak dziś, przepełniałoby mnie uczucie dumy i zepsucia i podniecona wyczekiwałabym chwili, w której będę mogła opowiedzieć wszystkim o swoich nocnych podbojach, dzisiaj jednak wiedziałam, że chcę ostatnie wydarzenia zachować wyłącznie dla siebie. Wychodzę przez furtkę na ulicę i oglądam się

na pokryte obłażącą farbą drzwi do domu Eda. Nie wiem czemu, ale czuję się jakaś taka zbrukana.

No cóż, samobiczowanie nic tu nie zmieni. Co się stało, już się nie odstanie. Zresztą moje złe samopoczucie nie jest niczym uzasadnione. Od początku do końca miałam wszystko pod kontrolą. To ja podjęłam decyzję, że zostaję u niego na noc, podobnie jak sama uznałam, że pora zniknąć. Gdyby sytuacja się odwróciła i to Ed opuszczał moje mieszkanie chyłkiem jak włamywacz, założę się, że kroczyłby dumny z siebie jak kogut. Dlaczego więc mnie mają dręczyć wyrzuty sumienia?

A zresztą mam teraz inne problemy. Na przykład nie mam zielonego pojęcia, gdzie jestem. Stoję pod latarnią i przez dobre pięć minut studiuję mój miniaturowy plan Londynu, kiedy wreszcie dociera do mnie, że tej ulicy nie ma w spisie. Niech to jasna cholera. To może oznaczać jedynie, znalazłam poza strefą, w której ważny jest mój trzystrefowy bilet. Rozglądam się w nadziei, że zauważę jakiś znajomy punkt, niestety, wylądowałam na jednej z tych pozbawionych charakteru londyńskich ulic, po obu stronach zabudowanej ciasno kamienicami o wyszczerbionych schodach i zimnych oknach. Z oddali dobiega mnie hałas ulicznego ruchu, więc entliczek, pętliczek, skręcam w lewo i zaczynam iść.

Kilka ulic dalej trafiam na stację benzynową i wdaję się w pogawędkę z facetem przy kasie. Ma na imię Raj i zapewnia mnie, że jego brat ma taksówkę na telefon i na pewno odwiezie mnie do centrum. Czekając na niego, popijam kawę z automatu i podejrzliwie czytam nagłówki w gazetach. W porównaniu z nimi moje nocne wyczyny nie wyglądają wcale najgorzej.

Raj nie przestaje nawijać, zupełnie jakbyśmy znali się od lat, ale wcale mi to nie przeszkadza. Jestem przyzwyczajona. Chyba mam w sobie coś, bo ludzie często zwierzają mi się ze swoich tajemnic. Tak jak w tej chwili Raj, który uskarża się, że piątkowy wieczór był bardzo niespokojny.

— Kupa mętów. Coś okropnego dla nocnej zmiany — wymachuje rękami.

Nie zdradzam mu, że sama zapewne byłam jednym z tych „mę-

tów", kiedy w środku nocy kupowałam Pepsi Max. Chyba właśnie wtedy prześcigaliśmy się z Edem w odgrywaniu scenki „Czego nam potrzeba". Ed grał na moich pośladkach jak na perkusji i robił niedwuznaczne gesty lodami Magnum.

—Coś okropnego — mówię współczująco. — Skandal. Kiedy wracam do domu, moja współlokatorka Maude i jej

kochanka, Zip, od wczorajszego wieczora nie zdążyły się jeszcze położyć do łóżka. Przykryte śpiworem siedzą obie na kanapie, każda z puszką piwa w ręce, i oglądają wideo. Są jedną z tych par, które mogą się podobać zwolennikom reklam Calvina Kleina, ale jeśli o mnie chodzi, uważam, że mogłyby się trochę pod-tuczyć.

—Która godzina? — pyta Zip, ziewając.

—Coś koło ósmej. Miałaś mi dzisiaj pomagać, pamiętasz? — pytam Maude.

Zasłania rękami oczy i wydaje przeciągły jęk.

—Wyleciało mi z głowy. Sorry. Całą noc włóczyłyśmy się po klubach z Dillon i całą resztą.

Spogląda na mnie przez palce, a ja pieszczotliwie mierzwię jej purpurowoczerwone włosy.

—Wiedziałam! W takim razie w następną sobotę.

—Zajrzymy do ciebie w porze lunchu, obiecuję.

—Czyżby? — śmieję się. — Na pewno nie będę czekała z zapartym tchem.

We wszystkich trzech mieszkaniach, które ostatnio wynajmowałam, mieszkałam razem z Maude, a znamy się chyba od początku świata. Wybiera się w podróż z Zip, która w zasadzie do czasu wyjazdu zamieszkała z nami. Już dwa tygodnie temu miały jechać do Ameryki, ale zdaje się, że są jakieś problemy z wizą.

Nie chcę, żeby wyjeżdżały. Mamy takie wielkie mieszkanie, które trafiło mi się przez cufal i wspaniale nam się w nim razem mieszka. Może nie jest to najprzytulniejsze i najbardziej gustowne mieszkanie pod słońcem, ale uwielbiam je — ma wysokie sufity i pełno w nim światła—i nie chciałabym się go pozbywać, kiedy Maude wyjedzie. Co prawda zapłaciła swoją część czynszu za dwa

miesiące z góry, żebym nie musiała od razu szukać nowej współlokatorki, ale i tak bez niej będzie tu okropnie. Jest taka kochana.

Karmię Torvilla i Dean, moje dwie złote rybki, potem ładuję cały majdan do torby na pranie i taszczę wszystko na dół. Zanim przyprowadziłam z parkingu mojego mini metro i zapakowałam do niego bambetle, już byłam spóźniona. Naprawdę nie powinnam była tak wczoraj zabalować. Przecież nie od dzisiaj wiem, że handlowanie na kacu to czyste zabójstwo.

Jak mogłam się spodziewać, na Portobello Dexter zajął dla mnie miejsce obok siebie i nawet zdążył już rozpiąć nad moim straganem plastikowy daszek. Według Capital Radio zanosi się na ulewę, jestem mu więc niezmiernie wdzięczna. Miejsce obok Dextera jest po prostu wymarzone, bo przed jego straganem niezmiennie ustawia się kolejka chętnych do wydawania pieniędzy na ten cały chłam, którym handluje. On co prawda twierdzi zupełnie co innego, a mianowicie, że to jemu opłaca się stać koło mnie, bo to ja przyciągam frajerów. Flirtujemy tak ze sobą od dobrych paru miesięcy, ale i tak oboje wiemy, że to on mnie robi przysługę.

W czasie, gdy wyładowywałam wszystko z auta i rozkładałam swoje kapelusze, zdążył pochłonąć drugą bułę z bekonem. W tym tygodniu mam nową aksamitną narzutę, którą przykrywam ladę.

—I co ty na to? — pytam, gdy stragan jest już gotowy. Gwiżdże z uznaniem.

—Bardzo elegancko — mówi i podaje mi w plastikowym kubku gorącą kawę, po czym zaczyna się wydzierać:

—Nosiła nie-e-e-bieski a-a-aksa-a-a-mit.

Śmieję się i przewracam oczami. Dexter to najbardziej szalony, arogancki, seksistowski facet jakiego znam, ale — choć niechętnie — muszę przyznać, że wygląda bardzo apetycznie, szczególnie w swoich lewisach 501.

—Jak tam, Dex, znalazłeś coś fajnego w tym tygodniu? — pytam, odrywając wzrok od jego siedzenia i sącząc kawę.

Dexter jest koneserem wszelkiego rodzaju wyprzedaży garażo-

wych, ogrodowych, pchlich targów i przez większość czasu grzebie w cudzych rupieciach w poszukiwaniu starych taśm i płyt. Jest właścicielem kolekcji najobrzydliwszej muzyki, jaką tylko można sobie wyobrazić, od Berta Bacharacha poczynając, na tandetnych podróbkach kończąc. Kręcące się po Portobello snoby są nimi wprost zachwycone, a Dexter jest na targu swoistą legendą, ponieważ zarabia krocie. Mówię „krocie", choć tak naprawdę trudno jest się dorobić w szybkim czasie, wystając w zimnie na londyńskim targowisku. Przekonałam się o tym już po pierwszym tygodniu, co mnie trochę załamało, bo na tym zasadniczo opierał się mój plan szybkiego zbicia kasy. Ale co tam. I tak któregoś dnia to ja trafię główny los na loterii.

—Mam dla ciebie niespodziankę — kiwa na mnie Dex.

Podnosi pokrywę przedpotopowego adaptera, z rękawa wyciąga płytę i układa ją na obrotowej tarczy. Mrugając do mnie łobuzersko, opuszcza na płytę ramię z igłą. „Jesteś z Walii..."

Rozlega się okropnie skrzypiące nagranie Shirley Bassey. Dexter uśmiecha się od ucha do ucha i z uniesionymi brwiami czeka na moją reakcję.

—Coś wspaniałego, chłoptasiu — kiwam głową i odwracam się, żeby wpiąć w poduszeczkę szpilkę do kapelusza.

Ta jego walijska obsesja staje się powoli męcząca. W zeszłym tygodniu oglądał mecz w rugby i potem bez przerwy śpiewał *Ziemia moich ojców,* a mnie natychmiast przypominały się słowa Dylana Thomasa: „I nie udało im się jej zachować". Skoro Swansea Bay jest taka wspaniała, co ja jeszcze robię w Londynie? Czy ktoś może mi to wyjaśnić?

Ale Dexterowi nie mogę tego powiedzieć. Nie umiem być wobec niego złośliwa, bo go lubię. No i jest moim kumplem. Dlatego też, gdy w porze lunchu spotyka mnie niespodzianka, bez protestu godzi się popilnować mojego straganu.

Tą niespodzianką jest Amy.

—Rozwiązła Susie! — woła i mocno obejmuje mnie na powitanie.

Ponieważ włożyłam dzisiaj wielkie buciory, jestem od niej

trochę wyższa, i kiedy mnie obejmuje, unoszę ją do góry, po czym mocno całuję.

Ależ cieszy mnie jej widok.

—Witaj, kochanie! Co ty tu robisz?

Robi zabawną minę i pokazuje na swoje włosy.

—Przedślubny eksperyment.

Wyglądają jakoś dziwnie. Zaczesane są wszystkie do tyłu i zaplecione w warkocze, które owinięte wokół jej głowy tworzą coś na kształt cudacznego ptasiego gniazda. Dotykam go ostrożnie ręką.

—Kto cię tak uczesał?

—Fryzjerka na Westbourne Park, którą osobiście mi poleciłaś, ty krowo — śmieje się.

—Na ogół tam nieźle czeszą. Oglądam jej fryzurę ze wszystkich stron.

—Wygląda dość niespotykanie, nie uważasz?

—Niespotykanie?—wybucha śmiechem.—Raczej obrzydliwie! Nie mogę się doczekać, żeby to wszystko rozczesać. Ale najpierw chcę wystraszyć trochę Jacka.

—No właśnie, a gdzie twój ukochany? — pytam i rozglądam się, przekonana, że zaraz go zobaczę.

—Pracuje, żeby zapewnić mi standard życia, do którego mam nadzieję się przyzwyczaić — oznajmia z wyniosłą miną.

—Szkoda — mówię szczerze. — Jack jest naprawdę świetnym facetem.

—Łapy przy sobie — mówi z udawanym oburzeniem Amy. — Masz czas? Mogłybyśmy skoczyć na lunch.

—Jak widzisz, nie wiem, w co wsadzić ręce — żartuję. — Chodźmy na kiełbaski i piure.

Uwielbiam Amy. Studiowałyśmy razem na akademii sztuk pięknych i od tamtego czasu jest moją najlepszą kumpelą. Do niedawna tak jak ja pałętała się trochę bez celu, nie miała stałej pracy, ale nagle się pozbierała, zaczęła robić karierę w domu mody Friers, na wieść o czym zaczęłam się jej trochę bać. Ale uśmiecha mi się perspektywa babskich ploteczek w cieple mojej ulubionej knajpy, do czego sobotnie popołudnie nadaje się idealnie.

Knajpę, w której lądujemy, otworzyła w zeszłym roku moja znajoma, Sarah. Przedstawiam jej Amy, a ona z miejsca znajduje nam stolik w tyle sali i przyjmuje od nas zamówienie. Po nieprzespanej nocy trochę słabo się czuję, ale myślę, że porządny talerz jedzenia postawi mnie na nogi.

—To już za trzy tygodnie! Jak się czujesz? — pytam Amy. Nachylam się ku niej przez stół i ujmuję jej rękę. Wciąż nie mogę się przyzwyczaić do widoku zaręczynowego pierścionka na jej palcu. To takie strasznie dorosłe. Przyglądam się dokładnie brylantowi na środku i wykręcam jej rękę, żeby zobaczyć, jak odbija się w nim światło.

—Dobrze — mówi, wzruszając ramionami.

—Tylko tyle? Ja na twoim miejscu chyba spłonęłabym żywcem z podniecenia.

Uśmiecham się do niej, a kiedy ona robi to samo, wybucham śmiechem, bo już wiem, że aż cała drży z emocji. Widzę to w jej oczach. Wygląda wspaniale, o niebo lepiej niż podczas naszego ostatniego spotkania, ma błyszczące oczy i wspaniałą cerę. Coś pięknegoj6 4 T c (i) T j - 0 . 1

)cTdFa8eT01D0TjeC2832T8jT0TjT/F1+50.926 Tc (I)Dj 3.56 Tcj TjF-0m23328T54Tj 0I4D0 TD-j

— Wiem.

Chwilę jeszcze gadamy, wreszcie pojawia się Sarah i stawia przed nami dwa talerze z furą jedzenia.

— Wybaczcie — mówi i odpina guzik w spodniach.

—Co, dają znać o sobie te wszystkie kiełbaski? — śmieję się, widząc, że trochę jej się przytyło.

— Jestem w ciąży — mówi szeptem.

—Żartujesz? — jestem naprawdę zszokowana. Przychodzę tu regularnie co tydzień i niczego nie podejrzewałam, chociaż normalnie wyczuwam przyszłą matkę na milę.

—Dzisiaj są trzy miesiące — uśmiecha się promiennie.

—Super! To fantastycznie.

Ściskam ją i klepię delikatnie po brzuchu.

— Jak się czujesz?

—Nie najgorzej — mówi. — Tylko trudno mi się odzwyczaić od fajek.

Chwilę gadamy z Sarah, której Amy zadaje mnóstwo pytań.

—Założę się, że ty będziesz następna — mówię, gdy Sarah nas zostawia. Unoszę brwi i zaczynam z niej pokpiwać.

— Przestań, ty aferzystko — chichocze Amy. Spoglądam w stronę Sarah i wzdycham.

—Sama powiedz, czy to nie wspaniałe? Bardzo chciałabym mieć dziecko.

— Ty i dziecko? — Amy prycha pogardliwie.

— A cóż w tym takiego?

—Byłabyś beznadziejną matką.

—Nieprawda.

—Daj spokój, Sooze! Co ty byś robiła z dzieckiem? Przecież masz cygańską naturę. Bez przerwy się gdzieś włóczysz i jesteś za bardzo roztrzepana, żeby troszczyć się o kogokolwiek. Jedna imprezka i zaraz byś zapomniała o dziecku, na pewno gdzieś byś je zostawiła.

—Nieprawda — protestuję. — Przecież nie jest ze mną aż tak źle.

Amy wytrzeszcza na mnie oczy.

—No właśnie, nie zapomniałaś przypadkiem o czymś?

—O czym mianowicie? — pytam i biorę do ręki butelkę z keczupem.

—O mężczyźnie — mówi dobitnie. — Tak się składa, że do tego potrzebna jest druga osoba.

—Ach, o to ci chodzi — oddycham z ulgą i wylewam na swój talerz sporą porcję keczupu. — Żaden problem, zgłoszę się do banku spermy.

Amy wybucha śmiechem.

—To znaczy, że zerwałaś z nim definitywnie?

Ma na myśli Simona. Simona Mięczaka. Aż do ubiegłego miesiąca był moim permanentnym kochankiem. I to od wielu lat.

Co nie znaczy, że był mój. Ta przyjemność przypadła Ilke, jego szwedzkiej żonie. Pięknej, szczupłej, czystej, naturalnej blondynce Ilke, która rodziła mu idealnych małych Simonów i równie idealne małe Ilki, poza tym bez reszty oddanej zamienianiu życia Simona w istne piekło. Ale kiedy sprawa stanęła na ostrzu noża, okazało się, że on nie potrafi żyć bez niej, tej wiedźmy, którą przez wszystkie te lata odsądzał od czci i wiary. Zabawne. Zarzekał się, że beze mnie także nie może żyć, i co? Jakoś dotąd nie umarł.

—Zgadza się, w końcu musiałam mu pozwolić odejść — wzdycham. — Walczył jak lew, ale się zaparłam. „Simon" powiedziałam, „która część zdania: *nigdy więcej do mnie nie dzwoń* jest dla ciebie szczególnie niezrozumiała?"

—Doskonale — śmieje się Amy. Zawsze mi powtarzała, że Simon żony nie zostawi, jednak mimo iż teraz już mogę z tego żartować, ani razu nie powiedziała: „A nie mówiłam?" Jest na to zbyt dobrą kumpelą.

—Wyobraź sobie, że niedawno dzwonił—ciągnę dalej moją opowieść. — Zaproponował, żebym się do nich wprowadziła „jako niańka". Dasz wiarę? Podobno to wszystko by uprościło.

Amy szczęka opadła na podłogę. Dochodzi do siebie i celuje we mnie widelcem.

—Nie sądzę, żeby to był najlepszy pomysł.

— Baba z wozu, koniom lżej — wzruszam ramionami. Wciąż jeszcze ciarki mnie przechodzą na myśl, jaką kompletną idiotką byłam. Rozmyślnie zostałam kochanką Simona, jak mogłam więc oczekiwać, że będzie mnie traktował inaczej? Z początku, kiedy puszczałam się także z innymi, wszystko było w porządku. Bawiły mnie spotkania z Simonem, poza tym podobała mi się atencja, z jaką mnie traktował, tym bardziej że byłam wtedy bez kasy. Przy nim czułam się jak ktoś wyjątkowy, zabierał mnie do eleganckich hoteli na popołudniowy seks i kupował drogą bieliznę. Wszystko razem było takie nielegalne i podniecające, a ponieważ zawsze byłam frajerką, w końcu się w nim zadurzyłam. Mój czarujący starszy mężczyzna, traktujący mnie jak księżniczkę. Dzisiaj jednak, kiedy o tym myślę, zaczynam rozumieć, że był po prostu wdzięczny.

— No i? Co czujesz jako osoba oficjalnie wolna? — pyta Amy. Nabijam kawałek kiełbasy na widelec i chwilę mu się przyglądam.

— W sumie nie narzekam.

Amy szczerzy do mnie zęby i przewraca oczami.

— Co znowu narozrabiałaś?

Przez chwilę kusi mnie, żeby nie opowiedzieć jej o ostatniej nocy. Nie zdradzić jej intymnych szczegółów ani nie rozwodzić się o co lepszych łóżkowych wyczynach Eda, co dotąd robiłam, zaliczywszy kolejnego faceta.

Ostatnio zrobiło się trochę dziwnie. Odkąd Amy zamieszkała z Jackiem, wszystko się zmieniło. Skończyły się sprośne plotki, których dawniej mi nie szczędziła. Nie wiem, być może dlatego, że to, co robią z Jackiem, jest tak nudne, że nie ma o czym mówić, a może są to dla niej sprawy zbyt intymne. Myślę, że to drugie, ale bez względu na przyczynę, nie dzieli się ze mną smakowitymi kąskami, jak to miało miejsce kiedyś.

— Hej! Co z tobą? Przecież to ja — naciska, słusznie interpretując moje milczenie.

Chrząkam, udając wielkie skrępowanie, ale w końcu wydusza ze mnie całą historię od początku do końca, a ja celowo ubarwiam

swoją opowieść o nocnych wyczynach mnóstwem sprośnych szczegółów, na koniec do lepszego zobrazowania anatomii Eda wykorzystując kiełbasę na moim talerzu. Trochę mi głupio, że tak sobie kosztem biednego Eda używam, wątpię jednak, żebym jeszcze kiedykolwiek miała go zobaczyć, a poza tym przedstawiam go w nad wyraz korzystnym świetle.

—Jeśli chcesz, możesz powiedzieć Jackowi, żeby jeszcze raz obliczył mój współczynnik rozwiązłości—proponuję i pakuję do ust resztę ziemniaczanego piure.

—W tym tempie niedługo zabraknie dla ciebie skali — śmieje się.

Jack wymyślił to kretyńskie równanie, które pomaga obliczyć stopień kurwienia się w okresie życia bez stałego partnera. Któregoś dnia obliczaliśmy to sobie w pubie i ubawiliśmy się setnie. Według Jacka mam najwyższy współczynnik, z jakim kiedykolwiek się spotkał. Nie wiem tylko, czy był pod wrażeniem, czy też zwyczajnie zazdrosny.

Amy składa razem sztućce na talerzu.

—Nigdy się chyba nie zmienisz — mówi, kręcąc głową i łapiąc się za brzuch.

Uwielbiam rozśmieszać Amy, wydaje mi się jednak, że ostatnio dzieje się to za bardzo moim kosztem. Co prawda nie zrobiła niczego złego, a już na pewno nie stroi sobie ze mnie żartów. Po prostu przestała w tym względzie współdziałać. I kiedy tak karmię ją opowieściami po kawałku, jak w mydlanej operze, mówię wyłącznie o swoim życiu. Wszystko to, co mnie spotyka, jej nie dotyczy wcale. Ona jest bezpieczna i zakochana. A ja nie mogę oprzeć się wrażeniu, że obnażam się zanadto.

—Może powiesz mi coś o twojej panieńskiej imprezie? — zmieniam temat, zakładając jednocześnie na głowę kapelusz.

—H do ciebie nie dzwoniła?

—Nie.

—Dziwne. Mówiła, że to zrobi. Nieważne; wyjeżdżamy na weekend do „Niebiańskiego Wypoczynku".

—Mówisz serio? Fantastycznie!

—Myślisz? H nie wydawała się szczególnie zachwycona.

—Nie marudź, na pewno będzie ci się podobało. Wbijam w tył kapelusza szpilkę, żeby nie zsunął mi się z mojego niesfornego kręconego kucyka.

Można się było spodziewać, że H będzie kręcić nosem na wszystko. Nie znam jej za dobrze, ale ilekroć ją widziałam, zawsze była jakaś dziwna. Przydałoby się trocheja rozruszać. Ma tę swoją szpanerską pracę, ciągle wisi na telefonie i nosi eleganckie kostiumy, ale chyba nie umie się wyluzować. Kiedy dowiedziałam się, że organizuje panieńskie przyjęcie Amy, od razu sobie wyobraziłam, że pójdziemy na jakiś wykwintny obiad czy coś w tym stylu. Wiem też, że cokolwiek by wymyśliła, i tak będziemy się musiały zastawić w lombardzie. Taka właśnie jest: wszystko robi na pokaz. Powiedziałam Amy, że przecież wcale nie musimy wydawać kupy szmalu, żeby się zabawić, i możemy sobie urządzić imprezkę u mnie. W odpowiedzi usłyszałam, że H zajmuje się wszystkim. Więc się zamknęłam, bo po co mam się mieszać.

No, ale muszę oddać H sprawiedliwość. Musiała się trochę wysilić, bo „Niebiański Wypoczynek" to kapitalny pomysł.

—U niej wszystko w porządku? — pytam, gdy wracamy do mojego straganu. Tak naprawdę guzik mnie to obchodzi, chcę być tylko uprzejma. Szczerze mówiąc, nie mam pojęcia, czemu Amy tak się z nią przyjaźni.

—Jak najbardziej. Zobaczycie się w przyszłym tygodniu. W środę mamy lunch, chcemy przetestować jedzenie na przyjęcie. Jack zorganizował wszystko ze Stringerem. Przyjdziesz, no nie?

—Żarcie za darmo? — pytam. Dopiero po chwili patrzę na nią i ujmuję ją pod rękę. — Jasne, że przyjdę, ty głuptasie. A ten Stringer, co to za facet?

—Pracuje w firmie cateringowej, którą wynajęliśmy, a poza tym to stary kumpel Jacka. Mówię ci, Sooze, jest absolutnie boski. — Amy podnosi znacząco brwi.

Śmieję się do niej.

—Nie będziesz się mogła oprzeć -— ostrzega mnie.

—Ano, zobaczymy.

Kiedy docieram wreszcie do swojego straganu, Dexter jest bardzo z siebie zadowolony. Sprzedał dwa moje kapelusze, a ponieważ nie było na nich ceny, popchnął je za pięćdziesiąt funtów.

—Niemożliwe! — zatyka mnie. Na pewno stroi sobie ze mnie żarty, bo normalnie idą po piętnaście.

—Trochę wiary w siebie, dziewczyno — radzi i wyciąga zwitek banknotów, z którego odlicza dla mnie pięćdziesiąt. — Masz klasę. Pamiętaj o tym.

Chowam pieniądze do kieszeni, starając się nie zauważać, że gapi się na moje cycki.

—Masz ochotę później na drinka? — pyta i zaciera ręce. Oho-ho. Pięćdziesiąt funciaków za dwa kapelusze? Akurat!

Chce się ze mną umówić.

—Dex! — spoglądam na niego ze śmiechem. — Szokujesz mnie.

Wyjmuję pieniądze i chcę mu je oddać.

—Nie musisz mnie przekupywać, żeby się ze mną umówić.

—Och! — Jest zdruzgotany, ale i tak nie zgadza się przyjąć forsy. — To znaczy... hm... tak czy też raczej nie?

—To znaczy, że się zastanowię — mówię z uśmiechem i obracam się, żeby obsłużyć klienta.

Chodzi o to, że w sumie mogłabym się z Dexem umówić, ale po ostatniej nocy jakoś nie mam ochoty. Gdybym się z Edem nie przespała, wtedy może przyjęłabym zaproszenie Dextera na dzisiejszy wieczór, ale w tej sytuacji czułabym się, jakby po lodach zaproponowano mi jeszcze pudding. Kuszące, ale trochę tego za wiele. Co prawda lubię Dextera, ale obawiam się, że taki sam byłby z niego idealny chłopak, jak z Eda. Poza tym nie ma co udawać, że naprawdę chodzi mu o drinka w moim towarzystwie, bo ma ochotę się napić i pogadać. Nic z tego. Flirtujemy od dobrych paru tygodni i po prostu chce mnie bzyknąć. Nietrudno się tego domyślić. No, być może rzeczywiście zamierza z początku posiedzieć, pogadać ze mną, odegrać całą tę szopkę, ale i tak dzień skończyłby się w łóżku albo przynajmniej wszystko by w tym kierunku zmierzało. A jakoś

nie potrafię sobie wyobrazić dalszego ciągu. Nie widzę Dextera przynoszącego mi termofor, towarzyszącego mi w zakupach albo spędzającego Boże Narodzenie u mojej matki. Podobnie jak nie widzę siebie piorącej jego brudne gacie czy jeżdżącej z nim po wyprzedażach.

Tak więc nie połączyłoby nas nic poza zabawą. A ja bawić się potrafię. Jestem królową zabawy. Tyle że mam już powyżej uszu wszystkich tych śmieci i gratów, od których moje życie aż się roi. Marzy mi się coś prawdziwego, solidnego. Amy ma rację. Żyję jak cyganka. Zmieniam mieszkania, pracę, facetów, co mi dotąd w zasadzie nie przeszkadzało, ale coraz bardziej uświadamiam sobie, że chciałabym już znaleźć coś stałego. Niech to będzie cokolwiek. Niekoniecznie facet. Może być konto w banku.

—No więc? — pyta Dexter, przestępując z nogi na nogę.

—Nie dzisiaj, Dex — mówię i ładuję niesprzedane kapelusze do torby.

—Może jednak — nie traci nadziei.

—Nie mogę, wybacz.

—Umówiłaś się z chłopakiem? — uśmiecha się do mnie głupkowato.

Spoglądam mu prosto w oczy i widzę, że krępuje go moja bezpośredniość.

—Nie. Nie mam chłopaka ani żadnych planów. Może umówimy się następnym razem?

—Jasne, nie ma sprawy — godzi się z entuzjazmem. Ma zaróżowione policzki i jakoś tak dziwnie strzela palcami.

—Do zobaczyska — uśmiecham się do niego przez ramię. Dexter odwzajemnia uśmiech i puszcza do mnie oczko.

—Więc w przyszłym tygodniu? — pyta z błyskiem w oku i dyszy jak pies, który właśnie odkrył, że świetnie posuwa się nogę od krzesła.

—Być może.

Na razie nie skreślę go z listy rezerwowych, bo i po co? W samochodzie śpiewam do wtóru kasecie, którą w zeszłym tygodniu nagrała dla mnie Zip.

Kochana Zip. Jest taka mądra.

Pamiętam, że czułam się trochę dziwnie, kiedy parę miesięcy temu Maude oznajmiła mi, że jest Iesbą, i przedstawiła mi Ze-phone, albo raczej Zip, jak zwracają się do niej wszyscy. Pomyślałam, że podejmując taką decyzję, dowiodła swojej dojrzałości. Chwilę się zastanawiałam, skąd jej się to wzięło i czy zawsze wolała kobiety i przez te wszystkie lata, kiedy mieszkałyśmy razem, potajemnie się we mnie podkochiwała, ale uznałam, że nie ma sensu tego roztrząsać. Takie rzeczy się po prostu zdarzają, a skoro jest szczęśliwa i ma poczucie spełnienia, ja także się cieszę.

—Gdzie byłaś w czasie lunchu? -— pyta Maude, gdy wracam do domu. — Byłyśmy u ciebie.

Walę się dłonią w czoło.

—O rany, przepraszam. Zjawiła się Amy i...

—Nie przejmuj się — uspokaja mnie Maude ze śmiechem. — Wiedziałyśmy, że zapomnisz.

—Patrz — mówi Zip i paraduje przede mną w moim kapeluszu. — Kupiłam go.

—Ile Dexter cię za niego skasował? — pytam wiedziona przeczuciem.

—Po dysze za każdy.

—To drań — śmieję się.

—O co chodzi? — pyta Zip, zdejmując kapelusz.

—O nic, kochanie. Po prostu Dexter chciał zrobić na mnie wrażenie. A wy, z czego się tak cieszycie?

—Dostałyśmy wizy — oznajmia Maude. — Lecimy do LA w poniedziałek.

—W poniedziałek? Nie możecie. To za szybko — protestuję.

—Ale tyle już się wyczekałyśmy — mówi i szczypie mnie pieszczotliwie w policzek. — Pomyśl tylko, ile będziesz tu miała miejsca.

Zip wciąż myśli o Ameryce i cały wieczór spędza przed komputerem, a jej podekscytowanie rośnie z każdą stroną internetową na temat podróży, jaką udaje jej się znaleźć. Otwieramy z Maude

ostatnią rezerwową butelkę wina, która czekała sobie spokojnie od Bożego Narodzenia, i wydajemy okrzyki zachwytu, gdy Zip zarzuca nas różnymi zdjęciami, choć mnie się jakoś nie udziela ich radosny nastrój. Jest mi najnormalniej w świecie smutno.

W poniedziałek jestem na nogach od samego rana, biegam koło Maude i pomagam im się szykować do drogi. Upycham ich plecaki w moim metro i błagam go, żeby szczęśliwie dowiózł nas na Heathrow. Dziewczyny aż roznosi, nie mogą się doczekać wyjazdu, a mnie zbiera się na płacz. Kiedy odprowadzam je do hali odlotów, czuję, jak ściska mnie w gardle.

—Ty płaczesz — śmieje się Maude i delikatnie ociera mi łzy z twarzy.

—Nie chcę, żeby wam się coś stało — wyrzucam z siebie i mocno ją do siebie tulę.

—Cii — uspokaja mnie, całując we włosy. Jest taka pewna siebie, znacznie bardziej dojrzała ode mnie, mimo że to ja jestem o rok starsza. — Damy sobie radę.

—Będzie mi was obu brakowało—pociągam głośno nosem. Broda mi drży.

—Chodź tu, głuptasie — mówi Maude i mocno mnie obejmuje. Przyłącza się do nas Zip i chwilę rozkoszuję się ich ciepłem.

—A może przyjedziesz do nas do LA? — mówi niespodziewanie Zip.

—Nie mogę z wami jechać — mówię gwałtownie. — To wasza wycieczka. Trzy to już cały tłum.

—Naprawdę byłoby wspaniale, gdybyś przyjechała — zapewnia mnie Zip, a Maude gorąco jej przytakuje.—Pomyśl tylko, Sooze, będzie wspaniale. W Stanach jest moja mama. Na pewno pomogłaby ci się jakoś urządzić.

—A, tak tylko mówisz—jąkam się, ale i tak cieszy mnie ich propozycja. Robi mi się cieplej na sercu i mam wrażenie, że ich odwaga udziela się i mnie.

—Zadzwonię do ciebie — mówi bezgłośnie Maude i robi gest, jakby trzymała przy uchu słuchawkę. Zarzuca na ramię torbę, bierze

Zip za rękę i obie znikają w wyjściu. Już ich nie widać, a ja stoję z zamierającym na twarzy uśmiechem i z uniesioną ręką, którą gwałtownie macham im na pożegnanie.

Wracam do samochodu i wiem, że muszę zastosować jakąś terapię, żeby się z tym uporać. Wszyscy mnie porzucają: Maude dla amerykańskiej przygody, Sarah dla macierzyństwa, a Amy dla małżeństwa.

Dokąd ja zmierzam?

Przekręcam kluczyk w stacyjce i ruszam po śliskich betonowych płytach w stronę wyjazdu z parkingu. Włączam wycieraczki, ale nie chcą się ruszyć, bo ktoś przylepił mi do przedniej szyby ulotkę. Klnąc na czym świat stoi, wysiadam z samochodu, żeby się jej pozbyć. Już mam ją zmiąć, kiedy zauważam na niej wypisane drukowanymi literami słowa:

ODMIEŃ SWOJE ŻYCIE

Nie wiem czemu, ale chowam karteczkę do kieszeni.

MATT

Wtorek, godzina 20.45

Wyjmuję kartkę papieru z segregatora, biorę z biurka dyktafon i podchodzę do okna, z którego spogląda na mnie moje odbicie, z krótko obciętymi ciemnymi włosami i w popielatym garniturze. Moja twarz wygląda dokładnie na swoje dwadzieścia osiem lat, a oczy mam podkrążone i zmęczone. Na zewnątrz jest ciemno. Nie widać gwiazd, tylko łunę miejskich świateł, odbijającą się od zasnutych dymem chmur. Z wysokości ósmego piętra budynku Robards & Lake niedaleko Piccadilly, wzrokiem sięgam przez Haymarket, Trafalgar Square, aż do samego Parlamentu.

Pokój pachnie środkiem czyszczącym chcę otworzyć okno, zaraz jednak przypominam sobie, że nie wolno mi już tego robić, bo podobno w ten sposób zakłóciłbym pracę klimatyzatorów. Siadam więc na parapecie i włączam przycisk odtwarzania w dyktafonie.

Rozlega się mój własny głos: „Z poważaniem i tak dalej, i tak dalej..." To końcówka ostatniego podyktowanego przeze mnie listu. Włączam nagrywanie.

—Pani Lewis, list do Williama Daveya z Mathers, Walter, Peacock — zaczynam. — Szanowny Panie...

Tyle tylko, że to nie początek, a raczej koniec, ponieważ następne słowo, które wychodzi z moich ust, nie ma nic wspólnego z Mathersem, Walterem ani tym bardziej Peacockiem. Podobnie jak nie jest przeznaczone dla uszu pani Lewis, której maszynopisarskie talenty mam szczęście dzielić z Peterem z działu własności i Joan z zatrudnienia. W zasadzie jedyną osobą, z którą to słowo ma cokolwiek wspólnego, jestem ja sam, ponieważ brzmi ono:

—Pizza.

Trzy lata na uniwersytecie, rok w szkole prawniczej, dwa lata pisania artykułów i cztery lata pracy w jednej z najlepszych w Londynie firm adwokackich i co mam sobie do powiedzenia?

Pizza.

Nie o jakim smaku. Ani też z jakim przybraniem. Nie, czy ze smażonymi ziemniakami, panierowaną cebulką, czy chlebem czosnkowym. Nie, czy na grubym, chrupiącym cieście, czy też lepiej chudym. Nawet niejakim napojem chciałbym ją popić.

Po prostu pizza.

Ponieważ wygląda na to, że pizza to jedyne, do czego sprowadza się moje życie.

Wyłączam dyktafon i dalej gapię się przez okno. Czuję, jak kartka papieru wyślizguje mi się z ręki, i patrzę, jak wolno opada na podłogę.

To już czwarty wieczór z rzędu — także sobotni i niedzielny — kiedy tkwię w biurze i przygotowuję sprawę dla mojego klienta, Tia Marii Tel, właściciela klubu w Soho (tego, który wychodzi wyłącznie po zmroku), starając się znaleźć najlepszy sposób, aby udowodnić w sądzie, że mój klient nie jest, jak niedawno napisała jedna z gazet, „nieuczciwym hipokrytą, nadętym dupkiem, który w swoim życiu miał więcej prostytutek niż cała Królewska Marynarka razem

wzięta". Według kosztów poniesionych przez mojego klienta, w ciągu siedmiu tygodni poświęconych na zajmowanie się jego sprawą, zdążyłem pochłonąć dwadzieścia sześć pizz. Co, jak wyznałem Amy, z którą dzisiaj spotkałem się w przerwie na lunch, poważnie mnie niepokoi.

—Och, Matt — westchnęła i uścisnęła mi współczująco ramię. — Przecież to tylko pizza. Nie Bóg, nie sens życia ani nic równie przerażająco poważnego. Nie przejmuj się tym — poradziła. — Obsesja na punkcie pizzy jest czymś najzupełniej normalnym u facetów w twoim wieku.

Bardzo się liczę ze zdaniem Amy, dlatego też chętnie mogłem przystać na to uogólnienie.

—Naprawdę? — upewniłem się. Amy przytaknęła entuzjastycznie.

—Jasne. Jack ma ten sam problem z curry. Dosłownie zamiera, studiując menu z żarciem na wynos. Vindaloo albo nie vindaloo, oto jest pytanie. To podstawowy męski dylemat konsumpcyjny.. . zbyt duży wybór, kapujesz?

—Patrzysz na to z marketingowego punktu widzenia—zauważam. — W moim przypadku sprawa jest bardziej skomplikowana.

—Bardziej?

—Właśnie. Nie chodzi o pizzę jako taką, ale raczej o życie, jakie prowadzę.

Amy uniosła brwi i czekała na ciąg dalszy. Chwilę na nią patrzyłem. Ujawnianie przed kimś własnych psychologicznych demonów (nawet jeżeli mają one związek z ciastem) jest sprawą bardzo osobistą. Z drugiej jednak strony, Amy, za pośrednictwem Jacka, prawdopodobnie wie o mnie więcej niż jakakolwiek inna osoba pod słońcem. Nie mają przed sobą tajemnic, tak jak dawniej my z Jackiem ich nie mieliśmy. Zawsze łatwo mi się z nią gadało, jest bowiem jak bratnia dusza, której natychmiast zaczyna się ufać. Więc jej powiedziałem.

—Chodzi o to, że nie zawsze moje życie obracało się wyłącznie wokół pizzy — zacząłem. — Dawniej miałem ważniejsze sprawy. Pamiętasz, jak któregoś razu przyszłaś z Jackiem do mojego biura?

(Przytakuje.) A pamiętasz widok z mojego okna? (Znowu kiwa potakująco głową.) Cóż, kiedy zacząłem pracować w Londynie, ten widok mnie inspirował. Nawet nie sam widok, ile całe City. Dla mnie jawiło się jak kwintesencja *Wall Street.* Oto ja, świeży w tym mieście, gotów nad nim zapanować, gotów spotkać się z moim Gordonem Gekko i przejrzeć na oczy. W tamtych dniach wszystko to, cały ten widok mnie rajcował, wiedziałem, że jestem jego częścią. Potencjalną. Tak to chyba wtedy pojmowałem, Amy. Londyn był jak wielka, otwarta przestrzeń, a ja pasowałem do każdego w nim miejsca. Pociągnąłem łyk coli i oparłem się o krzesło.

—Wyobrażałem sobie różne rzeczy. Ale żadne tam brudy— dodałem szybko. — Żadne numery ze zwierzętami, brodatymi zakonnicami czy długimi, ostro zakończonymi kijami.

—Jack mówił mi co innego... — wtrąciła Amy, uśmiechając się szelmowsko.

Wzniosłem oczy ku niebu.

—Mówię poważnie, Amy. Wyobrażałem sobie, że kiedy będę miał tyle lat co teraz, osiągnę w pracy, co sobie zamierzyłem, będę miał dom, będę miał...

—Ale przecież masz już to wszystko — weszła mi w słowo Amy.

—Wiem — westchnąłem. — Ale myślałem, że to będzie dla mnie coś znaczyć, myślałem, że będę... — Tu spojrzałem na nią ostrzegawczo. — Wiem, że to zabrzmi sentymentalnie, że będę szczęśliwy.

—A nie jesteś...?

—Nie.

Nagle poczułem niewypowiedzianą ulgę, że wreszcie przed kimś wylałem wszystkie swoje żale.

—Nie jestem szczęśliwy. To wszystko jest dla mnie bez znaczenia. Przedtem, kiedy Jack ze mną mieszkał, kiedy jechaliśmy na tym samym wózku, było mi łatwiej. Wydawało się, że wszystko jest w porządku. On się nie uskarżał, więc czemu ja miałbym to robić? Ale odkąd się wyprowadził... sam już nie wiem...

Przypomniał mi się poprzedni wieczór, kiedy koło pierwszej w nocy wróciłem do domu i nagle, na widok spakowanych rzeczy Jacka w holu, radość z powrotu do własnego kąta, którą zwykle odczuwałem, gdzieś się ulotniła. I ta przejmująca cisza, gdy siedziałem w kuchni i gapiąc się w ścianę, popijałem piwo, sam jeden w kompletnie pustym domu.

Zauważyłem, że Amy patrzy na mnie ze zmarszczonym czołem

—Przepraszam — powiedziała. — Przykro mi, że ukradłam ci najlepszego kumpla.

—Nie — zareagowałem szybko. — Nie o to chodzi. Chryste, to ostatnie, co by mi przyszło do głowy. Jesteście ze sobą tacy szczęśliwi, a to jest dla mnie najważniejsze.

Słowo daję, to najszczersza prawda.

—To dobrze — roześmiała się z wyraźną ulgą. — Bo i tak bym ci go nie oddała.

Chwilę patrzyliśmy na siebie w milczeniu i poczułem, że także zaczynam się uśmiechać. Zabawnie jest patrzeć, jak nasz najlepszy przyjaciel się zakochuje. Tyle się wtedy zmienia we wzajemnych układach. Pamiętam Jacka w zeszłym roku, kiedy poznał Amy. W tamtych dniach zwierzał mi się ze wszystkiego. „Czy ona mi się podoba?" „Czy on nie angażuje się zbyt mocno?" „Czy ona naprawdę jest tą jedyną, z którą chcę spędzić resztę życia?" Zresztą mnie także kręciło, kiedy patrzyłem, jak dwoje ludzi stopniowo dochodzi do wniosku, że pasują do siebie w stu procentach. Potem jednak uzmysłowiłem sobie, że coś pomiędzy mną a Jackiem się zmienia, być może na zawsze. I chociaż z uporem twierdził coś odwrotnego, wiedziałem, że już nie ja jestem jego najlepszym przyjacielem. Teraz została nim Amy. Przestał zwierzać mi się ze swoich marzeń i wątpliwości, moje miejsce zajęła Amy. Z początku było mi ciężko, brakowało mi rozmów o miotających nas emocjach, ale już mi przeszło. Myślę, że to kwestia priorytetów i aktualnie liczy się dla mnie, że nadal w ich życiu istnieję, tak jak oni w moim. Poza tym — oderwałem od niej wzrok i sięgnąłem po papierosa — skoro ktoś już wysadził mnie z siodła, dobrze, że była to osoba, którą

cenię i lubię.

Z jękiem powróciłem do przerwanej rozmowy

—Jezu, Amy, chodzi o to, że odkąd Jack wyprowadził się z mojego domu, nie wiem, kim się stałem.

—Jesteś sam? — podsunęła Amy.

—Byłem sam od wieków. Wyprowadzka Jacka niczego tu nie zmie...

—Jasne, że zmienia. To prawda, że wcześniej byłeś sam — przynajmniej seksualnie... ale emocjonalnie i w ogóle, zawsze miałeś Jacka, prawda? Byliście wspólnikami. Nie zapomniałeś chyba, że poznałam was obu jednocześnie — mówi z błyskiem w oku. — Pamiętam dokładnie, jacy wtedy byliście. Zresztą to samo można powiedzieć o mnie i moich najlepszych kumpelach. Kiedy są kumple, na co komu partnerzy?

—To znaczy, że moje problemy biorą się z braku dziewczyny? —- spytałem, nie zauważając sarkazmu w swoim głosie. — Takie to niby proste, co?

—Tego nie wiem, Matt, ale wydaje mi się, że gdybyś miał coś albo kogoś innego, wtedy być może przestałbyś obsesyjnie myśleć o pizzy. Tymczasem — dodała, nachylając się w moją stronę konspiracyjnie — mam chwilową receptę na twoje kłopoty. Coś, co odwróci twoją uwagę.

—Strzelaj.

—Wieczór kawalerski Jacka — powiedziała, nie odrywając wzroku od mojej twarzy, żeby poznać moją reakcję. — Chcę, żebyś ze względu na mnie miał na niego oko. Jeśli ktoś tknie go choćby palcem, ciebie osobiście pociągnę do odpowiedzialności.

—To znaczy, że Jack się denerwuje...

—Albo raczej popada w paranoję. I to nie z twojego powodu, Matt. Ty jesteś nieszkodliwy.

—Hej — udałem wielce obrażonego i zacząłem groźnie wymachiwać w powietrzu rękami.—Jestem bestią. Prawdziwym tygrysem,

—Raczej nieszkodliwym koteczkiem.

—No, może, ale kołeczkiem stale rosnącym w siłę, z paskudnie ostrymi pazurkami.

—Niech ci będzie, Matt, jesteś stale rosnącym w siłę koteczkiem z paskudnie ostrymi pazurkami. Mimo to liczę, że będziesz wszystko miał na oku. Przecież nie chodzi o to, żeby Jacka wpuścić w kanał, na co niektórzy jego kolesie już się szykują, tylko o to, żebyście się trochę zabawili, powspominali stare czasy, podłubali w nosie, poopowiadali dowcipy, czy co tam jeszcze was, chłopaków, kręci... ale nic poza tym, OK? — Wyciągnęła do mnie rękę. — Chcę, żebyś dał mi swoje słowo.

Zdecydowanym ruchem położyłem obie dłonie na stole.

—Co dostanę w zamian?

—Mój szacunek i wdzięczność po grób.

—Cóż, w takim razie — rzekłem uroczyście, ująłem ją za rękę i mocno nią potrząsnąłem. — Umowa stoi.

Odrywam się od widoku za oknem i spoglądam na zegarek. Jest minuta po dziewiątej i nadchodzi moment decyzji. Od dziewiątej pizze dostarczane są na zamówienie, a w moim żołądku trwa prawdziwa rewolucja. Powinienem posłuchać rady Amy i znaleźć sobie jakąś zastępczą obsesję, a jeśli będę się starał walczyć z obecną, mogę tylko wszystko pogorszyć. Świadomość tego dodaje mi pewności siebie, dużo łatwiej jest mi więc podnieść słuchawkę i zamówić coś na ząb. Sięgam po telefon, który w tej właśnie chwili robi to, co biurowe telefony mają w zwyczaju robić, gdy człowiek w ciszy i spokoju zajmuje się własnymi sprawami: dzwoni. Patrzę na niego, a moja twarz bez wątpienia wyraża lekkie oburzenie. W końcu podnoszę słuchawkę.

—Matthew Davies, słucham — mówię, modląc się jednocześnie w duchu, żeby to nie był Tia Maria Tel, który dzwonił już dzisiaj do mnie trzy razy.

—W porządku, Matt — w słuchawce rozlega się głos Jacka. — Jak leci?

Uśmiecham się. Głos Jacka należy do dźwięków, które automatycznie wywołuj ą na moj ej twarzy uśmiech. Siadam na krześle, nogi kładę na biurko i rozluźniam się, dzisiaj chyba po raz pierwszy.

—Pomalutku. A u ciebie? Co nowego?

—W sumie nic. Umieram z głodu. Właśnie byłem na spotkaniu z fryzjerem, niedaleko twojego biura. Myślałem, że w życiu się nie zamknie, mielił ozorem całymi godzinami. Wciąż chrzanił, że chciałby jakiś przemysłowy ornament w głównym oknie... Może powinienem walnąć w nie samochodem i już go tam zostawić? Mogłoby to się nazywać *Samochodowy napad.* Myślisz, że byłoby to dla niego wystarczająco przemysłowe?

—Pytasz mnie jako przyjaciela czy prawnika?

—Przyjaciela.

—W takim razie powiem, że taka możliwość istnieje.

—Mógłbym pożyczyć twojego spitfire'a?

—Niestety, Jack. Całkowicie odpada.

—Tak też myślałem — wzdycha. — Przemysłowy, też coś. Sam powiedz, stary, dokąd ten świat zmierza?

—Świat zmierza ku końcowi — informuję go spokojnie. — W nowym tysiącleciu ulice zarojà się od świrów i fanatyków, co da początek tysiącowi lat ciemności, podczas których ani na chwilę nie umilknie kakofonia wyjących syren i zgrzytających zębów.

—Hm... — Jack chwilę rozważa moją odpowiedź, wreszcie stwierdza odkrywczo: — Chyba nie miałeś najlepszego dnia.

—Bywało lepiej.

—Chcesz porozmawiać z wujkiem Jackiem o...

—Hawajska czy Cztery pory roku? — przerywam mu.

—Hę?

—Hawajska czy Cztery pory roku?

—Co takiego?

—Jack, jest minuta po dziewiątej — mówię znużonym głosem. — Konasz z głodu i jesteś rzut beretem ode mnie. Wiesz, że w tym tygodniu pracuję do nocy, i wiesz, że po dziewiątej zamawiam darmowe pizze. Więc jaką sobie życzysz? Hawajską czy Cztery pory roku?

W końcu przyjmuje do wiadomości, że go przejrzałem.

—Hawajska. Z furą ananasa, dobra?

—OK.

—Pasuje ci za pół godziny?

—Może być. Każ ochronie do mnie zadzwonić, a ja po ciebie zejdę.

Cały Jack. Jack Rossiter, mój najlepszy pod słońcem przyjaciel. Jack Rossiter, wiecznie umorusany dzieciak, który na przerwach staczał ze mną walki na podwórku o to, który z nas będzie Batmanem, a który Robinem. Ten sam umorusany dzieciak, który przez całe lata osiemdziesiąte na okrągło podkradał mi płyty, papierosy i żel do włosów. Ten sam Jack Rossiter, który w latach dziewięćdziesiątych, po skończeniu uniwersytetu na nowo się ze mną spiknął, zamieszkał w moim domu, pożyczał mój samochód, moje ubrania, moje pieniądze, moje żarcie, a także, od czasu do czasu, moje dziewczyny. Ten Jack Rossiter, który potrafi rozśmieszyć mnie do łez. Ten sam, dla ratowania którego bez wahania przekroczyłbym wrota piekieł. Ten sam wreszcie Jack Rossiter, którego powrót do życia nieodwołalnie rzucił cień na moją własną egzystencję.

W^cam myślą do mojej rozmowy z Amy w czasie lunchu, całym tym bajdurzeniu, że w moim życiu przydałoby się coś ważniejszego od pizzy, kiedy nagle mój wzrok pada na telefon, który dopiero co odłożyłem. I chociaż wiem, że jestem dziecinny i żałosny, nie mogę dłużej okłamywać samego siebie: zazdroszczę Jackowi, zazdroszczę mu z całego serca.

Chwytam dyktafon i włączam nagrywanie.

—Pani Lewis, list do Pana Boga — mówię żywo. — Dobry Boże. Tu Matt Davies. Pewnie mnie nie pamiętasz, ale jestem tą szczęśliwą duszyczką, która wstąpiła w ludzkie ciało o godzinie 3.13 czasu Greenwich, czwartego kwietnia roku 1971. Matka Gina, ojciec Mike.

Ale do rzeczy. Raczej nie chodziłem do kościoła, ale znam swoje konstytucyjne prawa i chociaż nigdy w życiu nie spotkałem się z paragrafem odnoszącym się do boskich rękojmi, opieram się na założeniu, że takowy jednak istnieje.

Problem w tym, że ostatnio zwrócił moją uwagę fakt, iż moje

życie przebiega nie tak, jak się spodziewałem. Chodzi mi mianowicie o sprawiedliwość. Widzisz, Panie Boże, jest pewien facet. Nazywa się Jack Rossiter. Odkąd pamiętam, jest moim przyjacielem. Bardzo proszę, nie zrozum mnie źle, Jack to wspaniały gość i nie chcę, żeby przytrafiło mu się coś złego. Nie życzę mu rażenia piorunem, plagi szarańczy ani kalectwa. Nie mam pretensji o jego szczęście, uskarżam się na brak mojego.

Chciałbym wiedzieć, Panie Boże, jak to się stało, że on mógł sobie najzwyczajniej w świecie porzucić w zeszłym roku pracę, miesiącami zbijać bąki, a potem nagle i niespodziewanie odnieść artystyczny sukces? I jednocześnie się zakochać? I nagle stać się tak szczęśliwym człowiekiem, o czym nie śniło mu się nawet w najdzikszych snach? Chcesz mi powiedzieć, że takie rzeczy są nieuniknione?

A nawet jeżeli rzeczywiście tak się dzieje, co byś powiedział, żeby i mnie coś skapnęło? Byle co. Zachłanny nie jestem. Na przykład główna wygrana na wyścigach. Awans w pracy. Nie pogniewałbym się też, gdyby w tej sekundzie zjawiła się tu Jennifer Lopez i spytała mnie, czy potrafię odpowiednio zabawić dziewczynę. Coś w tym stylu. Jakiś okruszek szczęścia, którym uznałeś za stosowne tak szczodrze obdarzyć Jacka. Żeby po prostu zapanowała równowaga, a mnie powróciła wiara.

Oczekuję Twojej rychłej odpowiedzi w tej nie cierpiącej zwłoki sprawie w najbliższej przyszłości, teraźniejszości, przeszłości czy jakimkolwiek wymiarze, który uznasz za stosowny.

Z poważaniem itd., itd.

Dziękuję, pani Lewis.

Odkładam dyktafon na biurko i spoglądam na ścianę: nic. Pan Bóg milczy. Nie daje boskiego znaku potwierdzającego zaszłą pomyłkę, którą niezwłocznie postara się naprawić. A więc to fakt. Na mocy boskiego dekretu życie Jacka jest lepsze od mojego.

Cóż, mogłem się chyba tego spodziewać. Nie mogłem przecież przeżyć dwudziestu ośmiu lat obok kogoś i zawsze lądować z wyższą lokatą. To nie byłoby w porządku. Muszę też przyznać, że jak dotąd szczęście mi dopisywało. Z jednym drobnym wyjątkiem,

kiedy to Jack stracił dziewictwo przede mną, wszystko zawsze układało się dla mnie pomyślnie. Lepiej zdałem od niego końcowe egzaminy w szkole, studia skończyłem z lepszym rezultatem i dostałem lepszą pracę. Wreszcie mam wspaniały dom, a moja kariera rozwija się obiecująco. Jack natomiast wylądował jako mój lokator i płacił mi czynsz.

Nagle spotkał Amy i sytuacja zmieniła się diametralnie.

Ja natomiast wręcz przeciwnie. I w tym cały problem. Jestem wciąż taki sam. A wszystko, co do tej pory ceniłem, nagle stało się bez znaczenia. Po co mi taki wielki dom, skoro nikt w nim nie bywa? Po co harować do późnej nocy, skoro nie mam do kogo wracać? Po co wreszcie zarabiać wszystkie te pieniądze, skoro nie mam się z kim nimi dzielić?

Amy ma rację: muszę sobie kogoś znaleźć.

Tylko gdzie?

Gdzie, do ciężkiej cholery, mam zacząć szukać miłości?

Jedyna nasuwająca się odpowiedź jest negatywna: nie tutaj. Nie w tym biurze i nie teraz. W głębokim poczuciu winy spoglądam na dyktafon. Przewijam taśmę i wymazuję moją tyradę do Pana Boga, po czym na wszelki wypadek żegnam się znakiem krzyża. Dzwonię do pizzerii. Na razie pizza musi mi wystarczyć.

O dziewiątej trzydzieści stoję na szczycie spiralnych schodów, które wśród pnących roślin i drzewek pokojowych biegną przez atrium firmy Robards & Lake. Wychylam się przez balustradę i cztery piętra niżej widzę Jacka, który rozwalony siedzi na kanapie w recepcji, a na kolanach trzyma coś, co podejrzanie przypomina otwarte pudło z pizzą.

Zbiegam do niego.

—Zaczynała stygnąć — mamrocze Jack i wierzchem dłoni ociera usta. Obserwuje mnie spod oka, gdy wpatruję się w pojedynczy otłuszczony kawałek ananasa w poza tym święcącym pustkami pudle.

—Spoko, stary — mówi i odsuwa pudło, ukazując mi drugie, schowane pod spodem. — Twoja jest tutaj.

Marszczy czoło. Znam wszystkie jego miny i po wspólnie prze-

żytych latach potrafię czytać w nich jak w otwartej księdze. Na tej stronie widnieje napis „winny".

—Przynajmniej jej część — znowu mamrocze. — Widzisz, musiałem trochę skosztować, żeby sprawdzić, czy to przypadkiem nie była moja Hawajska...

Biorę od niego pudło, podnoszę pokrywę i cały mój dobry nastrój pryska. Brakuje jednej trzeciej mojej Wiejskiej z potrójnym serem. Nie to jest jednak najgorsze. Na samym środku tego, co z niej zostało, widnieje wielki, w rozmiarze Jacka, ślad po ugryzieniu. Gwałtownie zamykam pudło, przenoszę wzrok na Jacka, potem z powrotem patrzę na nie. Biorę głęboki oddech, niecodziennie bowiem musi człowiek wybierać między pizzą a najlepszym przyjacielem. Upominam sam siebie, że przecież Jack nie jest moim wrogiem. Może i jest samolubnym draniem o apetycie na wpół zagłodzonej świni, ale na pewno nie wrogiem. Wrogiem jest zazdrość. Zazdrość o jego spełnione życie. A w tej chwili dodatkowo jeszcze o jego pełny żołądek. Raz jeszcze głęboko oddycham i mówię sobie, że jestem ponad to, że mogę i przezwyciężę negatywne uczucia. Wiele mnie kosztuje, żeby nad sobą zapanować, ale powoli zamykam pudło i wrzucam je do kosza.

—Nie ma o czym mówić — zwracam się do niego. — Chodźmy lepiej na drinka.

Zakotwiczamy w barze za rogiem. Kiedy z drinkami siadamy przy stoliku w rogu, jestem już zupełnie spokojny. Jack obu nam zapala papierosa.

—Zarezerwowałeś już coś — pyta.

—Co masz na myśli?

—Kawalerski weekend. Znalazłeś coś?

—No jasne — kłamię. Przy całym tym zamieszaniu w pracy nie miałem na to szans. Ale powinienem szybko się za czymś rozejrzeć, bo koniec końców wylądujemy w jakimś nudnym pubie w Londynie. — Wszystko załatwione.

—Powiadomiłeś resztę?

—Miesiąc temu — potwierdzam, co tym razem nie mija się z prawdą. — Odpowiedzieli wszyscy, z wyjątkiem Carla, na którym

jak zwykle nie można polegać. Gete wyjechał na Ibizę z Timem i Markiem, więc oni odpadają. Liczę zaproszonych na palcach.

—Zostajesz ty, ja, Stringer, Damien, Jimmy i Ug, może Carl i twój brat. To daje siedmiu pewniaków, może będzie nas ośmiu. Jesteś pewny co do Jimmy'ego i Uga?

Potakuje skinieniem głowy.

—Tak. Nie mam wyjścia. Inaczej by się wściekli.

Patrzę na niego sceptycznie. Nie tylko Amy obawia się dwóch rzeczonych neandertalczyków.

—Nie martw się — uspokaja mnie. — Przypilnuję ich. Wyszczerza zęby w uśmiechu i trąca swoją szklanką o moją.

—Zakładając oczywiście, że coś jeszcze będę widział. Chwilę mi się przygląda, po czym pyta:

—Znalazłeś nowego lokatora?

—Nie, ale muszę się tym zająć — jestem z nim równie szczery jak ze sobą. — Głupio, że ten pokój stoi pusty i nikt w nim nie mieszka. A ty, jak się czujesz w nowym miejscu?

—W porzo — rzuca mi przeciągłe spojrzenie. — Co nie znaczy, że czasem nie tęsknię za mieszkaniem u ciebie — dodaje pośpiesznie. — Myślałem jednak, że to będzie wielki problem, utrata wolności... no wiesz, takie tam. A wcale tak nie jest. Lubię być z nią cały czas. Pewnie dlatego, że niedługo się pobieramy. To chyba naturalna kolej rzeczy.

—Dorastanie, przeprowadzka...

—No właśnie. Chcesz, żeby zamieszkał u ciebie jakiś nowy facet?

—Jeszcze nie zdecydowałem.

—I tak jesteś z góry na przegranej pozycji -— stwierdza, ponuro kręcąc głową i pogwizdując przez zęby.

—Hę? — Patrzę na niego, zbity z tropu.

—Nie masz szans znaleźć nikogo równie okropnego jak ja. To się już nie powtórzy. Ktokolwiek to będzie, i tak wielce cię rozczaruje. Chryste — zamyśla się. — Cóż za okropna sytuacja. Już mi żal tego biedaka.

—Jasne — mówię kpiąco. — Trzeba będzie przeprowadzić ogólnoświatowe poszukiwania. Ogólnokrajową kampanię reklamową. „Poszukiwany: następca Jacka Rossitera. Rozpatrywane będą wyłącznie podania absolwentów Wydziału Próżniactwa na Uniwersytecie dla Blagierów..."

Jack w zamyśleniu oblizuje wargi, po czym mówi:

—Tak, to się powinno udać — patrzy na mnie wyczekująco. — Dałeś już ogłoszenie?

—Nie, ale zajmę się tym między kawalerskim weekendem a ślubem. Teraz mam za dużo pracy. Poproszę Chloe, żeby pomogła mi w rozmowach kwalifikacyjnych z kandydatami. To będzie prawdziwy ubaw.

Kiwa głową.

—A co u niej? Nie widziałem się z nią od dłuższego czasu. Chloe to nasza stara kumpela, jeszcze ze szkoły w Bristolu.

Od lat trzymamy się razem.

—Ma jakiegoś nowego faceta — mówię, po czym dodaję, robiąc w powietrzu gest oznaczający cudzysłów: — Producent filmowy.

A to dlatego, że podobnie jak większość młodych, tak zwanych producentów filmowych w Londynie, jak dotąd nie zdołał wyprodukować niczego znaczącego, z wyjątkiem jakiegoś ckliwego gówna.

—Poznałeś go?

—W zeszłym tygodniu.

—Raport poproszę.

Mówię mu więc wszystko. Ze szczegółami opowiadam mu, co zaszło w mieszkaniu Chloe w ubiegłym tygodniu. Podaję też powody.

W ubiegłe czwartkowe popołudnie Chloe zadzwoniła do mnie do pracy.

Chloe: Twoja sekretarka mówi, jakby była ożarta. Ja: Pani Lewis to abstynentka. Nie wypiła nawet kropli, odkąd pięć lat temu jej mąż, George, dał nogę z właścicielką miejscowego pubu. Mówi

niewyraźnie z powodu poważnego uszkodzenia języka, którego doznała jako niemowlę, gdy jej brat, w napadzie wyjątkowo gwałtownego ataku braterskiej zazdrości wepchnął jej wózek na wzgórze niedaleko ich domu, po czym zwolnił hamulec.

Chloe: To doprawdy fascynujące, kochanie, ale nie dzwonię do ciebie, żeby poznać biografię twojej sekretarki.

Ja: Więc po co dzwonisz?

Chloe: Bo musisz mi pomóc.

Ja: Do czego jestem ci potrzebny?

Chloe: Wpadnij do mnie dzisiaj wieczorem.

Ja: Na kolację?

Chloe: Niezupełnie, ale jeśli chcesz, mogę ci zrobić kanapkę. Ja: A, chcesz się napić i pogadać? Chloe: Nie, ale chwilę porozmawiamy... Ja: O co więc chodzi?

Chloe: Musisz udawać, że jesteś moim chłopakiem. Ja (podejrzewając, że coś się za tym kryje): W porządku. Może być o ósmej?

Chloe: Lepiej o siódmej. Muszę ci dokładnie wytłumaczyć, co masz robić.

Ja: Dobra. Będę o siódmej.

W ten sam dzień, o godzinie siódmej trzydzieści wieczorem, siedziałem przy oknie salonu w parterowym mieszkaniu Chloe, wychodzącym na ulicę. Przed jej domem nie ma ogrodu, więc przechodnie widzą dokładnie wszystko, co się dzieje w środku. A oto, co się wtedy działo: Chloe siedziała wsparta plecami o mnie, a jej piękne, długie do ramion włosy padały mi na policzek, podczas gdy ja namiętnie masowałem jej ramiona i do ucha szeptałem słodkie słówka.

Przynajmniej tak to wyglądało. W rzeczywistości w moim dotyku nie było nic zmysłowego, a słodkie słówka, które jej szeptałem, naprawdę brzmiały następująco:

— Nie moglibyśmy zrobić sobie krótkiej przerwy? Boi ą mnie już ręce.

Przechyliła głowę i krótko na mnie spojrzała, a złośliwy wyraz w jej oczach pozbawił mnie wszystkich złudzeń.

—Nie pękaj, Mart — powiedziała w końcu i wróciła do poprzedniej pozycji. — On zjawi się lada chwila.

—A jeśli się wkurzy? — spytałem. — Mam nadzieję, że nie jest agresywny.

—Coś ty, jest słodki. Tylko trzeba go popchnąć w odpowiednim kierunku.

—Zapewne twoim...

—Właśnie. Jest od nas starszy i ma zasady. Po prostu chcę wzbudzić w nim zazdrość, żeby zrozumiał, że wiele ryb pływa w morzu i nie może mnie wiecznie zwodzić, tylko musi się w końcu zdeklarować. A tak przy okazji, jak idą przygotowania do ślubu? — Gładko zmieniła temat, zanim zdążyłem zaprotestować. — Ułożyłeś już swoją mowę drużby?

—Pracuję nad nią.

—A Jack i Amy? Jak im się układa?

—Wspaniale. Mają już nowe mieszkanie. W najbliższym czasie mamy imprezę panieńską i kawalerską.

—No tak, ja nie zostałam zaproszona...

—A czego się spodziewałaś? Ty i Amy nie możecie na siebie patrzeć.

—Nieprawda — poprawiła mnie. — To ona nie może na mnie patrzeć. Ja nic do niej nie mam. Uważam nawet, że jest słodka. Nie może znieść, że jestem tak bliska Jackowi. Albo raczej byłam... Tak czy owak — powiedziała po namyśle — na ich ślub przyjdę na pewno... choć wcale by mnie nie zdziwiło, gdybym tam też nie była DKNZ.

Jak mnie uprzejmie poinformowała po chwili, DKNZ oznaczało: Do Kurwy Nędzy Zaproszona.

—Może to właśnie odpowiednia pora, żebyście zawarły z Amy pokój. Kto wie, może nawet się...

—Ciii — syknęła, spinając się cała. — Przyszedł.

Wciąż masowałem jej ramiona, namiętnie szepcząc jej do ucha alfabet, jednocześnie z obawą spoglądając ukradkiem przez okno.

Nowy chłopak Chloe, Andy, wysiadał właśnie z rubinowoczerwonego alfa romeo spyder. Był przystojny, wyglądał na jakieś trzydzieści pięć lat i ubrany był jak korespondent wojenny z operacji Pustynna Burza: w workowate bojówki, khaki podkoszulek z Portobello, trapery i kamizelkę z milionem kieszeni, jakie na ogół noszą fotoreporterzy. Na ramiona spływały mu rozczochrane tlenione włosy.

—Na pewno nie jest agresywny? — upewniłem się raz jeszcze. — Ten wojskowy zestaw...

—Nie bądź złośliwy — zdenerwowała się. — Jest śliczny. Zauważyłem, że w tej chwili śliczny Andy zatrzymał się w pół

kroku i dosłownie zamarł na chodniku, gdy zobaczył naszą dwójkę w oknie. Liczyłem sekundy zgodnie z biciem mojego serca — raz, dwa, trzy — po upływie których Andy ożył i przyjął nie na żarty agresywną postawę mężczyzny gotowego do ataku: wypiął pierś, okulary słoneczne firmy Wayfarer zsunął z czoła na oczy i bardzo wolno przeczesał palcami włosy.

—W co ja się pakuję? — mruknąłem, nie przestając masować ramion Chloe i czując, jak wzrok Andy'ego wwierca mi się w twarz. — Może łaskawie mi przypomnisz? — ciągnąłem dalej. — Dlaczego się na to zgodziłem?

—Bo jesteś moim przyjacielem i wiesz, że ja dla ciebie zrobiłabym to samo.

—OK — odparłem. — Ale jeżeli się na mnie rzuci, przysięgnij, że będziesz mnie bronić. Na śmierć i życie, jeśli trzeba będzie...

—Nie martw się — zapewniła mnie i wstała, żeby otworzyć drzwi. — Nie dojdzie do tego.

Przystanęła w drzwiach.

—I pamiętaj, masz go sprowokować — pouczyła mnie. — Niech się poczuje trochę zagrożony. Ale postaraj się go nie obrazić. Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, będziecie się dość często widywać...

Na uniwersytecie miałem kumpla, Paddy'ego. Jak ja, studiował prawo. Ale w przeciwieństwie do mnie posiadał niezwykłą umiejęt-

ność niepakowania się w sytuacje, które mu nie odpowiadały. Osiągał to bezkompromisowo szczerą postawą wobec życia. Zawsze mówił, co myślał, i jeśli na coś nie miał ochoty, wyraźnie i zdecydowanie odmawiał. Kilka razy widziałem go w akcji i zrozumiałem, że swoją nie poddającą się manipulacjom egzystencję zawdzięczał wyłącznie jednej zasadzie, której się trzymał. Nie dzięki bezkompromisowej szczerości nie dawał się wciągać w niezdrowe sytuacje, ale dzięki umiejętnemu zastosowaniu słowa „nie". Kiedy Paddy mówił „nie", dla wszystkich bez wyjątku było jasne, że jest to decyzja nieodwołalna. Dla wszystkich cywilizowanych ludzi było to bardzo antyspołeczne stanowisko, zdolne w jednej chwili zdusić każdą dyskusję w zarodku. Nigdy jednak nie widziałem, by ktoś się mu sprzeciwił.

Gdy Chloe wprowadziła Andy'ego do pokoju, gdzie przystanął i z okularami w ręce podejrzliwie mierzył mnie wzrokiem, postanowiłem, że moją bronią w zbliżającym się pojedynku będzie „Nie Paddy'ego". Z tego, co mówiła o nim Chloe, wynikało, że Andy zawsze stawiał na swoim. Podejrzewałem, że nigdy w życiu nie musiał cierpieć z powodu porządnego „nie".

Stojąca między nami, uśmiechnięta Chloe zdawała się zupełnie nieświadoma ilości testosteronu, którym przesiąkały właśnie spodnie Andy'ego.

—Pozwól, Andy, to jest Matt, mój stary przyjaciel. Matt, przedstawiam ci Andy'ego.

Andy mruknął coś w moim kierunku, poszedłem więc w jego ślady i odmruknąłem w odpowiedzi.

—Napijecie się piwa, chłopcy? — zaświergotała Chloe. Obaj skinęliśmy głowami, jak zapaśnicy na ringu, ani na

chwilę nie odrywając od siebie oczu. Chloe wyszła z pokoju po piwo, a my mierzyliśmy się wzrokiemjeszcze przez kilka sekund. Z radością donoszę, że Andy pękł pierwszy, choć, żeby prawdzie stało się zadość, mnie też niewiele już brakowało. Kołysał trzymanymi w ręce okularami.

—Cóż, Matt, czym się zajmujesz? — spytał w końcu.

—Jestem prawnikiem.

Chwilę przetrawiał moją odpowiedź, zanim zrozumiał, że pytania nie odwzajemnię.

—Ja jestem producentem filmowym — oznajmił, ciekaw mojej reakcji.

—Doprawdy? A dokładnie co takiego... wyprodukowałeś? Zapalił papierosa.

—W tej chwili pracuję nad krótkometrażem.

—Jakim krótkim metrażem?

—Filmem krótkometrażowym.

—A o czym jest ten krótki metraż?

—Krótkometraż — poprawił mnie.

—Wszystko jedno.

—To love story.

—Cudownie.

—Lubisz filmy? — spytał.

—Nie.

—Ale chodzisz czasem do kina?

—Nie.

—Oglądasz telewizję?

—Nie.

Patrzył na mnie, czekając, żebym powiedział coś więcej. Nie doczekał się.

—Cóż — zapytał po chwili, starając się poznać powód mojej obecności. — Mieszkasz w pobliżu?

—Nie.

Znowu czekał, żebym coś dodał. I znowu się nie doczekał.

—Ale w ogóle mieszkasz w Londynie?

—Owszem. Mam miłe kawalerskie gniazdko. Przynęta chwyciła.

—Z nikim nie jesteś związany.

—Tak bym tego nie ujęła — wtrąciła Chloe, która właśnie wróciła z piwem. Podała każdemu z nas butelkę, po czym zajęła strategiczną pozycję, zajmując fotel na ziemi niczyjej, pomiędzy mną a Andym. — Matt jest jak rekin, prawda, kochanie? — ciągnęła, patrząc na mnie z ujmującym uśmiechem. — W Londynie aż roi się

od jego byłych, z którymi lubi... pozostawać w kontakcie.

Uśmiech przyszedł mi bez trudu.

—Coś w tym stylu. Andy popatrzył na nas.

—A wy jak się poznaliście?

—My? — rozmarzyłem się. — Och, znamy się od szkolnych czasów. Jesteśmy... jak to powiedzieć?... bardzo sobie bliscy...

—Rozumiem.

Dałem mu kilka sekund na przetrawienie tego, po czym pytam:

—A wy?

Spojrzał na Chloe i chrząknął.

—Chloe i ja spotykamy się.

Bingo. Oto deklaracja, na którą tak czekała Chloe.

—Naprawdę? — spojrzałem na Chloe ze zdumieniem. — Ty łobuzico, nie pisnęłaś ani słowem...

—Znamy się dopiero od paru tygodni — dodał szybko Andy.

—Ale się spotykacie? — dociekałem. — To znaczy, chodzicie ze sobą?

Na sekundę rzucił okiem na Chloe, po czym wbił wzrok we mnie.

—Jak najbardziej — powiedział.

—No, no, no — zwróciłem się do Chloe, uśmiechając się od ucha do ucha, po czym znowu zwróciłem się do Andy'ego: — W takim razie przyjmij moje gratulacje, Andy. Chloe nie tak łatwo upolować. Rozumiesz, ma nie byle jakie wymagania. Nie byle jakie — powtórzyłem, dla wzmocnienia efektu. — Nie należy do osób, która zadowoli się jakąś namiastką. Mówi ci to człowiek, który próbował... i przegrał...

Twarz Andy'ego wyrażała zmieszanie na przemian z ulgą.

—Ach, więc wy dwoje chodziliście kiedyś ze sobą? — spytał.

Uśmiechnąłem się do niego po raz pierwszy, odkąd przekroczył próg pokoju, potem puściłem do Chloe oczko.

—Jeżeli w ten sposób można określić trwający dziesięć sekund

pocałunek w szkolnym autobusie, którym, mając czternaście lat, jechaliśmy na przedstawienie *Makbeta*.

—Właśnie — wykrzyknęła Chloe. — A ty zaraz wszystkim o tym powiedziałeś, ty gówniarzu!

—Wiesz już, o co mi chodziło z tymi wymaganiami? — zwróciłem się do Andy'ego, ignorując ją całkowicie. — Zrobisz coś nie po jej myśli, i nie żyjesz. Nie odzywała się do mnie przez rok. Proponuję ci, żebyś bardzo uważał i troskliwie się nią opiekował. Bo inaczej — zapamiętaj moje słowa—zniknie z twojego życia w jednej sekundzie.

Andy podszedł do Chloe i objął ją ramieniem.

—Wezmę to sobie do serca. — Podniósł w moją stronę butelkę z piwem. — Dzięki za radę, stary.

Spojrzałem na zegarek.

—Cholera — skrzywiłem się i wstałem. — Już tak późno? Muszę lecieć.

Chloe także zaczęła wstawać.

—Daj spokój — powiedziałem. — Sam się wyprowadzę. Prawdę mówiąc, czuję się tu trochę jak intruz... Wy gołąbki...

Podszedłem do Andy'ego i uścisnąłem mu rękę.

—Cieszę się, że cię poznałem — powiedziałem, po czym — wprost nie mogłem się oprzeć — rzuciłem okiem na okolice jego kroku i dodałem: — Życzę powodzenia.

Tutaj, w barze, Jack uśmiecha się i kręci głową rozbawiony.

—Dobre. Jak im się układa?

—Od tamtej pory zachowuje się jak chodzący ideał. Chloe jest zachwycona. Nawet zabierają w weekend do Brugii.

—Chryste — śmieje się Jack. — Jak nic, ona będzie następna.

—Następna do czego?

—Ślubu, przecież to jasne. Kręcę głową.

—Nie, nie, stary. To nie tak.

—Co nie tak?

—Ona wcale nie będzie następna. Ma głupią minę.

—Nie mam pojęcia, o co ci chodzi. — Zaciąga się papierosem i spogląda na mnie szelmowsko.

—Wręcz przeciwnie — poprawiam go. — Masz. Bardzo dobrze wiesz, o co mi chodzi. O to mianowicie, że wychodzisz z założenia, że skoro ty się zdecydowałeś na związanie węzłem małżeńskim, natychmiast ja, Chloe i w ogóle każdy, kogo znasz, pójdziemy w twoje ślady — według ciebie to tylko kwestia czasu.

— spoglądam na niego poważnie. — Chloe nie jest kostką domina, Jack. To, że się przewróciłeś, wcale nie oznacza, że ona zrobi to także.

—Wcale tak nie powiedziałem.

—Ale tak imputowałeś.

—Nie, Matt — kręci głową. — Ty to tak zrozumiałeś.

—Na jedno, do cholery, wychodzi — uśmiecham się blado.

— Mój drogi przyjacielu, to ty powinieneś być prawnikiem. Upija łyk wina i znowu zaciąga się papierosem.

—A zresztą — mówi, wzruszając ramionami. — Nawet gdybym rzeczywiście miał na myśli małżeństwo, to co z tego? Przecież to nie powód, żebyś się tak nabzdyczał. Chyba nie masz nic przeciwko małżeństwu jako takiemu, prawda?

—Jako takiemu? — zastanawiam się. — Nie, nie mam. Nie mam nic przeciwko małżeństwu jako takiemu. Ja, na ten przykład, bardzo się cieszę — o czym, mam nadzieję, dobrze wiesz — że ty i Amy się pobieracie. Natomiast z mojego punktu widzenia, cóż, tu sytuacja ma się zgoła inaczej.

—Nie rozumiem, dlaczego. Spójrz na siebie. Miałeś udane dzieciństwo. Świetnie się dogadujesz z siostrą. Twoi rodzice są bardzo szczęśliwi.

—Nie bardzo wiem, co moje dzieciństwo ma wspólnego z...

—Bardzo wiele ma wspólnego. W zasadzie wszystko — przerywa mi.

—A mianowicie?

—A mianowicie to, że skoro ktoś taki jak ja, kogo rodzice

nie znoszą nawzajem swojego widoku, może się zakochać i chce się ustatkować, to ktoś taki jak ty tym bardziej powinien o tym marzyć.

—Hola! — Unoszę ostrzegawczo rękę. Wiem, że chce jak najlepiej, ale nie musi od razu wyskakiwać z analizą wielorakich przyczyn rozkładu rodziny jako podstawowej komórki społecznej. Strach przed samotnością to jedno, ale poczucie winy z powodu braku współmałżonka to zupełnie co innego.

—Być może umknęło twojej szanownej uwadze, Jack, że chcieć i móc to dwie zupełnie różne rzeczy. Do tego dochodzi jeszcze znalezienie kogoś.

Jack mruży oczy. — To znaczy?

—To znaczy, że nie ma sensu siedzieć tu i roztrząsać potencjalną kompatybilność Matta Daviesa z instytucją małżeństwa, skoro nie istnieje nawet cień szansy, żeby owa hipoteza z fazy fantazji przeszła do rzeczywistości w najbliższej przyszłości.

Jack mruży oczy jeszcze bardziej. — Co po angielsku znaczy...

—...że nie mam dziewczyny, nie mówiąc już o dziewczynie, którą bym kochał, ani takiej, która kochałaby mnie na tyle, żeby spędzić ze mną resztę życia.

Jack chwilę rozważa moje słowa, po czym prostuje się i krzyżuje na piersiach ramiona.

—Więc znajdź taką — wpada w końcu na genialny pomysł.

—Jaką mianowicie?

—Taką, w której się zakochasz.

Patrzę na niego podejrzliwie. Trudno zignorować echo, które aż nadto wyraźnie daje się słyszeć w jego głosie.

—Rozmawiałeś może z Amy od czasu, gdy spotkałem się z nią na lunchu?

Na jego twarzy pojawia się niewinny uśmiech.

—Być może — powiada tonem wszystkowiedzącego — ale to akurat nie ma nic do rzeczy. Pytanie brzmi: czemu nie? Czemu nie znajdziesz sobie dziewczyny? Płyną z tego same korzyści... nie uważasz? Pomyśl o pieniądzach, które zaoszczędzisz na oliwce i kleeneksach... a to zaledwie początek...

Chwilę patrzę na niego z niedowierzaniem, w końcu mówię:

—Chcesz wiedzieć, co myślę? — pytam prosto z mostu. — Myślę, że jesteś kompletnie szurnięty. Przecież nie mogę, ot, tak, po prostu stąd wyjść i znaleźć sobie kogoś do zakochania, tylko dlatego, że mam na to ochotę.

—A czemu nie? — Patrzy na mnie jak na idiotę.

—Ponieważ to się nie odbywa w ten sposób, dlatego, do ciężkiej cholery nie — mówię porywczo. — Szansa wynosi...

Macha lekceważąco ręką.

—Daj spokój — mówi. — Chyba nie chcesz wierzyć w te wszystkie bzdury.

—Jakie bzdury?

—Wszystkie te bzdury, że podobno gdzieś tam na ciebie czeka ta jedna, właściwa osoba.

Zapala kolejnego papierosa.

—Spójrz na Amy i na mnie. Pamiętasz te bzdety o superlasce, które w zeszłym roku wygadywałem? O tym, że czekam, aż pojawi się moja idealna kobieta? A przez cały ten czas Amy była w zasięgu ręki. Wystarczyło tylko przejrzeć na oczy. Po prostu musisz tylko zacząć działać... — Rozgląda się wokół siebie nerwowo, po czym nachyla się ku mnie i osłania ręką usta. — To jest jak *Z Archiwum X* — mówi szeptem. — Oni tam gdzieś są. Trzeba tylko wiedzieć, gdzie szukać.

—OK, mądralo — odzywam się, uznając, że nie mam już nic do stracenia. — Gdzie według ciebie powinienem zacząć?

—To proste — odpowiada bez mrugnięcia okiem. — Od H. Ja zwierzam się Jackowi z kłopotu, z którym ludzkość boryka się od zarania dziejów, a on jako rozwiązanie podaje mi literę alfabetu.

—O czym ty, do diabła, gadasz? — pytam zdezorientowany.

—Nie o czym — poprawia mnie. — Ale o kim. Wszystko sobie obmyśliłem. O najlepszej kumpeli Amy, H. No wiesz, tej dziewczynie, z którą przyszła do „Zanzibaru" w zeszłym roku. Niewysoka, ciemne włosy. Wykapana Winona. Superbabka. Prawdziwa luzaczka. Wy dwoje zaskoczyliście wtedy od razu.

O, tak, doskonale pamiętam H. A jeszcze lepiej pamiętam, jak bez zbędnych ceregieli kazała mi się odpieprzyć, kiedy pod koniec imprezy w „Zanzibarze" próbowałem ją pocałować. Gorąco mi się robi na wspomnienie mojego miażdżąco żenującego chybionego posunięcia. Zastanawiam się, czy Jack odnotował fakt, że każdego spotkania towarzyskiego, w którym mogła wziąć udział H, starannie od tamtego czasu unikałem.

—O tej H mówisz. Jasne Jack, świetny pomysł—odpowiadam ze smętnym uśmiechem. — Ale odpada. A może już zapomniałeś, jak mnie spławiła? Powiedziała mi, że od dawna ma faceta.

Jack przytakuje mi, kiwając entuzjastycznie głową.

-— Jasne, ale czasy się zmieniają. Facet to już przeszłość. Aktualnie jest wolna. A co? — dziwi się na widok mojej miny. — Nie mówiłem ci?

—Nie, nie o to chodzi. Czasy może się i zmieniają, ale gusta nie — zauważam. — Spławiła mnie wtedy, spławi i teraz.

Jack grozi mi palcem.

—Oj, Matt, niektórzy ludzie mają zasady. Weź łaskawie pod uwagę taką oto ewentualność — choć wydaje się ona co najmniej dziwna — że spławiła cię wyłącznie dlatego, że wtedy była w monogamicznym związku, a nie dlatego, że nie byłeś w jej typie.

Dwie trafne uwagi Jacka Rossitera na jeden wieczór. Zwykle oszczędniej gospodaruje swoim rocznym zapasem. Zaintrygował mnie. Może to jego szczęśliwy okres. I może jednak doczekam się od niego jakiejś sensownej rady.

—Coś ci mówiła? — pytam i nie mogę się oprzeć radosnemu podekscytowaniu i nadziei. H. Niezły pomysł. Interesujący...

—W zasadzie nie — odpowiada.

Mój radosny nastrój kurczy się w mgnieniu oka.

—Och.

Potrzebuję kilku chwil, żeby się otrząsnąć.

—A więc to wyłącznie twój pomysł, że mógłbym być w jej typie?

—Nie, mam przeczucie.

Muszę chwilę pomyśleć. Wtedy, w „Zanzibarze", H była fajna. Naprawdę bardzo fajna. Ale co z tego? Facet czy nie facet, jak doszło co do czego, zabrakło zwykłej chemii.

—Nic z tego — mówię mu. — Raz się sparzyłem. Nie mam zamiaru ryzykować. Po co mamy się stawiać w głupiej sytuacji?

Spogląda na mnie pogardliwie, spojrzeniem nauczyciela, któremu chcesz wcisnąć, że pies pożarł twoje zadanie domowe po raz piąty z rzędu.

—Daj sobie spokój, Jack — mówię dalej. — Spójrz na to od strony praktycznej...

—To znaczy?

—„Zanzibar" był rok temu, tak? Byłoby co najmniej dziwne, gdybym nagle teraz do niej zadzwonił i zaproponował randkę. — Przykładam rękę do ucha, udając, że rozmawiam przez telefon.

—Cześć, H, tu Matt. Nie, nie. Ten Matt, którego w zeszłym roku poznałaś w „Zanzibarze". Nie, nie na wyspie na Oceanie Indyjskim. W klubie. Byłem tym facetem, który jak dwunastolatek rzucił się na ciebie w samym środku tańca. Tak, właśnie ten dupek. Ha, ha. Ten sam Matt. Cóż, pomyślałem sobie, że może miałabyś ochotę pójść ze mną na kolację? Miałem do ciebie zadzwonić w zeszłym roku, ale byłem dość zajęty i jakoś tak mi zeszło. Tak. Tak, rzeczywiście jestem trochę pokręcony. Co? Do psychiatry? Cóż, jakoś mi to nie przyszło do głowy. Halo? Halo?

—Opuszczam rękę i patrzę na Jacka. — Dasz wiarę? — pytam go. — Odłożyła słuchawkę.

Nie zrobiłem na nim wrażenia. Unosi brwi i mówi:

—Wcale nie musisz się z nią umawiać.

—Nie rozumiem.

—Jutro będzie na lunchu.

—Jakim znowu lunchu?

—Próbnym lunchu przed weselem — tłumaczy z krzywą miną. — Stringer przygotowuje wielki lunch, żebyśmy spróbowali jedzenie i ustalili menu. Wielki, bardzo smakowity próbny lunch, o którym miałem ci powiedzieć w zeszłym tygodniu, tylko mi się zapomniało, i dlatego mówię ci teraz...

Patrzę na niego, nie wierząc własnym uszom.

—Nie mówisz chyba tego poważnie?

—Poważnie, jak najbardziej — mówi ze skruszonym wyrazem twarzy. — I koniecznie musisz przyjść. W końcu jesteś drużbą...

—Zapomnij, chłopie. Mam w cholerę roboty. Gdybyś mi powiedział wcześniej...

Jack patrzy na mnie błagalnie. — Proszę...

Już mam mu powiedzieć, żeby mi skoczył, ale coś mnie powstrzymuje. Być może wiadomość, że H jest wolna. A może śliczna, psia mina, którą przybiera Jack, żeby zaszantażować mnie emocjonalnie. Lecz decydującym chyba czynnikiem jest fakt, że Jack zjadł moją pizzę.

—Wielki lunch, powiadasz — pytam wreszcie. — Chciałbym wiedzieć, jaka ilość żarcia wchodzi w grę?

STRINGER

Środa, godzina 11.10

— Stringer, a ty? — drze się KC.

Siedzę uwięziony w Epicentrum Wiru Chaosu, lepiej znanym jako oddział 3. Sark Industrial State, londyńskiej siedziby Chichi, na którą składają się biura, jadalnie, kuchnie, chłodnie i zamrażarki.

Z zewnątrz wygląda to jak każdy inny, tani dwupiętrowy budynek z prefabrykatów. Nie podejrzewający niczego przechodzień uznałby zapewne, że wewnątrz zwykli ludzie zajmują się zwykłymi sprawami swojej zwykłej pracowniczej egzystencji. Myliłby się jednakże nie podejrzewający niczego przechodzień, gdyż zapewne nigdy w swoim życiu nie miał przyjemności poznać Freddiego DeRotha, właściciela oddziału 3. i mistrza wszystkiego, co się w nim mieści, tak jak nigdy nie poznał Grega Stringerà, właściciela praktycznie niczego, za to Mistrza Utrzymującego Cały Ten Bajzel w Ruchu.

Można by pomyśleć, że krytykuję Freddiego. Wręcz przeciwnie, daleki jestem od tego. Freddie to legenda w swoim fachu. Urodzony organizator przyjęć. Istny geniusz w dziedzinie miłego spędzania czasu. W zasadzie dzięki niemu narodziła się w Zjednoczonym Królestwie idea przyjęć tematycznych. Dysponując odpowiednim budżetem, zorganizuje wszystko, czego dusza zapragnie, poczynając od rzymskiej orgii na czterysta osób, z ubranymi w togę niewolnikami wnoszącymi upieczoną w całości sarnę, na pikniku dla dziesięciorga w parku kończąc.

Tyle tylko, że Freddie to człowiek idei, który nie zniża się do nizin praktycznej strony prowadzenia interesu. Uwielbia planować różne okazje, po czym pławić się w pełni zasłużonej glorii pochwał i zachwytów. Co jest zupełnie zrozumiałe. W końcu to jemu należą się wszystkie zaszczyty. Nudną stronę interesu — zarządzanie personelem, transport, lokalizację i dostawy — zostawia mnie. Czasami jest to dla mnie prawdziwe wyzwanie. Kiedy indziej zaś mam wrażenie, że ktoś rzucił we mnie granatem i marzę tylko, żeby go odrzucić, zwinąć się w kłębek i czekać, aż eksplozja ucichnie.

Jak dzisiaj.

Od siódmej trzydzieści siedzę przy biurku w maleńkim biurze obok kuchni, z telefonem niemalże przyklejonym do ucha. O pół do drugiej ma się odbyć próbny lunch Jacka i Amy. Tamara zajmuje się przygotowaniem fety dla dwustu osób w Muzeum Historii Naturalnej, a Freddie z Tiffem w Wiltshire planują przyjęcie z okazji pięćdziesiątych urodzin spadkobierczyni diamentowej fortuny. Na mnie spadło nadzorowanie zajęć i bezpieczeństwa osiemdziesięcioszścioosobowego personelu, czterech samochodów chłodni, sześćdziesięciu skrzyń markowego szampana i kozy — gwiazdorki o imieniu Gerald, specjalizującej się w głośnym beczeniu i jednoczesnym staniu na tylnych nogach.

Jak dotąd, wszystko jest SwNWSP (Sytuacja w Normie: Wszystko Się Pierdoli.) Na dzisiejszy wieczór brakuje mi w sumie dwunastu kelnerów/kelnerek. Freddie, Tiff i towarzyszący im konwój pojazdów z obsługą i całą resztą od dwóch godzin tkwi

w pięciokilometrowym korku na autostradzie M4. Dave Donovan z firmy cateringowej „Człowiek i jego ryby" uprzejmie mnie zawiadomił, że jeżeli chcę mieć pięćdziesiąt homarów na fetę w muzeum, mogę sobie sam „wyruszyć na pierdolony połów". Zalewając się łzami i szlochając, Tamara przyznała się, że jakieś pół godziny temu Gerald dał nogę ze swojej zagrody i ostatnio widziano go, jak szaleńczo galopuje po Hyde Parku, terroryzując gołębie i zażywające spaceru pudle.

— Hej, Stringer — znowu dochodzi mnie wrzask KC. — A ty?

Od jakichś dwudziestu minut na pół świadomie rejestruję dochodzące z kuchni odgłosy nieustającej wesołości i mogę się tylko domyślać, że KC znowu przewodniczy lubieżnej i sprośnej debacie kuchennego personelu. A co tam, przyda mi się chwila oddechu. Podchodzę do otwartych drzwi.

—Co ja? — pytam i z założonymi rękami opieram się o framugę.

Długowłosy, z przekrwionymi oczami i wyjątkowo parszywy KC jest nie tylko głównym kucharzem, ale też cieszącym się wyjątkową reputacją amatorem haszyszu. U Freddiego pracuje już od trzech lat, kiedy w swoje trzydzieste urodziny przyjechał z Australii. Podnosi wzrok znad ogromnego stołu po brzegi wypełnionego kanapkami, które przygotowuje na dzisiejsze rozdanie nagród telewizyjnych. Ma na sobie obwisłe spodnie, podkoszulek i przewiązany w pasie fartuch w biało-niebieskie pasy. Na podkoszulku widnieje podobizna papieża ze skrętem w ustach i napis: „Kocham papieża. Papież prochom dowierza".

Muszę przyznać, że go lubię (mam na myśli KC — papieża nie znam osobiście), nie wiem tylko, czy on już się zdecydował, co ma myśleć o mnie. Chyba też nie nabiłem sobie u niego plusów, prosząc go o przygotowanie dzisiejszego próbnego lunchu, bo uważa, że po prostu zaprosiłem sobie znajomych. Mimo to jak na razie o rękoczynach nie było mowy, do których — zważywszy, że ma prawie metr dziewięćdziesiąt wzrostu — mam nadzieję nigdy nie dojdzie.

— Straciłeś cnotę, bracie — mówi z mocnym akcentem. Wy

ciera ręce w fartuch. — Właśnie sobie opowiadamy, jak to było z naszą czwórką. Jodie, na przykład — ciągnie, kiwając w stronę ślicznej dziewczyny świeżo po studiach, która pracuje w Chichi, żeby spłacić jakieś długi — straciła błonkę, kiedy miała szesnaście lat, a pomógł jej w tym jakiś pieprzony nauczyciel gitary w szkole.

Teraz celuje nożem w dwoje kuchcików, nastoletniego chłopaka i równie młodej dziewczyny, przysłanych z samego rana przez agencję pracowniczą.

—A Mickey i Alison rozdziewiczyli się nawzajem w poprzedni weekend. W poprzedni weekend — powtarza z uśmiechem na widok spłoszonych uśmiechów dwójki smarkaczy. — Nie wydaje ci się, że jesteś okropnie stary?

—Jakbym miał sto lat—mówię i odwracam się, zamierzając odejść.

—Chwila, moment, bracie — powstrzymuje mnie. — A jak było z tobą?

— Co jak było ze mną?

—Trzeba grać uczciwie — tłumaczy. — Ładnie to tak wysłuchać intymnych zwierzeń innych ludzi i nie podzielić się z nimi swoją historią?

—Niczego nie wysłuchiwałem, KC — zwracam jego uwagę. — Zapomniałeś już, że to ty mnie tu zawołałeś i sam mi wszystko wygadałeś? Jak już, to teraz kolej na ciebie.

Popełniam błąd. Moja odpowiedź, zamiast go zniechęcić, tylko wzmaga jego apetyt na kontynuowanie tej rozmowy. Przyjmuje wyzwanie z przyjemnością, jakiej nie doznał chyba od chwili, gdy odkrył, że tytoń połączony z odpowiednią ilością haszyszu daje wyjątkowego kopa.

—No, Stringer — mówi przeciągle jakieś dziesięć minut później, kiedy dramatycznym finałem podsumował poruszającą opowieść ilustrowaną choreograficznym układem, której nie powstydziłaby się redakcja programów dokumentalnych BBC. — Opowiedz nam o tej dziwce, która była na tyle głupia, żeby wytrzymać twój pierwszy raz.

Zapada milczenie. Milczenie ciężkie od ignorancji i wstydu.

Milczenie ucznia, któremu nauczyciel zadał najprostsze pod słońcem pytanie, a on nie zna na nie odpowiedzi.

Robi mi się niedobrze, ale wcale mnie to nie dziwi. Nie pierwszy raz czuję się w ten sposób. Przytrafia mi się to, odkąd skończyłem czternaście lat i w pierwszą noc letniego semestru do internatu wrócił Richard Lewis z parą damskich majtek dumnie wystającą z kieszeni. Pamiętam, że tuż przed ogłoszeniem ciszy nocnej staliśmy z dziesięcioma innymi kolesiami na podwórzu, kurzyliśmy i po kolei oglądaliśmy majtki, trącając się nawzajem w żebra i chichocząc nerwowo, bo Dave Tagg po kryjomu podniósł je do twarzy i powąchał. Pamiętam, że nie odrywałem wzroku od twarzy Richarda, gdy opowiadał nam, jak dzień wcześniej Emma Roberts, koleżanka z sąsiedztwa, zgodziła się pójść z nim do przyczepy ustawionej w kącie ogrodu jego rodziców. Opowiedział nam, jak to położył ją na rozkładanym łóżku, powoli rozebrał i wreszcie—na ten moment czekałem z niecierpliwością — zerżnął. Potem zademonstrował nam majtki, które były jego dowodem koronnym, bo bez nich i bez wyszytego na nich imienia Emmy nie uwierzyliśmy w ani jedno jego słowo.

Niestety, nie jestem Richardem Lewisem. Nazywam się Greg Stringer. I nie mam żadnego dowodu. Mam wyłącznie kłamstwa.

—Chcecie wiedzieć, jaki był mój pierwszy raz?

—Tak jest — nie ustępuje KC.

Podchodzę do stołu, odsuwam krzesło i siadam na nim.

—Na imię miała Emily — zaczynam. *Nazywała się pani Emily Warberg.*

—Ile miałeś lat? — pyta Mickey.

—Ona miała dwadzieścia jeden, ja siedemnaście. Studiowała na uniwersytecie w Manchesterze, a ja byłem w ostatniej klasie.

Miała czterdzieści dziewięć lat, była matką Alana Warberga, z którym włóczyłem się, gdy przyjeżdżałem do domu na wakacje. Poznałem ich, kiedy miałem dwanaście lat, a oni zamieszkali przy naszej ulicy. Jej mąż, Rob, pracował w agencji reklamowej.

—Była starsza? — wykrzykuje KC.—Ty to masz szczęście, draniu. Jaka była?

—Piękna. Miała blond włosy i niebieskie oczy. Jakiś metr sześćdziesiąt wzrostu. Superdupa.

Była narzeczoną Frankensteina, wiecznie się odchudzała i wyglądała jak chodzący szkielet. Miała nogi chude jak patyki i wystające łopatki. Kurzyła czterdzieści rothmansów dziennie i nigdy nie widziałem, żeby uprawiała jakieś ćwiczenia. Miała utlenione na żółto włosy z siwymi odrostami. Nosiła wypchane staniki i kiedy sądziła, że z Alanem tego nie widzimy, piła wódkę prosto z butelki, którą trzymała na lodówce.

KC odkłada nóż i zafascynowany opiera się o kant stołu.

—Niesamowite — mamrocze. — Gdzie ją zapiąłeś?

—Przyszedłem do jej domu w sobotę wieczorem — zmyślam dalej. Mieszkała niedaleko, przy tej samej ulicy. Były ferie wielkanocne i uczyłem się w domu do egzaminów. Ona także przyjechała z Manchesteru. Tydzień wcześniej poznałem ją na imprezie; trochę gadaliśmy i się całowaliśmy. Nic poza tym. Ale w tamtą sobotę... Jej matka uczyła ekonomii w college'u i chciałem, żeby mi pomogła w testach, z których się uczyłem, więc poszedłem do niej...

W sobotę przed Wielkanocą poszedłem do domu Alana na jointa.

KC ryczy ze śmiechu, aż podciąga kolano pod brodę.

—Żeby ci pomogła w testach, Jezusie, człowieku, co ty jeszcze wymyślisz?

Jodie spogląda na niego, więc się przymyka.

—Zapukałem do drzwi — ciągnę swoją opowieść. — Ale drzwi nie otworzyła jej matka ani ojciec, tylko ona sama. Obświeciła mnie wzrokiem od góry do dołu, uśmiechnęła się, zarumieniła i spytała, jak się mam. Coś tam bredziła, że na imprezie się wlała, wtedy ja też się zarumieniłem i spytałem, czy jej matka jest w domu, na co ona powiedziała, że nie. Już miałem iść do domu, kiedy nagle powiedziała, że na egzaminach zdawała ekonomię, więc może pamięta jeszcze co nieco, może więc bym wszedł, czegoś się napił, a potem spróbujemy jakoś poradzić sobie sami.

Matka Alana otworzyła mi drzwi po pięciu minutach od mo

jego pierwszego dzwonka. Stanęła oparta o framugę, w szlafroku i rannych pantoflach i gapiła się na mnie nieprzytomnym wzro-, kiem. W jej oddechu czuć było wódkę. Powiedziała: „A, to ty", zaciągnęła się papierosem i dodała, żebym wszedł. Poszedłem za nią do salonu, gdzie usiadła na kanapie i nalała do dwóch kieliszków wódkę. Poklepała ręką miejsce obok siebie na kanapie i powiedziała: „Alan poszedł z ojcem na mecz piłki nożnej. Długo ich nie będzie" Poczęstowała mnie papierosem, którego wziąłem i usiadłem koło niej.

—Mów dalej — ponagla mnie KC. —Przejdź do konkretów.

—Było super. Dokładnie tak, jak sobie wyobrażałem. Usiedliśmy w kuchni, wypiliśmy parę piw i śmialiśmy się, wspominając imprezę. Potem zrobiła skręta i wypaliliśmy go wspólnie...

To było okropne. Nigdy w życiu nie czułem się taki skrępowany. Siedziałem obok niej, paliłem jej papierosy i piłem jej wódkę. Ona mówiła o swoim życiu, obsmarowywała swojego męża, skarżyła się na nudę i brak seksu. Potem nalała sobie jeszcze jedną wódkę, wychyliła ją jednym haustem i zaczęła się na mnie gapić, a ja miałem wrażenie, że to trwa całą wieczność. Potem...

—Potem spytała, czy nie mam ochoty pójść z nią na górę, a ja się zgodziłem. Wzięła mnie za rękę i zaprowadziła do swojego pokoju. Położyłem się na łóżku, a ona puściła płytę, zapaliła świeczkę, podeszła i wyciągnęła się obok mnie. Całowaliśmy się okropnie długo, a potem kochaliśmy się i, KC, nie było w tym nic zbereźnego. Czułem się cudownie. Była najwspanialszą dziewczyną, jaką w życiu spotkałem. Inteligentna, delikatna, piękna i dobra. Zawsze marzyłem, żeby ten pierwszy raz tak właśnie wyglądał.

Pochyliła się, wzięła moją rękę i wsunęła ją sobie pod szlafrok, między nogi. Powiedziała, że to miłe i żebym się nie martwił, co powiedzą Alan albo jej mąż ponieważ i tak nigdy w życiu o niczym się nie dowiedzą. Potem rozwiązała pasek szlafroka, rozebrała się, uklękła na podłodze przede mną i rozpięła mi pasek. Ja siedziałem, czułem, że jestem pijany i było mi niedobrze. Nie potrafiłem na nią spojrzeć. I wtedy zobaczyła mojego fiuta i zaczęła się śmiać.

—Ale super — wzdycha Jodie.

— To prawda, farciarz z ciebie — dodaje KC.

Wcale nie było super. Było okropnie. Pamiętam, że pani Warberg trąciła mojego maćka palcem. „ Cóż, kochanie", wybełkotała, nakładając szlafrok i zapalając papierosa. „Nie bardzo wiem, co można zrobić z tym twoim różowym maleństwem ".

—Dobrze się spisałeś — mówi KC. — To było niezłe.

—Racja — zgadzam się. — Niezłe.

Przez wszystkie lata, które od tamtej chwili upłynęły, wiele jeszcze prób podejmowałem. Były to nieudolne, w stanie narkotykowego upojenia podejścia w ciemnościach do równie nieprzytomnych jak ja dziewczyn. Może nawet udało mi się parę razy trafić do celu, ale rano nic nie potrafiłem sobie przypomnieć. Kręcę głową. Chyba nigdy nie przestanę się dziwić, że coś tak małego może mieć tak przeogromny wpływ na moje życie i sprawiać, że czuję się zawiedziony i samotny.

— KC, damy radę podać lunch o pół do drugiej? — pytam. Podchodzi do kuchenki i bierze świstek papieru.

—Na przystawkę ciastka z krabów po amerykańsku z kremem ze szpinaku. Dzikie grzyby saute dla nie mięsożernych. Na danie główne przepiórka z grilla w sosie maślano-musztardowym, wegetarianie dostaną lasagne z grzybami i szpinakiem. Na deser chciałeś tarte z figami, miodem i mascarpone. — Podnosi na mnie wzrok. — Może być?

—Idealnie.

Patrzy na mnie sceptycznie.

—Byłoby dobrze, gdyby twoi kumple przyszli punktualnie, bo nie mam zamiaru na nich czekać. Obiecałem Freddiemu, że o pół do trzeciej wpadnę do muzeum zrobić trochę porządku w kuchni.

—Nie martw się — mówię, ale na myśl o raczej słabych wynikach Jacka w dziedzinie punktualności, zdecydowanie tracę pewność siebie. — Zjawią się na pewno. I to nie są żadni kumple — przypominam mu. — Tylko klienci, którzy płacą.

— Gówno prawda — prycha. — Widziałem kalkulację, jaką dla nich zrobiłeś. Poszedłeś po kosztach, więc niech lepiej docenią wysiłek, jaki włożę...

—Na pewno docenią — zapewniam go. — I ja także. Krzywi się, najwyraźniej nie przekonany, po czym wraca dc

pracy.

Dochodzi pierwsza i sprawy zaczynają wyglądać nie najgorzej. Uciekając się do szantażu, przekupstwa i pokornego błagania, zdołałem jakoś załatwić brakujących kelnerów na fetę w muzeum. Korek na M4 się rozluźnił i Freddie mógł sprawdzić, że na przyjęciu z okazji pięćdziesiątki wszystko będzie po jego myśli, a teraz wraca już do Londynu. Cudownym zbiegiem okoliczności okazało się, że „Człowiek i jego ryby" ma superatę w homarach, które właśnie zostały dostarczone, wraz z dwoma łososiami jako rekompensatą za zamieszanie. Z porannych nieszczęść tylko Artysta Sceniczny Gerald w dalszym ciągu pozostawał na wolności, ale niech mu wyjdzie na zdrowie. W końcu koza powinna robić to, do czego została stworzona.

Jack i Amy zjawiają się przed czasem, kwadrans po pierwszej. Prowadzę ich do jadalni na piętrze, gdzie przez ostatnie pół godziny nakrywałem z Jodie stół. Zrobiliśmy to ze wszystkimi szykanami: był obrus, świece, kryształowe kieliszki i porcelana. Jodie odbiera od nich płaszcze i proponuje im drinka, Jack i Amy nie kryją zadowolenia, więc gnam na dół, żeby sprawdzić, czy u KC wszystko przebiega zgodnie z planem.

—Powiedziałeś, pół do pierwszej — stwierdza obojętnie. — Więc będzie o pół do drugiej.

Spogląda na mnie podejrzliwie.

—Wszyscy twoi kumple już się zjawili?

—Na razie dwójka — mówię niepewnie. — Państwo młodzi — dodaję w nadziei, że to choć trochę udobrucha.

Nic z tego.

—Krabowe ciastka smakują jak krabowe gówno, jeśli nie je się ich gorących — to jedyne, co od niego usłyszałem.

Ostatecznie jedno krabowe ciastko spotyka ten los, muszę więc stawić czoło tylko jednej szóstej wściekłości KC. Rzeczone ciastko przeznaczone było dla H, która uprzejma była się spóźnić. O półtorej godziny. Kiedy w końcu się zjawia, pozostali delektują

się już deserem, a KC szczęśliwie jest w drodze do muzeum, uwalniając mnie tym samym od siebie na resztę popołudnia.

Kiedy otwieram przed nią drzwi na dole, wita mnie jednym słowem:

— Nie.

Przemoczona jest do nitki i wygląda, jakby wsadziła głowę do klozetu i kilka razy spuściła wodę. Po twarzy, od oczu aż po brodę, spływa jej czarnymi strumieniami tusz do rzęs, przez co przypomina źle umalowanego pierrota. Najbardziej jednak niepokojący jest wyraz jej twarzy. Mało powiedziane, że mogłaby kogoś zabić. Raczej należałoby przypuścić, że z radością poddałaby kogoś wielodniowym torturom.

Z bijącym mocno sercem zbieram się na odwagę i pytam:

— Co nie?

— Nie odzywaj się, kurwa, do mnie — warczy i wchodzi do holu, gdzie zatrzymuje się, dygocząc z zimna.

Niezastosowanie się do jej życzenia groziłoby poważnym, i prawdopodobnie nieodwracalnym uszczerbkiem na zdrowiu, więc milcząc jak grób, gestem wskazuję jej schody. Idę za nią i już na górze widzę, jak maszeruje korytarzem w stronę dochodzących głosów. Wsadza głowę przez drzwi do jadalni i w zapadłej nagle martwej ciszy mówi lodowato spokojnym głosem:

— Amy. Chodź. Natychmiast.

Amy błyskawicznie zjawia się na korytarzu i obrzuciwszy H jednym spojrzeniem, bierze ją za rękę i prowadzi do magazynu obok. Znikają w środku i zamykają za sobą drzwi. Na paluszkach przechodzę przez korytarz, przystaję pod zamkniętymi właśnie drzwiami, przykładam do nich ucho i podsłuchuję.

— Problemy? — chwilę później pyta szeptem Matt. Krzywię się.

— Jeśli jesteś kierowcą...

Patrzy na mnie tępo, więc na nowo przykładam ucho do drzwi.

— Stojącego autobusu, w który ona walnęła, jadąc tutaj — informuję go.

Teraz z kolei on się krzywi i przejmuje obowiązki podsłuchiwacza.

—Stojącego autobusu, w który walnęła, wycofując samochód — poprawia mnie. — Wjechała tyłem w stojący autobus i nie chce, żebyśmy się o tym dowiedzieli, a jeśli ktoś puści parę z gęby, wyrwie mu język i zetnie głowę.

—Wyrwie język i zetnie głowę? — upewniam się, że dobrze słyszałem. — Nie uważasz, że to trochę przesadzona kara?

Matt ściąga usta i kiwa głową potakująco.

—W takim razie nie wchodzimy jej w drogę? — podsuwam.

—Tak — przyznaje mi rację. — Tak będzie najlepiej. Dziwne, ale ani szatański nastrój H, ani jej spóźnienie nie są w stanie zepsuć mi kompletnie dnia, czego w zasadzie od początku się spodziewałem. Spodziewałem się, że lunch nie wyjdzie, choć stało się wręcz odwrotnie. (Jack i Amy byli zachwyceni jedzeniem.) Bałem się, że humory nie dopiszą i znowu (z wyjątkiem H) się pomyliłem. Podejrzewałem też, że KC, w przypływie obłąkańczej hippisowskiej zemsty za to, że musiał dla nas gotować, dosypie do potraw jakieś sobie tylko znane zielsko. (Nie zrobił tego.) Byłem szczęśliwy, ale główna przyczyna leżała gdzie indziej. Mianowicie doskonale się bawiłem w towarzystwie Susie. Zaskoczyliśmy, ledwie usiadła i przez cały czas usta nam się nie zamykały. Od niepamiętnych czasów tak się nie uśmiałem. Zupełnie jakby miała nieskończone zasoby energii, której po prostu nie sposób się oprzeć.

—O co, do ciężkiej cholery, chodzi? — pyta Jack na widok Matta i mnie powracających do jadalni.

—Rozwaliła samochód — wyjaśniam.

—Jak?

Zanim mam czas odpowiedzieć, wtrąca się Matt:

—Nie wiemy. Nie słyszeliśmy szczegółów. — Patrzy na mnie, żebym potwierdził. — Prawda, stary?

—Zgadza się — popieram go. Chyba ma rację, że lepiej sprawy nie pogarszać. Skoro H życzy sobie, aby cała sprawa została tajemnicą, nie mam nic przeciwko temu.

—Ktoś został ranny? — pyta wstrząśnięta Susie.

—Nie — uspokajam ją. — Nie ma się czym martwić.

—Myślę, że lepiej nie poruszać tej kwestii w jej obecności — dodaje Matt, obchodząc stół dookoła. — Ma ostry napad maksymalnie złego humoru.

Siadam na swoim miejscu obok Susie i na chwilę zapada cisza, którą zakłócają tylko stłumione, podniesione głosy dochodzące z sąsiedniego pomieszczenia. Wyraźnie zmieszani, siedzimy wszyscy z oczami wbitymi w stół. Wielka szkoda, doprawdy, bo jak dotąd, lunch przebiegał w doskonałej atmosferze. Wszyscy świetnie się bawili, co było dla mnie równie ważne, jak wyrażane przez gości uniesionymi w górę kciukami uznanie dla jedzenia i wina, dla mnie będące sukcesem zawodowym. Wiele to dla mnie znaczy. Zwłaszcza że jego świadkami byli Matt i Jack. Nie przypominam sobie, żeby kiedykolwiek spoglądali na mnie z takim podziwem. A już na pewno nie w związku z wykonywaną przeze mnie pracą. Mam wrażenie, że staję się dojrzałym człowiekiem. Czuję, że Susie delikatnie trąca mnie w bok i podnoszę na nią wzrok.

—Co to za ser? — pyta, pokazując na swój talerz.

—Mascarpone — udzielam jej informacji.

—Raczej chyba mascar-niebo-w-gębie — mówi i nabiera na łyżkę kolejną porcję. Zwraca się do wszystkich siedzących przy stole: — Hej, chłopaki — mówi, spoglądając swoimi niebieskimi oczami po kolei na mnie, Matta i wreszcie na Jacka. — Może byście tak puścili farbę, w jakim to obleśnym miejscu macie zamiar zabawiać się w kawalerski weekend.

Jack wzrusza ramionami i skinieniem głowy wskazuje na Matta.

—Mnie nie pytaj — mówi. — Nie mam zielonego pojęcia, a Matt trzyma nas w nieświadomości.

—Matt, co ty na to? — docieka dalej Susie. Uśmiecha się do niej szeroko.

—Znasz zasady. Wy, panienki, nie powinnyście o niczym wiedzieć.

—Och, daj spokój — Susie nie rezygnuje. — Nie bądź taki retro. Nikomu nie powiem.

—Nie w tym rzecz. Zresztą—ciągnie Matt—faceci też jeszcze

nic nie wiedzą. Nawet Jack. Tylko ja znam szczegóły. I tak zostanie do czasu, aż zajedziemy na miejsce. — Nachyla się konspiracyjnie.

— Mogę wam tylko zdradzić, że lokalizacja została Oficjalnie Zaakceptowana przez Marta Daviesa, z czego jasno wynika, że spędzimy najlepszy weekend w życiu. Gwarantowane.

Susie kiwa głową z uznaniem.

—Należałoby raczej powiedzieć, że najbardziej wyuzdany — zauważa.

—Dziewczyny, a wy? — zwracam się do Susie. — Macie już coś?

—Wszystko załatwia H...

—Gdzie to ma być? — pyta Matt.

Susie na ustach rysuje palcem umowny krzyżyk.

—Wybacz, Matt. Ściśle tajne. Tak jak u was. Gdybym ci powiedziała, musiałabym cię zabić.

—Może przynajmniej jakaś drobna wskazówka?

—Na przykład?

—W jakim mieście? — puszcza do Jacka oko, po czym znowu zwraca się do Susie. — Żebyśmy wiedzieli, które omijać szerokim łukiem...

—Z tym nie powinno być kłopotu — mówi Susie z uśmiechem. — Może to wcale nie jest miasto?

—Zgłupiałyście? — Jacka aż zatyka. — To znaczy, że wybieracie się na wieś? Żadnych klubów? Barów? Żadnych facetów? Przecież dostaniecie świra.

—Dla twojej informacji, Jacku Rossiter — mówi Susie i celuje w niego palcem. — W życiu liczą się też inne sprawy.

—Na przykład? — prowokuje ją.

—Na przykład świeże wiejskie powietrze, piękne krajobrazy i mnóstwo Czasu Dla Siebie.

Jack jest przerażony. I nic dziwnego. Dla niego Wspaniała Zabawa na Świeżym Powietrzu to wypad do Hyde Parku ze skrzynką piwa i pieczonymi udkami z kurczaka.

—Jakiego czasu? — pyta z niedowierzaniem.

—Czasu Dla Siebie — wyjaśnia Susie. — Czasu na zastano

wienie się nad sobą. Czasu odpoczynku, bez zamartwiania się o przyszłość — ani o nic równie istotnego...

Jack przewraca oczami i klepie się dłonią po ustach, udając, że ziewa.

—Cóż za nu-u-uda — mówi pogrzebowym tonem. — Nawet pięciu minut nie wytrzymacie.

—Daj spokój — włączam się, bo uznaję, że pora, żeby ktoś wstawił się za Susie. — Nie będzie tak źle.

Susie obejmuje mnie ramieniem i ściska w podzięce.

—Proszę — mówi. — Oto prawdziwy mężczyzna. Nie taki, jak wy, miastowe przystojniaczki.

W tej chwili staje mi przed oczami Susie, jaką ujrzałem wcześniej przy drzwiach: krótkie blond loki wystające spod zwariowanego aksamitnego kapelusza; wysoka i zgrabna; wspaniały, szeroki uśmiech. I ten jej akcent: słysząc go, można zwariować z zachwytu. Mówi jak Cerys, solistka Catatonii. W rzadkich momentach, kiedy nie rozmawialiśmy bezpośrednio ze sobą, obserwowałem ją bacznie kątem oka i zauważyłem, że ona robi to samo. Aż mi się robi od tego miękko w dołku.

—Wybaczcie, że się spóźniłam — głos H przerywa moje myśli. Stoi w drzwiach obok Amy. Jej twarz wygląda jak pośmiertna maska.

—Nic się nie stało -— odzywam się. — Siadaj. Choć obawiam się, że wszystko jest już zimne, ale niestety, kucharz musiał wyjść.

Uśmiecham się z trudem, mając nadzieję, że oficjalnie jej napad furii minął.

Jestem w błędzie. Kiwa głową, jakby tego właśnie oczekiwała, opada na krzesło i sięga po butelkę z wodą. Nalewa sobie pełną szklankę i wypija ją do dna. Nikt nic nie mówi. Zauważam spojrzenie Matta, które ma zapewne uświadomić mi, że jako gospodarz powinienem przerwać milczenie. Ponieważ jednak w głowie mam pustkę, odwracam wzrok i czekam, żeby ktoś słusznie zauważył, że lunch dobiegł końca.

Pół godziny później stoimy wszyscy na dole i wyglądamy na zewnątrz, gdzie leje jak z cebra.

—Dzięki, że przyszłaś — zwracam się do H. — I raz jeszcze przepraszam, że nie udało ci się skosztować jedzenia.

—Nie ma sprawy — bąka niewyraźnie, całuje mnie przelotnie w policzek i wychodzi na deszcz.

Matt chwilę spogląda za nią w milczeniu, po czym szepcze mi do ucha:

—Świetna jest, no nie?

Tym razem już głośno, zwraca się do wszystkich:

—Myślę, że na mnie też już czas.

Całuje na pożegnanie Amy i Susie, mnie i Jackowi ściska rękę,

—Zadzwonię do was obu w przyszłym tygodniu i dam wam znać, gdzie i kiedy spotkamy się na kawalerskim weekendzie.

Dogania H tuż przy parkingu i przez chwilę rozmawiają, stojąc w deszczu. Po chwili oboje wsiadają do spitfire'a Matta. Na dźwięk uruchamianego przez Matta silnika po plecach przebiega mi dreszcz, wywołany nagłym przypływem tęsknoty za moim porsche. Zabawne, jak trudno zapomnieć o niektórych rzeczach.

—Aj aj aj — mówi Jack bardzo dwuznacznym tonem, patrząc w ślad za odjeżdżającymi.

—Sooze — Amy ignoruje go całkowicie. — Podwieźć cię gdzieś?

—Och, kochanie, byłoby super. Zostawiłam swojego metro pod domem, więc chętnie zabrałabym się z wami na stację. Nie sprawi to wam kłopotu?

—No, coś ty. Przecież nie możemy pozwolić, żebyś kompletnie zmokła.

—Dzięki — mówi uradowana Susie. Po chwili z pełnym rozpaczy jękiem klepie się po głowie. — Co za pech. Posiałam gdzieś swój kapelusz.

Wciska mi swoją torbę do ręki i szybko odchodzi.

—Wracam za sekundę. Na pewno zostawiłam go na górze.

—Zaczekaj — woła za nią Amy. — Pójdę z tobą. Ledwie znikają na schodach, Jack trąca mnie w bok.

—No, Czajniku, chyba cię wzięło.

Rączka torby Susie jest jeszcze ciepła w miejscu, gdzie ona ją

przed chwilą trzymała. Czuję, jak moja własna dłoń instynktownie się wokół niej zamyka.

—No, dobra, Jack —- przyznaję się. — Nie ukrywam. Może choć raz w życiu wyjdzie na twoje.

—Hę? — Patrzy na mnie, niezbyt, zdaje się, rozumiejąc, co mam na myśli.

—Chodzi mi o Susie — przypominam mu. — Cieszę się, że ją poznałem...

—No widzisz — wykrzykuje z entuzjazmem. — Na dodatek jest taka sama puszczalska jak ty. Dobraliście się w korcu maku.

Jack nigdy nie przestanie mnie zadziwiać.

—Taka sama puszczalska — przedrzeźniam go. — Nie uważasz, że to jej prywatna sprawa?

—Nie, skoro nie przepuszcza żadnemu — odpowiada bez namysłu. — W ten sposób robi się z tego sprawa publiczna.

Podnoszę wzrok do nieba.

—Jasne, myślę, że zgodnie się nie zgadzamy w tej kwestii. Zanim Jack zdążył odpowiedzieć, zjawiają się dziewczyny.

Susie wymachuje w moją stronę kapeluszem.

—Zostawiłam go w klopie — woła do mnie. Nakłada kapelusz na głowę i bierze ode mnie torbę.

zabrzmiał trochę bardziej entuzjastycznie. Udaje mi się, co| z miejsca poprawia mi humor.

—Och, w najlepszym sklepie w mieście...

—A mianowicie? Uśmiecha się szeroko.

—Na moim straganie. Przy Portobello. W soboty rano. Mógłbyś kiedyś wpaść. Poczęstuję cię kawą.

Przekrzywia głowę i przygląda mi się z błyskiem w oku. — Zresztą i tak mogę cię poczęstować kawą. Albo nawet czymś lepszym, gdybyś miał ochotę.

—Bardzo to miłe z twojej strony, ale... Obdarza mnie tym swoim promiennym uśmiechem.

—Super. Co powiesz na dzisiaj? Wyluzujemy się, pośmieje-my. O której tu kończysz?

—Dzisiaj nie dam rady. Mamy imprezę w Muzeum Historii.: Naturalnej i muszę tam być za godzinę. Wątpię, czy uda mi się; wyrwać przed trzecią rano...

Patrzy na mnie, jakbym chciał się wyłgać. Ale mówię najszczerszą prawdę. Gwałtownie zastanawiam się nad inną możliwością, na próżno jednak. Z wyjątkiem kawalerskiego weekendu pracuję we wszystkie wieczory aż do ślubu Jacka i Amy. Przepraszająco wzruszam ramionami.

—W takim razie kiedy indziej... — podsuwa.

—Tak — potwierdzam i obejmuję ją na pożegnanie, całując w policzek. — Kiedy indziej na pewno.

H

Środa, godzina 15.30

— Podwieźć cię? — woła Matt i wymachuje kluczykami. Stoję na parkingu i przekopuję torbę w poszukiwaniu telefonu. Znowu jestem kompletnie przemoczona. Matt kiwnięciem głowy wskazuje zielonego spitfire'a, obok którego właśnie stoję.

Powinnam się była domyślić, że to jego samochód.

— Nie trzeba, wezwę taksówkę — mówię.

Co wcale nie znaczy, że nie chcę, żeby mnie podwiózł. Każdy iposób jest dobry, żeby się stąd wydostać i znaleźć w miejscu, o którym marzę. W moim własnym domu.

Bez towarzystwa.

Najlepiej jeszcze w suchych ciuchach.

— Daj spokój i wsiadaj — mówi. — Minie wieczność, zanim tuksówka tu trafi.

Niechętnie otwieram drzwi i staram się tak usiąść w kubełkowym siedzeniu, żeby kompletnie mokra spódnica nie zaplątała mi się wokół uszu. Z tyłu leży worek z kijami do golfa i Matt przesuwa go nieco, żebym miała więcej miejsca. Chyba chce zrobić na mnie wrażenie. Zapalając silnik, spogląda na mnie z wyczekującym uśmiechem, ale ja nie reaguję. Nienawidzę kijów do golfa, tak jak nienawidzę takich szpanerskich samochodzików. Nie jestem też pewna, czy zniosę bzdurną gadkę o niczym.

Rzygać mi się chce, że mam być miła. Rzygać mi się chce na każdą myśl o czymś miłym.

— Niezłe żarcie —rzuca Matt. — Nie uważasz?

Achhhhhhhhhhhhhhh!

Nie nazwałabym tego niezłym żarciem. Było w porządku, ale

prawdę powiedziawszy, weselne żarcie jest na ogół obrzydliwe. Wątpię, czy smakuje komukolwiek, nawet te rarytasy, według Stringerà warte trzech gwiazdek u Michelina. Uważam, że traci tylko czas. Kiedy już nadejdzie ten dzień, będziemy zdychali z nudów po wielogodzinnych sesjach zdjęciowych i marzyć nam się będzie tylko solidny drink, a nie jakiś tam obiad przy stole pełnym obcych ludzi, z Amy i Jackiem na honorowych miejscach.

Ale Mattowi nie mogę tego powiedzieć. Po pierwsze lubi Stringerà, po drugie nie ma przed Jackiem żadnych tajemnic i koniec końców wszystko doszłoby do Amy. A gdyby tak się stało, Amy natychmiast zmieniłaby całe menu, przyprawiając mnie przy tym o załamanie nerwowe.

— Nie byłam aż tak głodna — bąkam pod nosem.

Matt opiera rękę o oparcie mojego siedzenia, spogląda przez; miniaturową tylną szybę z plastiku i cofa. Samochód wydaje; gwiżdżący dźwięk. Gdzie mu tam do mojego.

Niech to szlag, do mojego byłego samochodu.

—Ostatnim razem, kiedy się spotkaliśmy, wyglądałaś inaczej — zauważa Matt i wrzuca bieg. Czuję na sobie jego wzrok, ale wolałabym, żeby skupił się na drodze. Jeden wypadek mi na dziś wystarczy. Poza tym nie chcę, żeby ktoś na mnie patrzył. Nie jestem pomalowana.

—Wtedy byłam zalana — przypominam mu.

—A dzisiaj jesteś wkurzona?

—Powiedzmy, że nie był to mój najlepszy dzień — mówię i zapalam papierosa.

Matt prowadzi jedną ręką.

—A co się stało?

—Skasowałam samochód, jeśli koniecznie chcesz wiedzieć.

—Pech.

Opuszczam trochę szybę i przez szparę wydmuchuję dym. Ale dym wraca do mnie, na dodatek czuję na twarzy krople deszczu. Matt jedzie w stronę Vauxhall Bridge. Kulę się na siedzeniu. Jakim prawem zachowuje się tak lekceważąco? Moje życie to żaden pech, to coś znacznie gorszego, czego on i tak nie jest w stanie zrozumieć.

Być może Matt wyczuwa moją irytację, bo zatrzymawszy się płynnie przed czerwonym światłem, wspiera się jedną ręką na kierownicy i obraca w moją stronę.

—Jak to się stało? — pyta łagodnie.

Ku mojemu zdumieniu jego troska nie wygląda na udawaną. Patrzy na mnie ze zmarszczonymi brwiami. Dopiero teraz zwraca moją uwagę kolor jego oczu — są intensywnie zielone z brązowymi plamkami.

—Jak co się stało? — pytam zniecierpliwiona. Co z tego, że jest prawnikiem, nie życzę sobie, żeby poddawał mnie krzyżowemu ogniu pytań. I nie dam się nabrać na jego udawane współczucie.

—Wypadek. Mogłaś przecież zostać poważnie ranna.

Z założonymi rękami wyglądam przez okno. Szybę pokrywają

krople deszczu i przyglądam się, jak co chwila któraś łączy się z drugą. Dopiero po chwili dostrzegam odbicie swojej twarzy z gniewnie ściągniętymi ustami.

—Nic mi nie jest.

—A inni?

—Jacy inni?

—Z samochodu, który w ciebie uderzył? — pyta i rusza spod świateł.

—Im też nic się nie stało — gram na zwłokę, gdy zjeżdżamy w stronę mostu.

—Jak rozumiem, spisałaś wszystkie dane?

Co on sobie myśli? Że jest jakimś inspektorem Mattem Daviesem? Zaciągam się papierosem i niecierpliwie tupię nogą.

—To trochę bardziej skomplikowane --mruczę, łudząc się, że wreszcie zrozumie i da mi spokój.

Niestety.

—Tym bardziej trzeba jak najszybciej wyjaśnić wszystko z firmą ubezpieczeniową.

—Zajmę się tym — mówię znacząco. Z zaciśniętymi wściekle zębami obracam się ku niemu.

—To dobrze — kiwa głową. — Takie sprawy potrafią wlec się miesiącami, zwłaszcza kiedy wypadek był nie z twojej winy.

—Wiem.

Chwilę jedziemy w milczeniu, a ja obserwuję pracujące na przedniej szybie wycieraczki. Wyrzucam papierosa przez szparę w oknie, chowam dłonie w rękawach i dygoczę z zimna.

—Gdybyś chciała, mógłbym ci pomóc w dochodzeniu odszkodowania —- wyskakuje z propozycją Matt. — Mam w tych sprawach pewne doświadczenie.

Czy on się nigdy nie zamknie?

Przekręcam się na siedzeniu, żeby móc patrzeć prosto na niego.

—Słuchaj, poradzę sobie. W wypadku brało udział więcej samochodów i to naprawdę jest dość skomplikowane...

—Ach, więc to była poważna kolizja? —- wchodzi mi w słowo i patrzy na mnie.

—Tak, dość poważna.

—To znaczy? Dwa, trzy samochody?

—Coś w tym stylu.

—Biedactwo. Nadjechali ze wszystkich stron?

— Dokładnie z tyłu, skoro jesteś taki ciekawy — cedzę przez zęby.

Znowu milknie na jakiś czas.

—To znaczy, że nie walnęłaś przy cofaniu w tył autobusu? Obracam się gwałtownie w jego stronę.

—Skąd wiesz?

W jego oczach widzę iskierki wesołości.

—Stringer podsłuchał twoją rozmowę z Amy. Stringer. Powinnam się była domyślić.

—Wspaniale! — wybucham.

—Uspokój się—chichocze Matt.—Nikomu nie powiedziałem. — Rzuca mi przelotne spojrzenie. — Ale to jest śmieszne.

—Mnie wcale nie wydaje się śmieszne — złoszczę się, choć wiem, że trochę przesadzam. Przyłapał mnie na kłamstwie, bo duma nie pozwalała mi się przyznać do tego, co zrobiłam. Matt ciągle się śmieje, a ja wbrew sobie, także zaczynam się uśmiechać. Walę go z całej siły w ramię.

—Przestań.

—Dużo samochodów i ludzi... volva, ciężarowy, kopary, wszystkie, panie policjancie, wjechały mi w dupę — przedrzeźnia mnie, za wszelką cenę starając się wyglądać śmiertelnie poważnie.

Choć tego wcale nie chcę, nie mogę się nie śmiać.

— No dobra, powiem szczerze, że trochę się wygłupiłam — przyznaję w końcu, zaskoczona ulgą, jaką odczuwam, gdy w końcu to z siebie wyrzuciłam. — Zwłaszcza kiedy wyskoczyłam z auta i je skopałam. W autobusie, w który walnęłam, było pełno ludzi i wszyscy widzieli, kiedy darłam się jak opętana.

Matt kręci głową i wciąż się śmieje.

—Olej to. Każdemu zdarzają się podobne wpadki.

—Naprawdę? Myślałam, że tylko mnie.

—Coś ty. Przypomnij sobie nasze ostatnie spotkanie. Prze-

cież zrobiłem wtedy z siebie kompletnego imbecyla! Nie uda ci się mnie pobić.

—Aż się krzywię na wspomnienie Matta wywijającego mną po całym parkiecie. Wtedy w nowo otwartym nocnym klubie, dokąd zabrałam Amy, żeby pomóc jej zapomnieć o Jacku, poznałam jego i właśnie Jacka. Przedtem nie widziałam ich w życiu na oczy, więc nie miałam pojęcia kim są- A kiedy Amy otrząsnęła się z pierwszego szoku wywołanego spotkaniem z Jackiem i zniknęła z nim, na nowo nawiązując przerwany chwilowo romans, ja zostałam zdana na Matta, wyraźnie zachwyconego takim obrotem sprawy.

—— Co racja, to racja—kiwam głową. — Wtedy rzeczywiście zachowałeś się jak kretyn.

—— A tak przy okazji, gdzie się zmyłaś? — pyta.

—— Po tym, jak wepchnęłaś mi język do gardła? — upewniam się, z satysfakcją dostrzegając na jego twarzy lekki rumieniec. — Poszłam do domu. żeby się wyrzygać.

—— Wielkie dzięki!

—Robi się jeszcze bardziej czerwony.

—— Nie cyganię. Podszedłeś mnie i czułam się jak idiotka. A zresztą, czego się spodziewałeś? Że pogodzisz Amy z Jackiem, a potem poderwiesz mnie? Miałeś nadzieję na grupowy seks? Osobiście nie wyobrażam sobie nic bardziej obrzydliwego.

—— Dobrze już, dobrze — podnosi obronnym gestem rękę. — Przyznaję, byłem kretynem.

—— OK. — Kiwam głową. — Przyjmuję.

—Zmienia temat i pyta o moją pracę, ale jestem tak zmęczona, że zbywam go zwykłymi bzdurami:

—— Pracuję w telewizji--- brzmi interesująco... ale jest wręcz przeciwnie — Wygłaszam wyuczone na pamięć frazesy.

—Wreszcie dojeżdżamy do Hammersmith Road i mówię mu, jak dojechać na moja. ulicę. Zatrzymuje się przed moim domem.

—— Tak — waha się przez chwilę. — Co robisz dzisiaj wieczorem?

—Wrzuca lewarek zmiany biegów na luz.

— Pracuję. Ten dzisiejszy lunch był mi nie na rękę.

—Rozumiem cię — mówi. Spogląda na ulicę przed sobą, potem odwraca się do mnie. — Chciałem cię zapytać, czy nie poszłabyś coś zjeść. Hm, ze mną?

Już mam go spławić lekceważąco, ale kątem okiem dostrzegam, że chyba się nie mylę. Dowala się do mnie.

O Jezu. Nie wiem, czy sobie z tym poradzę. W przypływie paniki kręcę pośpiesznie głową. Marzę tylko o tym, żeby się stąd wydostać.

—Może w takim razie kiedy indziej? — nalega. Własnym uszom nie wierzę. O Tj0 Tc (—) Tj0. Mo

Dopiero kiedy rozebrana staję pod prysznicem i oblewa mnie lodowaty strumień wody, przypominam sobie, że przecież wróciłam do domu wcześniej niż zwykle i nie włączyli jeszcze ciepłej wody.

Po prostu wspaniale.

Parszywe zakończenie parszywego dnia.

Zawijam się w ręczniki i włącznie z głową włażę pod kołdrę.

Skąd mogłam wiedzieć, o co chodzi Mattowi. Myślałam, że się do mnie dowala. Gadał takie rzeczy, i niestety nie trafił najlepiej.

Może jednak był to jedynie przyjacielski gest. A jeśli tak, to oczywiście znowu dałam plamę.

Z jękiem przewracam się na bok. Staram się jakoś sama przed sobą usprawiedliwić, ale brutalna prawda jest taka, że zachowuję się jak przewrażliwiona, za bardzo przeczulona na wszystko suka. A z Mattem nie powinnam zadzierać. Teraz będę się z nim widywać na okrągło. Nie tylko na ślubie, ale i potem także. Nie ma się co oszukiwać, kiedy Amy wyjdzie za Jacka, niezbyt często będę miała okazję widywać ją samą. A tam, gdzie jest Jack, najczęściej można też spodziewać się Matta. Co mi w sumie nie przeszkadza. Jest dość zabawny i chociaż na jego widok serce nie bije mi szybciej, trudno nazwać go quasimodo.

Ale i tak cała ta sytuacja przyprawia mnie o mdłości.

Autentyczne mdłości. Bo zanosi się na to, że będziemy jak dwie pary.

Nienawidzę par. Wszystkich i wszystkiego, co się z nimi wiąże. Tych platonicznych także. Nie mam ochoty żadnych par oglądać, a już z całą pewnością nie mam ochoty się w nie łączyć. Wypisuję się z tego.

Skąd ta nagła zmiana? Jeszcze nie tak dawno samotność nikomu nie przeszkadzała, teraz nagle każdy desperacko rozgląda się za partnerem. Najbardziej zaś martwi mnie, że wszyscy oni (nawet Amy, którą do tej pory uważałam za raczej niezależną osóbkę), nie wiadomo kiedy zaczęli myśleć w kategoriach „drugiej połowy".

Ja nie potrzebuję żadnej drugiej polowy. Sama w sobie sta[u] nowię doskonałą całość. Nie mam też ochoty na siłę szukać sobie osoby towarzyszącej po to jedynie, by zasłużyć na społeczną akceptację jako nie pozbawiony pary osobnik. Nie chcę tego i nic mnie to nie obchodzi. Na samą myśl o cudzych problemach robi mi się niedobrze. Marzę o samotnym życiu. Najlepiej gdzieś na Hebrydach, gdzie partnera szukać bym mogła co najwyżej wśród morskich fok. Wcale by mi to nie przeszkadzało, bo na własnej skórze się przekonałam, że życie we dwójkę nie zdaje egzaminu.

Zwłaszcza z mężczyznami.

Wtulam twarz w poduszkę i z całej siły zaciskam powieki, co i tak nie powstrzymuje napływających mi do oczu łez. Wstrzymuję oddech, na próżno jednak, bo nad wzbierającym szlochem nie udaje mi się zapanować. Choć tego nie chcę, zaczynam płakać. Bo to, co się dzisiaj stało, to jawna niesprawiedliwość. Chwytam się rękami za brzuch, ale to nie uśmierza bólu. Prawdziwego, rozdzierającego serce bólu, na który nie mam się komu poskarżyć i przed którym nie mam już siły dłużej się bronić. Przede wszystkim jednak jestem wściekła. Na siebie i na Brata.

Tak naprawdę winę ponosi właśnie Brat.

Dzisiaj rano byłam zawalona robotą; przed lunchem musiałam przygotować ostateczną wersję programu dokumentalnego przeznaczonego do emisji na jutro. Powiedziałam Bratowi, że idę sama do montażowni i zabroniłam sobie przeszkadzać, chyba że wyniknie jakaś naprawdę poważna sprawa.

Jakąś godzinę później, kiedy wszystko miałam już prawie gotowe, w drzwiach pojawił się Eddie.

—Masz jakieś wieści od prawników? — spytał.

Od dawna już czekaliśmy na decyzję w sprawie o zniesławienie, a prawnicy —jak to mają w zwyczaju — zwlekali.

—Chodź tu na chwilę — powiedziałam, gestem zapraszając go do środka. Cieszyłam się, że wpadł, bo chciałam zasięgnąć jego opinii o ostatecznej wersji programu. Przyprowadził ze sobą Lianne, która w czasie, gdy ja pokazywałam Eddiemu, co zrobi

łam, stała w drzwiach i bawiła się mankietem kolejnego nowego żakietu.

Nie zastanawiając się, co robię, włączyłam głośnik. Razem z nachylonym nade mną Eddiem przeglądaliśmy po kolei ujęcia.

—Nadszedł już ten fax? — zwróciłam się do Brata. Słyszałam, jak pospiesznie przegląda papiery.

—Mam tu tylko jeden — wybełkotał przez żutą właśnie gumę.

—Co w nim jest?

—Hm... Myślę, że powinnaś go raczej przeczytać, wygląda na dość poważną sprawę.

—Nie mam na to czasu. Ty mi go przeczytaj, OK?

—Ale...

Eddie pokazał coś na monitorze, więc wstałam z krzesła, robiąc mu miejsce.

—Brat, śpieszy mi się.

Eddie przesunął nieco telefon, żeby miał gdzie położyć swój notes, na wypadek gdyby chciał coś zanotować, nachyliłam się więc, żeby zwiększyć siłę głosu w głośniku.

—Droga H — zaczął Brat. — Tu jest tak napisane... Próbowałem się z tobą skontaktować... hm... ale najwyraźniej jesteś bardzo zajęta...

—Szybciej, Brat — wrzasnęłam i wykrzywiłam się do telefonu, co rozbawiło Eddiego.

—Hm... tego... chciałem, żebyś dowiedziała się tego ode mnie... ponieważ jednak nie odbierasz telefonów, tylko w ten sposób mogę...

Oboje z Eddiem spojrzeliśmy na telefon w przeczuciu nadciągającego nieszczęścia.

—Miałaś rację — głos Brata wciąż dobiegał z głośnika. — Hm... Miałem... miałem romans z Lindsay... hm... koleżanką z pracy i... i zamierzamy się pobrać... Pomyślałem, że powinienem cię zawiadomić...

Eddie chrząknął głośno, poza tym jednak w pomieszczeniu panowała cisza, bo Brat umilkł.

—To od Gava — dodał po chwili, zupełnie niepotrzebnie. — Nic więcej nie przyszło.

—Żadnych wiadomości od prawników? — spytałam, starając się, aby zabrzmiało to jak najspokojniej.

—Czy to nie twój były? — Brat najwyraźniej nie usłyszał mojego pytania.

Rzuciłam się i wyłączyłam głośnik.

—Żadnych wieści — zwróciłam się do Eddiego, dając mu do zrozumienia, żeby nie był zbyt dociekliwy. Policzki mi płonęły.

— Wygląda to nieźle — powiedział, wskazując na monitor. — Później pogadamy.

Lianne posłała mi współczującą minę i wyszła z Eddiem, cicho zamykając za sobą drzwi.

Opadłam na krzesło, czując się, jakby ktoś mnie postrzelił.

Po jakimś czasie zadzwonił telefon.

—Czego? — warknęłam do słuchawki.

—Nie idziesz na lunch ze swoimi przyjaciółmi? — spytał Brat żałośnie współczującym tonem. — Spóźnisz się.

Jęknęłam i z trzaskiem odłożyłam telefon.

Wyszłam z budynku i pognałam za róg, gdzie przy parkometrze stał mój samochód. Wrzuciłam wsteczny bieg i z całej siły nacisnęłam pedał gazu. Do tylu, oczywiście nie popatrzyłam, co zresztą chyba i tak niewiele by zmieniło. Musiałam w niego walnąć.

W numer 38.

Następnego ranka zjawiam się w pracy późno. Prawie w ogóle nie spałam. Przynajmniej tak mi się wydaje. Długo i gorzko płakałam, chociaż w samotności trudno oddawać się na dłuższą metę rozpaczy. Poczułam się głupio, więc przestałam i od tej chwili trwałam w półprzytomnym otępieniu.

Przez chwilę siedzę w biurze, odpalając jednego papierosa od drugiego i w wyobraźni odgrywając różne psychodramy. W każdej z nich zmierzam do konfrontacji z Gavem, ale jakoś trudno mi osiągnąć cel, bo ilekroć wyobrażam sobie jego twarz, myśli mi się rozbiegają.

O dziesiątej rozlega się pukanie do drzwi i wchodzi Brat z filiżanką kawy.

—Naprawdę nie miałem pojęcia — zaczyna idiotycznie. — Że Eddie i że... — nie kończy i stawia przede mną filiżankę, jakby podawał jedzenie siedzącemu w klatce krwiożerczemu lwu.

Całe biuro pewnie już huczy. Założę się, że Lianne nie mogła się doczekać, żeby powiadomić każdego, jak leci. Suka.

—Że co, Brat? — pytam i przysuwam filiżankę bliżej siebie. — Że postanowiłeś na głos, przed połową biura przeczytać fax od mojego byłego chłopaka, w którym nie tylko zawiadamia mnie o swoim ślubie, ale też o tym, że mnie zdradzał?

Ręce Brata wykonują jakieś nieskoordynowane ruchy.

—A skąd niby miałem wiedzieć? Opada mu dolna warga.

—No tak, nie miałeś skąd — mówię, już nieco łagodniej. Brat pociąga nosem, a na jego ustach pojawia się coś jakby uśmiech.

—Paskudnie z jego strony... że wysłał ci fax — zauważa i sam sobie potakuje głową.

—Masz rację — zgadzam się z nim i upijam łyk kawy.

—Co chcesz z tym zrobić? — pyta.

Patrzę na niego długo i przygryzając wargę, zastanawiam się.

—Siadaj — ruchem głowy wskazuję mu krzesło po drugiej stronie biurka. Rzucam mu notes i ołówek. — Zapisz, co ci podyktuję.

Brat siada na krześle i z chybocząym mu na kolanie notatnikiem wygląda jak wyjątkowo nieporadna sekretarka.

—Fax — zaczynam. — Do pana Gava Wheelera od Helen Marchmont.

Kładę nogi na biurku, opieram się wygodnie i zapalam papierosa.

—Datę i całą resztę dopiszesz sam — dodaję i przyglądam się, jak Brat z wysuniętym językiem pracowicie wszystko zapisuje.

—Gratuluję zaręczyn — zaczynam. — Miło, że w ten sposób

mnie zawiadomiłeś. — Zaciągam się papierosem. — Życz ode mnie brzyduli Lindsay wszystkiego najlepszego i przekaż moje współczucie z powodu szkaradnego pierścionka zaręczynowego.

Brat podnosi na mnie wzrok, ale gestem nakazuję mu pisać dalej.

—Założę się, że po roku się z tobą rozwiedzie — przerywam na chwilę, żeby Brat nadążył za mną.

—Rozwiedzie pisze się przez „z" czy „s"? — pyta nieśmiało.

—Z.

—Na pewno tego chcesz?

—Jeszcze nie skończyłam. Zaciągam się głęboko papierosem.

—Nie sądź jednak, że przemawia przeze mnie gorycz — ciągnę, wydmuchując potężną chmurę dymu. — Wręcz przeciwnie, rozsadza mnie radość, że uwolniłam się...

—Zwolnij! — krzyczy Brat, bazgrząc jak oszalały, ale dostałam weny twórczej.

—...od twoich kłamstw i twojego żałosnego... — milknę na chwilę, w koniuszku papierosa szukając natchnienia — ...niezdarnego penisa—kończę myśl. — Założę się, że Lindsay zgodzi się w tym ze mną.

—H! — nie wytrzymuje Brat.

—Co?

—Nie uważasz, że to trochę... no wiesz, zbyt ostro powiedziane?

—Uważam, że bardzo rozsądnie. I szczerze — dodaję. Zdejmuję nogi z biurka i gaszę papierosa. Przerzucam notes z numerami na biurku.

—Wyślij to na główny numer biura, dobrze? — proszę i bazgrzę numer do Gava na karteczce. — Och, i nie zapomnij o kopiach do jego działu. Jeżeli odpowie albo zadzwoni, nie chcę o tym wiedzieć.

Brat siedzi jak zamurowany i gapi się na mnie.

—No, rusz się — ponaglam go i macham w jego stronę karteluszkiem z numerem, który przykleił mi się do palca.

Brat jest wyraźnie zniesmaczony, kiedy bierze go ode mnie.

—Wiedźma — mruczy pod nosem i szurając nogami wychodzi z pokoju.

—Dobrze mówisz, słoneczko — uśmiecham się złośliwie.

Na piątkowy wieczór przyjmuję zaproszenie Amy i Jacka do „Niebieskiej Róży". Trochę mi wstyd, że w środę byłam w takim podłym nastroju, więc dzisiaj powinnam się postarać. Ponieważ w niedzielę jadę do Paryża na spotkanie z Laurentem, humor zdecydowanie mi się poprawił, może więc uda mi się tym razem wypaść lepiej.

Lubię „Niebieską Różę". To ulokowany nad rzeką pub, w którym przesiedziałyśmy z Amy niejeden wieczór przy stoliku na zewnątrz albo w środku, na naszej ulubionej kanapie przy kominku. Kiedy wchodzę, Amy siedzi właśnie na niej. Ma zamknięte oczy i błogo się uśmiecha, a Jack pieści ustami jej ucho i coś do niego szepcze. Amy wzdycha i obraca się, żeby go pocałować.

Stoję chwilę przy drzwiach i przyglądam im się z przechyloną na bok głową. Całowanie to bardzo dziwne zajęcie. Kiedyś rzuciłam na sześć miesięcy palenie i pamiętam, że widok ludzi zapalających papierosa wprawiał mnie w niekłamane zdumienie. Chociaż wcześniej (tak jak teraz) byłam uzależniona od diabelskiego zielska, nie mogłam pojąć, jak ktoś może ssać coś, co się pali. Ponieważ od wieków nie całowałam się z nikim, na kim mi zależy, w tej chwili, patrząc na Jacka i Amy, nie mogę oprzeć się podobnemu uczuciu. Dlaczego oni to robią? Czy to im sprawia przyjemność? Czy Amy rzeczywiście to lubi? Zwłaszcza że Jack nie wydaje się w tym najlepszy. Nie ma nic gorszego niż facet, który nie umie się całować. Przynajmniej w tym względzie nie mogłam się uskarżać na Gava.

Ale nie będę teraz myśleć o Gavie.

Dupek.

—OK, OK, wystarczy tego — mówię i przyciągam sobie do stolika barowy stołek.

Amy odsuwa się od Jacka i chichocze.

—Zzieleniałaś z zazdrości, co? — pyta Jack.

—Nie jestem porzeczką, Jack. Zrobiło mi się tylko niedobrze.

—Nieprawda, zżera cię zazdrość — ćwierka Amy i nachyla się, żeby pocałować mnie na powitanie.

Robię skrzywioną minę.

—Pożycz mi go — ruchem brwi pokazuję Jacka.

Jack mruczy lubieżnie, rzuca się na mnie i całuje, śliniąc mi cały policzek. Pokazuję mu język i ostentacyjnie się wycieram.

—Przecież wiesz, że H nie znosi publicznego okazywania uczuć — Amy opieprza Jacka.

—Powiem szczerze. Jeśli macie się ochotę bzykać, idźcie do domu albo przynajmniej na tył knajpy. Mną się nie musicie krępować.

—Nie możemy — mówi Jack. Oboje z Amy uśmiechają się do siebie z pełnym frustracji współczuciem. — Czerwony dzień.

O Boże, znowu? Amy miewa tyle czerwonych, zielonych i żółtych dni, że czasem mam wrażenie, jakby większość czasu była uliczną sygnalizacją świetlną. Nie raz natknęłam się u niej w łazience na upokarzające, wszystko widzące i wszechwiedzące urządzenia do wykrywania ciąży i miałam szczerą ochotę narobić z nimi trochę zamieszania, tak tylko, dla kawału. Ciekawe, co by było, gdybym zamoczyła jeden z tych jej testów w psich sikach?

—No wiesz, teraz produkuję jajeczko — wyjaśnia Amy. A cóż ona jest, kura?

—Znoszę jajko, znoszę jajko — drażni się z nią Jack i wstaje. Cieszy mnie, że on także nie traktuje owulacji Amy serio.

—Drinka? — zwraca się do mnie.

—Wódkę z tonikiem poproszę.

—Mogę pożyczyć twoją komórkę? — pyta, rzucając Amy spojrzenie.

Nie mam pojęcia, co ono oznacza, ale wiem na pewno, że Jack coś kombinuje.

—Jasne.

Wyciągam telefon z kieszeni dżinsów i podaję go Jackowi, który znika przy barze.

— Lepiej się już czujesz? — pyta Amy i nachylając się, kładzie mi rękę na kolanie.—W środę wyglądałaś raczej kiepsko.

—Wybacz -— bąkam. — Miałam zły dzień. Patrzy na mnie wyczekująco.

—Chodzi tylko o samochód? Biorę głęboki oddech.

—Gav się żeni.

Jest autentycznie wstrząśnięta i z troską ściąga swoje świeżo wyskubane brwi.

—Dlaczego mi nie powiedziałaś?

—Miałaś dość spraw na głowie... próbny lunch i ja...

—H! Jesteś moją najlepszą przyjaciółką. Ja mówię ci o wszystkim. Zawsze możesz na mnie liczyć, ty kretynko.

Kiwam głową i spuszczam wzrok, wpatrując się w swoje dłonie.

—Przysłał mi fax.

—Co zrobił?!

—Zawiadomił mnie, przysyłając fax.

Amy chwyta mnie za rękę i przyciąga do siebie, na kanapę.

—Moje biedactwo — mówi ze współczuciem i mocno mnie obejmuje. — Tak mi przykro.

—Nieważne — powiadam, wyswobadzając się z jej ramion. — Trochę mnie to ""walnęło, ale teraz jest już OK.

Opowiadam jej o faksie, który wysłałam Gavowi w odpowiedzi. Śmieje się rozbawiona.

—Nigdy już nie waż się nie powiedzieć mi, co się dzieje — mówi na koniec. — Tutaj. — I dotyka swoim czołem mojego.

—Wrrr — kwituję z uśmiechem.

—No, to rozumiem — mówi i całuje mnie w policzek.

—Coś pięknego. Panienki w akcji—kiwając z politowaniem głową, przerywa nam Jack, który wraca właśnie ze szklaneczką wódki i butelką toniku.

—Idiota — oburza się Amy. Prostuje się na kanapie, wciąż trzymając mnie za rękę. Jack z głupkowatą miną odkłada moją komórkę na stół.

—Zdrowie — mówię i wlewam sobie do szklanki tonik. — Zalejmy się w trupa.

Kończę właśnie drugą wódkę, gdy zjawia się Matt, serdecznie witany przez Jacka. Jest wyraźnie zdziwiony, widząc mnie.

Robię pytającą minę do Amy, ale ona tylko wzrusza ramionami, równie zaskoczona.

—Przyniosę sobie coś do picia — bąka Matt, starannie unikając mojego wzroku.

—Pójdę z tobą — proponuję. Robię wielkie oczy do Jacka i wstaję, żeby pójść za Mattem do baru.

Wciąż jeszcze ma na sobie garnitur i wygląda na zmęczonego. Na jego brodzie widać cień zarostu. Zamawia dla nas drinki i opiera się o bar.

—Matt — zaczynam. — Tamtego dnia... Patrzy na mnie chłodno.

—Nie mówmy o tym. Nie chcesz, żebyśmy byli przyjaciółmi — nie ma sprawy. Słowo.

Płaci za drinki i kiedy wrzuca resztę do kieszeni, ja nerwowo bawię się tekturową podstawką.

—Ale ja chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi — mówię i nagle czuję, że jestem zdenerwowana. — Po prostu palnęłam głupstwo. Byłam w fatalnym nastroju i naprawdę bardzo mi przykro.

Patrzę na niego, starając się opanować. Taka pokora nie jest w moim stylu.

—Nie powinnam była mówić, że się do mnie dowalasz. To było nie w porządku i nie chciałabym, żebyśmy się czuli niezręcznie w swoim towarzystwie, zwłaszcza że niedługo ma być ten ślub.

Czekam, żeby coś powiedział, i naprawdę czuję się upokorzona. Zakładam ręce na piersiach i wciąż czekam na choćby jedno jego słowo, on jednak milczy. Spogląda na mnie spod przymrużonych powiek. Nagle widzę, jakby coś mu utknęło w gardle, i myślę sobie, że zaraz kichnie.

Wykrztusza coś niezrozumiałego i odwraca wzrok.

—Słucham? — pytam, nachylając się ku niemu.

—Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia—mówi w końcu.

—Ja też — odpowiadam, ale jego ton mnie zaskakuje.

— Prawdę powiedziawszy, ja także czułem się niezręcznie — odzywa się. — Bo, na pewno przyjmiesz to z ulgą, ty także mi się nie podobasz. Nie zrozum mnie źle, H, po prostu nie jesteś w moim typie.

Matt łapie gwałtownie swoją szklankę i oblewa sobie rękę. Przykładają do ust.

—Wybacz — mówi ze wzruszeniem ramion.

Gapię się jak sroka w gnat na jego mokrą dłoń, a potem odprowadzam go wzrokiem, gdy wraca do Jacka i Amy. Co takiego?

Co to ma znaczyć, że mu się nie podobam? A to czemu?

Czy coś jest ze mną nie tak?

Ruszam w ślad za nim, zakłopotana, upokorzona i wściekła jednocześnie. Naprawdę myślałam, że tam, w samochodzie się do mnie przystawiał, i uznałam, że jeśli przeproszę go za swoje zachowanie, przestanie czuć się zakłopotany i wszystko jakoś się ułoży. Taka się sobie wydawałam dzielna i nieustraszona, teraz jednak, kiedy tak bez ogródek powiedział mi, że mu się nie podobam...

O mój Boże. Sprawa jest poważna. Nie tylko zapadłam na chroniczną samotność, to jeszcze straciłam zdolność odczytywania wysyłanych przez facetów znaków. Najpierw sądziłam, że Gav prześladuje mnie telefonami, bo chce, żebyśmy znowu byli razem, a teraz to.

A jeśli naprawdę ją utraciłam? Zawsze uważałam się za znawczynię ludzkich charakterów, najwyraźniej jednak byłam w błędzie.

Amy i Jack siedzą razem na kanapie, muszę więc zająć miejsce obok Matta. Noga mojego krzesła zaczepiła się o dywan i nie mam jak zwiększyć dzielącej nas odległości. Ale kogo to obchodzi? Bo Matta na pewno nie.

— Ładnie razem wyglądacie — mówi Jack, stukając się

z Mattem szklankami. Amy uśmiecha się promiennie i mam wrażenie, że jeszcze chwila, a pozdrowi nas królewskim skinieniem dłoni. „Mój mąż i ja radujemy się, że taka z nas wspaniała paczka przyjaciół i pragniemy pobłogosławić wszystkie pary, którym układa się równie świetnie, jak nam..."

Ku mojemu zdumieniu Matt odbiera to chyba tak samo.

—Skończcie z tym, oboje — mówi ostrzegawczym tonem. Posłusznie stosują się do jego życzenia i ledwo dają nam

spokój, Matt zaczyna się zachowywać, jakbyśmy znali się od wieków. Urządzamy konkurs na najgorszą piosenkę w szafie grającej i wlewamy w siebie hektolitry drinków. Może pod wpływem alkoholu wyostrza mi się wzrok, bo dostrzegam coraz więcej rzeczy u Matta: jego różowo-białe paznokcie, sposób, w jaki zarost pokrywa mu brodę, pieprzyk na uchu, kępkę ciemnych włosów, która ukazuje się, gdy rozpina guzik pod szyją i rozluźnia krawat i rozjaśnioną uśmiechem twarz. Ale takie szczegóły zauważa się chyba, gdy druga osoba jest dla nas niedostępna.

W końcu rozlega się gong oznaczający, że pora zamawiać ostatnie drinki.

—Idziemy spać — Amy szarpie Jacka za rękaw.

—Już, tylko dopiję — mówi Jack, troskliwie trzymając szklankę z resztą piwa.

—Rano mam przymiarkę i muszę wcześnie wstać. Podobnie jak ty—zwraca się do mnie ostrzegawczym tonem. Jest obrzydliwie trzeźwa. — Przyniosłaś szczegóły dotyczące weekendu? — pyta.

—A, rzeczywiście — bełkoczę i wykopuję z torby dwie koperty formaty A4. — Jedna dla ciebie, druga dla Susie.

—Dasz jej to jutro — mówi Amy, biorąc jedną kopertę, a drugą wkładając mi z powrotem do torby. Chwyta Jacka i podrywa go na nogi.

—Widzimy się rano — dodaje i całuje nas oboje z Mattem na pożegnanie. Jack macha do mnie, a Matta wali z całej siły w plecy.

Po ich wyjściu Matt zwraca się do mnie:

—Czy panienka wypije strzemiennego? — pyta, udając szkocki akcent.

—Jasne — odpowiadam ze śmiechem i opadam na kanapę. — Doskonały pomysł.

Poduszki wciąż są jeszcze ciepłe w miejscu, gdzie przed chwilą siedziała Amy. Prawdę mówiąc, jeszcze jeden drink to chyba ostatnia rzecz, jakiej teraz potrzebuję, bo nawalona jestem jak kopaczka, ule z drugiej strony na samą myśl, żeby stąd wyjść, robi mi się słabo. Po chwili zjawia się Matt z drinkami i siada obok mnie, na kanapie.

—Zachowują się, jakby małżeństwem byli od dawna — mówi, skinieniem głowy wskazując drzwi, przez które parę minut temu Amy wypchnęła Jacka.

—Nie do końca. Gdybyś ich widział, kiedy tu przyszłam. Gorzej niż małolaty. W zasadzie pożerali się nawzajem.

—Fuj! Paskudztwo. — Matt robi śmieszną minę i trąca się ze mną szklankami.

—Ludzie, którzy się całują, wyglądają okropnie dziwnie. Te wy walone języki i w ogóle.—Śmieję się. Sama wysuwając język, daję wyraz obrzydzeniu.

Matt wybucha śmiechem.

—Za moich czasów robiło się to zupełnie inaczej.

—A kiedy to było?

—Już nie pamiętam. Dzisiaj oglądam czarno-białe filmy i stąd o tym wiem.

—Ach, ale w starych filmach nie całują się tak jak trzeba. Tylko dotykają się ustami, o tak — i zanim dociera do mnie, co robię, nachylam się i przyciskam swoje wargi do ust Matta.

—Widzisz, to żaden pocałunek — blefuję, ale kiedy patrzę na niego, serce zaczyna walić mi jak oszalałe.

Albo jestem monumentalnie zalana, albo... albo...

—Ta-ta-ta — nie zgadza się Matt. — Oni się całowali, po prostu nie otwierali przy tym ust.

Nachyla się nade mną i delikatnie przyciska swoje usta do moich, a po chwili równie delikatnie rozsuwa mi wargi koniuszkiem języka.

Jest to najdelikatniejszy pocałunek pod słońcem i poddaję mu się, jakbym opadała na mięciuteńką poduszkę.

—Proszę bardzo — odsuwa się ode mnie, jak gdyby nic się nie stało.

—To było do kitu—mówię piskliwie.—Tak się to powinno robić.

I łapię głowę Matta, przyciągam do siebie i całuję go, tyle że dużo mocniej. Tym razem trwa to o wiele dłużej, przywieram do niego, cała rozpalona, a w głowie mam galopadę myśli:

Całuję się. Wciąż jeszcze wiem, jak się to robi.

Całuję Matta. On też wie, jak się to robi.

Chwila moment, robi to dobrze... bardzo dobrze...

Matt odsuwa się nieco i uśmiecha się do mnie. Odwzajemniam uśmiech i myślę sobie, ale ubaw. Wisi mi to. Mam też gdzieś konsekwencje. Jestem cudownie zalana i w tej chwili nic poza tym się nie liczy. I nic poza tym mnie nie obchodzi.

Poderwałam faceta. Jeszcze potrafię.

—Nie nadawalibyśmy się do filmu — mówi w końcu Matt i chwytając mnie za rękę, pomaga mi wstać.

—Chyba nie — zgadzam się i biorę żakiet.

—Żeby wszystko było jak należy, potrzebna jest chemia — stwierdza i patrzy mi prosto w oczy. Wiem, co ma na myśli. Wiem, co mi proponuje.

Znowu się całujemy, tym razem znacznie gwałtowniej. Wytaczamy się przez drzwi. Nie wiem, kto kogo prowadzi, ale nic mnie to nie obchodzi, bo dochodzę do wniosku, że być może to właśnie jest mi teraz potrzebne.

—To dobrze, że się sobie nie podobamy — udaje mi się powiedzieć między pocałunkami.

—Ja też ci się nie podobam? — pyta Matt i chwyta mnie mocno za tył głowy.

—Nie, napawasz mnie obrzydzeniem—odpowiadam i łapię go za tyłek.

—Uczucie odwzajemnione — mruczy i wsuwa mi rękę pod koszulę.

—Całe szczęście — mówię bez tchu, bo czuję, że nieomal unosi mnie w powietrzu. — Chodźmy do ciebie.

SUSIE

Sobota, godzina 8.30

Od ubiegłego tygodnia podjęłam kilka życiowych decyzji. Pierwsza na mojej liście brzmi: 1. Zmienić wszystko. I jest podkreślona.

Oto nowa j a. Stanę się innym człowiekiem. Chwilowo zrezygnuję z dotychczasowych przyzwyczajeń, byle tylko mi się udało.

Dzisiaj nie wybieram się na Portobello, ponieważ idę z Amy przymierzać suknie na ślub. Ziewam dekadencko, mając w perspektywie dwie błogosławione godziny, które mogę poświęcić wyłącznie dla siebie, a nie jak zwykle, na walkę z furą kretyńskich kapeluszy i flirty z Dexterem.

Zniknęła dawna ja.

Pojawiła się nowa.

Zakładam okulary i sięgam po leżący obok łóżka notes. Otwieram go na czystej stronie. Przez cały tydzień udawało mi się skrupulatnie prowadzić dziennik snów i bardzo jestem z siebie zadowolona. Trudno powiedzieć, czy coś z tego wyniknie, ale być może z czasem wszystko stanie się jasne. Tym bardziej że moje sny są raczej zagmatwane. Nie byłoby problemu, gdybym śniła o jednej rzeczy albo przynajmniej na jakiś określony temat. Niestety, moje sny to w żaden sposób nie powiązane ze sobą epizody. Czasem mi się wydaje, że noc spędziłam na skakaniu z kanału na kanał, żadnego programu nie obejrzawszy od początku do końca. Być może psychologia zna pojęcie niecierpliwego marzyciela sennego.

Biorę różowy cienkopis, ale ponieważ mój uchwyt jeszcze się nie obudził, dzisiejszy zapis jest trochę chwiejny i brzmi następująco:

„Chowam się za mrożonymi kurczakami w czasie strzelaniny w Woolworths. *(Ratują troje dzieci i Jacka Russela.)* Pacyfikuję spanikowaną matkę, gdy babcia *(lat 87)* instaluje w swoim domku jacuzzi z lustrami. Mama zaprasza mnie do siebie z jakimś tajem

niczym mężczyzną...? Zielone ufoludki podżegają do bitwy na jedzenie w stołówce szkoły podstawowej *(powtórzony sen)*. Tym razem ginie pani Jones, która wydaje posiłki. Maude *(w połowie kobieta, w połowie Richard Branson)* i ja na jachtowych regatach dookoła świata *(strasznie mokro)*. Zamienia się w... liczenie guzików w fabryce. Rozlega się ryk syreny na przerwę, ale mnie nie wolno wyjść. *(Bardzoprzygnębiające.)"*

Z grubsza rzecz biorąc, z wyjątkiem ostatniego snu, w którym bez wątpienia chodzi o pieniądze, jako że ostatnio znowu jestem bez pracy, cała reszta dotyczy zwycięskiej walki z demonami i znalezienia społecznie akceptowanego kochanka. Gryzę już pogryziony plastikowy koniec mojego cienkopisu i studiuję to, co przed chwilą zapisałam. W sumie nieźle. Stawiam minionej nocy siedem punktów na dziesięć możliwych. Przeglądam wcześniejsze notatki. Siedem to świetny wynik. Ocena moich snów, która ' szczerze powiedziawszy, jest wysoce subiektywna, systematycznie się poprawia, a to oznacza, że mój program Zmień Swoje Życie wyraźnie zdaje egzamin.

Minął ledwie tydzień, a ja już zmieniłam się nie do poznania.

Wszystko zaczęło się we wtorek. Wzięłam się do sprzątania. Gdy robiłam porządek w pokoju Maude i Zip, dopadła mnie okropna tęsknota za nimi. Nagle obok ich łóżka natknęłam się na kopertę. „Nie myśl sobie, że celnicy w LA przymykają na to oko! Dobrej zabawy!" — brzmi nabazgrany na niej napis. W środku była cała żelazna rezerwa moich byłych współlokatorek. Powąchałam zawartość koperty. Świństwo. I do tego mocne.

Już miałam wszystko wyrzucić, ale przypomniała mi się Maude i pomyślałam sobie: czemu nie? Postąpiłabym wobec niej nieładnie. Wyłączyłam więc odkurzacz, zaparzyłam dzbanek herbaty i walnęłam się przed telewizorem.

Picie nie idzie mi najlepiej, za to uwielbiam ćpać w samotności. Nie trzeba było długo czekać, gdy wydzierałam się do ludzi występujących w programie, udzielając im rad i podziwiając swój dowcip i błyskotliwość. To u mnie norma po prochach: zawsze

wtedy przychodzą mi do głowy najdziksze pomysły i czuję, że potrafię znaleźć rozwiązanie najbardziej uciążliwych problemów. Szkoda tylko, że jestem wtedy tak naćpana, a potem niczego nie pamiętam.

Dwie godziny później, gdy już w zasadzie odpływałam, zorientowałam się, że gapię się bezmyślnie w ekran i niepokojąco dobrze dogaduję się z Teletubisiami. One mówiły do mnie. Właśnie do mnie! A ja doskonale wszystko rozumiałam. La-la tłumaczyła mi, że Dipsy jest protofaszystą i planuje przejąć kontrolę nad całym miastem Tunbridge Wells, zrobić pranie mózgów wszystkim mieszkańcom, po czym 31 grudnia 1999 roku zrzucić ich na spadochronach na Parliament Square, żeby zdążyli wysadzić w powietrze Big Bena, zanim biciem ogłosi początek nowego milenium, zatrzymując w ten sposób czas i raz na zawsze rzucić maszerującą niepowstrzymanie demokrację na kolana.

Zdobywszy tak niezwykłej wagi informację, postanowiłam zrobić sobie jeszcze jednego skręta. Zaczęłam więc bezmyślnie szukać kawałka papieru i znalazłam ulotkę Odmień Swoje Życie, którą poprzedniego dnia na Heathrow ktoś wetknął mi za wycieraczkę. Zdążyłam oderwać od niej jeden róg, kiedy w końcu odlepiłam wzrok od ekranu i uświadomiłam sobie, co trzymam w ręce.

Pięć minut później, gdy Teletubisie się skończyły, podczołga-łam się do telewizora i wyłączyłam go. Maude i Zip na pewno w tej chwili lądują w Los Angeles. A ja co? Leżę na podłodze w poniedziałkowe popołudnie i zachowuję się gorzej niż studentka.

„Zacznij działać od zaraz" — radziła ulotka.

Postanowiłam, że pojadę autobusem.

Uwielbiam autobusy. Uważam, że są cudowne. To dzięki nim Londyn jest takim wspaniałym miastem. Włączyłam walkmana, usiadłam na piętrze z przodu i w zachwycie błądziłam wzrokiem po mijanych miejscach. Przerwał mi dopiero konduktor, który klepnął mnie w ramię i powiedział:

— Południowy Kensington, słonko. Pora wysiadać.

Biuro programu Odmień Swoje Życie znajdowało się na parterze

obskurnego domostwa nieopodal Muzeum Nauki. Gdy wlazłam do pokoju, w rozklekotanych fotelach siedziało w nim już sześ- wyraźnie zdenerwowanych osób. Wszyscy mieli przypięte ety kietki, na których ktoś pismem nauczycielki ze szkoły wypisał ich; imiona.

—Ja... tego... no... przyszłam — wydukałam, uśmiechając się głupkowato do zwróconych w moją stronę twarzy.

—- Witamy w OSŻ. Zjawiłaś się w samą porę — powitała mnie kobieta, która na mój widok zerwała się z krzesła przy oknie Spojrzałam zezem na przypiętą do jej moherowego swetra ety- kietkę. — Jestem Claire. Opiekunka waszej grupy.

Claire miała mysie włosy spięte gumką w kucyk i nosiła okrągłe okulary w metalowej oprawce, trzymające się na odstających uszach. Sprawiała wrażenie, jakby o wiele lepiej się czuła, prowadząc zajęcia z poezji w jakiejś obskurnej bibliotece niż kursi motywacji osobistej.

—Przekraczając ten próg, zrobiłaś pierwszy, najważniejszy; krok do osiągnięcia tego, czego pragniesz naprawdę — wyrecytowała głosikiem małej dziewczynki, mrugając jak złapana w pułapkę mysz.

—OK... — Kiwnęłam głową i opadłam na zakurzony fotel, uświadamiając sobie, że wciąż jeszcze jestem nieźle zaprawiona.

Claire podała mi etykietkę i chrząknęła.

—Zanim przejdziemy do rzeczy — zaczęła, posyłając każdemu z nas po kolei promienny uśmiech. — Załatwmy sprawę pieniędzy, dobrze. Żebyśmy potem mogli już bez przeszkód zając się odmienianiem waszego życia.

Byłam tak naćpana i zadowolona i tak mi się wygodnie siedziało w fotelu, że nawet nie wiem, kiedy wyciągnęłam książeczkę czekową.

—Przekonacie się — zapewniała nas Claire, składając przed sobą ręce jak nauczycielka ze szkółki niedzielnej — że będą to najlepiej w waszym życiu wydane pieniądze. Program OSŻ gwarantuje, że jeżeli pod koniec kursu nie odmienicie swego życia,; pieniądze zostaną wam zwrócone w całości.

—Na pewno nie będziesz żałować — rozpromieniła się Claire, gdy wręczałam jej nieczytelnie wypisany czek i podała mi Świadectwo Gwarancji Odmiany Życia. Wszystko mi się na nim zamazywało, bo zapomniałam okularów, ale nie miało to dla mnie znaczenia. Tyle samo kosztował mnie miesięczny czynsz, skoro jednak mi gwarantowali... czym się tu przejmować? Zrzuciłam buty i podwinęłam nogi pod siebie, gotowa do nauki.

Jakąś godzinę później siedziałam całkowicie pochłonięta rozwojem sytuacji. Poznaliśmy historię Angie, która rozpaczliwie pragnęła odejść od męża brutala i czuła, że wszystko musi zacząć od nowa, i Geralda, starającego wyzwolić się od koszmarów przeszłości. Coraz bardziej utwierdzałam się w przekonaniu, że uczestniczę w czymś o niebo lepszym niż wszystkie programy Jerry'ego Springera, Rikki Lane'a i Oprah razem wzięte.

—Dobrze — westchnęła Claire. — Michaela. Powiedz nam, dlaczego zdecydowałaś się tu przyjść?

Z wielkim zainteresowaniem zwróciła się do wielkiej kobiety, siedzącej obok mnie.

—Tak bardzo pragnę się zmienić — wyszeptała Michaela i wielkim sztucznym paznokciem otarła rozmazującą się grubą warstwę eyelinera. — Chcę znowu być taka jak dawniej.

— To znaczy? — spytała Claire. Wielka twarz Michaeli zmarszczyła się.

— Odetchnij głęboko — poradziła Claire i sama zaczęła głośno oddychać, jakby chciała zdmuchnąć przypominające perukę włosy Michaeli. — Odetchnij swoimi uczuciami.

Podeszłam do rady Claire z takim zaangażowaniem, że zaczęłam mieć objawy hiperwentylacji.

Michaela wpatrywała się w swoje wielkie ręce.

—Dawniej byłam mężczyzną—wydusiła z siebie.— Chciałam to zmienić, ale teraz... teraz, kiedy jestem kobietą... jestem naprawdę...

—Nie spiesz się — uspokajała ją Claire, a ja zorientowałam się, że gapię się na Michaelę z otwartą gębą.

— Czy możesz nam powiedzieć, co czujesz?

—Jestem taka smutna — wyjąkała Michaela. — I samotna,

—Dlaczego jesteś samotna?

—Nie potrafię się z nikim związać. Nie mogę znaleźć nikogo, kto chciałby się ze mną umówić. Raz poznałam faceta, Matta ale kiedy mu powiedziałam, odepchnął mnie i od tamtej chwili... — Michaela poprawiła poduszkę na swoim ramieniu.

—Na pewno kogoś spotkasz — wyrwało mi się. Nachyliłam się w stronę Michaeli i ponad oparciami foteli mocno ją przytuliłam. — Na pewno. Nie jest tak źle być kobietą...

Michaela gwałtownie odskoczyła ode mnie.

—Dziękujemy ci, Susie — przerwała mi Claire. — Okazywanie wsparcia jest bardzo potrzebne. Ale na to będzie czas pod koniec spotkania, kiedy zdążymy się już trochę lepiej poznać.

—Ale ona jest śliczna. Popatrzcie tylko na nią. Gdybym byłe facetem... — zaczęłam z głębokim przekonaniem.

Claire zmierzyła mnie ostrzegawczym spojrzeniem.

—Chciałabym, żebyśmy się przez chwilę zastanowili nac słowem „związek". To może pomóc nam wszystkim.

Słuchałam, starając się za wszelką cenę skoncentrować. Nie spuszczałam wzroku z poruszających się ust Claire, z których wylatywały słowa i trafiały w moją skołowaciałą głowę niczym rzutki.

—Skoncentrować się na drugiej osobie... nie uciekać przeć odpowiedzialnością... odnosić...

—Susie. Powiedz nam, o czym myślisz — usłyszałam nagle skierowane do siebie słowa Claire. — Powiedz nam, co chciałabyś w swoim życiu zmienić.

Przez chwilę siedziałam cicho.

—Wszystko, cóż, hm, sama nie wiem... w sumie niewiele Nie wszystko. Niektóre rzeczy. Niektóre rzeczy na pewno. Na przykład, hm... na przykład — przygryzłam wargę i spojrzałam w górę, starając się złapać myśl, która właśnie poszybować w stronę sufitu. — Innych ludzi... i... rzeczy.

Popatrzyłam na grupę. Miny mieli niewyraźne.

—Chcę... różnych rzeczy. O których mówiliście.

—Chcesz się odnosić inaczej do ludzi? — podsunęła Claire

W milczeniu wolno potakiwałam głową i próbowałam sformułować jakieś zdanie. Ale na myśl przychodził mi tylko sen o ufoludkach w szkolnej stołówce. Co tak naprawdę chciałam zmienić w swoim życiu? Kiedy tak siedziałam w tym pokoju pełnym obcych ludzi, wszystko wydawało mi się w jak najlepszym porządku.

— A może...? Tak. — Wzruszyłam ramionami. -— Chodzi mi o mężczyzn. Chciałabym mieć chłopaka.

Kiedy wróciłam do domu i nareszcie oprzytomniałam, ogarnęło mnie przerażenie. Claire na pewno uznała, że jestem kompletnie walnięta, a poza tym wcale mi się nie wydaje, że naprawdę chciałabym mieć chłopaka.

Gdy następnego ranka obudziłam się, bez wątpienia uboższa o sporą liczbę szarych komórek, na myśl o pieniądzach zrobiło mi się słabo. Wyciągnęłam świadectwo gwarancji, ale wynikało z niego, że będę musiała jeszcze wiele miesięcy chodzić na kurs, zanim uda mi się je odzyskać. Z rosnącym przerażeniem otworzyłam podręcznik. Na ile okazałam się idiotką?

Kiedy jednak zaczęłam czytać, ku mojemu zdumieniu wszystko zaczęło nabierać sensu. Przeleżałam cały wtorek w łóżku i po zapoznaniu się z „Dwudziestoma czterema wskazówkami na tydzień", zaczęłam czuć się nad wyraz pozytywnie. Co prawda nie podjęłam jeszcze żadnego działania, ale przynajmniej znalazłam sobie cel, jak radził podręcznik. Zapisałam go na dużej kartce papieru:

Mój cel: zaprzyjaźnić się z atrakcyjnym mężczyzną i dać mu się poznać od nieseksualnej strony.

Powtarzałam to sobie w kółko, setki razy, żeby wzbudzić pozytywną energię. Na noc położyłam kartkę pod kryształem i podziałało. Ponieważ w środę poznałam Stringerà.

Ledwie go zobaczyłam, od razu zrozumiałam, że został mi zesłany jako wyzwanie. Normalnie z mety zaczęłabym go bezwstydnie podrywać, gdyż—jak słusznie zauważyła Amy —jest

absolutnie boski. Kiedy jednak usiadłam obok niego, postanowiłam, że tym razem będę myśleć głową. Zamiast więc sprawdzać, czy to facet na jednonocne bzykanko, czy też można z nim łączyć bardziej długoterminowe nadzieje, wdałam się z nim w przyjacielską rozmowę. I chyba poszło mi całkiem nieźle.

Zamykam oczy, żeby nastroić się do porannych medytacji. Oddaję się im codziennie od środy i jestem przekonana, że odniosą skutek.

Gramolę się z łóżka i głęboko oddycham. Upewniam się, że oczy i twarz mam rozluźnione, potem usuwam napięcie z całego ciała. Nie zajmuje mi to zbyt wiele czasu; przecież dopiero co wstałam.

Przypominam sobie zalecenia podręcznika OSŻ i cztery kroki prowadzące do odmiany życia. Krok pierwszy: określ swój cel. Krok drugi: wyobraź sobie, że ten cel osiągasz. Krok trzeci: wyobraź to sobie z najdrobniejszymi szczegółami. Krok czwarty: myśl w dużych kategoriach.

Koncentruję się i widzę Stringerà. Widzę nas oboje, jak urządzamy sobie piknik na szczycie góry. Wizja jest sielankowa: niebieskie niebo, po którym płyną nieliczne białe obłoki, soczysta zieleń drzew, śpiew ptaków. Stringer leży na boku, ręką podpiera sobie głowę i ssie źdźbło trawy. Ja, w letniej kwiecistej sukience klęczę obok niego i wiem, że łączy nas przyjaźń. Jest mi z tym dobrze. Cieszę się, że zwierzamy się sobie z naszych myśli i sekretów. Zadowolona, spoglądam na rozciągający się wokół widok, kiedy jednak odwracam się do Stringerà, jego oczy przepełnia pożądanie i nie mogę oprzeć się beznadziejnie wzbierającemu we mnie pożądaniu. On patrzy mi prosto w oczy, ja nachylam się ku niemu, wsuwam mu rękę w spodnie i jest duży, bardzo, bardzo duży...

Nie!

Siadam gwałtownie i odpędzam od siebie ten obraz. Tak się dzieje za każdym razem i mam już tego dość. Chcę, żeby moja znajomość ze Stringerem była wolna od seksu. Jak mogę nawiązać z nim długotrwałą przyjaźń, skoro ilekroć zaczynam go sobie wyobrażać,

zawsze kończy się tak samo: zrzucam z siebie ubranie i rzucam się na niego?

Najwyraźniej mam przed sobą długą drogę do przebycia.

Wychodzę z łóżka, nakładam kimono, karmię Torvilla i Dean i robię sobie jajka z tostem na śniadanie. Przy śniadaniu obmyślam wszystko od początku i wyznaczam sobie kilka nowych celów. Słowo daję, tyle czasu zajmuje mi określenie tego, co zamierzam zrobić, że na samo działanie już mi go nie wystarcza.

Na szczęście dzwoni Maude i uwalnia mnie od moich myśli. W jej głosie słyszę, że jest opalona. Cała składa się z białych zębów, wystrzępionych szortów i lśniącej skóry. Mówi do mnie, a ja wyobrażam ją sobie, jak jeździ na wrotkach.

—Tu jest cudownie — mówi z zachwytem. Wcześniej opisała mi całą podróż i dom matki Zip. Najbardziej podoba jej się wspaniała kuchnia, z której do mnie dzwoni i każe mi słuchać odgłosów wydawanych przez maszynę do lodu w lodówce.

—Szkoda, że cię tu nie ma.

—Ano, szkoda — mówię z uśmiechem i opieram się o ścianę, obierając banana.

—Może jednak przyjedziesz?

—Nie bądź głupia — niecierpliwię się. — Co ja bym tam robiła?

—Pracuję nad tym. Sooze, słowo daję, to wymarzone miejsce dla ciebie.

—Maude! — śmieję się i odgryzam kawałek banana. — Jesteś nienormalna. Mój dom jest tutaj.

—Tracisz tylko bezcenny czas. Gnijesz w tym swoim domu.

—Wcale nie gniję — oburzam się.

—Ale tu czeka na ciebie cały świat. Zawsze mówiłaś, że chcesz podróżować...

—Wiem, ale przecież nie mogę tak po prostu wszystkiego zostawić.

—Czemu nie? Nieraz już tak robiłaś. Co takiego cię tam trzyma? Przecież nie zarabiasz pieniędzy. Mogłabyś sprzedać swoje akcje i zebrać trochę forsy...

—Ty, słuchaj, pojechałaś na koniec świata i dalej organizujesz mi życie? — pytam z uśmiechem.

—Ktoś to musi robić — odpowiada.

—Wcale nie.

Opowiadam jej o kursie Odmień Swoje Zycie. Śmieje się.

—Więc wyobraź sobie, że leżysz na plaży, świeci słońce, masz wokół siebie przyjaciół i świetnie się bawisz...

I rzeczywiście, kiedy przedzieram się przez Londyn środkami masowego transportu, wyobrażam sobie ocean. W pewnym momencie muszę ustąpić miejsca kobiecie, jej dziecku i torbom z zakupami. Chwytam się drążka nad głową i przez okno przyglądam się ruchowi na ulicy, pijakom na chodnikach i brudnym, wilgotnym szybom wystawowym i znowu zaczynam tęsknić za czystym powietrzem, słońcem, górami, bezkresnymi przestrzeniami, które tylko czekają, by je przemierzyć.

Na widok Amy humor od razu mi się poprawia. Czeka na mnie w kafejce przy Hammersmith Broadway, a na głowie ma przedziwną fryzurę z dwóch warkoczy zwiniętych w spirale nad uszami.

—To podobno ma być modne w tym sezonie — mówi i krzywi się zawiedziona. — Tak przynajmniej napisali w „Twoim Ślubie".

—W tym sezonie! Coś okropnego — wybucham śmiechem. — Daj, to ci to rozczeszę—mówię i atakuję kretyńskie warkocze. — Jeszcze chwila, a ludzie zaczną cię prosić o „Edelweiss".

—Dzięki — mruczy, gdy doprowadzam ją do stanu używalności. — Jak ja się mam uczesać?

—Wszystko będzie dobrze — uspokajam ją. — Zetnij trochę włosy i noś je rozpuszczone. Wyglądasz najpiękniej, kiedy jesteś naturalna.

—No, jasne! — oburza się i daje mi kuksańca. — Po co ja się staram? Według ciebie najlepiej wyglądam w worku na kartofle.

—Właśnie.

—Czasem sobie myślę, że moglibyśmy uciec i wziąć ślub na plaży, w kostiumach kąpielowych.

—No, co ty? I zrezygnować z „Leisure Heaven"?

—Masz rację — wzdycha ciężko.

—Spotykamy się w najbliższy weekend? Amy potwierdza skinieniem głowy.

—Dowiesz się wszystkiego od H.

—Kto będzie?

—No, ty, ja, H, Jenny i Sam z pracy, Lorna, stara kumpela, jeszcze z domu, i Kate, siostra Jacka. Mamy zarezerwowane dwa domki, więc spokojnie się pomieścimy.

—Już się nie mogę doczekać. Ja będę w domku z tobą? Amy poprawia się na krześle.

—Tego nie wiem, myślę, że H już nas rozparcelowała.

To znaczy, że dostałam nakaz eksmisji, mogę się założyć. H jest żałośnie zaborcza wobec Amy, co działa mi trochę na nerwy, bo w końcu to ja znam Amy dłużej.

—Zaklep mi miejsce w swoim pokoju — proszę z uśmiechem i Amy kiwa głową na zgodę.

—O wilku mowa — stwierdzam na widok wpadającej do knajpy H.

—Sorry. Zaspałam — bąka.

—Zaspałaś? — parska śmiechem Amy i trąca mnie porozumiewawczo. — O której wyszliście z pubu?

H poprawia obcięte krótko włosy.

—Zaraz po was. Amy unosi brwi.

—A co u Matta?

H patrzy na mnie, potem znowu na Amy. Wzrusza ramionami i wysuwa dolną wargę do przodu.

—U Matta? — powtarza. — Chyba wszystko w porządku.

—Pora na nas — mówi Amy, przyglądając się H podejrzliwie. — Już jesteśmy spóźnione.

Kiedy wychodzimy, biorę Amy pod rękę. Wsiadamy do taksówki,

H gramoli się za nami. Gadamy z Amy o ślubie, co wprost uwielbiam, H jednak nie wydaje się zainteresowana tematem.

Nawet kiedy wchodzimy do sklepu, nie mija jej ponury nastrój. W sklepie aż roi się od ludzi i niemal musimy sobie torować drogę do przy mierzalni, w których panuje nieznośny upal. H ostrożnie zdejmuje ubranie, pewnie dlatego, że pod spodem ma czarną obcisłą bieliznę. Ciągnie i szarpie suknię druhny, przyjmując przed lustrem dziwaczne pozy.

—Jest okropna — mówi do mnie szeptem. — Popatrz na to. Nisko na plecach w materiale zieje dziura i H usiłuje ją jakoś

naciągnąć, walcząc jednocześnie z opadającymi ramiączkami.

—Bardzo ostatnio schudłaś — mówię na widok jej kościstych ramion. — Powinnaś się lepiej odżywiać.

—Nie mam na to czasu — zbywa mnie.

—I jak wyglądacie? — woła Amy. Chciała, żeby to była niespodzianka, więc została na zewnątrz, obładowana naszymi torbami i żakietami.

—Przepięknie — wołam w odpowiedzi.

H wykrzywia się z obrzydzeniem do swojego odbicia w lustrze, ale trzeba przyznać, że w różowym nie wygląda szczególnie korzystnie.

—Jeśli chcesz, spróbuję coś z tym zrobić — proponuje i zbliżam się, żeby jej pomóc. — Po co zawracać tym głowę Amy, będzie jej przykro.

—Amy na pewno będzie chciała, żeby wszystko było jak należy — mówi z rozdrażnieniem H. — Sklep się tym zajmie W końcu za to im płacimy.

—Jak sobie życzysz — odpowiadam, choć mam ochotę przyłożyć za ten pełen wyższości ton. — Gotowa?

Odsuwam zasłonę. Amy podnosi rękę do ust, czego się spodziewałam. Nieskromnie powiem, że przy H czuję się jak Jessie Rabbit, ale mam to w nosie. Okręcam się wkoło, nie kryjąc zachwytu. Ciekawe, co Stringer na to powie?

—H, a ty? — pyta Amy.

—W porządku — odmrukuje w odpowiedzi, ale nie da się

ukryć, że jest raczej odwrotnie. Wygląda jak mała dziewczynka w za dużej sukni swojej mamy. Suka ze mnie, wiem, ale niech żyją moje cycki!

Łazimy trochę po sklepach, aż nadchodzi pora na lunch.

—Chodźmy na sushi — proponuje H.

Wolałabym zwykłą kanapkę, ale H jest nieugięta. Twierdzi, że sushi jest idealne na kaca, a poza tym zna tu niedaleko jakąś szpanerską japońską knajpę.

—Jak się wypiło za dużo, rano powinno się zjeść jajka — tłumaczę jej, ale nie chce mnie słuchać.

Siadamy i Amy pyta:

—Sooze, wciąż zero seksu?

—Owszem.

—Co takiego? Jakiegokolwiek seksu? — dziwi się H.

—Nie miałam pojęcia, że są różne rodzaje.

—Możesz uprawiać seks dla zabawy — tłumaczy H. — Czasem fajnie jest pójść z facetem na jedną noc do łóżka. Żadnych pytań, tylko dobra obsługa, jeśli wiecie, co mam na myśli.

—H! — wykrzykuje z oburzeniem Amy.

—Co? — pyta H. — Mało razy sama tak robiłaś? Pamiętasz tego faceta z Portugalii?

—To było wieki temu!

—No i? Co w tym złego? — wzrusza ramionami H.

—Dawniej też tak myślałam, ale dzisiaj uważam, że przygody na jedną noc są beznadziejne — wyznaję.—Z przypadkowym seksem jest jak z kurzeniem. Raz spróbujesz i już nie możesz przestać. — Uśmiecham się do Amy. W końcu kto jak kto, ale ja powinnam wiedzieć to najlepiej.

—Sooze, przecież ty zawsze uprawiałaś przypadkowy seks — mówi zdziwiona.

—Fakt. Ale mam już tego dość. Jeśli lądujesz w łóżku z kimś obcym, czujesz się jak tania dziwka, natomiast gdy robisz to z kumplem — spoglądam na nie obie z powagą —jest jeszcze gorzej. Sprawy się komplikują i wszystko można zniszczyć. — Kładę na stole obie ręce. — Więc postanowiłam. Od tej pory z płcią

przeciwną łączyć mnie będzie tylko przyjaźń. Ma być oficjalnie.

Amy patrzy na mnie, jakbym oświadczyła jej właśnie, że poddam się operacji zmiany płci.

—Cóż, przypuszczam, że to się da zrobić — mówi po namyśle. —Czy to znaczy, że w końcu zdecydowałaś się na prawdziwy związek?

—Kochana Amy, coś takiego jak „związek" nie istnieje — powtarzam prawdy zasłyszane u Claire i wyczytane w podręczniku OSŻ. — Kiedy ludziom nie wychodzi, myślą, że winne są temu ich związki. Ale to nieprawda. Związku nie da się zdefiniować i dlatego ludzie wiecznie mają z nimi problem. Byłoby inaczej, gdyby mówili: „Nie potrafię porozumieć się w takiej a takiej sprawie z tym a tym", zamiast jęczeć: „Mój związek jest beznadziejny".

Zachwycona swoją argumentacją, wpadam w trans, który H przerywa mi bezlitośnie:

—Brednie — mówi. — A co z przyjaźnią? Przecież to także jakiś związek.

—I to niebagatelny — podchwytuje Amy. — Myślę, że byłabym wściekła, gdyby między mną a którąś z was coś zaczęło się nie układać.

—Zgoda, ale naszej przyjaźni to nie grozi — mówię, mając na myśli ją i siebie. W imieniu H nie mogę się wypowiadać, bo nie wyobrażam sobie, żebyśmy zostały przyjaciółkami.

—Pewnie masz rację, ale nigdy nic nie wiadomo — Amy nie daje za wygraną. — Gdybym się dowiedziała, że któraś z was mnie okłamuje, chyba bym zwariowała.

—My się do siebie odnosimy po przyjacielsku. Szczerość to wybór, a nie warunek przyjaźni — zaczynam się już gubić w tych terapeutycznych wynurzeniach.

—Wybaczcie na chwilę — mówi H i wychodzi do klopa.

—Powiedziałam coś nie tak? — pytam, odprowadzając ją wzrokiem.

—Nie, męczy ją kac. — Amy pokazuje język leżącej na krześle

torbie H, po czym uśmiecha się do mnie szeroko. — A co tam z tobą i Stringerem? Podobał ci się?

—Fajnie mi się z nim gadało, ale...

—Muszę cię ostrzec, z nim przyjacielskie stosunki mogą nie wypalić, jeśli o to ci chodzi. Jack mówi, że to istny pies na baby.

—Ogier? Amy chichocze.

—Chyba tak. Chce tylko powiedzieć, że możesz się rozczarować.

—Czemu?

—Jego interesuje wyłącznie seks. O ile wiem, nigdy nie miał dziewczyny. Przynajmniej takiej na dłuższą metę.

Po powrocie z klopa H reguluje rachunek, ku mojej wielkiej uldze, bo za dwa kęsy w tej knajpie trzeba chyba zapłacić fortunę. Miło z jej strony, że była uprzejma zapłacić, ale chyba chciała nam w ten sposób wynagrodzić swoje humory. Zresztą nie przeszkadza mi, jeśli chciała tylko zaszpanować forsą.

Rozstajemy się z H, która musi zrobić zakupy na wyjazd do Paryża, i łazimy z Amy po sklepach, ja jednak odczuwam pewien niepokój wywołany tym, co Amy powiedziała o Stringerze. Wcale na takiego nie wygląda. Uważam nawet, że jest słodki. Może trochę za mądry, ale dżentelmen. Nie wygląda na kogoś traktującego innych lekceważąco. Ale dlaczego nie ma dziewczyny? Według mnie to facet do rany przyłóż, w sam raz do kochania. Może po prostu jest do mnie podobny, może jemu też znudził się przypadkowy seks i uznał, że pora się zmienić.

—Myślisz, że powinnam do niego zadzwonić? — pytam, krążąc za Amy po Habitat.

—Susie, jesteś niemożliwa — śmieje się, oglądając jakąś ramkę. — Chyba masz obsesję na punkcie Stringerà.

—Wcale nie.

—Słuchaj, jeśli tak ci zależy, zadzwoń do niego.

—Już wtedy chciałam się z nim umówić, ale był zajęty. Myślisz, że powinnam spróbować jeszcze raz? Wyciągnąć go na drinka?

Amy przez chwilę się zastanawia.

—Jasne, czemu nie? — mówi w końcu.

Idziemy do Amy na herbatę i dopiero wtedy zbieram się w sobie, żeby do niego zadzwonić.

—No, dzwoń, przecież widzę, że aż przebierasz nogami. Może uda się wam spotkać później — radzi Amy. Bierze telefon i wybiera numer, po czym podaje mi słuchawkę. Cofam ręce, nagle zmieniając zdanie.

—Już dzwoni — informuje mnie Amy. Wyrywam jej słuchawkę z ręki.

—Halo? — rozlega się w niej głos Stringerà.

—Cześć, Stringer. To ja, Susie. — Tyle o nim ostatnio myślałam, że spodziewam się, iż powinien wiedzieć, kto dzwoni.

—Ach, tak — mówi bardzo oficjalnie. — Witaj. Kurczowo ściskam słuchawkę. Ręce aż lepią mi się od potu.

Dlaczego nie cieszy się choć trochę, słysząc mój głos? Amy nie spuszcza ze mnie wzroku.

—Chciałam cię spytać, czy masz jakieś plany na dzisiejszy wieczór? — walę prosto z mostu.

—Czemu?

—Moglibyśmy... tego... skoczyć gdzieś na drinka, co ty na to?

Następuje chwila ciszy.

—Chyba raczej nie — mówi w końcu. — Na pewno nie dzisiaj. Jestem zajęty. Mam mnóstwo pracy. W zasadzie aż do ślubu pracuję na okrągło...

—Nie ma sprawy — przerywam mu wesoło. — Nic nie szkodzi. Słowo — uśmiecham się. — Tak sobie tylko pomyślałam...

—Nie gniewaj się, Susie, ale w tej chwili jestem zajęty... Jestem tak zmieszana, że aż mnie zatyka.

—Nie, nie, przepraszam cię. Żaden problem. To do zobaczenia na ślubie...

—Jasne. Siemanko. Oddaję słuchawkę Amy.

—Co powiedział? — pyta, marszcząc brwi.

—Siemanko.

—Musiał chyba powiedzieć coś jeszcze?

—Że jest zajęty. Tak po prostu — wzruszam ramionami. To bardzo zły znak. Zły, bo skoro zależy mi tylko na przyjaźni

ze Stringerem, dlaczego czuję się tak podle rozczarowana, że nie ma ochoty się ze mną spotkać?

— Och, Soose — Amy wybucha śmiechem. — Dlaczego zawsze lecisz na drani?

— Stringer nie jest draniem.

Amy posyła mi spojrzenie w stylu „Och, czyżby?"

Co za kanał. Przecież on mi się nawet nie podoba, skąd więc to rozczarowanie? I jak mam rozpocząć drugi tydzień seksualnej abstynencji, skoro Stringer broni mi dostępu?

MATT

Poniedziałek, godzina 14.40

Mój umysł zamienił się w jeden wielki znak zapytania.

W końcu udaje mi się oderwać wzrok od telefonu komórkowego, który od jakiejś pół godziny ściskam kurczowo w dłoni. Jest jeden z tych rześkich wrześniowych dni. Niebo jest niebieskie i bezchmurne, od czasu do czasu powiewa chłodny wietrzyk, wprawiający świeżo opadłe liście w ruch spiralny. Było mi trochę chłodno, ale ponieważ rano oblałem sobie kawą rękaw marynarki, resztę garniturów oddałem do czyszczenia, więc został mi tylko letni, bawełniany.

Siedzę na ławce na St James's Square, nieopodal Haymarket. Poza mną i jakąś dziwaczką, która usiadła obok, plac świeci pustkami, odkąd skończyła się przerwa na lunch. Gęsty żywopłot biegnący wokół skweru tłumi dochodzący z ulicy hałas i panuje wyjątkowa jak na Londyn cisza. Słowem, idylla, pod warunkiem że jest ktoś, do kogo można się przytulić. Natomiast dla samotnego mężczyzny, jak ja — nędza.

Jestem samotny.

Jestem samotny od bardzo dawna, a konkretnie od czasów, w których siadywałem na tej samej ławce z Penny Brown, jedyną prawdziwą dziewczyną, jaką w życiu miałem.

W 1994 roku razem z Penny robiliśmy aplikację w Robards & Lake. Penny, podobnie jak ja, skończyła dopiero co prawo i nagle studenci stali się ludźmi dorosłymi, noszącymi garnitury. Od razu przypadliśmy sobie do gustu: mieliśmy takie samo poczucie humoru, podobne ambicje. Penny często żartowała na temat innych znanych nam par, które wspólnie układały sobie życie. Nigdy nie potrafiła pojąć, jak można w ten sposób zrezygnować ze swojej niezależności, życie osobiste przedkładać nad karierę. Któregoś razu obliczyła, że gdyby liczbę godzin, które ludzie marnują na związki przeznaczyć na robienie kariery, człowiek osiągałby swój cel w dwa razy krótszym czasie. Dopiero wtedy, uważała Penny, był czas i miejsce na to, aby w życiu pojawił się na poważnie ktoś drugi. Ale nigdy przedtem.

Nie dyskutowałem z nią. Nie dawałem sobie czasu na zastanowienie się, czy myślę podobnie jak ona. Byłem w niej zakochany i zakładałem, że w głębi serca ona czuje to samo, chociaż nigdy mi tego nie powiedziała, a ja z kolei bałem się, że pytając, odstraszę ją. Uznałem, że brak słownej deklaracji nie ma znaczenia. Ważne było tylko to, co czujemy. A ja wiedziałem, co czuję. Byłem szczęśliwy. Szczęśliwy, że jesteśmy razem, cieszyły mnie sporadyczne wspólne noce i weekendy. Skoro ona nie chce się śpieszyć, ja mogę zaczekać. Myślałem sobie, że skoro oboje kroczymy drogą do kariery, oboje w tym samym czasie osiągniemy nasze cele, a to nadawało sens czekaniu. Na nią—a wszystkie oznaki tego, co miała do zaoferowania, tylko mnie w tym utwierdzały — warto było czekać.

Niestety, wyszło inaczej.

Nie było żadnej miłości. Przynajmniej z jej strony. Dla mnie. To właśnie powiedziała mi, kiedy tu, na tej ławce, w czerwcu 1995 roku ją zapytałem. Przed nami rozciągał się taki sam widok, _ z wyjątkiem opadających liści. Tego dnia oznajmiła mi, że nic nas

nie łączy, ona poznała kogoś, w kim się zakochała i z kim chciała być. Tego dnia zostawiła mnie samego na tej ławce i wróciła do biura, nie dlatego, że chciała przez chwilę pobyć sama, ale dlatego, że nasz wspólny czas dobiegł końca.

Wydawało mi się, że cały mój świat runął w gruzach i zniknął z powierzchni ziemi.

Uratowało mnie chyba to, że miesiąc wcześniej Jack rozstał się z Zoe. Byli razem przez dwa lata — o sześć miesięcy dłużej niż ja z Penny — i postanowił potraktować nowe okoliczności jako krok naprzód. Nie oglądaj się za siebie. Nie rozpaczaj. Odmowy nie przyjmował. Robił, co mógł, i pilnował, żeby nie brakowało mi rozrywek. Każdy wieczór miał być dobrą zabawą. Wprowadził się do mnie i razem urządziliśmy sobie kawalerskie lokum, przy którym inne kawalerskie gospodarstwa wyglądały jak klasztorna kaplica. Nie brakowało też, rzecz jasna, kobiet. Mieliśmy się dobrze bawić i zachowywać się, jak na nasz wiek przystało. Żadnych poważnych związków. Żadnych kompromisów. Nic z tych rzeczy, dopóki nie pojawi się ta właściwa.

Jeszcze do niedawna ściśle się tych założeń trzymałem. Nie marzyłem o dziewczynie na stałe. W wolnym stanie czułem się szczęśliwy i bezpieczny, podobnie jak Jack do czasu, kiedy poznał Amy. Skakałem z kwiatka na kwiatek, konsumowałem wszystko jak leci, bez celu i sensu. Aż tu nagle zrozumiałem, że już mi to nie wystarcza, że moje życie to wielka pustka. Patrzyłem na zakochanych Jacka i Amy i marzyłem, by taka jedność stała się i moim udziałem. Obudziłem się i poczułem kuszący zapach kawy, brakowało mi tylko własnego kubka, z którego mógłbym się jej napić.

I w końcu to zrobiłem. W końcu poprosiłem kogoś, żeby zgodził się dzielić ze mną życie dłużej niż tylko przez jedną noc.

Siedzę na tej ławce od dwóch godzin i analizuję wszystko, co w piątkowy wieczór, pomiędzy godziną jedenastą wieczorem a drugą nad ranem wydarzyło się w pubie pod „Niebieską Różą", a potem w moim własnym domu, w towarzystwie niejakiej Helen Marchmont, znanej jako H. I jedyny wniosek, jaki udało mi się wyciągnąć, to wielki znak zapytania.

A wszystko przez Jacka i Amy. Ziarna, jakie posiali w mojej głowie w ubiegły wtorek, przyjęły się i pięknie wyrosły. I teraz siedzi w mojej głowie H, zupełnie jakby zapuściła w niej korzenie. Lecz pytanie, na które nie znam odpowiedzi, nie brzmi „dlaczego"? Nie muszę się zastanawiać, skąd obecność H w moich myślach. Sam ją tam zaprosiłem, ponieważ uznałem, że właśnie ona jest tą mnie przeznaczoną. Prześladujące mnie pytanie stanowi raczej kombinację „gdzie/dlaczego?" Gdzie ona teraz jest? I dlaczego nie ma jej tu ze mną? Ponieważ ja już tak dłużej nie chcę. Nie chcę siedzieć tu sam jeden, nie mając nikogo, do kogo mógłbym się przytulić. Spoglądam na trzymany w ręce telefon. Zwłaszcza że przecież mógłbym tu siedzieć z nią.

W ubiegły wtorek, jak tylko odwiozłem H do domu po próbnym lunchu u Stringerà, natychmiast zadzwoniłem do Jacka. , Ponieważ Jack, który nie starając się zanadto, wszedł w udany związek, był najbardziej odpowiednią osobą, zdolną pomóc mi wejść na drogę do równie satysfakcjonującego związku.

—W czym rzecz? — spytał.

Widziałem tylko jej oczy. Te oczy. Jak to możliwe, że od ubiegłego roku, kiedy ją poznałem, nie myślałem o nich w każdej sekundzie swojego życia?

—Jest fantastyczna — wyrzuciłem z siebie. — To mnie przeraża.

Jack był zachwycony.

—Widzisz? Mówiłem ci. Pan Swat znowu trafił w dziesiątkę. I to dwa razy jednego dnia. Powinienem zacząć pobierać prowizję.

—Dwa razy?

—Tak jest. Ty i H oraz Stringer i Susie.

—Hę?

—No, co ty, stary — zezłościł się. — Musiałeś wyczuć, że coś się święci... Słodzą sobie jak dwie kostki cukru w cukiernicy. A ty i H to kolejna wspaniała nowina — ciągnął. — Co dalej? Umówiliście się?

Z przykrością przyszło mi go rozczarować, ale nie było sensu go okłamywać.

—Nie całkiem.

—Co to znaczy, nie całkiem?

—A to mianowicie, że mój zachwyt niekoniecznie musi być odwzajemniony.

—Nie bądź śmieszny — zdenerwował się. — Jasne, że jest odwzajemniony. Na miłość boską, przecież ma do czynienia z Mattem. Z Mattem Daviesem, najlepszym kumplem Jacka Rossitera, narzeczonego Amy Crosbie, najlepszej przyjaciółki H. Wszystko pasuje do siebie jak ulał. Jesteście dla siebie stworzeni. To się musi udać. Matematyczny pewnik.

Logika Jacka była bez zarzutu, ja jednak wciąż miałem wątpliwości.

— Niekoniecznie.

Zapadła cisza, równie wymowna dla Jacka jak znak drogowy.

— Spieprzyłeś to, tak?

— W pewnym sensie — przyznałem, zagryzając dolną wargę. Gwizdnął z niedowierzaniem.

—Jezu, na pięć minut nie można cię spuścić z oka... Co się stało?

— Chyba mnie trochę poniosło... Pospieszyłem się... -— Gadaj.

—Dała mi aż nadto wyraźnie do zrozumienia, że obecnie nie ma ochoty na żadne randki, a ja mimo to ją spytałem, czy by się ze mną nie umówiła.

—A ona odmówiła...

—No właśnie.

—I co w tym takiego strasznego?

—Wszystko.

—Dlaczego?

Szkoda, że rozmawialiśmy przez telefon. Wolałbym widzieć jego twarz, bo nie byłem pewny, czy przypadkiem nie przemawia przez niego sarkazm. Chociaż ton jego głosu zdawał się temu przeczyć.

—Zgłupiałeś? — spytałem. — Chcesz mi może wmówić, że „nie" to dobry znak?

—No właśnie. Biorąc pod uwagę okoliczności, „nie" to bardzo dobra odpowiedź. Nie tak dobra jak „tak". „Tak" byłoby wprost idealne. Ale „nie" też jest w porządku. Nad „nie" można popracować. „Nie" oznacza, że leci na ciebie, tylko jeszcze nie zdaje sobie z tego sprawy. Albo że nie chce wyglądać na taką, co to leci na pierwsze skinienie.

—Albo — dodałem trzecią ewentualność, jako że któryś z nas musiał to zrobić — wcale na mnie nie leci i doskonale zdaje sobie z tego sprawę.

—Istnieje taka możliwość — zgodził się Jack, ale bardzo szybko dodał: — Tym sobie nie zawracaj głowy. Zbyt negatywne nastawienie. Nigdy nie wolno się poddawać, dopóki nie masz stuprocentowej pewności.

— No dobrze — powiedziałem. — Co według ciebie powinienem teraz zrobić?

—Przede wszystkim ustalić strategię.

—Strategię?

—Strategia jest podstawą.

—Naprawdę?

—No jasne. Inaczej kampania może się nie udać.

—Jaka kampania?

—Operacja Marchmont.

—Marchmont. To nazwisko H. A tak przy okazji, na imię ma Helen.

—Aha — przyjąłem do wiadomości.— Jaką więc strategię proponujesz?

—Nie wiem. Ty jesteś prawnikiem. Wymyśl coś. Pięknie. Istnieje więc niezawodna strategia i kampania, której

celem ma być zdobycie fantastycznej Helen, tylko że muszę ją sobie sam opracować. Wspaniale. Wiedziałem, że to za piękne, żeby mogło być możliwe. Milczałem, wsłuchując się w szum w słuchawce i oddech Jacka dochodzący z drugiego końca linii.

—No, stary, nie leń się — ponaglił mnie po chwili. — Aż tu słyszę, jak twój mózg pracuje. Pomyśl o tych wszystkich egzaminach, które musiałeś zdać. Dasz radę.

I nagle mnie oświeciło: może jednak Jack ma rację? Może jednak potrafię wypracować strategię. Poza tym kto powiedział, że miłość to dzieło przypadku? Co prawda tak było z Jackiem i Amy, ale oni mieli szczęście. A co z całą resztą świata? W czym może zaszkodzić analiza sytuacji, szukanie rozwiązań? W ten sposób zawsze podchodziłem do wszystkich spraw w życiu, dlaczego więc w tej najważniejszej mam postąpić inaczej?

—Dobra — powiedziałem, zdecydowany podjąć próbę. — Widzę to tak. Albo się H podobam, albo nie. Jeśli nie, sprawa przegrana. Jeśli natomiast tak, a ona albo jeszcze o tym nie wie, albo chce, żebym się trochę wysilił, powinienem ją ignorować.

—Jeżeli jednak będziesz ją... — Jack próbował ze mną dyskutować.

Ale ja byłem na fali. Byłem Einsteinem i nie chciałem, żeby ktoś mieszał mi w moim równaniu.

—Z romantycznego punktu widzenia. Będę ignorował ją na polu romantycznym. Powinienem wyjść z założenia, że im bardziej coś niedostępne, tym bardziej staje się pożądane. Powiem jej, że mi się nie podoba. Prosto w oczy. W ten sposób, jeśli ja jej się podobam, wpadnie w furię, że ją odrzucam.

Jack chrząknął aprobująco.

—A kiedy wpadnie w furię, że ją odrzucasz, będzie chciała uleczyć zranioną dumę i zrobi wszystko, żeby cię poderwać? — słusznie wydedukował.

—Właśnie. Według mnie to najlepsze posunięcie. Jak myślisz?

Jack myślał. Mijały sekundy. W końcu Jack przemówił.

—Doskonałe, ty stary, przebiegły lisie. Traktuj ją podle, a będziesz ją miał. Jak... — przerwał. — Ale — dodał — widzę pewien problem.

—Jaki? — chciałem wiedzieć, zdenerwowany lekko, że takowy w ogóle może istnieć, z góry zakładając jego wątpliwość.

—W jaki sposób — spytał Jack — nie umawiając się z nią na randkę — co, gdybyś uczynił, stanowiłoby bezsprzeczny dowód, że ona ci się podoba — chcesz znaleźć okazję, by wyjaśnić,

że ci się nie podoba, wzbudzając tym samym jej nieposkromione zainteresowanie? Niech to szlag.

— Słuszna uwaga — powiedziałem, tracąc nadzieję.

Ale wtedy Jack się zaśmiał. To był dobry śmiech, taki, który wzbudza poczucie pewności.

— Nie uwierzysz — oznajmił — ale znalazłem idealne rozwiązanie.

Brzmiało groźnie, ale może, przy odrobinie szczęścia...

— Nie wyłączaj komórki i czekaj na mój telefon. Załatwię wszystko tak, żebyście się spotkali przypadkowo. Tym sposobem ona nie będzie niczego podejrzewać, a ty będziesz mógł wygłosić swoją kwestię.

Absolutnie genialne.

— Ty masz łeb — powiedziałem.

Tak się złożyło, że nie kazał mi długo czekać. W piątek wieczorem Jack zadzwonił do mojego biura.

— Operacja Marchmont ruszyła — szepnął do słuchawki. — Jesteśmy w „Niebieskej Róży", więc bierz dupę w troki i przyjeżdżaj.

Kiedy zjawiłem się na miejscu, on, Amy i H siedzieli przy kominku. Podszedłem i przywitałem się z Amy i Jackiem. H pominąłem, nawet na nią nie spojrzawszy. Choć muszę przyznać, nie pogarda mną kierowała, a raczej przerażenie. Ledwo ją dostrzegłem, przekroczywszy próg baru, serce skoczyło mi do gardła. Kiedy nie spuszczając z niej wzroku, podchodziłem do stolika, postanowiło chyba użyć mojego języka jako trampoliny i bałem się, że jak tylko otworzę usta, wyskoczy prosto na jej kolana. Wybąkałem więc tylko, że idę po coś do picia, odwróciłem się i pomaszerowałem do baru.

— Matt—powiedziała, doganiając mnie.—Tamtego dnia... Obracam się do niej i milczę. Patrzy mi w oczy, a moje serce znowu zamierza wyskoczyć. Tyle tylko, że tym razem jest jeszcze gorzej. W ustach mi zaschło. Język stanął kołkiem. A żołądek zrobił koziołka. Myślałem, że zemdleję. Wargi mnie swędziały

i robiły wszystko, żeby się otworzyć... O mój Boże, nie... jej oczy... te oczy... Poczułem, że za chwilę się uśmiechnę. Pomyślałem, Nelson. Pomyślałem, Churchill. Pomyślałem, Eisenhower. „Bądź mężczyzną, synu, nie poddawaj się".

Z wysiłkiem przybrałem najzimniejszy wyraz oczu, prosto z najniższej szuflady zamrażarki.

—Nie mówmy o tym. Nie chcesz, żebyśmy byli przyjaciółmi — nie ma sprawy. Słowo — odezwałem się zduszonym głosem.

Zapłaciłem za drinka.

—Ale ja chcę, żebyśmy byli przyjaciółmi — powiedziała zmieszana, ze wzrokiem wbitym w podłogę. — Po prostu palnęłam głupstwo. Byłam w fatalnym nastroju i naprawdę bardzo mi przykro. Nie powinnam była mówić, że się do mnie dowalasz. To było nie w porządku i nie chciałabym, żebyśmy się czuli niezręcznie w swoim towarzystwie, szczególnie że niedługo ma być ten ślub.

Skrzyżowała ramiona na piersiach.

Jej piersi, na miłość boską, jej piersi... Poczułem, że wzrok wędruje mi w dół. Napoleon. Monty. Patton.

Jak mu tam? Temu facetowi, co wygrał bitwę pod Agincourt? Chrząknąłem.

—Chodziło mi o to... — zacząłem ochrypłym głosem. Spróbowałem raz jeszcze, ale tak bardzo się starałem, że

zabrzmiało to, jakbym wchłonął całą zawartość helu z balonu.

—...co miałem na myśli, kiedy mówiłem, że chciałem, żebyśmy byli przyjaciółmi.

Wtedy przypomniało mi się seminarium, na którym występowałem publicznie, i postarałem się powiedzieć jasno i powoli:

—Cieszesieżedoszliśmydoporozumienia — wyrzuciłem z siebie.

Spojrzała na mnie zdumiona. — Słucham? Zauważyłem cień uśmiechu na jej twarzy. Uznała, że to zabawne. Na to czekałem.

—Cieszę się, że doszliśmy do porozumienia — powtórzyłem.

—Ja też.

Unikając jej wzroku, zawahałem się. Odetchnąłem głęboko. Nadszedł decydujący, najtrudniejszy moment. Król Artur. Henryk Ósmy. Dasz radę.

—Prawdę powiedziawszy, ja także czułem się niezręcznie. Bo — na pewno przyjmiesz to z ulgą — ty także mi się nie podobasz. Nie zrozum mnie źle, H, po prostu nie jesteś w moim typie. Wybacz — dodałem i łapiąc pospiesznie moją szklankę, odszedłem.

Ruszyłem prosto w stronę Jacka i Amy, mając świadomość, że zaledwie kilka metrów za mną wybuchła pierwsza bomba zrzucona podczas operacji Marchmont. Odczuwałem niewypowiedzianą ulgę, że przynajmniej na razie byłem poza zasięgiem jej rażenia.

Efekt wybuchu był natychmiastowy i, co najdziwniejsze, biorąc pod uwagę moje raczej mizerne wysiłki, nadzwyczaj korzystny. Wróciwszy do stołu, H nie tylko usadziła swoje cztery litery tuż koło mnie, ale jeszcze zaczęła rozmawiać. Ze mną. I uśmiechać się. Do mnie. Tym uśmiechem. I patrzeć na mnie. Tymi oczami. Zupełnie jakby czas zatoczył pełne koło, wrócił ubiegły rok, na powrót znaleźliśmy się w klubie „Zanzibar", poroniona próba pocałunku została wykasowana, a my zaczynaliśmy od nowa, z czystym kontem. Znowu byliśmy przyjaciółmi. Śmialiśmy się. Wspólnie upijali. Rozluźniony, bawiłem się świetnie. Moje serce wróciło na miejsce. A co najważniejsze, flirtowaliśmy.

Rozmowa w taksówce, którą jechaliśmy do mnie, gdy Jack i Amy wyszli, przebiegała następująco:

H: Nie byłam w domu żadnego faceta, odkąd rozstałam się z Gavem.

Ja: Ja podobnie. H: Jestem zalana.

Ja: Ja też.
H: Może powinnam wrócić do domu.
Ja: Jeśli chcesz.
H: Uważasz mnie za dziwkę?
Ja: Nie.
H: Uważam, że ty jesteś dziwką.
Ja: Dlaczego?
H: Bo tak mówi Amy.
Ja: Nie powinnaś wierzyć we wszystko, co wygadują inni. H: Zdarzają ci się jednonocne przygody? Ja: Czasami. H: Lubisz to? Ja: Czasami.
H: I przechodzisz nad nimi do porządku dziennego? Ja: Zazwyczaj.
H: Nawet jeśli to jest ktoś znajomy?
Ja: Zazwyczaj.
H: Myślisz, że on widzi?
Ja: Kto?
H: Kierowca.
Ja: Co widzi?
H:To.
Ja: Co robisz? H: Tobie dobrze.

Rozmowa w mojej kuchni:

Ja: Napijesz się czegoś?
H: Nie.
Ja: Kawy?
H: Nie.
Ja: Zjesz coś?
H: Nie.
Ja: Papierosa?
H: Nie.

Ja: Chcesz iść do łóżka? H: Tak. Ja: Teraz? H: Tak.

Rozmowa w sypialni:

Ja: Wyglądasz apetycznie. H: Więc mnie zjedz. Ja: Mmm... H: Ach...

Ja: Mam założyć prezerwatywę?

H: A czy papież jest katolikiem?

Ja: Obawiam się, że tego nie pochwala.

H: Obawiam się, że nie puszcza się na prawo i lewo, jak ty.

Rozmowa następnego ranka:

Ja: Przyniosłem ci śniadanie. H: Która godzina? Ja: Dziewiąta. H: Cholera. Ja: Co się stało?

H: Za pół godziny jestem umówiona z Amy i Susie.

Ja: Nie możesz się spóźnić?

H: Nie, obiecałam.

Ja: To jajka na szynce.

H: Sorry. Nie zdążę.

Ja: Podwiozę cię.

H: Metrem będzie szybciej.

Ja: Jak chcesz.

H: Gdzie moje majtki?

Ja: Za telewizorem.

H: Kto je tam dał?

Ja: Ja.

H: Po jaką cholerę? Ja: Gra na zwłokę. H: Co?

Ja: Żebyś nie dała nogi.

H: Wcale nie daję nogi.

Ja: Owszem, dajesz.

H: Nieprawda. Bardzo mi się podobało.

Ja: Na tyle, żeby to powtórzyć?

H: Jasne.

Ja: Kiedy?

H: Zadzwonię do ciebie. Ja: Kiedy?

H: Przypierasz mnie do muru? Ja: Chcesz mnie spławić?

H: W przyszłym tygodniu wyjeżdżam. Do Paryża. Służbowo. Ja: Na cały tydzień? H: Na cały.

Ja: Więc zobaczymy się dopiero na ślubie.

H: Jasne. Na ślubie.

Ja: Do widzenia.

H: Sama się wyprowadzę.

Sprawdzam, która godzina: dochodzi trzecia. Nic dziwnego, że skwer opustoszał. Sam powinienem niedługo wrócić do pracy. Jeszcze jeden papieros i spadam. Kładę komórkę na kolanach, zapalam papierosa i zaciągam się. Patrzę na poruszające się gałęzie drzew. Może po prostu popadam w paranoję, co zresztą stwierdził Jack, gdy w niedzielę rozmawialiśmy o tym, co się wydarzyło.

—Przecież się z tobą przespała, no nie? — stwierdził. — Czego jeszcze chcesz?

—Była zalana, Jack. Ja zresztą też.

—No to co?

—A to, że rano, kiedy wytrzeźwiała, po prostu dała w długą. Kiedy już trzeźwa obudziła się w jednym łóżku ze mną, myślała tylko o tym, żeby uciec z miejsca zbrodni.

—Była umówiona z Amy. Tak ci powiedziała i to była prawda. Spotkały się wczoraj rano, żeby przymierzać suknie.

—No dobra, a co powiesz na to, że ma jej nie być przez cały tydzień? — Wciąż miałem wątpliwości. — Nie wmówisz mi, że to jest taktyka stosowania uników.

—Mówisz o jej wyjeździe do Paryża? Przykro mi, Matt, ale znowu muszę cię rozczarować. Trąbiła o tym od niepamiętnych czasów.

—Och.

—Wyluzuj się, stary.

—Jack, posłuchaj. Czy możemy tę rozmowę zachować przez jakiś czas dla siebie?

—To znaczy, że mam o niczym nie mówić Amy?

—Właśnie.

—Dlaczego?

—Tak po prostu. No, wiesz, na wypadek gdyby nic z tego nie wyszło.

—Ale przecież wyjdzie — upierał się.

—No tak, ale mimo wszystko...

—W porządku, stary. Twoje słowo jest dla mnie rozkazem.

—Przyrzekasz?

—Przyrzekam — powiedział bardzo poważnie.

—Dzięki. A Amy? Wspominała ci coś?

—O czym? Że przeleciałeś H? Nie. A czemu?

—Tak, bez powodu.

Tu skłamałem, bo powód był największy i najważniejszy na świecie. Wszyscy ludzie są różni, wiem o tym. Z drugiej jednak strony są pewne uniwersalne prawdy, które odnoszą się do wszystkich bez wyjątku. A jedną z nich jest nietrzymanie w tajemnicy przed najlepszym przyjacielem faktu spędzenia z kimś nocy. H jednak nie puściła pary z gęby. Nie powiedziała Amy ani słowa, bo gdyby to zrobiła, Amy natychmiast wypaplałaby wszystko Jackowi, a ten z kolei wygadałby się przede mną. (Na tym polega natura zaufania w ścisłym kręgu znajomych.)

Analizowałem tę sytuację z tysiąc razy i w końcu doszedłem

do wniosku, że istnieją trzy możliwe powody milczenia H w tej sprawie:

Pierwszy: Mogła czuć się skrępowana swoim zachowaniem po alkoholu i nie chciała nikomu o tym mówić, w obawie przed potępieniem, zwłaszcza ze strony najlepszej przyjaciółki.

Drugi: W swoim zachowaniu nie widziała niczego złego, ale odczuwała wstręt, że to ja byłem osobą, z którą w ten sposób się zachowała.

Lub trzeci: Do tego, co się stało, podeszła luzacko, a nikomu o tym nie mówi do czasu, aż się nie przekona, czy to tylko kolejny wypadek przy pracy, czy też może raczej początek czegoś poważniejszego.

Bez wątpienia — zakładając, że nie powtórzę raz jeszcze, iż nie uważam jej za dziwkę, oraz że nie poddam się operacji plastycznej, która zrobiłaby ze mnie faceta jej marzeń — pierwsza i druga możliwość stawia mnie na z góry przegranej pozycji. Trzecia natomiast... trzecia daje mi pewną szansę. Jeśli uda mi się spotkać z H, będę mógł przekonać ją, że my dwoje możemy wspólnie stworzyć coś udanego. To właśnie chciałem zrobić tego ranka, gdy tak nagle odeszła. Chciałem podać jej śniadanie. Chciałem, żebyśmy zostali w łóżku, przegadali cały dzień, poznali się lepiej. Ponieważ wiem, że rokowania są pomyślne, musimy tylko dać sobie szansę. Jack miał rację: ona jest dla mnie stworzona. Nie ma o czym mówić: to ideał. I mogę jej to udowodnić. Tylko kiedy? Jedno jest pewne, że im szybciej, tym lepiej. Od ślubu dzielą nas jeszcze całe dwa tygodnie. Jeżeli będziemy czekali tak długo, szansa, która się teraz pojawiła, do tego czasu może minąć bezpowrotnie.

Znowu spoglądam na telefon i wyrzucam papierosa. Potem wyjmuję z kieszeni kartkę papieru. Widnieje na nim numer telefonu, zapisany moim koślawym charakterem pisma. Papier jest

wymiętoszony, co nie powinno dziwić, ponieważ od soboty rano, kiedy to w pośpiechu zapisałem na nim numer, oglądałem go co najmniej tysiąc razy. Na sam jego widok robi mi się niedobrze. Wiem, że postępuję źle. Ale to moja jedyna nadzieja.

Numer przepisałem z kartki, którą znalazłem w torbie H, leżącej na podłodze mojego pokoju. Położyła ją tam H w nocy z piątku na sobotę. Nie zrobiłem tego celowo. Kartka wystawała z torby, razem z innymi papierami. Które przy okazji także przeczytałem. Zgoda, kartka była w zaklejonej kopercie z napisem „Panieńska impreza"— tej samej, którą H schowała do torby, wcześniej identyczną wręczywszy Amy w „Niebieskiej Róży". Czy mogłem nie skorzystać z okazji, skoro sama pchała mi się w ręce.

Schowałem papiery do koperty, zakleiłem ją i wsunąłem na miejsce. Spojrzałem na śpiąca w moim łóżku H. Nocna lampka paliła się jeszcze i w jej świetle widziałem H leżącą na brzuchu, z twarzą zwróconą w moją stronę. Spała jak zabita. Prześcieradła przykrywały ją tylko do pasa i delikatnie powiodłem palcem po ideałnie gładkiej skórze jej ramienia. Potem zwinąłem świeżo zapisany skrawek papieru i wsunąłem go pod poduszkę, na której leżałem.

—Już po ciebie idzie — odzywa się niespodziewanie siedząca obok mnie dziwacznie ubrana kobieta, wyrywając mnie z zamyślenia.

Jestem tak zaskoczony, że przez chwilę gapię się na nią ogłupiały. Nie może mieć więcej niż dwadzieścia lat i wygląda, jakby dopiero co wyszła z imprezy — cała obwieszona jest biżuterią i ma bardzo mocny makijaż.

—Kto? — pytam w końcu, otrząsnąwszy się z osłupienia.

—Szatan — syczy i łapie mnie za rękę. — Belzebub. Zły. — Ściska mnie coraz mocniej. — Nazwij go sobie, jak chcesz.

—Rozumiem — mówię, starając się nie zdradzać ogarniającego mnie strachu.

—Nie żartuję — upiera się. — Sama go wczoraj widziałam. W Hyde Parku.

—Proszę mnie puścić — uwalniam się z uścisku jej palców. — Trochę boli.

—Idzie po ciebie — powtarza gwałtownie — żeby ukarać cię za twoje grzechy.

Nie ma chyba prawnika, który postawiony wobec jakiegokolwiek zarzutu, nie poczułby się z miejsca winny. Zwłaszcza gdy tak jak ja, ma za sobą nie do końca kryształową przeszłość. Słysząc słowa tej wariatki, natychmiast przypomniałem sobie, jak przebrani za Batmana i Robina, zorganizowaliśmy z Jackiem — sprawców dotąd nie wykryto — napad w biały dzień na pocztę przy Calder Road w Bristolu. Ale przecież ta kobieta nie może wiedzieć, jak Jack po mistrzowsku schował do kieszeni dwadzieścia cztery miętowe cukierki, a ja równie zgrabnie zwinąłem dwie laski wanilii, trzy truskawkowe batoniki i paczkę chrupek. Chwilę bacznie obserwuję jej twarz, żeby zdobyć stuprocentową pewność, ona jednak beznamiętnie odwzajemnia moje spojrzenie.

—Powinna się pani trochę przespać — mówię w końcu i chowam komórkę do kieszeni.

Patrzy na mnie złośliwie.

—Nie wierzysz mi, co?

—Że w Hyde Parku grasuje szatan? Nie, nie wierzę.

—Przybrał postać kozy i chodzi na tylnych nogach.

—Oczywiście — mówię najłagodniej, jak potrafię, i wstaję, żeby odejść. — To musi być prawda.

—Ma na imię Gerald — woła za mną. — Tak jest napisane na jego obroży. Ja...

Ale już jej nie słucham, tylko idę w stronę żelaznej bramy, wciąż ściskając w ręce skrawek papieru. Dochodzę do niej i czując, jak adrenalina buzuje mi w żyłach, wyjmuję telefon. Pośpiesznie wybieram pierwsze cyfry numeru. Nagle zamieram. Nie mogę tego zrobić. Tamta kobieta miała rację. Zrobię to i szatan nie przestanie mnie ścigać do końca życia. A co gorsza, przyłączy się do niego H. Nigdy nie uwierzy, że to zwykły zbieg okoliczności. Marne szanse. Z drugiej jednak strony nigdy nie zdoła dowieść, że było inaczej. Będzie mogła tylko podejrzewać. Więc, Matt, nie cykaj się. To twoja jedyna nadzieja. Cóż z tego, że tak nie przystoi? Czyż cel nie uświęca środków? A jeżeli celem ma być zdobycie H, czy nie

powinieneś użyć wszelkich dostępnych ci środków? Odpowiedź nadchodzi natychmiast. Kogo to obchodzi? Tak i jeszcze raz tak. Nie namyślając się więc dłużej, robię to. Robię coś tak potwornego, że przy tym *Egzorcysta* jawi się niegroźny i łagodny jak baranek. Kończę wybierać numer.

—Halo? — rozlega się w słuchawce damski głos. — Dodzwoniłeś się do „Leisure Heaven". Mówi Lisa. W czym mogę pomóc?

—Chciałbym zrobić rezerwację na najbliższy weekend, od piątku do niedzieli.

—Na ile osób, proszę pana?

—Siedem na pewno. Być może osiem.

—Proszę zaczekać. Nasz system komputerowy zawiesił się na chwilę.

Przez kilka sekund słyszę jedynie szelest papierów i stłumione przekleństwa. W końcu Lisa odzywa się znowu:

—Ma pan szczęście. Mogę panu zaproponować dwa domki. To ostatnie, które są jeszcze wolne. W każdym może spać od czterech do sześciu osób. Czy to panu odpowiada?

—Kochana Liso — mówię i wyjmuję portfel, w którym trzymam karty kredytowe — nawet nie wiesz, jak bardzo.

CZĘŚĆ II

STRINGER

Godzina 16.00

—Ty świnio!

Chwytam Kena za gardło i obracam twarzą do siebie.

—Co, jak się role zmieniają, przestaje już być zabawnie, no nie? — wrzeszczę mu prosto w twarz i dodaję dla wzmocnienia efektu: — Ty podstępna mała kanalio.

Kieruję światło latarki na wierzch mojej dłoni, gdzie mnie podrapał. Tak jak myślałem: krew.

—Aha, zaciąłeś mnie, tak? — mówię rozjuszony i obracam się znowu do niego, żeby sprawdzić jego małe ostre łapki. — Sam tego chciałeś. Teraz mi za to zapłacisz.

Patrzę mu w oczy, ale jego spojrzenie pozostaje beznamiętne. Nawet mu włos nie drgnął. Opanowany facet, trzeba mu przyznać. Wygląda dokładnie tak samo jak w czasach, kiedy zaczął zadawać się z Barbie i moją siostrą. Pieprzyć go. Przeszłość się nie liczy. Nikt nie zadziera ze Stringer Manem bezkarnie. Ściskam z całej siły i przekręcam. Nieuniknione staje się faktem: jego głowa zostaje mi w ręce, oddzielona od reszty korpusu.

—Stringer, wszystko w porządku? — dobiega mnie przytłumiony okrzyk Karen.

Odrzucam głowę Kena za siebie i depczę stopami inne jego i Xandry lalki.

—Spoko — wołam w odpowiedzi, odsuwając z drogi rocznik *Sędziego Dredda* i przetarty podkoszulek. Oświetlam teren przed sobą latarką i brnę dalej w głąb schowka w ścianie mojego pokoju, waląc się łokciem w garaż Fisher Price, budząc do życia mały dzwoneczek. Ilość nagromadzonego tu chłamu jest wprost niewiarygodna. Są tu zabawki, których nie widziałem od czasu,

gdy byliśmy z Xandrą małymi berbeciami. Nasze świadectwa szkolne, stare mundurki, całe tony śmiecia—czego tu nie ma. Pamiętam, że jakiś miesiąc po tym, jak się wprowadziłem, mama upchnęła tu to wszystko, mówiąc, że skoro nie potrzebuję tego schowka, ona go wykorzysta. Cały ten stos wysoki jest na półtora metra, a w głąb sięga chyba na trzy. Walę głową w sufit, chyba po raz tysięczny w ciągu ostatnich kilkunastu sekund. Niech szlag trafi Matta. Niech szlag trafi jego, i Jacka, i cały ten poroniony pomysł. Szlag niech też trafi Jimmy'ego i Uga, ponieważ to głównie z powodu ich udziału w kawalerskiej imprezie jestem taki wkurzony. Znowu rozlega się przytłumiony głos Karen:

—Co ty tam robisz? Budujesz sobie schron?

—Och, cha, cha — odkrzykuję, jednocześnie usuwając na bok spowitą pajęczynami wędkę. — Nie, do ciężkiej cholery, na razie jeszcze nie.

—To co robisz?

—Szukam kapelusza. Śmiesznego kapelusza. Jest czarny i na czubku ma gumowe rogi łosia.

Chwilę trwa cisza.

—Na co ci on? — rozlega się po chwili.

—Mnie na nic. Matt go potrzebuje. Znowu chwila ciszy.

—Ale przecież jego tam nie ma?

—Nie — lepiej będzie, jak jej wyjaśnię. — Powiedział, że każdy z nas ma mieć taki kapelusz. Cha, cha, cha, jajcarski kapelusz. Na kawalerski weekend.

Łapię niedźwiedzia za gardło i spycham za siebie. Znajdę ten cholerny kapelusz, choćbym miał tu zginąć.

—Wszystko jest w faksie, który od niego dostałem — tłumaczę dalej. — Leży na stoliku, obok mojego łóżka.

Jakieś pięć minut później wkraczam do kuchni, mocno ściskając w rękach łosiowy kapelusz. Karen siedzi na stole, w dłoniach tuląc kubek z kawą. Stół niknie pod stosami czasopism, papierów i książek, potrzebnych jej do artykułu, nad którym właśnie pracuje. Jej laptop zajmuje jedyne wolne miejsce: kolana właścicielki.

Karen nie odrywa wzroku od ekranu laptopa i ręce trzyma bez ruchu. Zaglądam jej przez ramię i widzę, że czeka, aż komputer ściągnie jakiś artykuł z internetowych archiwów muzeum Guggenheima. Wciąż siedzi bez ruchu, jakby była w transie.

—Nic ci nie jest? — pytam.

—W porządku — odpowiada.

Ale znam ją za dobrze, żeby dać się tak łatwo zbyć. Coś ją gryzie, i to nieźle. Pochylam się nad stołem i wbijam w nią wzrok, aż wreszcie budzi się i patrzy na mnie.

—Na pewno w porządku? — naciskam.

—Sama nie wiem — mówi, potrząsając głową. Po chwili zaczyna niepewnie: — Chodzi o Chrisa. On...

—On co? — ponaglam ją.

—No, wiesz, że miał dzisiaj przyjechać?

—Wiem.

—No i przyjedzie dopiero jutro. Mówi, że musi dłużej zostać w biurze, a kiedy skończy, będzie już za późno i nie zdąży na pociąg.

—Och.

—Właśnie — mówi. — Och.

Nie po raz pierwszy prowadzimy z Karen podobną rozmowę i jak wszystkie poprzednie, także ta nie jest dla mnie łatwa. Jeżeli oczekuje ode mnie rady, co powinna począć z Chrisem, mam dla niej tylko jedną: olej go. Problem w tym, że tego właśnie powiedzieć jej nie mogę, gdyż mógłbym zdradzić się przy tym z uczuciami, które dla niej żywię. Raz tylko wypsnęło mi się, co naprawdę o nim myślę: było to kilka miesięcy temu i oboje byliśmy zalani w trupa. Nie sądzę, żeby cokolwiek pamiętała, a jeśli nawet, słowem nigdy nie wspomniała o tamtej rozmowie.

—Co mu powiedziałaś? — decyduję się na bezpieczniejsze rozwiązanie.

Z jękiem odstawia kubek na stół.

—Ze nie ma sprawy. Zawsze to mówię.

—Chociaż wcale tak nie myślisz.

—Nie, ja... Sama już nie wiem, Greg. Przyzwyczaiłam się już do tego układu, że on mieszka tam, a ja tu — wzdycha. — Ale

nie wiem, co on tam robi, a ponieważ raz już mnie zdradził, boję się... O Boże, ależ mnie to wkurza. W imię czego mam się w piątkowy wieczór zadręczać w samotności?

—Jedyna prosta odpowiedź brzmi: nie powinnaś.

—Wiem — waha się przez chwilę, po czym dodaje: — I może to właśnie powinnam mu powiedzieć.

—Co? — pytam i czuję, że serce zaczyna walić mi jak oszalałe. — Chcesz z nim zerwać?

—Nie wiem.

Przysiadam na krawędzi stołu. Jest taka smutna, że aż się serce kraje.

—Kochasz go? — pytam, a w duchu błagam o odpowiedź przeczącą.

Wpatruje się w ścianę.

—Nawet tego już nie wiem. Kocham go za to, jaki był, albo raczej za to, jakim kiedyś mi się wydawało, że był — poprawia się i przenosi wzrok ze ściany na mnie. — Ale myślę, że nie jesteśmy już tacy sami, jak byliśmy, kiedy się w sobie zakochaliśmy.

—Skoro go już nie kochasz, może powinnaś z tym skończyć — podsuwam nieśmiało.

—Tak — mówi, kiwając powoli głową. — Może rzeczywiście.

Wciąga głęboko powietrze, potem je wypuszcza i sili się na słaby uśmiech.

—Widzę, że go znalazłeś — zauważa i podnosząc kubek do ust, patrzy ponad jego brzegiem na mój łosiowy kapelusz.

—Owszem — odpowiadam, mając świadomość, że rozmowa o Chrisie dobiegła końca. Zastanawiam się, co by tu powiedzieć i szczęśliwie sobie przypominam: — Czytałaś faks od Matta?

Podnosi go ze stołu i przebiega wzrokiem znajdujący się na nim tekst.

—Faceci chyba nigdy nie zmądrzeją — mówi zrezygnowanym tonem. — „Przez cały czas trwania weekendu" — cytuje

z sarkazmem — „każde zachowanie, powszechnie uważane jako nie-kawalerskie będzie karane".

Rzuca mi miażdżące spojrzenie. Jej krytyczne nastawienie do faksu tylko pogłębia mój strach przed zbliżającym się weekendem. No, przynajmniej zaczyna się uśmiechać.

—„Tam, gdzie to okaże się konieczne, nakładane będą grzywny w odpowiedniej wysokości". Nie uważasz, że to trochę żałosne? — pyta.

—Sama oceń.

—Trochę niepodobne do Matta, no nie?

—W sumie tak, ale Jack chciał, żeby odpał był pełny, i Matt nie chce go zawieść. Wszystko zgodnie z przepisami.

Przygląda mi się bacznie.

—Kotku, nic ci nie jest? Ja ci tu truję o moich kłopotach, a ty wyglądasz, jakbyś od miesiąca nie zmrużył oka.

—To prawda, jestem wykończony — przyznaję. — Wczoraj ostatni goście wyszli po trzeciej, a już o ósmej musiałem być z powrotem na miejscu, żeby sprawdzić, czy wszystko jest posprzątane. — Na samo wspomnienie zaczyna mi się kręcić w głowie. Przez ostatni tydzień sypiałem nie więcej niż cztery godziny na dobę. Oczy mi się zamykają. Zasnąłbym chyba w locie. — Marzę tylko, żeby walnąć się w wyro i przespać całą dobę.

Znowu patrzy na fax od Matta.

—A zamiast tego musisz tam jechać...

—Właśnie... Ale to nie wszystko...

—Co jeszcze?

Wyrywa mi się długie, głuche warczenie.

—Mają tam być dwaj faceci: Jimmy i Ug — wyjaśniam jej.

— Chociaż głównie chodzi o Jimmy'ego...

—To znaczy?

—Cały czas są w ciągu. Wiesz, o co chodzi. Gotowi są zapalić albo wąchać wszystko, nawet dwutygodniowe psie gówno. Wiem, że się naćpają. Na pewno przywiozą ze sobą działę wielką jak Tadż Mahal i zgadnij, z kim będą chcieli się podzielić?

— Nie czekam, aż mi odpowie. — Ze mną. Bo są święcie

przekonani, że dalej siedzę w prochach, chociaż już chyba ze sto razy im mówiłem, że z tym skończyłem...

Dla Karen moja narkotykowa przeszłość nie jest tajemnicą. Wyznałem jej wszystko jakieś parę miesięcy temu.

—Rozmawiałeś o tym z Dawidem z „Rzuć to na dobre"? — upewnia się.

—Tak. Uważa, że powinienem sobie poradzić.

—A ty jesteś innego zdania? — domyśla się.

—Sam nie wiem. Przecież wiesz, jaki kiedyś byłem. Wystarczy jeden raz i od nowa wpadam w ciąg. Gdyby tak się stało, to... kurwa... nie wiem... naprawdę nie wiem...

Karen patrzy na mnie ze współczuciem.

—Jak rozumiem, ci dwaj — Jimmy i ten Ug — to twoi dobrzy kumple?

—Kumple? Tak. — Zastanawiam się chwilę, po czym zaprzeczam sam sobie. — W sumie chyba nie. Dawniej bez przerwy się z nimi włóczyłem. Nic, tylko łażą po klubach. Całymi nocami... aż do świtu, kapujesz? Ale żeby zaraz kumple? Nie, raczej nie. Odkąd jestem czysty, staram się ich unikać...

—Skoro tak się czujesz, może byłoby lepiej, gdybyś nie jechał...? — podsuwa Karen.

Marszczę brwi. — Nie, to byłoby nie fair wobec Jacka. Kumplują się jeszcze od college'u. Nie przeszkadzają mu, bo pod tym względem nigdy nie mieli ze sobą nic wspólnego. Nie, to mój problem, nie jego.

Słucha mnie i kiwa głową.

—W takim razie bądź z nimi szczery—radzi mi.—Powiedz im, żeby się od ciebie odchrzanili. Nie mogą cię zmusić do czegoś, na co nie masz ochoty.

Chwilę rozważam jej słowa i przyjmuję je za pewnik.

—Masz rację — mówię. — Poradzę sobie.

—Jasne, że sobie poradzisz. — Przygląda mi się uważnie. — Czy coś jeszcze cię gryzie?

Uśmiecham się bezradnie. Jak ona dobrze mnie zna.

—Forsa.

Rzuca okiem na fax.

—Tak, widziałam. „Po sto funtów gotówką" — czyta dalej — „każdy". Podnosi na mnie wzrok. — Jezu, Greg, skąd chcesz wytrzasnąć taki szmal?

Odpowiedź jest porażająco oczywista: nie mam skąd. Nawet ze wszystkimi nadgodzinami, jakie w tym tygodniu przepracowałem w Chichi, jestem w banku zadłużony po uszy. Poza tym zalegam mamie od dwóch miesięcy z czynszem. Tego rodzaju zabawy dobre są dla ludzi takich jak Matt i Jack. Oni mają pieniądze. Dla nich sto funtów to pewnie żaden problem. Tyle wydają tygodniowo na restauracje lub na wieczory w klubach. W tym sęk: nie dociera do nich, że ktoś może być bez kasy. Nie mam co płakać, tym bardziej że tylko sobie mogę podziękować za tragiczny stan moich finansów. No i nie jestem przymierającym głodem włóczęgą bez dachu nad głową. Trzeba się więc wziąć w garść i w przyszłym tygodniu dalej pracować na okrągło. Wzruszam ramionami.

—Jakoś sobie poradzę — mówię do Karen. — Chyba nie mam wyjścia.

—Cóż — zauważa. — Jak ci już mówiłam, nie musisz jechać.

—To nie wchodzi w grę.

—A niby czemu nie? Możesz robić, co chcesz. Tak jak było z narkotykami, sam decydujesz o swoim życiu. — Raz jeszcze spogląda na trzymany w ręce fax. — Tym bardziej że zanosi się na typowo samczą imprezę.

—Wiem, ale nie mogę się wykręcić. To nie byłoby w porządku, a zresztą dałem już Mattowi forsę za noclegi i przejazd.

—Wiesz chociaż, dokąd jedziecie?

—Nie, powiedzieli mi tylko, gdzie jest punkt zborny.

—Cóż, twój wybór — mówi z westchnieniem. — Mam ci pomóc sprawdzić, czy o niczym nie zapomniałeś? Chyba nie chcesz od razu na wejściu zapłacić grzywny?

Patrzę na zegarek: jest dwadzieścia po czwartej. Muszę się pospieszyć, jeśli mam zdążyć na piątą do pubu, w którym wszyscy się spotykamy.

—Dzięki — uśmiecham się do Karen i biorę plecak, do którego wcześniej spakowałem już ciuchy i kosmetyki.

—Punkt pierwszy — zaczyna czytać Karen. — Jajcarski kapelusz.

—Jest — potwierdzam i ładuję go do plecaka.

—Punkt drugi: opakowanie prezerwatyw.

—Jest — następna rzecz ląduje w plecaku.

—Punkt trzeci: niespotykana flaszka alkoholu. (Uwaga: w przypadku powtarzających się egzemplarzy, wszystkie strony zostaną obciążone grzywną).

Podnoszę do góry butelkę jabcoka, po czym ostrożnie ją pakuję. — Jest.

—Punkt czwarty: jedna sztuka damskiej bielizny. — Marszczy brwi. — Macie zamiar się w nie poprzebierać? — pyta. Taksuje mnie od góry do dołu wzrokiem i zauważa kpiąco: — Co prawda nie miałabym nic przeciwko temu, żeby to zobaczyć...

—Nie — mówię szybko, czując się dość niezręcznie. — Przynajmniej nie sądzę.

—Szkoda—wzdycha z rozczarowaniem. Milknie na chwilę, a potem patrzy na mnie z uniesionymi brwiami. — Więc, jedna sztuka damskiej bielizny... Jest?

—W zasadzie —jąkam się i czuję, jak rumieniec oblewa mi twarz. — Miałem cię właśnie spytać, czy...

SUSIE

Piątek, godzina 16.30

— Obiecaj mi, że będziesz na siebie uważał, dobrze? — po raz setny mówi Amy, rzucając swoje rzeczy przy drzwiach wejściowych. Ma kolosalnych rozmiarów walizkę i postanowiła dodatkowo zabrać podwójną kołdrę, ponieważ, zdaje się, pachnie Jackiem. Według mnie w „Niebiańskim Wypoczynku" wystarczyłby jej kostium kąpielowy i lekarstwo na kaca. Ale to właśnie

cała Amy — wszędzie taszczy ze sobą cały majdan. Porzuca swoje tobołki i staje przed swoim ukochanym z założonymi na piersiach rękami.

—Nie pozwól, żeby ci ogolili brwi ani przykuli gdzieś nagiego łańcuchami — zaczyna od początku. — Obiecaj mi.

Patrzymy na siebie wymownie z siostrą Jacka, Kate. Jack stawia jedną nogę na kuchennym taborecie i wybucham śmiechem. Jest gotowy do wyruszenia na swój kawalerski weekend i przybrał pozę supermana, zwłaszcza że ma przed sobą damską publiczność. Puszcza do mnie oko i zaczyna wiązać sznurówki w bucie. Odkąd wyprowadził się od Matta, jego wygląd zewnętrzny stale się pogarsza. Zniknęły gdzieś designerskie ciuchy, ale trzeba przyznać, że facet nie przywiązujący wagi do kolorystycznej harmonii ubrania ma w sobie coś seksy. Prostuje się, przeciąga i uśmiecha od ucha do ucha. Jest gotowy do bitwy.

—A striptizerka? Mogę ją trochę pomacać? — pyta. Amy szarpie go za rękę.

—To wcale nie jest śmieszne — złości się, na co Jack wyciąga z kieszeni kapelusz z obrzydliwym napisem i wkłada go na głowę.

Kate zasłania dłonią oczy.

—Jack, zachowujesz się skandalicznie.

—Chyba nie zamierzasz w tym wyjść?—pytam ze śmiechem.

—Nic na to nie poradzę — oświadcza ze wzruszeniem ramion. — Matt kazał. Jeśli się nie dostosuję, będę musiał zapłacić karę — mówi i zaczyna tańczyć.

Amy jednak, w przeciwieństwie do Kate i mnie, nie widzi w tym nic śmiesznego. Chwyta stojący na stole plecak Jacka i pieszczotliwie go miętosi, jak zrozpaczona matka, wysyłająca swojego jedynaka po raz pierwszy do szkoły.

Jack odbiera go od niej i zarzuca sobie na ramię, jak kowboj siodło.

—To bez sensu. Nie rozumiem, dlaczego nie możemy pojechać wszyscy razem — mówi płaczliwie Amy. — Będą z tobą wyczyniać straszne rzeczy, wiem o tym.

Jack kładzie jej rękę na ramieniu.

—Posłuchaj, przecież jedzie ze mną Matt. Będzie mnie pilnował.

—Nie o Matta się martwię...

—Chodź do mnie — śmieje się Jack i mocno ją obejmuje. — Wszystko będzie dobrze. Ty masz swoje dziewczyny... — uśmiecha się do nas ponad jej ramieniem.

Kate przygryza policzek i kręci głową.

Lubię Kate, chociaż spotkałyśmy się tylko raz, na zaręczynach Jacka i Amy. Jest raczej nieśmiała i zdecydowanie lepiej się czuje w towarzystwie tylko jednej osoby, przesiedziałyśmy więc większość czasu w kącie, ignorując całą resztę. Od razu przypadła mi do serca, tak bardzo przypominała mi mnie samą, gdy byłam w jej wieku. Dopiero co skończyła studia językowe i chociaż biedna jest jak mysz kościelna, głowę pełną ma planów na przyszłość. Nie sądzę, żeby któryś z nich wypalił, ale radziłam jej, żeby nie dala się zwieść pokusie stałej pracy, dopóki nie znajdzie czegoś naprawdę dla siebie.

Bardzo się czułam wtedy dzielna i dojrzała, choć prawdę mówiąc, jestem ostatnią osobą, która powinna udzielać dobrych rad na przyszłość. Było, nie było, jestem od niej o całe pięć lat starsza i czym mogę się pochwalić? Planami, z których żadnego nie udało mi się zrealizować. Nie mam nic. Nie zarabiam pieniędzy, w niczym nie jestem wiarygodna. Niczego nie osiągnęłam, potrafiłam tylko marzyć. O, przepraszam, udało mi się przejść na ty z panią z pomocy społecznej.

—Będę za tobą tęsknić — mówi Amy i bawi się koszulą Jacka.

—O matko, przestań w końcu jęczeć — nie wytrzymuję. — Będziemy się bawić o niebo lepiej.

—Widzisz? — podchwytuje Jack i puszcza Amy, która, choć się śmieje, patrzy na niego, jakby widziała go po raz ostatni w życiu.

Szczypię go czule w policzek.

—Nie łudź się, słonko. To raczej ty powinieneś się martwić.

O ile wiem, czeka tam na nią prawdziwy Tarzan!—Prowokująco wypycham językiem policzek. Jack uśmiecha się z wyższością.

—Założyłem jej pas cnoty — mówi scenicznym szeptem. Spogląda na kuchenny zegar. — Pora na mnie, panienki. Nie mogę się spóźnić na spotkanie z chłopakami.

Nie da się ukryć, że jest podekscytowany, ale w głębi duszy popieram Amy. Rzeczywiście byłoby może lepiej, gdybyśmy pojechali wszyscy razem. Przynajmniej nie miałabym nic przeciwko temu.

—Ruszaj więc, kochasiu. I nie rób niczego, czego ja bym nie zrobiła — mówię i wspinam się na palce, żeby pocałować go w policzek.

—To mi chyba daje wolną rękę — chichocze.

—Opiekuj się nią — mówi do mnie bezgłośnie, poruszając tylko ustami. Kiwam głową na zgodę i odwracam się, żeby nie przeszkadzać im w czułym pożegnaniu.

—Jack jest z nich wszystkich najgorszy — śmieje się Kate, sięgając po coś do szafki. Koszulka jej się przy tym podnosi, odsłaniając brzuch, i widzę, że ma przekłuty pępek, podobnie jak ja. — O ile znam własnego brata, pierwszy sprowadzi ich wszystkich na manowce.

—Tylko jej tego nie mów — szepczę.

Woda w czajniku zaczyna się gotować i Kate otwiera puszkę z herbatą.

—Herbata! — wołam z oburzeniem. — Myślę, że przydałoby się coś mocniejszego. Mnie na pewno.

Nurkuję do swojej torby i wyciągam ogromną butelkę wódki, którą kupiłam kiedyś. Pozostałość z czasów tego śmierdziela, Simona. Trzymałam ją na specjalną okazję i myślę, że właśnie taka się nadarza. Poza tym wyciągnęłam na ten weekend ostatnie pieniądze z moich oszczędności budowlanych, więc zabawa musi być przednia. Z trudem nalewam wódkę z ogromniastej butli do kubków. Szczególnie szczodrze traktuję kubek przeznaczony dla Amy.

—Fajnie, że kupiłaś coś do picia. Też miałam taki zamiar, ale chwilowo cierpię na brak funduszy — tłumaczy się Kate.

Klepię ją uspokajająco po ramieniu.

—Trzymaj forsę na podróż do Australii. Będzie ci potrzebna. Och, ależ ci zazdroszczę, to będzie na pewno wspaniała podróż.

Kate uśmiecha się z wdzięcznością i chociaż zawiść aż mnie zżera, miło mi, że taka jestem hojna.

—Założę się, że się z tym uporamy przez weekend — mówię i klepię butelkę. — Albo nawet jeszcze dzisiaj. Gdzie się podziewa H?

—Dzwoniła wcześniej. Trochę się spóźni. Chce, żebyśmy pojechały do niej taksówką, a stamtąd pojedziemy razem, już jej samochodem — wyjaśnia Kate, otwierając butelkę z tonikiem.

Należało się tego spodziewać. Czyż ona nie jest bezczelna? Ja mogłam przyjechać aż z południowego Londynu, ale dla Jej Wysokości pół mili to za daleko. Zgoda, ja nie pracuję, ale co z tego? Wiedziała o tym od wieków. Jakbym nie miała nic lepszego, tylko wydawać schowaną na czarną godzinę kasę na taksówki, i to tylko dlatego, że ona jest jakaś pieprzona primadonna.

—Jej strata — mówię z lekceważącym wzruszeniem ramion, z trudem gryząc się w język, żeby nie zakląć. Podsuwam kubek Kate.

Zjawia się Amy, wycierając nos w wielki kawał zielonego papieru toaletowego.

—My też powinnyśmy już iść.

—Na razie nie zawracaj sobie tym głowy — mówię i podaję jej kubek. — Na razie mamy ważniejsze sprawy. Musimy ci poprawić nastrój.

Obejmuję ją ramieniem i trącamy się kubkami.

—Za panieński weekend — wznosi toast Kate.

—Zdrówko — mówi Amy. Mocno ją przytulam.

—Czuję w kościach, że będziemy się bawić jak nigdy w życiu.

MATT

Piątek, godzina 17.00

— Mam cię!

Zalewa mnie fala ulgi. To już piąta próba, jaką w ciągu ostatnich dwudziestu minut podjąłem, żeby zaparkować pod knajpą o dźwięcznej nazwie „Pod Jeleniem i Psem". W końcu — nareszcie — znalazłem wolne miejsce. Jestem wściekły na samego siebie. Soho w piątek po południu — mekka wszystkich pijaków. Czego się spodziewałem—nawet jeśli się umówiliśmy, zanim większość londyńczyków zdąży wyj ść z pracy—czystych i pustych ulic? Zjeżdżam na bok i z ogłuszającym hałasem mieszam w skrzyni biegów, usilnie starając się wrzucić wsteczny. Ktoś z tyłu na mnie trąbi, więc klnę z wściekłością. Skąd mi, do ciężkiej cholery, przyszło do głowy umawiać się właśnie tutaj? Niech to piekło pochłonie. Ledwo te słowa przemknęły mi przez myśl, poczułem na plecach zimny dreszcz. Nie będę myślał o tej wariatce z parku. Nie do piekła się wybierasz, idioto, upominam sam siebie, ale do H. Do raju.

Muszę postępować nad wyraz ostrożnie, jeżeli chcę, żeby plan na najbliższy weekend nie spalił na panewce. Albo raczej plany, jako że mam dwa, które muszę zrealizować równolegle. Pierwszy plan dotyczy Jacka: muszę urządzić mu kawalerski weekend — nieważne jak — którego nie zapomni po kres swoich dni. Jest też plan związany z H: zbliżyć się do niej przynajmniej na odległość, która dzieliła nas w ubiegły piątek i zdobyć jej serce, tak jak ona zrobiła to już z moim.

Nie jestem aż takim idiotą, żeby nie zdawać sobie sprawy, że oba plany mogą się nawzajem wykluczać. Na przykład H może się wściec, jeśli zorientuje się, że zarezerwowałem dla nas „Niebiański Wypoczynek" celowo. Z kolei Jack, który co prawda ostatnio szczególnie upodobał sobie życie w parze, może z niecierpliwością czekać na weekend spędzony w atmosferze męskiej, niczym nie ograniczonej solidarności. Poza tym chociaż upiera się, ze strategia mająca na celu ostateczne zdobycie H jest sprawą najwyższej wagi,

może dostać ataku szalu, kiedy odkryje, że samowolnie wybrałem „Niebiański Wypoczynek" na moją osobistą szachownicę miłości, pozostałych uczestników zabawy traktując jako zwykłe pionki.

Próbowałem zabawić się w aktora po raz ostatni w 1988 roku, kiedy to w szóstej klasie wziąłem udział w przesłuchaniach do przedstawienia *Lotu nad kukułczym gniazdem.* Film widziałem wcześniej i na odbywających się w czasie przerwy na lunch przesłuchaniach usiłowałem zabłysnąć przewrotnym uśmiechem i świrniętym wzrokiem Jacka Nicholsona, dzień wcześniej pracowicie przećwiczonymi przed lustrem w domowej łazience. Niestety, nie dostałem roli MacMurphy'ego. Honor ten przypadł Danny'emu Donaldsonowi. I to nie dlatego — co z uporem rozpowiadałem wieczorem w pubie — że podlizywał się pani McKinnery, grubo ponad sześćdziesiątkę opiekunce kółka dramatycznego. Powód był znacznie bardziej prozaiczny: nie potrafiłem grać. Przynajmniej nie poza łazienką i nie pod presją. Wszedłem na scenę i nerwy mi puściły. Po pięciu minutach mojego bełkotu i pełnego ekspresji miotania się po scenie pani McKinnery podsumowała mój godny tragika występ:

— Chłopcze, co cię trapi? Czyżbyś musiał skorzystać z toalety?

W tej chwili to właśnie mnie niepokoi: nie potrafię grać przekonująco, kiedy jestem pod presją. Tak samo było, gdy wtedy, w „Niebieskiej Róży" miałem oznajmić H, że jako kobieta mnie nie interesuje. W tej chwili, jeżeli chcę uniknąć kastracji ze strony H i linczu w wykonaniu Jacka, w krytycznym momencie, gdy zorientują się, że wszyscy zjechaliśmy na ten weekend w to samo miejsce, muszę udawać ucieleśnienie niewinności. Doskonałej niewinności. W przypadku powodzenia mogę liczyć na najlepszy weekend w życiu. W razie porażki jest pewne, że będzie on w moim życiu ostatnim.

Na razie jednak, przynajmniej w kwestii realizacji planu Jackowego, wszystko idzie względnie nieźle. Nikt niczego nie podejrzewa. Od chwili, gdy zarezerwowałem dla nas miejsca w „Niebiańskim Wypoczynku", nie było żadnego potknięcia. Sprawę

Tia Marii Tel załatwiłem bez pudła, podobnie rzecz się miała z kawalerskim weekendem. Wszyscy wiedzą, gdzie i kiedy mają się spotkać. Powiedziałem im, co mają ze sobą zabrać. A z tyłu minibusa mam dość alkoholu, żeby zapełnić luki „Titanica".

Tak więc wszystko gra — poza transportem. Za to jednak bardziej winę ponosi Stringer niż ja. Raz jeszcze szarpnąłem lewarkiem, ale jedynym skutkiem tego posunięcia była zwiększona ilość czarnego dymu wydobywającego się z tyłu. Jakąś godzinę temu odebrałem ten „pojazd" z agencji wynajmującej samochody w Clapham, poleconej mi właśnie przez Stringerà. Nazywa się -— nomen omen — „Wolny Jeździec". Choć „Marny Jeździec" brzmiałoby bardziej adekwatnie. Stringer powiedział, że Chichi od czasu do czasu, gdy w ostatniej chwili potrzebny im jest dodatkowy transport, korzysta z ich usług, zapewniając mnie, że są tani i godni zaufania. Tani i do dupy, do tego raczej z nikłymi szansami na zdobycie złotego medalu w konkursie na najlepszą firmę.

Minibus jest szarobury, z zielonymi strzałami po bokach i przypomina połączenie Tajemniczej Maszyny Scooby Doo z karawanem. Środek nie prezentuje się lepiej: siedzenia są po-przecierane, a z tylnej części dochodzi podejrzany odór gnijącego koziego sera. Obrazu dopełnia *pièce de résistance:* dzięki zablokowanej kasecie jedyne, czego można słuchać to *Klasyczne przeboje z lat 80. grane na organkach* — taki przynajmniej tytuł widnieje na pustym opakowaniu. Rzeczywiście, szczyt elegancji. Wszystko byłoby OK, gdyby to cholerstwo dało się wyłączyć. Albo przynajmniej ściszyć. Niestety, ani jedno, ani drugie. Ponieważ potencjometr utknął na ósemce i ani drgnie, a milknie dopiero, gdy wyłączy się stacyjkę. Zupełnie jakbym utknął w windzie do piekła i Bóg jeden wie, co pomyśli H, gdy zobaczy mnie za kierownicą takiej kupy złomu. Chociaż z drugiej strony, to, co pomyśli o minibusie, może się okazać jednym z mniejszych zmartwień... Znowu próbuję wrzucić wsteczny i tym razem coś jakby zaskakuje. Oglądam się do tyłu, drżąc ze strachu, że ten hałas wydaje pękający właśnie na pół autobus, po czym powoli wjeżdżam na wolne miejsce.

Tym sposobem plan Jackowy przebiega w zasadzie bez zgrzytów, natomiast plan H wciąż tkwi w blokach startowych. W zasadzie głównie przez samą H. Lub raczej jej całkowitą nieobecność. Odkąd w ubiegłą sobotę wymaszerowała z mojej sypialni, rzucając niedbałe „Sama się odprowadzę", nie dała znaku życia. Być może nie miała ku temu okazji. Łudzę się, że nadmiar zajęć związanych z wyjazdem do Paryża i dopinaniem na ostatni guzik panieńskiego weekendu nie pozwolił jej wygospodarować ani minutki, żeby do mnie zadzwonić. Tak przynajmniej podpowiada mi serce. A jeśli się nie myli, nadchodzący weekend okaże się spełnieniem moich naj skrytszych marzeń. Mój widok j ą zachwyci i dwadzieści a cztery godziny upłyną nam na nieustającej wspólnej zabawie.

Rozum jednak mówi co innego. Rozum doszukuje się motywu. Może wcale nie brak okazji jest przyczyną jej milczenia. Może po prostu nie chce ze mną rozmawiać, tylko jak najszybciej zapomnieć o całym incydencie. Z natury nie jestem defetystą, nie mam więc zamiaru zbyt długo nad tą drugą możliwością się zastanawiać, bo inaczej popadnę w skrajną depresję.

—Oj! — przebija się czyjś okrzyk przez ostatnie akordy wyjątkowo wyrafinowanej organkowej wersji *Like a Virgin.*

Spoglądam przez okno i widzę przyklejoną do szyby pucołowatą gębę Damiena. Otwieram okno i widzę, jak jego warga rozciąga się obrzydliwie w dół. Damien to kumpel z Bristolu. Chodził ze mną i Jackiem do szkoły, a teraz zajmuje się projektowaniem gier komputerowych dla firmy w Brixton. Odrywa twarz od szyby i jego rysy wracająDo normalnego stanu. Ma jasne włosy i coraz wyższe czoło. Niebieskie oczy połyskują zza okularów w stylu Lennona. Uśmiecha się od ucha do ucha. I jest jeszcze bledszy niż zwykle, pewnie dlatego, że za jakieś osiem tygodni ma zostać ojcem.

—Niezły wózek — stwierdza i cofa się o krok, żeby lepiej ocenić walory Szalonego Pojazdu. — Muzyka zresztą też — dodaje i uśmiecha się jeszcze szerzej, robiąc gest, jakby grał na organkach. — Czyż to nie urocza wersja na organki Dire Straits?

Dopiero teraz zauważam, że melodia się zmieniła i chylę głowę przed jego znajomością muzyki lat 80. — W samej rzeczy, chyba się nie mylisz.

—Jak miło. Cieszę się, że gust ci się nie poprawił od naszego ostatniego spotkania.

—Nawzajem.

Z uśmiechem wyciągam na powitanie rękę. Kiedy widzieliśmy się ostatnim razem, nic jeszcze nie wskazywało na jego zbliżające się nieuchronnie ojcostwo.

—Gratuluję rychłych narodzin potomka — mówię. — Dowiedziałeś się już, kto jest ojcem?

—Bardzo śmieszne.

—Jak się ma Jackie?

—W porządku. Jakoś sobie radzi. Mieliśmy szczęście, obyło się bez komplikacji. — Kopie przednie koło i pyta: — Jak daleko masz zamiar się doczołgać tą kupą złomu? — Patrzy na mnie z ukosa. — Jeżeli oczywiście zdradzisz nam wreszcie, dokąd się wybieramy...

—Wszystko w swoim czasie — mówię i wyłączam silnik. — Przyszedłeś pierwszy?

—Nie. — Skinieniem głowy pokazuje pub. — Zauważyłem cię przez okno. Jest już Jack i jego brat... — Marszczy czoło. — Billy, tak?

Kiwam głową.

—Okupują bar. A jakieś dziesięć minut temu dzwonili Jimmy i Ug. Są w taksówce. Powinni się lada chwila zjawić.

Jimmy i Ug to starzy kolesie Jacka, jeszcze z college'u. Prowadzą sklep z używanymi ciuchami przy New King's Road. I są bardzo do siebie podobni: mają po metr osiemdziesiąt wzrostu, potężnie zbudowani, z krótko obciętymi ciemnymi włosami. Prywatnie nazywamy ich z Jackiem bliźniakami-samobójcami, ponieważ imprezują, póki nie padną trupem. Ug jest dość sympatyczny. Trudno go nazwać gejzerem intelektu, ale przynajmniej jest nieszkodliwy. Natomiast Jimmy potrafi nieźle zaleźć za skórę, zwłaszcza gdy jest na haju, co ostatnio zdarza mu się nieustannie.

Przypominam sobie złożoną Amy obietnicę, że będę Jacka pilnował i chronił.

Kiedy wysiadam z auta, Damien taksuje mnie wzrokiem.

—Elegancko się wystroiłeś, nie ma co. Czuję, że się rumienię. — No.

Moje spodnie prosto od Hugo Bossa i koszula Romeo Gigli nie są może idealnym strojem na kawalerską imprezę. Ostatnio byłem na wieczorze kawalerskim Alexa, w zeszłym roku. Nałożyłem wtedy najgorszy T-shirt i dżinsy, w pełni świadomy ścisłej zależności pomiędzy ilością piwa wypitego i wyplutego. Dzisiaj jednak nie mogłem zdecydować się na równie niedbały strój. Dzisiaj będzie tam H, więc istnieje duża szansa, że się na nią natknę. A tam, gdzie w grę wchodzi H, jestem jak paw: kroczę dumnie i cały się puszę. Nie do pomyślenia, żebym miał poszarpane i zabrudzone piórka.

—Kto jeszcze będzie? — chce wiedzieć Damien.

—Stringer—odpowiadam, zamykając samochód. — Wczoraj dzwonił Carl. Nie może jechać, bo złapał grypę. Więc będzie nas siedmiu.

—Siedmiu wspaniałych — mówi Damien z powagą, po czym wyciąga kapelusz z napisem „Bay City Rollers Fan Club", który musiał chyba należeć do jego starego, i ceremonialnie wkłada go na głowę.

Odwracamy się w stronę pubu.

—No, dobra — mówię i ruszam przez ulicę. — Przedstawienie czas zacząć.

H

Piątek, godzina 17.30

— Szybciej, szybciej — mruczę do siebie, po raz piąty z rzędu wyglądając na ulicę. Od pół godziny czekam na Amy, Susie i Kate. Jeżeli zaraz nie wyjedziemy, na całą noc utkniemy w korku.

Zdejmuję telefon z ładowarki i sprawdzam, czy działa. Przelatuję przez spis numerów i mój kciuk zatrzymuje się nad zielonym guziczkiem „zadzwoń". Jeśli go teraz nacisnę, z miejsca się połączę. Ale to bez sensu; raz już tak zrobiłam, on jednak nie odebrał, a ja jestem zbyt zdenerwowana, żeby zostawić wiadomość. Zresztą pewnie i tak już wyszedł.

Opadam na łóżko i podskakuję na miękkim materacu. Patrzę na mój japoński abażur i wzdycham rozdzierająco. Mogłabym tak leżeć przez całą noc i marzyć. Wyjazd do Paryża zmęczył'mnie potwornie i wprawił w stan dziwnego oszołomienia, a dzisiaj w pracy był taki młyn, że nie miałam na nic czasu, więc leżąc teraz w ciszy mojego mieszkania, zakłócanej jedynie dochodzącymi z ulicy odgłosami ruchu, rozkoszuję się cudowną samotnością. Mam wrażenie, jakbym wpadła w sam środek mojego londyńskiego życia, choć moim jedynym marzeniem jest rozmyślać sobie w spokój u. I wspominać. Przeżyć wszystko od nowa w wyobraźni.

Przecieram oczy i już zaczynam tęsknić za trwającą właśnie chwilą, choć jeszcze nie przeminęła. Wiem przecież, że lada moment odezwie się dzwonek, a ja znowu nie będę miała dla siebie czasu. O Boże, czy to musi być dzisiaj? Czemu nie za tydzień? Mogłabym wtedy wszystko sobie dokładnie przemyśleć i dojść do ładu z własnymi uczuciami.

Oddycham głęboko, uśmiecham się do siebie i przeciągam rozkosznie. Nie do wiary, że Amy nie wie jeszcze o niczym. Skona, kiedy się dowie. Tyle zaszło w moim życiu zmian, a ona nie ma o niczym pojęcia.

Chciałabym, żebyśmy na ten cholerny weekend pojechały tylko we dwie, a nie z całą chmarą bab. Koniecznie muszę zostać z nią sam na sam i przeanalizować wszystko po kolei. Muszę opowiedzieć jej o seksie, rozważyć wszystkie za i przeciw, zastanowić się, czy związek z nim wart jest zachodu.

A przede wszystkim chcę komuś o tym opowiedzieć. Pęknę, jeśli tego nie zrobię. A kiedy Amy wreszcie się dowie, wtedy stanie się to rzeczywistością, a nie tylko wspomnieniem.

Chociaż przez cały czas się go spodziewałam, dzwonek — kiedy wreszcie się odezwał — brutalnie przerywa moje myśli.

—Idę — wrzeszczę do domofonu i chwytam torbę. Przed lustrem w przedpokoju poprawiam naprędce włosy. Wyglądam jak z krzyża zdjęta. Bogu dzięki, że będą same dziewczyny.

Susie i Amy stoją na chodniku i chichocząc jak kretynki, szukają drobnych dla taksówkarza. Z przerażeniem spoglądam na Amy, która ma na głowie koszmarny tani welon ślubny, jest wymalowana jak pajac, a przy żakiecie dyndają jej cztery kolorowe prezerwatywy.

Hmmm... coś pięknego. Założę się, że to robota Susie.

—Gdzie wyście były? — pytam i wręczam dziesiątaka ogłupiałemu taksówkarzowi. Każę mu zatrzymać resztę i patrzę na Amy. Mogę sobie wybić z głowy szczerą, serdeczną rozmowę z przyjaciółką od serca, ponieważ moja przyjaciółka jest kompletnie zalana.

—Musiałyśmy się trochę rozgrzać — mówi Amy i czka potężnie, pokazując mi w połowie pustą butelkę wódki. — Ale już jesteśmy gotowe — bełkocze.

Z taksówki gramoli się Kate, szamocząc się ze wszystkimi bagażami, nie wykluczając pękającej w szwach walizki i ogromnej kołdry, bez wątpienia należącej do Amy. Staje chwiejnie na chodniku i uśmiecha się głupawo. Jak zwykle na jej widok mam ochotę głośno wrzasnąć: „Buuu".

Amy całuje mnie, po czym bierze Susie pod rękę i obie, potykając się, idą w stronę mojego samochodu. Kiedy skasowałam golfa, dostałam z pracy bmw trójkę. Wyłączam alarm pilotem przy kluczykach, co automatycznie zwalnia zamek centralny, wydając przy tym głośne kliknięcie, na dźwięk którego obie podskakują i wybuchają pijackim śmiechem. Wreszcie ładują się na tylne siedzenie.

Czemu to ja muszę prowadzić?

—Będziesz musiała mi pomóc — mówię do Kate i ruszam do mieszkania.

—A reszta jak dotrze na miejsce? — pyta Kate, przyjmując ode

mnie torby z zakupami, które wcześniej galopem zrobiłam w Tesco. Jak ja przeżyję bez kawy, papierosów i środków przeciwbólowych?

—Jenny przyjedzie z Lorną, bo mieszkają obok siebie, a Sam zjawi się trochę później — odpowiadam i dokładam jej jeszcze jedną wielką torbę, dorzucając na koniec rolkę papierowych ręczników. —Poradzisz sobie?

Na myśl o tej całej eskapadzie mam szczerą ochotę oddać komuś kluczyki do auta, a samej zabarykadować się w mieszkaniu. Wiem, że sama to wszystko wymyśliłam, ale w tej chwili „Niebiański Wypoczynek" to dla mnie synonim piekła.

Zamykając drzwi, dostrzegam swoje odbicie w szybce i stwierdzam, że wyglądam jak chmura gradowa. Biorę głęboki oddech. Opanuj się, upominam samą siebie. To jest weekend Amy i przeleci jak z bicza trząsł. Za tydzień się pobiorą i wreszcie będę się mogła z nią nagadać do woli. Przecież jestem dużą dziewczynką i jakoś sobie z tym poradzę. Nie ma sensu się buntować. Na chwilę zamykam oczy.

Będę silna.

Nie pęknę.

—Wszystko mamy? — pytam, sadowiąc się za kierownicą i bardzo siląc się na serdeczność.

Susie nachyla się między przednimi siedzeniami.

—Fajne auto, H — mówi i obmacuje skórzaną tapicerkę. Cuchnie od niej wódą.

—Pomyślałam sobie, że zajedziemy z fasonem — uśmiecham się. Nic dziwnego, że jest taka zachwycona; pewnie jedyny luksus, jaki zna, to miejski autobus. Spokój! Przywołuję się do porządku.

—Jedziemy — woła Amy i po pijacku wali się po kolanach. — Jedziemy!

—Masz jak w banku! — odpowiadam.

Nie udaje mi się, niestety, zrealizować tego zamierzenia. Zamiast —jak planowałam — przemknąć autostradą z szybkością stu mil na godzinę, pełzniemy jak żółwie w gigantycznym

korku. Mając na względzie podjęte postanowienie, staram się nie irytować, gdy Kate kładzie nogi na desce z przodu i zaczyna zwijać sobie papierosa. Na tylnym siedzeniu Amy bawi się pilotem do radia. We wstecznym lusterku widzę, jak obie z Susie chleją wódę prosto z butelki i planują weekend. Postanawiają, że natychmiast po przyjeździe idą na wodne zjeżdżalnie.

Ja marzę tylko, żeby wylądować w łóżku.

O 8.30 jestem kompletnie wykończona, na dodatek zabrakło nam benzyny i papierosów. Nareszcie znajduję zjazd z autostrady i wjeżdżam na pierwszą napotkaną stację. Wokół panuje błogosławiona cisza i spokój. Leję benzynę do baku i czuję, jak cały samochód skacze, wprawiany w ruch przez miotające się w środku pijaczki.

Wyciągam komórkę, żeby sprawdzić, czy przyszły jakieś wiadomości. Niestety, nie odezwał się. Pamiętałam przecież, żeby zostawić mu numer. Co prawda wyjeżdżałam w takim pośpiechu, że może źle mu go zapisałam. Powinien był już zadzwonić. Marzę, żeby usłyszeć od niego choć kilka słów. Poczuć, że znowu jesteśmy razem. Przecież na pewno jest tak samo zdenerwowany jak ja.

Strzepuję ostatnie krople benzyny do wlewu baku. Jeżeli mam zadzwonić, najlepiej zrobić to teraz, bo jeśli to on zadzwoni do mnie, w samochodzie nie będę mogła z nim rozmawiać. Już mam nacisnąć zielony guzik, gdy zauważam obrzydliwie wymalowaną furgonetkę jadącą drogą. Gdy z hurkotem mnie mija, z jednego okna ktoś się wychyla. Kątem oka dostrzegam, że na głowie ma jakiś przedziwny kapelusz, i słyszę, że coś do mnie wrzeszczy.

Odwieszając na miejsce pompę, posyłam mu znak jednym palcem.

— Koniował! — wołam za nim.

Boże, dlaczego tak się boję tego weekendu?

MATT

Piątek, godzina 20.30

— Pokaż cycki!

Patrzę we wsteczne lusterko i widzę wychylający się przez okno nagi, owłosiony tors Uga i jego głowę, przystrojoną w tandetną plastikową pierś, o którą on, Jimmy i Jack stoczyli krwawą walkę, gdy w żółwim tempie posuwaliśmy się niewyobrażalnie zakorkowanym pasem szybkiego ruchu tuż za Slough. Chyba nie mam się co łudzić, że jego wrzask stłumił powiew powietrza wywołany ruchem minibusa (jeśli jego żółwie tempo jest w ogóle w stanie wprawić powietrze w jakikolwiek ruch.) Stojąca na stacji dziewczyna, teraz już jakieś trzydzieści parę metrów za mną, salutuje nam podniesionym do góry środkowym palcem. W jej postawie jest coś znajomego, nie potrafię jednak powiedzieć co... Ale nie mam czasu się nad tym zastanawiać, bo rozprasza mnie dochodząca z tyłu samochodu pijacka wrzawa.

Znowu spoglądam we wsteczne lusterko, w którym widzę, jak Ug potykając się, wędruje w stronę siedzących na tylnym siedzeniu Jacka, Jimmy'ego i Damiena. Brat Jacka, Billy, pogrążony w śpiączce, chrapie w rzędzie tuż za mną, zamroczony hektolitrami piwska, jakie wlał w siebie w Londynie. Na szyi dyndają mu majtki jego żony, a w ręce trzyma pustą butelkę. Spoglądam na siedzącego obok mnie pilota, Stringerà, który siedzi przyklejony do drzwi pasażera z zamkniętymi oczami i sterczącym z ucha kawałkiem papieru. Biedaczysko odpłynął, ale nie z powodu ochlajstwa, tylko z nadmiaru pracy. Powiedziałem mu, żeby poćwiczył trochę oko, a ja go zbudzę, kiedy dojedziemy na miejsce. Chociaż w tym tempie może to nie nastąpić przed końcem przyszłego tysiąclecia.

Patrzę na drogę przed siebie i po raz pierwszy, odkąd zjechaliśmy z autostrady, ruch zaczyna się zmniejszać. Na naszą podróż nie wpłynie to znacząco, bo tą zardzewiałą balią i tak nie da się jechać szybciej niż pięćdziesiąt mil na godzinę. Drogę umila nam organkowa wersja *Save a Prayer* Duran Duran, a tłumik grzechocze złowrogo. Nagle z tyłu rozlega się ryk śmiechu.

— Hej, Matt — wydziera się Jimmy. — Opowiedz nam, jak to przeleciałeś H.

H

Piątek, godzina 21.15

—Niemożliwe! — Z wściekłością walę w kontuar recepcji formularzem rezerwacyjnym.

—Jak już mówiłam, mamy pani rezerwację — po drugiej stronie dygocze Shirley, recepcjonistka w „Niebiańskim Wypoczynku" — po prostu musiała zajść jakaś pomyłka. Dwie rezerwacje nałożyły się na siebie. Dla pań mamy tylko jeden domek. Bardzo mi przykro...

—Przykro? — Aż mnie zatyka.—Przykro? Nas jest siedem! Mam tę rezerwację od tygodni... miesięcy! Musicie nam coś znaleźć. Natychmiast!

Shirley nerwowo obmacuje swoje biurko, jakby szukała przycisku alarmowego.

—Nie mamy nic wolnego. Wszystko jest już zarezerwowane, proszę pani.

Zaciskam zęby, chwytam się za czoło i odwracam się, żeby nie przyłożyć jej, komukolwiek, czemukolwiek. Nie mam na to wszystko siły.

—Co się stało?

To Susie. Mogłam się była domyślić, że jak nic się wtrąci.

—Mają tu straszny administracyjny burdel — mówię, mierząc Shirley wściekłym spojrzeniem. — Okazało się, że dali nam tylko jeden domek, chociaż zaznaczałam, że proszę o dwa. Gdzie my będziemy spać? No, niech ktoś mi powie? Gdzie? Chciałabym porozmawiać z kierownikiem.

Susie odsuwa mnie na bok i szczerzy zęby do Shirley w przymilnym uśmiechu.

—Jestem pewna, że to nie pani wina. Mamy za sobą długą

podróż — blebla i z głupią miną spogląda na mnie z ukosa. — Jeden domek nam wystarczy. Jakoś się pomieścimy. Co za bezczelna baba!

—Ja to muszę wyjaśnić — rzucam wściekle i ruszam z powrotem w stronę kontuaru, ale Susie zagradza mi drogę.

—W kolejce czekają ludzie—mówi z naciskiem. Oglądam się za siebie i widzę długi rządek kmiotków, stojących pokornie jak lemingi w kolejce do tego... tego... piekła! I gapią się na mnie, jakbym była skończoną wariatką. Jakby to ze mną było coś nie tak!

—Proszę tylko dać nam klucze, a my już sobie poradzimy — mówi Susie i mruży oczy, co niesamowicie mnie wkurza. Shirley odpłaca jej pełnym wdzięczności uśmiechem i wręcza klucze.

—Dom pań znajduje się w sektorze Francuska Riwiera. Do-omek 328 — bąka.

—Dziękujemy bardzo — wdzięczy się do niej Susie i bierze klucze.

—Proszę nie zapomnieć, że do ósmej rano należy odstawić samochód na parking.

—Co takiego?

—To strefa zamknięta dla samochodów. Nie wiedziałaś? Wolno jeździć tylko na rowerach — dziwi się Susie. — Wynajmiemy je rano.

Z wściekłą miną ruszam do wyjścia.

O, Brat mi za to zapłaci! Wyciągam gwałtownie telefon i wściekle wybieram jego domowy numer — wolno mi to robić tylko w nagłych wypadkach. Ale to jest nagły wypadek. Ciekawe, czy pierwszy? Ale co to? Proszę, proszę, niespodzianka — nie ma zasięgu.

Wychodzę na zewnątrz i z całej siły zagryzając wargi, patrzę na ciemne niebo i regularną linię pinii. Byłam pewna, że Brat potwierdził rezerwację, ale z drugiej strony, nie prosiłam go o to- Prawda jest taka, że powinnam była sama tego dopilnować. Co ja sobie wyobrażałam, zwalając to na kogoś innego? Teraz nie pozostaje mi już nic innego, jak tylko przeprosić Amy i przyznać, że nawaliłam.

Raz jeszcze sprawdzam komórkę i czuję, jak ogarnia mnie

panika. Wciąż nie ma zasięgu, a jego brak oznacza tylko jedno: jestem odcięta od cywilizacji do końca weekendu...

Co z kolei oznacza, że on nie będzie się mógł do mnie dodzwonić.

Katastrofa.

Próbuję raz jeszcze, ale na próżno.

—Masz jakiś problem? — pyta nadchodząca właśnie Susie.

—Mój telefon nie działa!

—Tu ci nie będzie potrzebny — mówi, najwyraźniej nic nie rozumiejąc, po czym milknie, widząc moją rozwścieczoną minę.

—To jest weekend Amy — przypomina mi. — Więc może byś się łaskawie uspokoiła?

—Jestem spokojna! — wrzeszczę.

Susie unosi brwi, a ja wiem, że przesadzam. Nienawidzę tego miejsca. Tu jest gorzej niż w więzieniu.

—Nie zepsujesz wszystkim zabawy? Obiecujesz? Lepiej się pilnuj — mówi ostrzegawczo i chwyta mnie za ramię. Jestem tak wściekła, że nawet nie mam siły jej odepchnąć i idę razem z nią w stronę Kate stojącej przy samochodach i rozmawiającej z Jenny i Lorną, które właśnie przyjechały. Amy śpi na tylnym siedzeniu mojego bmw.

—...straszna furgonetka. Jechałyśmy za nimi spory kawał drogi — mówi Jenny z tym swoim cudacznym północnym akcentem i śmieje się. — W środku siedziała jakaś banda facetów. Ale potem musieli się zatrzymać, bo złapali gumę. Przynajmniej tak to wyglądało.

To musiała być ta sama furgonetka, której pokazałam palec. Może jednak jest Pan Bóg na niebie.

—W końcu ją znalazłam! — woła Susie i wypycha mnie do przodu, chyba więc jednak nie uda mi się wykręcić od tej kretyńskiej imprezy.

STRINGER

Piątek, godzina 21.30

Coś niesamowitego. Mam wrażenie, jakbym był tu od zawsze, jakby to był mój dom. Spoglądam na tonącą w soczystej zieleni dolinę, leżącą u stóp sięgających chmur Andów. Jak tu pięknie. Już nigdy nie chcę stąd odejść. Nie chcę więcej oglądać Londynu. Pragnę spędzić tu resztę swojego życia. Tu nie ma żadnych kawalerskich imprez ani rozklekotanych starych minibusów. Toczy się tylko proste wspólne plemienne życie. Patrzę na szybującego wysoko w powietrzu orła. Siedząca obok kobieta o imieniu Karoonamigh (co oznacza: „Ta, której włosy lśnią w słońcu jak złoto") ściska delikatnie moją dłoń i wiem, że nic nas już nigdy nie rozdzieli. Obracam się do starego wiejskiego szamana, który uśmiecha się do mnie wiekowym, bezzębnym uśmiechem.

—Masz jeszcze jakieś pytania, synu? — pyta.

—Twoje słowa będą odtąd moją prawdą — odpowiadam, siedząc przed nim ze skrzyżowanymi nogami i czyniąc znak pokoju. — Jestem szczęśliwy. Moja dusza zjednoczyła się z ziemią.

Kiwa głową ze zrozumieniem i podnosi do ust organki.

—*Footloose* Kenny Logginsa — mówi. — Moja ulubiona melodia.

MATT

Piątek, godzina 21.31

—Czo...?

—Powiedziałem, obudź się.

—Czo... ? — powtarza Stringer i zaczyna się wiercić. Uchyla nieco powieki i zezuje na mnie przez wąskie, zaspane szparki. Potem sięga w stronę lewarka zmiany biegów i ściska leżącą na nim moją rękę.

—Karoonamigh? — pyta drżącym głosem.

Chwilę spoglądam zmieszany na moją dłoń, po czym wyłączam silnik. Bez dźwięków organek w minibusie zapada błoga cisza.

—Karoona co? — usiłuję zrozumieć, o co mu chodzi.

—Karoona... — Tym razem otwiera oczy do końca i gwałtownie siada. Cofa rękę, jakby go coś w nią użądliło.

—O, cześć Matt, to ty.

Patrzy na swoją rękę z przyganą, mamrocze coś o dziwnym śnie i rozgląda się, kompletnie zdezorientowany.

—Jesteśmy na miejscu? — pyta wreszcie.

—To zależy, co masz na myśli. Jeśli chodzi ci o docelowe miejsce naszej kawalerskiej zabawy, to obawiam się, że muszę cię rozczarować. Jeżeli natomiast — tu pokazuję na słabo oświetlony budynek z lewej strony — mówimy o gospodzie „Pod Czarnym Bykiem", w samym środku niczego, to trafiłeś w dziesiątkę. Stoimy — podsumowuję. — Złapaliśmy gumę. Zapasu brak. Wolny Jeździec uderza znowu.

Stringer kręci się niespokojnie na siedzeniu.

—Przyjedzie jakaś pomoc?

Biorę z deski rozdzielczej kartę pomocy drogowej RAC.

—Powinni tu być za jakieś pół godziny. Stringer odpina pas i obraca się do tyłu.

—Kto to jest? — pyta.

—Ten trup, tam, z tyłu? — upewniam się, nawet za siebie nie patrząc, zakładam bowiem, że pytanie dotyczy wyprostowanego i siedzącego bez ruchu Billy'ego.

—Z tą kałużą śliny pod brodą...

—Na pewno mówisz o Billym. Nie poruszył się, odkąd zjechaliśmy z autostrady.

—Och. — Patrzy na niego raz jeszcze. — Myślisz, że nic mu nie jest?

—Ug sprawdzał mu tętno — uspokajam go. — Podobno żyje.

—Nie wiedziałem, że Ug potrafi liczyć aż do tylu — dziwi się Stringer i wytęża wzrok w panującą z tyłu ciemność. — Gdzie reszta ekipy?

Ruchem głowy pokazuję na pub.

—Tam. Może się do nich przyłączysz? Nie ma sensu, żebyśmy tu tkwili obaj. Na dodatek trzeźwi. — Włączam silnik i samochód wypełnia się dźwiękami historycznego już singla Living in a Box. — I zmarznięci.

—Słuchaj, stary — odzywa się Stringer. — Nie gniewaj się za ten samochód. Spieprzyłem sprawę.

Kręcę uspokajająco głową. Stringer należy do ludzi, na których nie sposób się gniewać — zwłaszcza jeśli z uszu sterczą im kawałki papieru.

—Nie ma sprawy — mówię. — To moja wina, że nie nagrałem niczego lepszego.

Otwiera drzwi i wysiada.

—Przynieść ci coś do picia? — pyta.

—Nie, dzięki.

Patrzę, jak idzie w stronę pubu, po czym wyciągam ze schowka reklamówkę „Niebiańskiego Wypoczynku". Jeszcze raz dokładnie ją studiuję. Miejsce jest idealne. Idealne dla rodziców z małymi dziećmi, którzy chcą cały dzień szaleć na ogromnych terenach do zabawy i zjeżdżalniach wodnych. Idealne dla ludzi uwielbiających wiejskie okolice. Idealne dla fanatyków zdrowego stylu życia — jak Stringer — którzy z radością skorzystają z możliwości uprawiania różnorodnych sportów.

Poza tym to kupa gówna. Kupa gówna dla Jacka, który zapewne chciałby swój kawalerski weekend wspominać z rozrzewnieniem do końca swoich dni. I kupa gówna dla Jimmy'ego i Uga, mających niewątpliwie nadzieję, że jadą do szalonego przybytku, tak zepsutego, że nawet oni nie będą mogli się nadziwić. I dla Damiena, który na pewno marzy o pobiciu rekordu w rajdzie od pubu do pubu. I wreszcie dla Billy'ego — sądząc po stanie, w jakim się znajduje — marzącego tylko o tym, żeby przy pierwszej nadarzającej się okazji zgłosić się do lekarza i poprosić o całkowitą transplantację mózgu, ciała i duszy.

Mnie pozostaje tylko nadzieja, że uda mi się namierzyć H, bo jeśli stanie się inaczej, do końca życia sobie nie wybaczę, że na darmo poświęciłem moich przyjaciół.

SUSIE

Piątek, godzina 21.40

—Wszystko będzie dobrze — mówię szeptem. Amy z niepokojem wpatruje się w drzwi do łazienki.

—Ale ona siedzi tam już od dziesięciu minut.

—Po prostu czuje się zraniona i załamana. Znam H. Wystarczy jej kilka chwil samotności i dojdzie ze sobą do ładu. Ale mimo wszystko ma rację — dodaję i rozglądam się po małym domku. — Jak my się tu wszystkie pomieścimy? Tylko popatrz, przecież tu jest miejsce najwyżej dla czterech osób.

Amy podąża za moim wzrokiem. Siedzimy w maleńkiej, wykładanej drewnem kuchence i rozpakowujemy zrobione przez H zakupy, podczas gdy ona sama wścieka się w łazience. Jenny, Kate i Lorna w jednej z sypialenek rozkładają pościel. Szczęśliwie Lorna ma duszę trampa i przywiozła ze sobą śpiwór. Przywiozła też odtwarzacz stereo i właśnie puszcza na nim Best of Funk.

—Olej H. Powiedz mi lepiej, jak ty się czujesz? — pytam, podrygując w rytm muzyki.

Amy podnosi na mnie wzrok. Makijaż ma rozmazany i przekrwione oczy. Marszczy śmiesznie nos.

—Boli mnie głowa.

—Zasnęłaś, ty debilątko. Jeszcze się dobrze nie urżnęłaś, a już masz kaca. Musisz się napić — mówię i macham jej przed nosem butelką.

—Muszę? — pyta z jękiem.

Uśmiecham się i poprawiam jej na głowie welon.

—Jasne, że tak. Przecież jesteś panną młodą, zapomniałaś już?

—Ale myślałam, że dzisiaj sobie posiedzimy i pogadamy — mówi płaczliwie. — Miałam nadzieję, że dopiero jutro zabawimy się na całego.

—Uwielbiam tequile! Tequila to moje szczęście — śpiewa Jenny w odpowiedzi i tanecznym krokiem wkracza do kuchni, niosąc wielką torbę. Zdążyła się już przebrać w legginsy i adidasy.

—Koniec złudzeń — marudzi Amy, na co ja wybucham śmiechem.

Jenny jest kumpelą Amy z pracy i wygląda na rozrywkową babkę. Jej przyjaciółka, Sam, ma się zjawić trochę później. Jenny wyciąga z torby sól, cytrynę i tequile.

—Pijemy, dziewczyny? — wołam, co wywabia z sypialni Lornę i Kate.

H otwiera drzwi łazienki. Miło, że w końcu postanowiła się do nas przyłączyć.

—Dobrze się czujesz? — pyta z troską Amy.

—Nic mi nie jest — mówi cicho. — Napiłabym się czegoś. Wyciągam z szafki szklanki i napełniam je. Niestety, jest ich

dla nas za mało.

—Musimy zrobić sztafetę.

—Nie ma sprawy. Napiję się piwa — oświadcza H. Po czym dodaje: — Przepraszam was za cały ten bajzel.

Chociaż raz wydaje się, że jest szczera. Jeśli już o tym mowa, mogę spać byle gdzie, ale wolałabym z Amy.

—Będziemy losować łóżka, OK? — pytam i uśmiecham się promiennie do H. — Orzeł — śpisz w sypialni z Amy. Reszka — ja śpię.

—Mogę spać na kanapie — wtrąca Amy, nerwowo spoglądając to na mnie, to na H.

—Nic z tego! — wołam i rzucam monetę. Przykrywam ją dłonią. — Reszka. — Pokazuję H. — Reszka zawsze wygrywa.

Tata mnie tego nauczył.

—Sprawa załatwiona—mówię, ale H wygląda, jakby jej coś utknęło w gardle. — Dziewczyny, wygodnie wam tam będzie? — pytam i rozdaję szklanki z tequila. Wszystkie zgodnie kiwają głowami. Jenny dzieli solą i plasterkami cytryny.

Ha, wygląda na to, że ubaw będzie niezły.

—No, to raz, dwa, trzy... — mówię, gdy jesteśmy już gotowe.

Stukamy się szklankami, zlizujemy z dłoni sól, wypijamy

tequile i wyciskamy do ust cytrynę. Tylko jedna H bawi się puszką z piwem i wygląda, jakby gryzła się w język.

—Może pójdziemy coś zjeść? — pyta.

—Chodźmy do „Global Village Dining Complex" — proponuję, bo wcześniej sprawdziłam wszystko w przewodniku. — Tequile możemy wziąć ze sobą.

—To strasznie daleko — protestuje Amy, przez ramię zaglądając mi do mapy.

—Może pojedziemy autem? — wyskakuje z pomysłem Jenny.

—Dobry pomysł. Zmieścimy się wszystkie w bmw H. H wyraźnie się waha i patrzy na Amy.

—Nie masz nic przeciwko, prawda? — pyta Amy.

—Jasne, chodźmy w takim razie.

Kiedy wychodzimy, Amy łapie mnie za rękę.

—Myślisz, że Jack sobie jakoś radzi?

—Brakuje ci go?

Kiwa potakująco głową, więc uśmiecham się, żeby dodać jej otuchy. Jest taka słodka.

—Ciebie jemu pewnie też. Chodź. Zaopiekuję się tobą, kochanie, i wszystko będzie OK.

STRINGER

Piątek, godzina 22.30

Jimmy pierwszy przerywa milczenie, jakie nagle zapanowało w minibusie.

— To chyba jakieś żarty — mówi, wpatrując się z niedowierzaniem — tak samo, jak cała reszta bandy—w napis „Niebiański Wypoczynek", podświetlony złowrogo niczym siedziba Frankensteina w Rocky Horror. Przenosi pytający wzrok na Uga. — Ty, powiedz mi, że dosypałeś jakieś świństwo do mojego drinka i teraz mam omamy.

Ale Ug wzrusza jedynie ramionami i nadal, bez słowa, jak zaczarowany gapi się na napis.

Sądzę, że ten widok wszystkich nas w równym stopniu rąbnął. Kiedy Matt powiedział nam, że nasze ciężko zarobione pieniądze poszły na rezerwację wzbudzającego grozę miejsca, żadnemu z nas przez myśl nawet nie przeszło, że może to być „Niebiański Wypoczynek". Osobiście nic przeciwko temu miejscu nie mam. Można tu grać w tenisa, squasha, pływać i robić tysiąc innych rzeczy. Ale moje osobiste odczucia się nie liczą. Doskonale rozumiem irytację moich kolegów, dla których rozrywki na świeżym powietrzu dalekie są od ich wyobrażeń o miłym spędzeniu czasu. Ug zdejmuje z głowy plastikową pierś. Znak, że sytuacja jest ponura.

—Matt — pyta — to mi się nie śni?

Matt parkuje samochód pod recepcją i wyłącza silnik. Przeraźliwe dźwięki organek milkną i na chwilę zapada cudowna cisza. Wreszcie Matt się odwraca i wbija wzrok w Uga.

—Ug, przyjmij łaskawie do wiadomości—mówi i patrzy po kolei na resztę wpatrzonych w niego twarzy. — Wszyscy przyjmijcie łaskawie do wiadomości: „Niebiański Wypoczynek" to wymarzone miejsce. Nie musimy martwić się ó transport. Nie zamkną nam knajpy. Tutaj, na tym pustkowiu nic nie przeszkodzi w czystej, niczym nie zmąconej zabawie, jaką dla nas zaplanowałem. — Znowu patrzy na Uga. — Rozumiesz?

Ug chwilę się zastanawia, marszcząc brwi.

—Mniej więcej — mówi w końcu.

—To dobrze — kwituje Matt.

Ale Jimmy nie daje się tak łatwo przekonać.

—Przecież tu jest do kitu — denerwuje się. — To strefa antyimprezowa. Każdy to wie. Przekroczysz bramę, i od razu traktują cię jak bydło. Cały weekend spędzimy w kolejce do odległego o pięć kilometrów pubu, no i nie ma skąd wziąć towaru... — W tym momencie spogląda na mnie pytająco. — Wziąłeś coś ze sobą? — pyta.

—Nie — odpowiadam.

—A to czemu?

Nawet się nie zastanawiam nad odpowiedzią.

—Dobrze wiesz czemu. Uśmiecha się złośliwie.

—Daj spokój — mówi kpiąco. — Z tej gry się nie wychodzi. Chcesz mi wmówić, że nie masz ani jednej, maleńkiej tableteczki? Żadnego zapasiku? Nawet skręcika?

Układam palec wskazujący i kciuk w zgrabne kółeczko. Czuję, jak krew napływa mi do twarzy, bo jestem zły, że stawia mnie w takiej sytuacji i nie chce popuścić. Ale nie dam mu satysfakcji i nie pokażę strachu, który zaczyna mnie ogarniać. To by tylko wszystko pogorszyło.

—Zero — mówię pewnym siebie tonem.

—Uspokoicie się wreszcie? — wtrąca się Ug. — Mam całkiem sporo trawki. Starczy dla wszystkich.

Jimmy odwraca się do niego.

—Czemu nie gadałeś wcześniej?

—Bo nie pytałeś.

—Co jeszcze masz? — pyta Jimmy.

—Nic więcej.

Mamrocząc coś pod nosem, Jimmy znowu zwraca się do mnie.

—Tylko trawa — wykrzywia górną wargę. — Ale to pewnie też cię nie interesuje...

Nawet nie silę się na odpowiedź.

—Nie oszukuj się — bredzi dalej. — Bo mnie nie oszukasz na pewno. Hej, Ug — woła, nie spuszczając ze mnie wzroku. — Jak kumasz? Uwierzysz, że ten tu oto Stringer wytrzyma cały weekend i nie zatęskni za starymi dobrymi czasami?

—Zejdź z niego — wtrąca się Matt.

Jeszcze przez chwilę Jimmy patrzy na mnie z obrzydzeniem, po czym odwraca się do Matta i mierzy go wzrokiem. Głupie posunięcie. Prawie tak samo głupie, jak zaczepianie mnie o narkotyki. Poza mną, Matt jest tu jedyną trzeźwą osobą, kiedy więc w grę wchodzi mierzenie się wzrokiem, z góry stoi na lepszej pozycji. W porównaniu z nimi j e s t Clintem Eastwoodem.

Jimmy stara się jak może, ale wytrzymuje zaledwie kilka sekund, po czym ucieka wzrokiem, szukając poparcia. Dobrze mu tak. Pieprzony kutas. Za kogo on się uważa, żeby tak mnie atakować? Zupełnie nie rozumiem, czemu Jack wlecze go wszędzie za sobą? Pewnie za dużo mają wspólnych wspomnień. Każdy z nas ma jakiegoś mola z przeszłości, od którego nie potrafi się uwolnić. Dla mnie takim molem jest właśnie Jimmy, a mnie brakuje jaj, żeby go raz na zawsze spławić.

—Dobra, chłopaki — mówi Matt. — Zabawimy się na całego, macie na to moje słowo. Przecież dotąd nigdy was nie zawiodłem, no nie?

—Jasne, dobrze mówisz — godzi się z nim Jack, rzucając Jimmy'emu puszkę piwa, drugą otwierając sobie i naciągając swój kretyński kapelusz głębiej na czoło. — Ma rację. Do dzieła.

—W porządku — mówi Matt i wysiada z samochodu. — Idę do recepcji.

Prostuję się na swoim siedzeniu i dopiero wtedy zauważam, że mam zaciśniętą pięść. Wyobrażam sobie wypisane na niej imię Jimmy'ego. Zaraz jednak rozluźniam ją i nie czuję już złości. Jaki sens wściekać się na coś, co należy do zamierzchłej przeszłości? Po co tracić czas i energię na takiego kretyna? Rzucam przelotne spojrzenie na Jimmy'ego i nie mogę się nadziwić, że kiedyś uważałem go za kumpla.

MATT

Piątek, godzina 22.32

Nadchodzi godzina prawdy...

H

Piątek, godzina 23.00

Amy beka głośno i odwraca się gwałtownie na krześle, celując we mnie palcem.

— Masz na koncie dwunastu. Dobrze wiem.

Milczę. Wiedziałam, że w końcu przyjdzie pora na mnie, i z przerażeniem jej wyczekiwałam. Jestem za bardzo trzeźwa i nie mam najmniejszej ochoty na idiotyczne babskie wyliczanki. Zwłaszcza w tym towarzystwie.

—H zaliczyła dwunastu facetów! — oznajmia Amy. — Tak samo jak ja i ktoś tam jeszcze.

Wymachuje ręką w bliżej nie określonym kierunku.

Coś koszmarnego. Jestem wściekła, że Amy nagle stała mi się tak odległa. Uśmiecham się do niej słabo, ale chociaż siedzi zaledwie metr ode mnie, mam wrażenie, jakby dzieliło nas tysiąc mil. Wiem, że to jej panieńska impreza, ale wydawało mi się, że nie taję przed nią żadnych aspektów mojego seksualnego i emocjonalnego życia, ponieważ łączy nas przyjaźń, która na tym między innymi polega. A przyjaciółki dochowują tajemnicy i nie rozpowiadają wszystkiego na forum publicznym. To są jej koleżanki, nie moje. Niedobrze mi się robi, kiedy słucham, jak przy pokrytym plastikowym obrusem stołem w „Meksykańskiej Mekce" bez obciachu opowiada historie, które dotąd były tylko i wyłącznie naszą sprawą. Wygląda jednak na to, że w ten weekend moje pojęcie prywatności różni się zasadniczo od pojęcia Amy.

Dlatego też nie wyprowadzam jej z błędu i nie mówię, że tak naprawdę zaliczyłam trochę więcej facetów. Nie wiem nawet, czy jeszcze kiedykolwiek będę miała ochotę to zrobić.

Susie zanosi się histerycznym śmiechem, reszta skwapliwie jej wtóruje, a Amy zaczyna swoje najgorsze łóżkowe opowieści: o utracie dziewictwa i o Nathanie. Nie włączam się, bo słyszałam je już z tysiąc razy i na świeżo podobały mi się o wiele bardziej.

— Jack jest najlepszy — bełkocze. — Jest re-ewe-lacyjny. Przecieram oczy. Jezu, ale jestem zmęczona.

—Och, och! — Amy nagle coś sobie przypomina, bo z otwartymi ustami macha w moją stronę. — H! H! A ten facet... jak on się nazywa... ten, który miał siusiaka jak banan? — wydziera się i dłońmi zasłania usta. — Był po prostu okropny! — Czka głośno. — Potem H przez tydzień nie mogła chodzić.

Wstaje i pokazuje, jak wtedy chodziłam, niczym stary, zreumatyzowany kowboj, co dziewczyny witają histerycznym śmiechem.

Kiwam na kelnerkę. Ubrana jest w poplamione giemzowe wdzianko, a przy czapce kołyszą się korki, które ćo chwila walą ją w brodę.

—Poprosimy o rachunek — zwracam się do niej.

Po dziesięciu sekundach niegrzecznym ruchem kładzie go przede mną na stoliku. Na dole ktoś nabazgrał słowo „Dzienki".

O mój Boże. Najwyraźniej piśmienny i świetnie wykształcony personel stracił cierpliwość. Ciekawe czemu? Czyżby „Meksykańskiej Mekce" groziła utrata trzeciej gwiazdki Michelina? A może zorientowali się, że nie przypadła nam do gustu ich specjalność — tortilla à la salmonella? A może po prostu niezbyt spodobało im się zachowanie Amy i jej orszaku?

Susie wygwizduje pojawienie się rachunku.

—Nie, H. Nie. Pijemy jeszcze! Chcemy pić! — wrzeszczy. — Proszę zabrać ten rachunek.

Ignoruję ją kompletnie i staram się posłać kelnerce miły uśmiech.

—Musimy wracać, bo Sam na pewno już przyjechała — tłumaczę naburmuszonej Amy i wyciągam kartę Visa. Gdyby one zaczęły obliczać, ile mają zapłacić, nie wyszłybyśmy stąd do rana. Poza tym oddam każde pieniądze, byle tylko się stąd wydostać. Marzę, żeby jak najszybciej znaleźć się w łóżku.

No, tak, ale dzięki Susie nie mam nawet łóżka.

STRINGER

Piątek, godzina 23.15

—Opowiedz nam historię tych prześlicznych czerwonych majteczek — mówi Damien, podchodząc do mnie i sięgając po majtki, które Karen życzliwie wepchnęła mi do kieszeni.

Ponieważ Jimmy wciąż przeklina „Niebiański Wypoczynek", chętnie witam możliwość zmiany tematu — nawet jeśli dla mnie jest ona trochę krępująca.

—No? — ponagla mnie Damien.

Przez ostatnie piętnaście minut Damien przeprowadzał dogłębną analizę doboru damskiej bielizny przez uczestników kawalerskiego wypadu.

Jest pijany jak bela i najwyraźniej ciągle mu mało rozrywki, jakiej dostarcza mu odkrywanie pochodzenia każdej sztuki. U faceta, u którego na czele listy ulubionych słów znajduje się „cipuszka", takie podejście do bieliźnianych upodobań płci przeciwnej nie powinno dziwić.

Patrzę na palce Damiena z lubością obmacujące nieszczęsne majtki Karen i na ułamek sekundy przenoszę się z powrotem na podwórze internatu, na którym z grozą wysłuchiwałem opowieści Richarda Lewisa o zdobyciu Emmy Roberts. Ogarnia mnie przerażenie, że może majtki Karen także mają metkę z jej imieniem. Na szczęście głos Damiena przegania tę paraliżującą myśl, ponieważ pyta:

—Czyje to?

—Marilyn — odpowiadam, podając pierwsze imię, które przyszło mi do głowy.

—Opisz.

—Blondynka, świetne ciało i cycki, słodka. Aktorka — improwizuję naprędce. — Gra słodkie idiotki.

—Jak Monroe — wtrąca się Jack bez zastanowienia. Hmm. Dziwne...

—Jak było? — drąży dalej Damien.

Nie szczędzę im szczegółów, które mam nadzieję każą im

uwierzyć bez zastrzeżeń. Nie zapominam o kluczowych słowach: „napalona", „niewyżyta", „super", no i oczywiście, „wielokrotny orgazm".

—Nieźle — stwierdza Damien, kiedy kończę swoją opowieść. Przez chwilę patrzy tęsknie na majtki, po czym oddaje mi je, mówiąc: — Zawsze chciałem wiedzieć, jak to jest przelecieć aktorkę.

Odzyskawszy majtki Karen, nie mogę oprzeć się uczuciu żalu. Pamiętam, jak obruszyła się, kiedy poprosiłem ją o wypożyczenie mi na weekend jakiejś części jej intymnej garderoby. Kiedy nie udało się jej mnie przekonać, że nie muszę przystępować do konkursu samczych przechwałek, poddała się i razem poszliśmy do jej sypialni. Otworzyła szufladę z bielizną i oświadczyła, że skoro już koniecznie muszę odgrywać seksistowskiego świra, mogę przynajmniej być świrem z klasą.

Najmocniej wbiły mi się w pamięć minuty, które potem nastąpiły, a podczas których wykładała swoje skarby na łóżko. Powinienem był podejść do tego normalnie, z rozbawieniem — tak jak ona. Ale dla mnie nie była to sytuacja normalna. Ona była niesamowita. Dopiero jakiś czas potem, gdy jechałem już na spotkanie z chłopakami, w pełni pojąłem jej znaczenie. Zrozumiałem, że czułem się nieswojo, ale nie sprawiła tego inwentaryzacja bielizny, jaką na mój użytek przeprowadziła Karen. Źródło niepokoju leżało znacznie głębiej. Żałowałem, że nie mogłem czuć się lepiej. Pojawiło się nieziszczalne marzenie, żeby nadszedł dzień, w którym podobna sytuacja będzie dla mnie równie naturalna, jak słońce na niebie. Chciałbym traktować majtki w tej szufladzie w taki sam, oczywisty i naturalny sposób, jak każdą inną część garderoby mojej dziewczyny.

Zastanawiam się, co ona w tej chwili porabia. Mam nadzieję, że nie jest smutna. Pomyślałem o Chrisie, zabawiającym się zapewne z jakąś dziewczyną w klubie w Newcastle. Ciekawe, co przyniesie jutrzejszy dzień—być może Karen podejmie wreszcie decyzję o zmianie swojego życia na lepsze.

—Hej, Stringer—wrzeszczy Ug, wyglądając przez okno. — Chodź tutaj i sprawdź towar.

Patrzę porozumiewawczo na Matta, ale ruszam, żeby dołączyć do stojącego na posterunku Straży Sąsiedzkiej Uga.

—Ruszaj, Czajniku — woła Jack, który rozwalony na podłodze wlewa w siebie piwo.

Po chwili idę kamiennym chodniczkiem łączącym domek nr 327 na Francuskiej Riwierze z domkiem nr 328.

Z ulgą oddycham świeżym powietrzem. Poza zrzędzeniem Jimmy'ego, sytuacja zaczęła wymykać się spod kontroli. Jack i Damien stanęli do walki na froncie alkoholowym, a Jimmy i Ug z miejsca zabrali się za prochy. Nie ma się co czarować: jakaś część mnie chciałaby się do nich przyłączyć. Wszystko przez Jimmy'ego i tę jego głupią gadkę w samochodzie. A jeśli on ma rację? Może ja rzeczywiście oszukuję sam siebie i podświadomie marzę o powrocie do starych nawyków? W końcu to tylko kilka sztachów. Żadne twarde narkotyki.

Oddycham głęboko i staram się odpędzić te myśli. Jestem po prostu wykończony, nic więcej. Mój instynkt samozachowawczy uległ osłabieniu, a wypite piwo zrobiło swoje. Cała ta zazdrość i złość, pragnienie, żeby dołączyć do Jimmy'ego i Uga, połączone z niechęcią do ich obecności, to czysty nonsens. Muszę o tym pamiętać, bo jak ulegnę, będę żałował. Wszystkie te miesiące, podczas których toczyłem walkę sam ze sobą, poszłyby na marne. Przecież wiem, jak to działa. Żadnych narkotyków. Skrętów to też dotyczy. Wystarczy, że złamię tę podstawową zasadę, a cały, z takim trudem budowany domek z kart, runie. Na powrót wyląduję w strefie ciemności, uzależniony, niezdolny do myślenia, odpoczynku, radości bez kopa. Utknę w nie mających końca nocnych wędrówkach przez Londyn w poszukiwaniu działki wśród popierdoleńców, których nie znam i którzy nic mnie nie obchodzą. Potrząsam głową. Nie potrzebuję tego. Jimmy i Ug nie mają z tym nic wspólnego. Ich obecność w niczym mi nie przeszkadza, no nie? Jestem dość silny?

Dochodzę do dziewczyny, która w świetle lampy wiszącej nad drzwiami do jej domku, otwiera bagażnik czerwonego peugeota 205.

—Cześć — mówię, starając się wykrzesać w sobie trochę radości. — Witamy w „Niebiańskim Wypoczynku".

Taksuje mnie wzrokiem, podobnie jak ja ją. Ma jakieś trzydzieści pięć lat i jest bardzo ładna.

—Chyba tu nie pracujesz? — pyta, trochę podejrzliwie, ale z rozbawieniem.

—Nie — przyznaję. — Przyjechałem tu z kumplami — obracam się i wskazuję nasz domek. — Mieszkamy tam. Przyszedłem zaprosić ciebie i twoje towarzystwo na drinka, teraz, albo może jutro... — Posyłam jej swój najbardziej uwodzicielski uśmiech. — Kiedy tylko będziesz chciała...

—To bardzo miłe — mówi, wyciągając z bagażnika torbę.

—Może ci pomóc?

—Nie, poradzę sobie. Mimo to dziękuję. — Waha się przez chwilę. — Jak ci na imię?

Nie odpowiadam od razu.

—Powiedzmy, że Komitet Powitalny — przychodzi mi w końcu do głowy.

—Cóż, Komitecie Powitalny, ja jestem Sam. Jutro rano wybieram się do Aquaspa. Może spotkam tam ciebie i twoje towarzystwo?

—Masz to jak w banku.

Uśmiecha się i rzuca okiem na poruszające się zasłony w oknie naszego domku.

—Trzymam cię za słowo — rzuca i rusza w stronę drzwi.

SUSIE

Piątek, godzina 23.45

— Sam! — woła Amy, gdy z hukiem wpadamy do domku.

Sam zawinięta w koc leży na kanapie i coś czyta. Wyplątuje się z kokonu i ściska nas wszystkie, a Amy przedstawia jej Lornę i Kate.

H nie ma z nami. Kiedy wiozła nas z knajpy do „Niebiańskiego Wypoczynku", zatrzymał ją jakiś wredny pracownik ośrodka

i kazał nam wszystkim wysiąść, a ją odesłał na parking obok recepcji, więc trochę potrwa, zanim tu dotrze. I dobrze, bo okropnie kwasi atmosferę.

—Sorry, że nas nie zastałaś. Byłyśmy... — Amy macha ręką w kierunku drzwi i patrzy jednym okiem, bo drugie ma zamknięte.

—W restauracji — kończę za nią.

—Dawno przyjechałaś, stara? — pyta Jenny i łapie butelkę z winem, zamierzając ją otworzyć.

Sam opada z powrotem na kanapę.

— Jakieś pół godziny temu. Byłam tak zmęczona, że nie chciało mi się ruszać, więc podłączyłam się do żarcia — mówi i uśmiecha się.

Pochłonęła większość jedzenia przywiezionego przez H i kończyła właśnie trzecią puszkę piwa.

—I chyba wylądowałam na kanapie.

—Uuups — woła Amy i tracąc równowagę, siada na podłodze.

—Nigdy nie zgadniecie, co mi się przytrafiło — mówi Sam. Jenny tymczasem wręcza każdej z nas po szklance z winem.

—Gadaj — ponaglam ją i pomagam Amy wstać.

—Obok mieszkają jacyś faceci i jeden z nich przyszedł się przywitać. Mówię wam, dziewczyny, prawdziwy adonis.

—- O rany! — woła z zachwytem Jenny.

—Słowo honoru. Panienki, zdaje się, nieźle trafiłyśmy. Był po prostu... och... — Sam przewraca oczami. — Fantastyczny. Absolutnie czarujący. Umówiliśmy się jutro na kąpielisku.

—Jutro? Po co tyle czekać? Noc jest jeszcze młoda — bełkocze Amy. — Rusz się, Sooze. Idź i przyprowadź go tutaj.

—Chcesz, żebym ci go przygruchała, czy tak? Kiwa energicznie głową.

—Tak. Przyprowadź go. Chcę go zobaczyć. Może zrobi striptiz. W końcu striptiz mi się chyba należy, co nie? Przecież niedługo wychodzę za mąż i w ogóle. — Czka potężnie.

—Chcesz go? Będziesz go miała — oświadczam i zdecydowanie ruszam do drzwi.

Z domku obok dobiega głośna muzyka, ale wszystkie okna są zasłonięte. Podchodzę do drzwi i oglądam się za siebie. Amy chichocząc, wygląda zza framugi. Nad nią widać głowę Jenny, a obok pozostałe trzy. Wyglądają jak wyjęte z kreskówki o Scooby Doo i są takie śmieszne, że ja też zaczynam chichotać.

— No, pośpiesz się — syczy Amy i macha ponaglająco ręką.

Prężę cycki i obracam się do drzwi. Adonis, tak? Może i zaczęłam nowe życie, ale dzisiaj, dla Amy, mogę o tym na chwilę zapomnieć.

Pukam głośno do drzwi.

MATT

Piątek, godzina 23.48

—Nie otwieraj — krzyczę.

Rozlega się kolejne pukanie. Jimmy patrzy na mnie, wciąż jeszcze zły.

— Bo co? — pyta zaczepnie, z ręką na klamce.

—To pewnie ochrona. Otworzysz drzwi i będziemy się musieli z nimi użerać. Udawajmy, że nie słyszymy, i pójdą sobie. Ściszyliśmy już muzykę, więc nie mają się o co czepiać.

—M'rację — bełkocze Ug, kładąc dłoń na ramieniu Jimmy'ego. — Olej ich. Zaraz im się znudzi.

Jimmy posyła mi złe spojrzenie, ale puszcza klamkę. Damien podnosi się z kanapy i chwiejnym krokiem podchodzi do odtwarzacza, który przywiózł ze sobą. Ścisza muzykę jeszcze trochę i pukanie do drzwi ustaje. Za to z łazienki dochodzą odgłosy gwałtownych torsji, szarpiących Billym.

—Jezu — krzywi się Stringer. — Jest jak ściek. Czy on kiedyś przestanie?

—Na mnie nie patrz — obrusza się Jack, pociągając spory łyk smirnoffa prosto z butelki. — Jestem tylko jego bratem.

—To w ich rodzinie dziedziczne — nabija się Damien. Siada

na podłodze i wyciąga karty. — Genetyczne uwarunkowanie... — Tasuje karty. — Kto gra?

Stringer kręci przecząco głową. Wygląda jak bardzo zmęczone dziecko, które jednak wstydzi się pójść do łóżka przed dorosłymi. Dostrzegam swoje odbicie w lustrze i widzę, że nie on jeden. Twarz mam szarą. Jak tak dalej pójdzie, rano, kiedy być może uda mi się namierzyć H, będę prezentował się gorzej niż Kuba Rozpruwacz. Patrzę na Jacka, który przyłączył się właśnie do Damiena. Szkoda, że rozgadał wszystkim, co zaszło między mną a H. W Bogu nadzieja, że żaden nie zacznie paplać o tym w jej obecności. Byłbym skończony.

STRINGER

Sobota, godzina 4.15

—Dobra, chłopaki. — Damien, chociaż tak ożarty, że patrzy już zezem, nie ma najmniejszego zamiaru odpuścić. — Pora podnieść stawkę.

Ciekawe, o ile? Aż mu wątrobę szlag trafi? Sądząc po tempie, jakie narzucili sobie obaj z Jackiem, wydaje się to nieuniknione. — Szczo? — zaciekawia się Jack. Pewnie miał na myśli „co".

—Nago — oświadcza Damien. — Rozbieramy się do rosołu i wychodzimy na zewnątrz. Robimy paradę przed domkiem obok i dalej. I wracamy. Tylko żebyśmy sobie nie zatrzasnęli drzwi. Co wy na to?

—Wchodzę w to — bredzi Ug.

—Na mnie nie liczcie — mówię. Nie dość, że nie mam najmniejszego zamiaru paradować przed nikim z gołym tyłkiem, to jestem tak zmęczony, że oczy same mi się zamykają. — Idę spać.

—Stringer, nie pękaj. — Damien jest uparty. — Przecież jeszcze młoda godzina...

Patrzę na kłębowisko pustych puszek, butelek, opakowań po chipsach i pijackich gąb. Potem mój wzrok spoczywa na Damienie.

— Wręcz przeciwnie. Jest stara, pomarszczona i przyda jej się drzemka dla urody.

Co powiedziawszy, idę do pokoju obok i walę się w wyro obok łóżka Matta. Nie mija kilka chwil, kiedy wchodzi Matt i także pada w bety. Jesteśmy obaj tak zmachani, że nawet nie mówimy sobie dobranoc.

H

Sobota, godzina 4.30

Wstaję z legowiska na podłodze i podchodzę do okna. Nie mam pojęcia, jak Sam może spać. I na dodatek tak zawzięcie chrapać, zważywszy na dochodzące z sąsiedniego domku hałasy.

Odsuwam zasłonę, żałując, że nie mam karabinu. Drzwi sąsiedniego domku otwierają się z hukiem i wypada z nich nagusieńki facet. Na głowie ma coś, co przypomina damskie majtki.

Odchodzę od okna i wślizguję się do łazienki, żeby przyjrzeć się sobie w lustrze.

Nie mogę nawet uciec do samochodu.

Te dranie skonfiskowały mi moje bmw.

Z rozpaczą dotykam worów pod oczami. Muszę się jakoś pocieszyć. Mam za sobą najgorszą noc w życiu i gorzej już chyba być nie może.

Drzwi do łazienki otwierają się gwałtownie. Obracam się i widzę w nich Amy, w samej bieliźnie, z twarzą niepokojąco bladą.

—Dobrze się czujesz? — pytam ją. Kiwa głową, ale wygląda jak trup.

—Przepraszam cię za samochód. Uśmiecham się do niej. Taka z niej biedulka.

—Nie ma o czym mówić.

Zbliża się do mnie chwiejnym krokiem.

— Nie, wiem, że jesteś' zła — bełkocze. — Ale jest super, jesteś moją najlepszą kumpelą i kocham cię...

Nie dane jest jej skończyć. Bo to, eo w tej chwili dobywa się zjej ust, ląduje na mojej (prosto ze sklepu) piżamie od Calvina Kleina.

No cóż, liczą się dobre chęci.

SUSIE

Sobota, godzina 11.30

Ooochhhhh... Jezu... moja... głowa..

SUSIE

Sobota, godzina 11.45

—Uuuuuuuuuuuuuuuuuch?

Nie mogę otworzyć oczu. Wyciągam rękę i macam twardy materac obok mnie.

—...Amy...?

Nie otrzymuję odpowiedzi, a ręka opada mi jak martwa na pustą poduszkę.

Powoli obracam głowę o pełne bólu sto osiemdziesiąt stopni i uchylam jedną powiekę. Jestem sama. Otwieram drugie oko i nie widzącym wzrokiem patrzę na miejsce, w którym powinna znajdować się Amy, jednocześnie starając się oderwać język przyklejony do podniebienia.

Zasłony są nieco rozsunięte i promień słonecznego światła, w którym unoszą się drobinki kurzu wpada do maleńkiego pokoiku. Przez całą noc grzejnik pracował na pełny regulator i okno nad moją głową jawi mi się niewyraźnie jak miraż.

Gorąco. Oto, co mi przeszkadza.

Jest mi za gorąco.

Czuję się jak kurczak w nastawionym na maksa piekarniku.

Siadam, spuszczam nogi z łóżka i składam w dłoniach moją kruchą głowę. Mam na sobie T-shirt (tyłem na przód) i stanik (także odwrotnie, miseczki lewitują gdzieś w okolicy pleców) i jedną nogawkę raj stop. Druga, pomarszczona, dynda mniej więcej na wysokości kolana, ale co mnie to obchodzi.

Z wirującą głową wstaję i po ścianie idę do drzwi.

Udaje mi się doczołgać do kuchni, gdzie napełniam kubek wodą z kranu, wypijam go do dna i napełniam jeszcze raz.

Sam jęczy i podnosi głowę z kanapy.

—Widzę cię — mówi bełkotliwie.

Przy stole siedzi H. Jedną ręką obejmuje Amy, drugą podsuwa jej do ust szklankę z wodą.

—Wypij to, tylko wolno — namawiają.

Amy patrzy na mnie oczami w czerwonych obwódkach. Owinięta jest żółtym kocem, a twarz ma zieloną. Wygląda jak kupa nieszczęścia. Dygocząca kupa nieszczęścia.

—Fiu, fiu. Mamy, zdaje się, ofiary w ludziach — krzywię się. — Chce się komuś pić?

—Mnie —jęczy Sam i opada bez sił. Amy robi minę, jakby się miała zaraz rozpłakać.

—Cii, uspokój się — mówi łagodnie H. — Zaraz poczujesz się lepiej. — Głaszcze ją po plecach.

—Hej, Amy. Głowa do góry. Runda druga, ding-dong — wołam wesoło i sięgam po kawę. — Musimy jeszcze przeżyć następne dwadzieścia cztery godziny.

—Nie rozumiem, skąd u ciebie ten dobry humor — mówi kwaśno H. — Po takiej ilości tequili... Aż dziw, że się nie zamarynowałaś.

Patrzę na nią z uniesionymi brwiami. Ależ z niej piczka- zasadniczka. Jak się tak dalej będzie nadymać, to tylko patrzeć, kiedy jej zwieracze nie wytrzymają i sama się wystrzeli z tego krzesła w kosmos.

— Jeżeli masz na myśli minioną noc — zaczynam, nie mając

wątpliwości, że strzelam celnie — noc, którą z uporem godnym lepszej sprawy starałaś się za wszelką cenę zepsuć nam wszystkim— to przyjmij do wiadomości, że ja bawiłam się wyśmienicie — mówię dobitnie.

Włączam czajnik, dostrzegaj ąc przy tym moją ogromną flachę gorzały, teraz już, niestety, pustą.

—Amy też bawiła się doskonałe, prawda, słoneczko? Amy kiwa potakująco głową, ale H patrzy na mnie krzywo.

—Bardzo się pochorowała.

A czy to moja wina? Przecież sama Amy wymyślała te wszystkie pijackie zabawy, gdy mieszkający po sąsiedzku adonis i jego kumple nie odpowiedzieli na nasze awanse. Nie zamierzam się jednak tłumaczyć. Pora jest zdecydowanie zbyt wczesna.

—To przykre. Rzygałaś?

—Prosto na H — przyznaje ze skruchą.

Wiem, że to z mojej strony wredne, ale wybucham śmiechem. Sam podnosi głowę z kanapy.

—Na pewno byłaś zachwycona — mówi do H, ale patrzy na mnie z nieskrywaną uciechą.

H nie spuszcza oczu z Amy.

—To bez znaczenia. W końcu od czego ma się przyjaciółki — mówi czule.

Stawiam przed Amy kubek z kawą, za co dziękuje mi uśmiechem.

—Lej to, stara. Ani się obejrzysz, jak będziesz chciała klina. Amy wydaje jęk.

—Klin to ostatnie, czego jej teraz potrzeba. Idziemy do ośrodka wodnego — oznajmia sztywno H i mierzy złym wzrokiem kubek z kawą. — Na dwunastą mamy zamówiony masaż. Nic lepiej nie postawi jej na nogi.

—Oooch. Elegancja-Francja. Może my też sobie coś zamówimy? — zwracam się do Sam.

—Nie uda się wam. Zarezerwowałam dwa ostatnie wolne zabiegi — mówi wyniośle H. — Możecie sobie iść z innymi na basen. Nie zapomnijcie poprosić o rowery.

Sam siada i pije herbatę.

—Powiedziałam temu chłopakowi obok, że się spotkamy na basenie. Więc chodźmy, może trafi nam się jakiś towar na dzisiejszy wieczór.

—Nie chcę nikogo oglądać —jęczy Amy. — Nie zmuszajcie mnie.

—Idę z tobą, Sam — zgłaszam akces i wrzucam chleb do tostera.

Skoro H postanowiła zagarnąć Amy dla siebie, ja chętnie powygłupiam się z Sam.

—Możemy iść wszystkie razem — uśmiecham się promiennie do H. — Nie uważasz, że byłoby miło?

MATT

Sobota, godzina 12.30

Wiadomo powszechnie, że mądry generał zawsze wybiera teren, na którym zamierza stoczyć bitwę, stawiając swoich wrogów w sytuacji niekorzystniej, zwiększając natomiast swoje szanse na zwycięstwo. Gdyby, dajmy na to, bitwa miała mieć miejsce na pustyni, on ustawi swoje wojska wokół oazy, zapewniając im stały dostęp do wody, pozbawiając jej jednocześnie przeciwnika. Albo gdy walka toczyć się będzie na otwartym polu, wówczas mądry wódz rozstawi swoje oddziały na wzniesieniu, co pozwoli mu wycinać wrogów, gdy atakując, będą starali się na owo wzniesienie wspiąć. Nie ma jednakie okoliczności, w których najbardziej nawet nieudolny generał zdecydowałby się na rozpoczęcie swojej kampanii przy stoliku numer trzydzieści siedem w przepełnionej restauracji „Chick-0-Lix", jednej z wielu na terenie globalnej wioski „Niebiańskiego Wypoczynku".

Stąd też moja obecność w rzeczonej restauracji nie tylko tłumaczy po części, czemu nie zdecydowałem się na karierę wojskową, jest również niezbitym dowodem na stan mojego

umysłu. Czuję się niepewnie. Teren, na którym przyjdzie mi stoczyć batalię o serce H, nie został wybrany przeze mnie, lecz raczej przez nią. Dlatego też to ja, a nie ona, stoję na gorszej pozycji. Po raz pierwszy od chwili, gdy zacząłem planować strategię podbicia H, moje morale jest złe i mam poczucie beznadziejności. Nastał właśnie dzień, w którym ujrzę ją znowu. Może to nastąpić w każdej chwili. Rozglądam się, nie panując nad idiotycznym zdenerwowaniem.

—Wyglądasz jak kupa gówna—zauważa Damien, z markotną miną grzebiąc pikantnym skrzydełkiem w talerzu firmowym.

—Nie — paruję — to ty wyglądasz jak kupa gówna.

—Wyglądasz jak taka kupa gówna, że gdyby zobaczyła cię inna kupa gówna, poszłaby w innym kierunku, byle tylko w ciebie nie wdepnąć — nie pozostaje mi dłużny.

—Czyżby? Za to ty wyglądasz jak taka kupa gówna, że gdybym w ciebie wdepnął, nie usunąłbym cię z podeszwy. Ja bym sobie uciął całą nogę ze strachu przed zakażeniem.

—Obaj wyglądacie jak gówno — stwierdza Stringer, ucinając tym samym w zarodku tę nadzwyczaj intelektualną wymianę zdań.

I nie myli się; rzeczywiście tak wyglądamy. Nawet moje dżinsy od CK i koszulka Diesla nie są w stanie tego zatuszować. Patrzę na Damiena i przypominam sobie swoje odbicie, które dzisiaj rano powitało mnie w lustrze. Nie licząc Stringerà, i tak my dwaj stanowimy najpiękniejsze okazy rodzaju męskiego, jakie dzisiejszego ranka znajdowały się w naszym domku (reszta facetów wciąż jeszcze nie kwalifikuje się do konkursu). Mimo to trudno powiedzieć, że prezentujemy się nędznie. Za słabe słowo. Raczej należałby powiedzieć, że jesteśmy wypluci, zmytłani, zjebani, chujowo się czujemy. Podnoszę wzrok na Stringerà, obmyślając w duchu obraźliwe hasło, którym zaraz go uraczę. Ale mnie zatyka. Ponieważ Stringer nie wygląda jak gówno. Ani trochę. Po prostu wygląda zdrowo. Obrzydliwie zdrowo. I to nie dlatego, że ja wczoraj wypiłem więcej od niego. Wręcz przeciwnie, ilość pochłoniętego przeze mnie alkoholu była prawdopodob

nie mniejsza. Nie mogę znaleźć również pocieszenia w fakcie, że balowałem dłużej, bo obaj walnęliśmy się spać mniej więcej w tym samym czasie. W ten sposób muszę spojrzeć w twarz smutnej prawdzie: skończyły się czasy, gdy swoje ciało i zdrowie mogłem traktować jako coś oczywistego.

Stosunkowo niedawno coś sobie uświadomiłem. Mianowicie, w niezbyt odległej przeszłości, ilość skonsumowanego wieczorem alkoholu rano pozostawała bez śladu. W młodości — świetlanych dniach początków trzeciej dekady mojego życia — ubiegłej nocy nawet bym nie zauważył. Wtedy moje możliwości były znacznie większe. Dziesięć puszek mocnego browaru i podwójna porcja skrzydełek? Żaden problem. Może dopadłby mnie lekki ból głowy i delikatny rozstrój żołądka. Ale i tak byłoby to nic w porównaniu z katuszami, jakie cierpię dzisiaj. Jednak nie tylko one świadczą o degrengoladzie, jakiej ulega mój organizm. Dawniej paść o czwartej rano, a o dziewiątej siedzieć jakby nigdy nic w pracy to była dla mnie, bułka z masłem. Balować trzy noce z rzędu? Proszę bardzo. A seks? W tym też byłem lepszy. Może nie technicznie, ale w dziedzinie obsługi porannej na pewno. Wciąż jeszcze nie pozbyłem się tej cudownej cechy młodości: pragnienie seksu przewyższało pragnienie snu. Poranne bzykanko, moja pani? Ależ proszę bardzo, cała przyjemność po mojej stronie. Niczym się nie krępowałem. Byłem młody i wiedziałem, że wieczorem i następnego dnia rano moja twarz prezentowała się jednakowo nieźle, skoro więc wieczorem któraś uznała mnie za dość atrakcyjnego, by wylądować ze mną w łóżku, niewielka istniała szansa, że w świetle poranka się mnie przerazi i z wrzaskiem ucieknie.

To jednak było kiedyś, a teraz — ze smutkiem stwierdzam — jest dziś. (Głowa mi pulsuje, a w żołądku się przewraca.) Nagle pojawia się myśl. Może z tego właśnie powodu H dała nogę? Bo wyglądałem tragicznie? Czy to możliwe, że odtąd zawsze już tak będzie? Wielce prawdopodobne, że Jack to przewidział i dlatego postanowił ożenić się z Amy, bo zrozumiał, że wkrótce nikt inny się już nie napatoczy. A to oznaczać może tylko jedno: jak

najszybciej muszę uregulować sprawy z H. Wspieram głowę na rękach i spoglądam w dół, na swój brzuch. Oto, czego mogę się następnie spodziewać: urośnie mi i zacznie wylewać się ze spodni jak drożdżowa baba z formy.

—Jezu — mówię na głos. — Do tego wszystko się sprowadza.

—Co? — Stringer nie rozumie.

—Czeka nas hipochondria, otyłość i śmierć. Na nic lepszego nie możemy już liczyć.

Do naszego stolika podchodzi kelner przebrany za wielkiego koguta i szczerzy do nas zęby w sztucznym uśmiechu.

— Jak tam, panowie — macha skrzydłami — czy posiłek wam, ko-ko-ko, smakował?

—Nie, był du-du-dupiaty — odpowiadam niegrzecznie.

—Ja tylko... — zaczyna kelner.

—Tak, tak, tak — mówię. — Wykonujesz swoją pracę. — Podnoszę do góry ręce. — I naprawdę świetnie ci idzie. Przepraszam. Kac, rozumiesz?

Kelner kiwa ozdobioną wielkim dziobem głową i zbiera nasze talerze.

—Stary, dobrze się czujesz? — pyta Stringer po jego odejściu.

—Tak. Tylko... — Patrzę na Stringerà i słowa zamierają mi na ustach. Jaki jest sens rozmowy o negatywnych skutkach starzenia się, kiedy rozmówca — ponieważ o siebie dba — wygląda dziesięć lat młodziej ode mnie, choć tak naprawdę młodszy jest tylko o trzy.

—Zresztą, nie ma o czym gadać — mówię. — Tak jak powiedziałem kelnerowi, kac mnie męczy.

Znowu rozglądam się po sali w nadziei, że zdołam gdzieś dostrzec H...

STRINGER

Sobota, godzina 12.35

Mam wrażenie, że gram kogoś w filmie SF z lat pięćdziesiątych, kto nagle dostrzega, że jego towarzysz nagle uległ subtelnej, niemniej zauważalnej przemianie, i zadaje sobie pytanie, czy jest on w dalszym ciągu tym samym człowiekiem, którym był dotąd. Stoję na tle czarno-białej dekoracji i słyszę swoje myśli wypowiadane moim własnym, stłumionym głosem: „Matt normalnie nie wydarłby się tak na kelnera w »Chick-0-Lix«..."

Ten Matt — siedzący naprzeciwko mnie, zmarnowany i przybity —to nie ten sam Matt, którego znałem i pokochałem. Tamten Matt — Matt sprzed incydentu w Roswell — nie wydziera się na nikogo, a już z całą pewnością nie na nieszczęśnika, który zmuszony jest zarabiać na życie w przebraniu przerośniętej pulardy. Może by się z niego śmiał, ale żeby od razu się wydzierać? — to nie do pomyślenia. Widzę, jak chyba po raz pięćdziesiąty, odkąd usiedliśmy, rozgląda się nerwowo wokół. Gdybym był celnikiem, z miejsca zrobiłbym mu rewizję osobistą.

Pytam go raz jeszcze:

—Dobrze się czujesz?

Tym razem jednak nie sili się nawet na odpowiedź, tylko upija nieco swojego Chick-O-Thick-O-Lick-O-Shake o smaku truskawkowym i wbija ponury wzrok w kubek.

Cóż, w tej sytuacji postanawiam pogadać z Damienem.

—Powiedz mi — zaczynam—jakie to uczucie?

Nowa sytuacja w jego związku z Jackie jest mi całkowicie obca. To absolutna kwintesencja seksu i wszystkiego, do czego on prowadzi. To wszystkie moje wyobrażenia, pomnożone przez milion. Damien patrzy na mnie, nie bardzo wiedząc, o co mi chodzi.

—No, to, że za osiem tygodni — naprowadzam go — zaczniemy nazywać cię tatuśkiem.

—Ach, to. — Patrzy na nas. — No, wiecie, trochę przerażające...

STRINGER

Sobota, godzina 12.35

Mam wrażenie, że gram kogoś w filmie SF z lat pięćdziesiątych, kto nagle dostrzega, że jego towarzysz nagle uległ subtelnej, niemniej zauważalnej przemianie, i zadaje sobie pytanie, czy jest on w dalszym ciągu tym samym człowiekiem, którym był dotąd. Stoję na tle czarno-białej dekoracji i słyszę swoje myśli wypowiadane moim własnym, stłumionym głosem: „Matt normalnie nie wydarłby się tak na kelnera w »Chick-0-Lix«..."

Ten Matt — siedzący naprzeciwko mnie, zmarnowany i przybity — to nie ten sam Matt, którego znałem i pokochałem. Tamten Matt — Matt sprzed incydentu w Roswell — nie wydziera się na nikogo, a już z całą pewnością nie na nieszczęśnika, który zmuszony jest zarabiać na życie w przebraniu przerośniętej pulardy. Może by się z niego śmiał, ale żeby od razu się wydzierać? — to nie do pomyślenia. Widzę, jak chyba po raz pięćdziesiąty, odkąd usiedliśmy, rozgląda się nerwowo wokół. Gdybym był celnikiem, z miejsca zrobiłbym mu rewizję osobistą.

Pytam go raz jeszcze:

—Dobrze się czujesz?

Tym razem jednak nie sili się nawet na odpowiedź, tylko upija nieco swojego Chick-O-Thick-O-Lick-O-Shake o smaku truskawkowym i wbija ponury wzrok w kubek.

Cóż, w tej sytuacji postanawiam pogadać z Damienem.

—Powiedz mi — zaczynam —jakie to uczucie?

Nowa sytuacja w jego związku z Jackie jest mi całkowicie obca. To absolutna kwintesencja seksu i wszystkiego, do czego on prowadzi. To wszystkie moje wyobrażenia, pomnożone przez milion. Damien patrzy na mnie, nie bardzo wiedząc, o co mi chodzi.

—No, to, że za osiem tygodni — naprowadzam go — zaczniemy nazywać cię tatuśkiem.

—Ach, to. — Patrzy na nas. — No, wiecie, trochę przerażające...

Kręcę głową, bo nie wiem. Skąd niby?

—To trochę jak... sam nie wiem... jak po raz pierwszy wyprowadzasz się z domu, żeby zamieszkać w jakimś nowym miejscu, kapujecie?

Matt, nie odrywając wzroku od swojego shake'a, mówi ponuro:

—Tak.

— Człowiek się boi, bo wie, że zmiany są nieuniknione — mówi dalej Damien. — Ale jednocześnie nie może się doczekać i jest cały podniecony, bo cokolwiek się zdarzy, zdarzy się dlatego, że sam do tego doprowadził...

—Ponosi za to odpowiedzialność?

—Właśnie, coś w tym stylu. To znaczy, kiedy on się urodzi — mówię „on", chociaż nie wiemy tego na pewno, bo kiedy Jackie miała USG, bobas odwrócił się tyłem do kamery — więc kiedy się urodzi, wszystko się zmieni, no nie? Ja i Jackie wciąż będziemy tym samym małżeństwem, ale jednocześnie będziemy inni, bo zaczniemy się troszczyć już nie tylko o siebie, ale o niego także. — Pociąga potężny łyk coli. — Nie będziemy już wolni jak pershingi, bo cały czas trzeba będzie siedzieć w domu. Na przykład taki weekend. Gdyby miał się odbyć za dwa miesiące, wątpię, czy mógłbym się z wami wybrać. — Wzdycha, po czym się uśmiecha. — Sam nie wiem. Z jednej strony jest fajnie, z drugiej trochę się boję. Zobaczymy. Wszystko się jakoś poukłada.

—Uważam, że jesteś szczęściarzem. — Matt odzywa się po raz pierwszy od epizodu z pulardą.

—Serio? — dziwi się Damien.

—Serio — potwierdza z uśmiechem Matt. — Myślę, że dobrych stron jest więcej niż tych przerażających.

Podnosi wzrok i w jego oczach czai się jakaś tęsknota.

—Będziesz miał dziecko z kobietą, którą kochasz. Chyba nic nie może się z tym równać. A już na pewno nie to — zapala papierosa i zatacza ręką szerokie koło. — To może mieć każdy. Każdy może się urżnąć z kumplami. Nic prostszego. Ale to, co ty masz... to zupełnie inny kaliber. Większość ludzi dałaby się za

to zabić. Zrobiłeś krok naprzód, który w sumie każdemu z nas się marzy: zrobić go i zobaczyć, co będzie dalej.

—Nawet ty? — pyta Damien, nie kryjąc zdumienia.

—Tak. — Matt kiwa głową. — Nawet ja.

Damien przez chwilę patrzy na kłębiącą się od ludzi salę, po czym pyta:

—W takim razie co u ciebie? Dzieje się coś nowego?

—W sumie nie.

—No a H?

—O co chodzi? — wtrącam się, widząc na twarzy Matta zakłopotanie.

—Nie wiesz? — zwraca się Matt do mnie. — Myślałem, że już wszyscy wiedzą. Myślałem, że Lotna Służba Informacyjna Jacka Rossitera zajęła się tym wczoraj w samochodzie. — Kiwa głową, jakby nagle wszystko zrozumiał. — No, tak... ty przecież przespałeś całą drogę.

Damien wtajemnicza mnie w szczegóły:

—Zrobili to.

Przypominam sobie próbny lunch i widzę ich, jak odjeżdżają razem w deszcz spitfire'em Matta. — W sumie mnie to nie dziwi.

—Co? — dopytuje się Matt.

—Cóż, nieźle wam szło.

—Nie lepiej niż tobie i Susie — mówi ze wzruszeniem ramion.

—Kto to jest Susie? — pyta Damien, bacznie mi się przyglądając.

—Jeszcze jedna kumpela Amy — wyjaśniam mu. — Zanim jednak wyciągniesz pochopne wnioski, że Amy i Jack prowadzą biuro matrymonialne, pozwól, żęci wyjaśnię: Susie to zwyczajnie koleżanka.

—Ty tak mówisz — rzuca Matt ze złośliwym uśmieszkiem. Też się uśmiecham; miło widzieć, że zaczyna wracać do formy.

—Bo to prawda.

—Cóż, Matt, chyba pora na ciebie — odzywa się Damien.

— Pomijając, że się bzyknęliście, chciałbym wiedzieć, czy kroi się coś poważniejszego?

Spodziewam się zwykłej, typowej dla Matta odpowiedzi, czegoś w rodzaju: Nie, nic z tych rzeczy. Było, minęło, życie toczy się dalej. On jednak mówi:

—Chciałbym, żeby tym razem tak się stało. — Patrzy na nas obu. — Serio. Wcale nie żartuję.

Nie kłamie. Zdradza to wyraz jego twarzy.

Mówię, że muszę iść do klopa i że spotkamy się później na basenie. Chcę zapłacić za swoje żarcie, ale Matt zbywa mnie machnięciem ręki.

—Daj spokój — mówi. — Ja stawiam.

Na zewnątrz czeka na mnie mój rower. Reszta mieszkańców „Niebiańskiego Wypoczynku" — z wyłączeniem, rzecz jasna, ekipy zajmującej nasz domek — jest już na nogach i w pełnej gotowości: wszyscy biegają, spacerują i jeżdżą na rowerach w odpowiednich sportowych strojach i obuwiu. Choć nie zgadzam się w większości z tym, co wygaduje Jimmy, jedno muszę mu przyznać: to miejsce rzeczywiście pozostawia wiele do życzenia. Od samego rana, kiedy wstaliśmy, żeby odstawić minibus na parking i wynająć rowery, wszędzie musieliśmy stać w kolejkach. Dlatego też nie śpieszę się specjalnie na basen. Nie mam ochoty po raz kolejny znosić męki zmiany slipów pod osłoną ręcznika w szatni pełnej innych facetów, ponieważ na pewno uznają to — nie mogę nie przyznać im w tym słuszności — za co najmniej dziwne.

Kiedy jednak w końcu dojechałem na miejsce i przebrałem się w kąpielówki, jestem zwarty i gotowy do wytężonej aktywności fizycznej. Najpierw skaczę do zimnej wody, żeby pobudzić krążenie. Potem, częściowo tęskniąc za tym, co Susie nazwała kiedyś „Czasem Dla Siebie", a częściowo nie chcąc nadziać się na poznaną wczoraj dziewczynę bez obstawy kumpli, zaszywam się w sanktuarium łaźni parowej.

Siadam sobie na najniższej półce i owijam głowę ręcznikiem, żeby choć trochę stłumić przenikliwy zapach mięty. Podnoszę rękę do oczu, po czym odsuwam ją od siebie. W łaźni jest tyle pary, że wyprostowawszy ramię, tracę dłoń z oczu. Poza mną

nie ma nikogo, więc koncentruję się na głośnym i regularnym oddychaniu, którego nauczyłem się na lekcjach jogi. Wsłuchany w syczenie wydawane przez maszynę wytwarzającą parę, z każdą chwilą rozluźniam się bardziej.

H

Sobota, godzina 13.05

—Lepiej?

Amy kiwa potakująco głową i poprawia opadające ramiączko stanika.

—Bardzo ci dziękuję. To było wspaniałe. Znowu czuję się jak człowiek.

Nie wiem, czy podzielam jej zachwyt nad tym, co właśnie zafundowała nam Trący na byłych szpitalnych łóżkach, okładając nas non-stop pięściami, co było równie relaksujące jak wydawanie na świat dziecka. Opuszczamy z Amy zamknięty rozsuwanymi drzwiami gabinet masażu, mijamy saunę i łaźnię parową. Wszędzie czuć odór potu i olejku eukaliptusowego i mam wrażenie, że czuję pod stopami kwitnącą hodowlę brodawek. Lepką atmosferę wzmagają dźwięki największych przebojów Richarda Claydermana, a za obrzydliwą fontanną z plastiku imitującego gips dostrzegam schodki wiodące do buzującego chlorem basenu. Wszędzie wokół kłębią się obwisłe cielska bab i wytatuowane męskie torsy wydzielające odór niewiele mający wspólnego z czystością. Obrazu dopełniają rojące się jak szarańcza, wrzeszczące bachory. Przez zasnute ociekającą parą okna dostrzegam wybiegające z sauny Susie i Sam i oblewające się nawzajem kubłami lodowatej wody. Amy jednak, wsparłszy się o moje. ramię, usuwa spomiędzy palców u stóp oślizgły kawałek papieru i szczęśliwie ich nie zauważa.

—Może poszukamy reszty? — pyta, prostując się.

—Jeszcze nie — mówię i żeby nie zdążyła zwrócić uwagi na szalejące przed sauną dziewczyny, otwieram pośpiesznie drzwi do łaźni.

—Chodź, pogadamy trochę, tylko ty i ja. Przecież nie widziałyśmy się cały tydzień.

W środku, w oparach mgły z ulgą dostrzegam tylko jednego faceta, który siedzi skulony z ręcznikiem na głowie. Dyszy głośno, jakby za chwilę miał paść na zawał serca. Ale jeden świr to niewielka cena za nasze sam na sam. W „Niebiańskim Wypoczynku" trudno chyba o bardziej odosobnione miejsce.

Amy siada na plastikowej ławeczce i oddycha głęboko.

—Ale fajnie — mówi i kładzie się na brzuchu.

Mam zdaje się jedyną szansę, żeby porozmawiać z Amy na osobności, nie ma więc co czekać, aż reszta nas nakryje.

—Amy? — zaczynam.

—Hmmm?

—Chcę ci coś powiedzieć.

Zna mnie na tyle dobrze, żeby zaniepokoić się, słysząc mój ton.

—Co się stało? — pyta.

Chociaż mgła przysłania wszystko, wiem, że patrzy na mnie szeroko otwartymi oczami.

—Chodzi o zeszły tydzień — przygryzam wargę. Sama nie wiem, czemu tak się denerwuję, ale w końcu muszę to z siebie wydusić. — Starałam się ci powiedzieć...

—Co? — Amy siada.

—Poznałam kogoś.

—Matta? — pyta z zapartym tchem i łapie mnie za ramię. — Och, miałam jakieś przeczucie tamtego wieczoru...

—Nie! — mówię gwałtownie, odtrącając jej rękę i podciągając kolana pod brodę. — Daj spokój z tym Mattem, dobrze? Nie, tym razem to ktoś prawdziwy, wyjątkowy.

—Kto? Gdzie? Uśmiecham się do niej.

—W zeszłym tygodniu. W Paryżu. Wspominałam ci o nim... Laurent, pamiętasz?

—Ten staruch?

—Żaden staruch. Ma tylko trzydzieści dziewięć lat. My, no... tego... spiknęliśmy się. Było wspaniale.

STRINGER

Sobota, godzina 13.07

Co się tu, do diabła, dzieje?

Co, do ciężkiej cholery, robią tu Amy i H?

I kim, do kurwy nędzy, jest Laurent? Muszę znaleźć Matta.

Natychmiast!

H

Sobota, godzina 13.07

Przerywa nam świr z ręcznikiem na głowie. Wydaje z siebie dziwny, zduszony dźwięk i wypada z łaźni, jakby za chwilę miał puścić pawia na udające grecką posadzkę kafelki.

—Krzyżyk na drogę — mówię, gdy otwiera gwałtownie drzwi i wypada na zewnątrz.

—Niezły kawał mięska — zauważa Amy po namyśle.

—Do Laurenta mu daleko — odbijam piłeczkę. Cieszę się, że nareszcie zostałyśmy same. Teraz mogę jej wszystko, ze szczegółami opowiedzieć. — Och, Amy, mówię ci, to najseksowniejszy facet, jakiego w życiu spotkałam. Najlepszy...

—E tam, teraz to już przeginasz — przerywa mi Amy. — Bez obrazy, H, ale tak

dawno z nikim się nie pieprzyłaś, że każdy by ci się wydawał cudowny.

—Amy — mówię błagalnie, modląc się, żeby mi uwierzyła.

— To nie tak.

Wzdycham i ocieram pot spływający mi po nodze.

—Jak tylko przyjechałam do Paryża i go zobaczyłam, wiedziałam, że coś się wydarzy. Tyle czasu o nim myślałam i wciąż sobie tłumaczyłam, że to głupota, tym bardziej że mamy razem pracować. Ale pierwszego dnia zabrał mnie na kolację, żeby wymienić poglądy i nasze oczy wciąż się spotykały. To było takie romantyczne.

Zapatrzona w parę, przypominam sobie małą, zadymioną restauracyjkę z grającym jazz pianistą, nie kończącym się rzędem butelek z czerwonym winem, połyskujących w blasku świec, i krople deszczu, padające miękko na szybę koło naszego ustronnego stolika...

—Napoił cię i nakarmił? Cóż w tym takiego romantycznego?

— Amy wciąż nie daje się przekonać.

—On jest... sama nie wiem... prawdziwym mężczyzną. Jest ustawiony, odnosi w pracy sukcesy i uwielbia piękne rzeczy. I jest interesujący. Podróżuje po całym świecie i wszystko robi z pasją— rozmarzam się, wspominając, jak leżeliśmy w łóżku w moim pokoju hotelowym, jedliśmy hotelowe przysmaki i gadaliśmy do świtu. — Było tak, jakbyśmy... nie wiem... idealnie się dopasowali.

—Cóż, brzmi uroczo.

Chwilę milczę, po czym spoglądam Amy prosto w oczy.

—Chyba się zakochałam.

Amy, nie odrywając ode mnie wzroku, wstrzymuje oddech.

—Tylko nie wiem, co robić — plotę dalej. — Nie mogę przestać o nim myśleć i miałam nadzieję, że zadzwoni, ale w tym... — już mam przekląć „Niebiański Wypoczynek", ale w porę się powstrzymuję — ...miejscu nie ma zasięgu. A ja chciałabym tylko usłyszeć jego głos. Przekonać się, że wszystko jest OK.

Amy wypuszcza gwałtownie powietrze.

—Och, H. Na pewno wiesz, co robisz? To znaczy... czy coś z tego wyjdzie? Przecież tu masz swoje życie.

—No ale chyba znajdzie się na to jakiś sposób? Jak coś ma być, to będzie. Przecież sama zawsze tak mówiłaś.

—Wiem, ale związek na odległość? Tego chcesz?

—Nic nie jest doskonałe.

—Ale skąd wiesz, że on ma ochotę się wiązać? Ma przecież trzydzieści dziewięć lat, co chwilajeździ na drugi koniec świata... — Nachyla się i kładzie mi rękę na ramieniu. — Znam cię. Dostałabyś świra.

—To nie tak — złoszczę się, bo chciałabym zamiast wszystkich tych pytań usłyszeć wreszcie coś pozytywnego.

Problem w tym, że nie wiem, jak to jest.

—Będę wiedziała, co dalej, kiedy w końcu z nim porozmawiam — mówię.

Amy znowu wzdycha.

—Po prostu uważaj. O nic więcej cię nie proszę. — Milknie na chwilę. — Ale cieszę się, że przynajmniej zapomniałaś już o Gavie.

—Tak. Pieprzyć go.

—Mimo to szkoda, że z Mattem nici — zasmuca się.

—Co ty tak ciągle o tym Matcie? — mruczę. — Mówiłam ci przecież. Do niczego nie doszło. I nigdy nie dojdzie. On mi się nawet nie podoba.

—Dobrze już, dobrze — uspokaja mnie. — Ale byłoby fajnie.

Myślałam, że kiedy wreszcie opowiem o wszystkim Amy, poczuję się lepiej. Niestety, jestem jeszcze bardziej skołowana, tym bardziej że okłamałam ją, twierdząc, że do niczego między mną a Mattem nie doszło. Gdyby jednak wiedziała o Matcie, nie wiedziałaby, co myśleć o Laurencie i o mnie.

I tak niczego nie rozumie.

Dlaczego ona myśli takimi schematami? Tylko dlatego, że Laurent nie jest podobny do Jacka, nie widzi dla nas szansy. Ale ja widzę. Mogłabym nawet zostać w Paryżu na zawsze. Obejmuję mocniej kolana rękami. Myślę, że Amy wyczuwa moje niezado-

wolenie, bo wali mnie w plecy.

— Ale, co tam! Wszystko w porządku, dziewczyno! Przynajmniej poprawiłaś swoją statystykę w dziedzinie seksu. Sądząc po dostępnym tu towarze, mogłabyś się przejechać, licząc, że uda ci się to nadrobić w ten weekend — mówi ze śmiechem.

STRINGER

Sobota, godzina 13.12

Gdzie oni są?

W męskiej przebieralni, poza dwoma wytatuowanymi gościa-mi w średnim wieku, nie ma nikogo. Nigdzie ani śladu Matta i Pamiena. Spoglądam na zegarek. Do diabła, powinni już tu być... Więc gdzie są?

'" — Kim ty, do diabła, jesteś, brachu? — zachrypłym głosem zwraca się do mnie większy z wytatuowanych. — Pieprzonym Lawrencem z Arabii?

Gapię się na niego przez chwilę, nie mając pojęcia, o co mu chodzi. Wreszcie zaskakuję: głowę wciąż mam owiniętą ręcznikiem. Ściągam go gwałtownie.

— Dwaj faceci — mówię bez tchu.

—Co? — pyta facet.

— Dwaj faceci. Mniej więcej pana wzrostu. Szukam dwóch facetów. Na gwałt ich potrzebuję. Natychmiast. Facet robi krok w moim kierunku.

—Hej, uważaj sobie, ty pieprzony zboczku — mówi ostrzegawczo.

Reszty już nie słyszę, bo gnam pod prysznice. Tu też pusto. Przystaję i staram się złapać oddech. Muszę się uspokoić. Nie wpadać w panikę. Panika tylko wszystko pogorszy. Muszę myśleć racjonalnie i na pewno wszystko się wyjaśni. Logiczne i rozsądne rozwiązanie nasunie się samo.

Staram się zastosować do udzielonej samemu sobie rady. Niemożliwe, żeby Amy i H były tutaj, bo muszą być zupełnie gdzie indziej, na panieńskiej imprezie. Jasne i oczywiste. Jednakże, Amy i H są tutaj, a to oznacza, że impreza Amy odbywa się właśnie tutaj. A to może oznaczać tylko jedno: że coś się popieprzyło. Gigantycznie i przerażająco popieprzyło. Nagle przypomina mi się podsłuchana w łaźni rozmowa i dociera do mnie, że nie tylko to się popieprzyło. O, nie, to dopiero początek kłopotów. Poza znikomym prawdopodobieństwem, że Matt i H celowo zarezerwowali na weekend to samo miejsce, H zabujała się we Francuzie, więc Matt nic jej nie obchodzi, natomiast ona Matta obchodzi jak najbardziej, kiedy więc ujrzą się nawzajem, uznają, że mają omamy, a ponieważ H spotyka się z tym gościem z Francji, więc kiedy zorientuje się, że to nie omamy, ale brutalna rzeczywistość, ostatnią osobą, którą chciałaby ujrzeć, będzie Matt, ponieważ jednak Matt uważa, że ona jest fantastyczna, niezmiernie się na jej widok ucieszy, a kiedy do tego dojdzie, wtedy...

Szkoda gadać. Z paniką radzę sobie o wiele lepiej.

Wracam biegiem do przebieralni i mijam dwóch facetów, którzy wrzeszczą do mnie jakieś świństwa. Wpadam na basen.

W tej chwili jestem pewien tylko dwóch rzeczy. Po pierwsze, muszę znaleźć Matta, a po drugie, zaraz potem poszukać pomocy psychiatry.

MATT

Sobota, godzina 13.15

— Chcesz dodatek sportowy? — pyta Damien.

Jesteśmy przy stoisku z gazetami w cieplarni kompleksu wodnego. W dziedzinie podniesienia sprawności fizycznej nie poczyniliśmy jak dotąd żadnych postępów. Odkąd zjawiliśmy się tutaj mniej więcej pięć minut temu, udało nam się jedynie skoło

wać trzy leżaki, na które zamierzamy się uwalić, żeby zrobić prasówkę — ten dodatkowy trzymamy dla Stringera, zakładając oczywiście, że nie spędzi całego przedpołudnia na ćwiczeniu pompek, czy czegoś równie bezsensownego. Rozglądam się wokół i muszę przyznać, że nie jest to najgorsze miejsce na poranne leniuchowanie — pod warunkiem, że nie zwraca się uwagi na obwisłe brzuszyska i falujące uda większości klienteli. Jest tu ciepło i w miarę spokojnie. I na pewno o niebo lepiej niż w leju po bombie, dotąd znanym jako apartament numer 327. Ciekawe, czy nasi kolesie już z niego wychynęli. Co jest raczej mało prawdopodobne, chyba że zespół doraźnej pomocy medycznej z pełnym wyposażeniem do resuscytacji przez przypadek znalazł się w tamtej okolicy.

Muszę jednak nadmienić, że w obecnym stanie umysłu leniuchowanie nie wychodzi mi najlepiej. Należałoby raczej powiedzieć, że głównie świruję i to od pierwszej chwili po przebudzeniu. Gdy pedałowałem tu na wypożyczonym rowerze, starałem się jakoś uspokoić, lecz niewiele z tego wyszło. Jeśli nie zdecyduję się przekupić personelu, żeby zdradził mi miejsce pobytu dziewczyn, pozostaje mi tylko mieć uszy i oczy otwarte i czekać na znak. Gdzieś tu muszą się kręcić, to pewne. I prędzej czy później dowiem się gdzie.

—Hej, pytałem... — Damien wymachuje mi przed nosem dodatkiem sportowym.

—Tak, tak — odpowiadam. — Słyszałem cię za pierwszym razem.

Pukam się palcem w brzuch i mamroczę:

—W tym stanie lepiej sobie poczytam dodatek gastronomiczny.

Poprawiam kąpielówki i obracam się, żeby udać się na jeden z leżaków, gdy nagle:

—Dzieczynyszuszą.

Przede mną stoi Stringer. Jest cały czerwony i zlany potem, jakby dopiero co wyciągnął głowę z piekarnika.

—Słucham? — pytam grzecznie.

Łapie mnie kurczowo za ramiona i przybliża swoją twarz do mojej.

—Dzieczynyszuszą — powtarza, elegancko opryskując mnie śliną.

Odpycham go i patrzę pytająco na Damiena. Jest chyba tak samo ogłupiały jak ja.

—To urocze, co mówisz — zwracam się do Stringerà. — Ale czy byłbyś uprzejmy mi wyjaśnić, co chcesz przez to powiedzieć?

Wywraca oczami, kiwa głową i bierze kilka głębokich wdechów.

—Są tutaj — wykrztusza w końcu. — Dziewczyny.

—Chryste, Stringer — mówi Damien. — Weź się w garść, stary. — Uśmiecha się przepraszająco do sześćdziesięcioletniej dzierlatki, przeglądającej obok jakieś czasopisma. — Musi mu pani wybaczyć — zwraca się do niej grzecznie. — Niezbyt często ma okazję oglądać nagie kobiece ciała.

Kobieta marszczy gniewnie czoło i demonstracyjnie odchodzi. Obracam się do Stringerà i pytam:

—Dobra, stary, o co chodzi? — Ledwo jednak wypowiadam te słowa, gdy w mózgu odzywa mi się dzwoneczek alarmowy. — Jakie dziewczyny?

Lecz nie potrzebuję już jego odpowiedzi, bo w tej chwili za naszymi plecami rozlega się pisk.

SUSIE

Sobota, godzina 13.16

— Oj! To on! Mój adonis. Cześć! Jak się masz? — Sam macha ręką jak oszalała.

Podążam wzrokiem za jej spojrzeniem i widzę grupkę chłopaków, którzy odwracają się wszyscy naraz w naszą stronę.

Buzia sama otwiera mi się ze zdumienia.

Ponieważ to nie jest jej adonis — o którym gadała w kółko, kiedy siedziałyśmy w saunie. To jest mój adonis.

Stringer.

Odpycham Sam na bok, gramolę się z jacuzzi i łapiąc w locie ręcznik, gnam do cieplarni. Twarz Stringerà jest purpurowa. Stoi obok Matta i jakiegoś faceta i wygląda na kompletnie zdziczałego, ale tak mnie jego widok cieszy, że bez zastanowienia rzucam mu się na szyję. Ma silne, muskularne ciało, i tak mocno do niego przywieram, że ręcznik zsuwa mi się na podłogę.

—To jest Stringer — mówię bez tchu do Sam, która właśnie nadchodzi. Patrzy na mnie, nic nie rozumiejąc. Błyskawicznie podnoszę z podłogi ręcznik.

—Własnym oczom nie wierzę! — śmieję się i całuję Matta. — Co wy tu robicie?

Za plecami słyszę pełen zaskoczenia okrzyk H. Obracam się i widzę ją i Amy w drzwiach do łaźni.

—Patrzcie, kogo tu mamy! — krzyczę. — Czyż to nie fantastyczny zbieg okoliczności?

H

Sobota, godzina 13.17

Nogi wrosły mi w ziemię. Mam wrażenie, jakbym znalazła się pod wodą. Patrzę na Amy, ona jednak mija mnie i szybkim krokiem podchodzi do stojących przed nami Matta, Stringerà i Damiena, wokół których radośnie podskakuje Susie. Jest też z nimi Sam.

—Właśnie ich zauważyłyśmy! — wykrzykuje Susie do Amy. — Muszą tu być wszyscy chłopcy. I my, dziewczyny, wszyscy w jednym miejscu! To niesamowite! Chciałaś, żeby tak było...

Stringer wygląda jak wystraszony gupik, na przemian bezgłośnie otwierając i zamykając usta. Matt kręci z niedowierzaniem głową, a Damien, wpatrzony w Amy, ryczy ze śmiechu.

—To chyba jakieś żarty! — krztusi się.

Wspieram się pod boki i wbijam wzrok w Matta, on jednak odwraca oczy.

Nareszcie do mnie dociera. Coś tu jest bardzo, ale to bardzo nie tak.

To nie może być przypadek.

—Amy? — mówi Matt z przerażeniem. — Czy mogłabyś mi łaskawie wytłumaczyć, co tu się dzieje?

—O to samo chciałam zapytać ciebie! — wtrącam się. Podchodzę zdecydowanym krokiem do niego. — Jak śmiałeś? — pytam wściekła.

—Jak śmiałem co? — odpala, przechodząc do defensywy.

—Nie udawaj niewiniątka. Dobrze wiesz, o czym mówię. Matt podnosi do góry ręce obronnym gestem i rozgląda się po twarzach obecnych.

—Niestety, nie mam pojęcia. A ponieważ, nie wiem, o czym mówisz, bądź łaskawa mi to objaśnić.

—Doskonale — syczę i zaczynam wyliczać na palcach. — Po pierwsze: nie ma takiej możliwości, żeby to był przypadek. Po drugie: oznacza to, że celowo postanowiłeś zepsuć nam weekend. Po trzecie...

—Chwileczkę — przerywa mi Matt. — Zarezerwowaliśmy to miejsce już bardzo dawno.

—Akurat!

—Uspokój się — mówi Amy. — To już i tak nie ma znaczenia.

—Nie ma znaczenia! To miała być babska impreza! Nie pozwolę, żeby ta banda wszystko nam popsuła.

—To wy weszłyście nam w paradę — odzywa się Matt. — My byliśmy tu pierwsi.

—Nie wierzę! — mówię z naciskiem. — I tobie też nie wierzę! — Wbijam wzrok w Matta, on jednak tym razem wytrzymuje moje spojrzenie.

—Nie ma się o co wściekać — wtrąca Susie. — Mnie się to nawet podoba. Możemy zabawić się wszyscy razem.

—Czy z Jackiem wszystko w porządku? — pyta Amy.

Obracam się w jej stronę.

—Ty tego nie zrobiłaś, prawda? Nie powiedziałaś Jackowi, dokąd się wybieramy?

Amy jest przerażona.

—Coś ty — mówi pośpiesznie. — Nigdy w życiu, uwierz mi, H.

Podchodzi Matt i kładzie mi rękę na ramieniu, ale odpycham go.

—Posłuchaj — mówi z niesamowitym spokojem. — Najwyraźniej zaszła jakaś kolosalna pomyłka.

—Pomyłka! Założysz się o własną dupę?

—Uspokójmy się i zastanówmy, co dalej — ciągnie, gapiąc się na mój kostium kąpielowy.

—Nie ma się nad czym zastanawiać — mówię przez zaciśnięte zęby i odsuwam się od niego. — A ty ordynarnie kłamiesz!

Matt znowu podnosi ręce w obronnym geście.

—Słowo daję, H, jesteś niesprawiedliwa.

—Gdzie jest Jack? — miauczy Amy.

—Och, do kurwy nędzy — rzucam wściekła, po czym obracam się na pięcie i wypadam z cieplarni jak oparzona.

MATT

Sobota, godzina 13.20

Patrzę za oddalającą się w stronę przebieralni H i nachodzi mnie identyczna myśl jak wtedy, gdy po próbnym lunchu u Stringerà w pracy odchodziła w deszcz: jest wspaniała. Wszystko jest w niej wspaniałe. Począwszy od sposobu, w jaki potrząsa głową, przez poruszające się rytmicznie, opięte kostiumem kąpielowym pośladki, a kończąc na nagich, kształtnych nogach. Pragnę jej. Pragnę jej nawet mocniej (jeśli to w ogóle możliwe) niż podczas tych kilku minut ciszy, która zapanowała w moim domu, gdy w zeszłym tygodniu opuściła go rano. Jest absolutnie idealna.

Nawet złości się idealnie. Wszystko ma jak trzeba. Żadnych minusów. Żadnych półśrodków. Tylko czysty ideał. Wspaniała... marzenie.

I nagle czuję, jakby ktoś walnął mnie obuchem w głowę. I to mocno.

To nie jest sen. Nawet nie koszmar, bo gdyby był to koszmar, w tym właśnie momencie mój mózg uruchomiłby mechanizm samoobrony i powróciłbym do świadomości, bezpieczny w swoim własnym łóżku. Usiadłbym — zlany potem i przerażony — ale cały i zdrowy. Stopniowo bym się rozluźnił, zdając sobie sprawę, że nie grozi mi żadne niebezpieczeństwo, a ja stałem się po prostu chwilowo ofiarą własnej wyobraźni i być może nadmiernego obżarstwa przed snem. Teraz jednak nie zadziała żaden wentyl bezpieczeństwa. To, co się w tej chwili dzieje, gorsze jest od najgorszego koszmaru. Albowiem to dzieje się naprawdę.

Krzyk Amy ostatecznie przywołuje mnie do rzeczywistości.

—H! — woła. — Nie...

Widzę, jak Susie kładzie jej uspokajająco rękę na ramieniu, nie pozwalając, żeby rzuciła się w pogoń za H.

—Zostaw ją—mówi Susie cicho.—Musi chwilę pobyć sama. Amy spogląda na nią z przerażeniem. — Ale...

—Tylko chwilę — powtarza Susie z naciskiem. — Uspokoi się. Uwierz mi na słowo.

Robi mi się niedobrze, w głowie mi wiruje. Nie tak to miało wyglądać. Co poszło nie tak? Jasne, spodziewałem się zaskoczenia. Nawet na nie liczyłem. Serce H miało przestać na chwilę bić, identycznie jak zachowało się moje, gdy Susiejązawołała. Chciałem, żeby krew w niej zawrzała. I złość. Tak, tak, miałem nadzieję, że troszkę się zezłości. Ale tylko na ułamek sekundy. Tylko do czasu, gdy zrozumie, że złości się na mnie, co ostatecznie było bez znaczenia, ponieważ nie chciałemjej skrzywdzić. A potem... potem miała się roześmiać i ucieszyć, co ja zrobiłbym bez wątpienia, gdyby role się odwróciły. Bo przecież o to w tym wszystkim chodzi, no nie? Ona jest moją brakującą połówką jabłka. Jedyną osobą na świecie, z którą zawsze będę chciał się śmiać.

Czuję, że z wolna oczy wszystkich obracają się ku ranie — jak ława przysięgłych, która za chwilę wyda na mnie wyrok skazujący. Susie wciąż jeszcze coś plecie, starając się uspokoić Amy. Davies, myśl! Myśl! Potrzebujesz na gwałt strategii. Jeszcze nie jest za późno. Nie szkodzi, że H jest na ciebie wściekła. Jest wściekła, bo sądzi, że razem z kumplami chciałeś popsuć panieński weekend, który z takim trudem zorganizowała. Masz więc dwa wyjścia. Możesz jej się przyznać do wszystkiego; ona być może ci wybaczy, ale z drugiej strony może się tak wkurzyć, że nigdy już się do ciebie nie odezwie. A także oświecić chłopaków, że oni też zostali wystrychnięci na dudka, co już jest znacznie mniej zabawne. Pozostaje więc tylko wyjście drugie: trzymać się pierwotnej wersji i twardo twierdzić, że wszystko to czysty zbieg okoliczności. Może przy odrobinie szczęścia uwierzy i koniec końców reszta weekendu przebiegnie zgodnie z planem — i zakończy się pojednaniem, a nie rozwodem. Musisz tylko w to uwierzyć, i to całym sercem, bo inaczej nikogo nie uda ci się zwieść. Masz swoją szansę. Szanowni widzowie, oto przed państwem Matt „Brando" Davies, najlepszy aktor młodego pokolenia. Skupiam się cały na zachodzącej we mnie metamorfozie i odważnie spoglądam na otaczające mnie twarze. Tym razem jednak nie widzę w nich potępienia, lecz oczekiwanie, że zaraz wszystko im wyjaśnię. Co też niezwłocznie uczynię.

—Matt — dociera do mnie głos Amy. — Matt. Wytłumacz mi. Co się tu, cholery, dzieje?

—Jeden Pan Bóg wie—kłamię jak z nut. — Jestem tak samo skołowany jak ty.

Następuje krzyżowy ogień pytań wszystkich obecnych:

Amy: Gdzie jest Jack?
Ja: W domku. Jeszcze nie wstał.
Amy: Dlaczego nie wstał? Nic mu się nie stało?
Ja: Absolutnie nic. Ma tylko kaca.
Sam: Mówiłam ci, Amy. Przypomnij sobie.
Susie: Jasne, że tak.

Amy: Co jasne, że tak?

Sam: Czaruś, który wczoraj wieczorem mówił, że się tu spotkamy. Adon... Komitet Powitalny. To on. Amy: Co?

Susie: Stringer. Sam spotkała wczoraj Stringerà.

Amy: To znaczy, że wy... W którym domku mieszkacie?

Stringer: Trzysta dwadzieścia siedem. Obok was, zdaje się...

Susie: O której przyjechaliście?

Stringer: Późno w nocy. Auto nam się zepsuło.

Damien: Kto ty jesteś?

Stringer: To jest Susie.

Damien: Ta, o której Matt mówił w „Chick-0-Lix"?

Stringer: Nie mam pojęcia, o co ci chodzi.

Sam: A ty kto jesteś?

Amy: Chcę zobaczyć Jacka.

Ja: Chcesz, żebym z tobą poszedł?

Amy: Tak.

Ja: Teraz?

Amy: Tak. Ale...

Stringer: Matt?

Amy: ...muszę sprawdzić, czy z H wszystko w porządku. Zaczekasz chwilę?

Ja: Spoko. Spotkamy się na zewnątrz za pięć minut. Amy: Poradzicie sobie?

Susie: Jasne, że sobie poradzimy. Stringer i Damien dotrzymają nam towarzystwa. Ja: Stringer, co chciałeś? Stringer: Muszę ci coś powiedzieć. Ja: Co takiego?

Stringer: W cztery oczy. Muszę z tobą pogadać w cztery oczy. Ja: Czy to nie może zaczekać?

Stringer: Nie. Koniecznie muszę ci to teraz powiedzieć. Chodzi oH...

Amy: Chodź, Matt. Idziesz się przebrać? Ja: Tak, już lecę.

I pędzę do przebieralni. Cokolwiek Stringer chce mi powiedzieć o H, musi poczekać, bo w tej chwili moja troska o nią znacznie przewyższa jego.

SUSIE

Sobota, godzina 13.30

Do diabła, czemu nie kupiłam sobie nowego bikini? Bardzo chciałabym to wiedzieć. Nagle jestem aż nadto świadoma swojego wyglądu. Włosy kleją mi się do głowy mokrymi strąkami i z kilometra widać, jakie mam odrosty. Co gorsza, siedzę na swoim najstarszym ręczniku do mycia podłogi, ale i tak uda marszczą mi się pod naporem desek w ławce w saunie. Damien dolewa wody na gorące kamienie, a ja pocę się jak ruda mysz. Stringer siedzi naprzeciwko i robię, co mogę, żeby nie patrzeć na kropelki potu zbierające się na jego umięśnionej klatce piersiowej. I jeśli zaraz nie przestanę wciągać brzucha, jak amen w pacierzu zemdleję.

Sam przeczesuje palcami włosy i nie przestaje się śmiać. Odkąd się tu znaleźliśmy, jest upierdliwa jak wrzód na dupie.

—Powiedz mi, Stringer, wszystkie mięśnie masz takie wielkie? — kokietuje go.

Cóż ona jest taka nachalna? Dlaczego się nie zamknie i nie da mu spokoju? Szmata.

—No, nie daj się prosić — mówi i łapie go za biceps. — Napnij to.

Stringer odsuwa jej rękę i potrząsa głową.

—Nie, wolałbym nie — odpowiada grzecznie, ale zdecydowanie.

Sam odsuwa się od niego, wyraźnie zła, że nie podejmuje gry.

—Jak sobie chcesz, panie niedotykalski — wzrusza ramionami.

Stringer patrzy na mnie i uśmiecha się. Powinnam jej współczuć, ale w środku aż

tańczę z radości. Siadam na rękach i macham nogami.

—Sam, zdaje się, że masz zarezerwowane solarium — przypominam jej.

—O, szlag, faktycznie—woła i zrywa się. Poprawia na sobie bikini i spogląda na nas z wyraźną irytacją. — Zobaczymy się później — rzuca na odchodnym.

—Byłem dla niej niegrzeczny? — pyta Stringer, gdy drzwi się za nią zamykają.

—Sama się prosiła — mówię ze śmiechem. — Nie zwracaj na nią uwagi.

—Nie w twoim typie? — domyśla się Damien.

—W zasadzie trudno powiedzieć, jaki jest mój typ.

—A ty? — zwracam się do Damiena, starając się utrzymać rozmowę w przyjacielskim tonie. Nie mam odwagi spytać Stringerà o jego preferencje. Zwłaszcza kiedy mam na sobie takie bikini.

—Mój typ jest w ciąży.

—Aaach — uśmiecham się.

—Zostały jeszcze dwa miesiące — dodaje ze znużeniem.

—Jesteś więc przygotowany?

—Coś ty. Będę musiał zrezygnować z całego mojego dotychczasowego życia. Skończą się sobotnie popołudnia w saunie w towarzystwie pięknych dziewczyn. Kompletna katastrofa.

Oboje ze Stringerem wybuchamy śmiechem. Super.

—No właśnie, powinienem chyba do niej zadzwonić — mówi Damien i zaczyna wstawać. — Już się nie mogę doczekać, żeby jej powiedzieć o was. Ale będzie zazdrosna.

—Zazdrosna o nas? Powinna nam raczej współczuć! — drażnię się z nim.

Damien klepie się po owłosionych udach, wstaje i wychodzi. Zostajemy ze Stringerem sami. Zapada cisza.

—Tak — mówię. Idiotycznie.

—Tak?

—Co u ciebie? — pytam.

—Boja wiem... pracuję.

—Hm... ja też.

—Przepraszam cię, że nie wypalił nam ten drink — mówi. Macham ręką. — A, nie ma o czym mówić. Nie przejmuj się. Drzwi się otwierają i wtacza się trzech opasłych facetów. Stringer robi zabawną minę.

—Co ty na to? — pyta i wskazuje ręką drzwi.

Kiedy wychodzimy, w basenie aż kotłuje się od masy ciał. Stringer otrząsa się z obrzydzeniem.

—Muszę się stąd wynieść — stwierdza.

—Dobry pomysł. Może pójdziemy gdzie indziej? Nie chce mi się wracać do domu.

—Mnie też nie.

—To co robimy? — pytam bez sensu. — Nie wiem, mamy się nawzajem unikać, czy co? Moglibyśmy zwiedzić okolicę — wpadam na pomysł. — Ukryć się gdzieś i przeczekać, aż się wszystko uspokoi. Nie wiem, o co tu chodzi, ale nie ma sensu aż tak wariować. Jedźmy gdzieś na rowerach, zobaczmy coś...

Stringer przerywa mi, wybuchając śmiechem.

—Niezły pomysł. Bezpieczny. Ciekawe dla kogo?

H

Sobota, godzina 13.40

Odbierz. Proszę cię, odbierz, modlę się, po raz trzeci podnosząc słuchawkę. Wybieram numer Laurenta, monety mam przygotowane, tylko że z drugiej strony nikt nie reaguje.

Wypadam z budki telefonicznej i opieram się o betonowy mur. Nie mogę uwierzyć, że go nie ma. Chcę tylko usłyszeć jego głos. Nic innego nie poprawi mi samopoczucia. Nie mogę sobie darować, że opowiedziałam o nim Amy. Odkąd to zrobiłam, mam

wrażenie, że od Paryża dzieli mnie tysiąc lat świetlnych. Nie chcę, żeby ten tutejszy koszmar zbrukał moje cudowne wspomnienia.

Zwijam się w kłębek i chowam głowę w ramionach. Niech to wszystko zniknie. Cały ten weekend. Ci ludzie. To koszmarne miejsce. Dłużej już tego nie zniosę. Niech wróci rzeczywistość. I Laurent. Chcę znowu znaleźć się w Paryżu. Chcę, żeby znowu był tamten tydzień.

Szkoda tylko, że przespałam się z Mattem.

Dlaczego? Dlaczego poszłam z nim do łóżka?

Co ja sobie myślałam?

Dygoczącymi rękami wyjmuję z paczki papierosa. Wszystko się skończyło. Amy będzie teraz z Jackiem, a ja będę musiała znosić towarzystwo Matta.

Co on sobie myśli? Że znowu wskoczę z nim do łóżka? Gdybym nie spotkała Laurenta, może nie byłoby tak źle; najwyżej czułabym się trochę skrępowana. Ale w tej sytuacji nie mam siły nawet spojrzeć mu w twarz.

—Przepraszam bardzo, ale tutaj nie wolno palić. Podnoszę głowę i widzę nad sobą pracownika parku w szarym mundurze.

Jeszcze jeden.

—Słucham? — warczę.

—To teren uzdrowiskowy.

Biorę głęboki wdech i zaciskam zęby.

—Musi pani przejść tam — mówi i macha ręką w kierunku jeziora.

To jest to.

MATT

Sobota, godzina 14.00

— O mój Boże...

Amy zasłania usta rękami. Klepię ją po ramieniu, biorę jej dłoń nie delikatnie

ściskam. Razem zaglądamy przez drzwi do apartamentu numer 327.

Z punktu widzenia instynktu samozachowawczego, zaglądanie tam tego ranka nie było najmądrzejszym posunięciem. W związku z tym ograniczyłem swoje pole widzenia do odnalezienia najbezpieczniejszej drogi na zewnątrz. Prosto do łazienki. Prosto przez Biłly'ego. Prosto do drzwi wyjściowych.

Kiedy teraz zaglądam do pokoju dziennego, doskonale pojmuję swoje wcześniejsze zachowanie. Wygląda, jakby znalazł się w samym epicentrum wybuchu bomby. Pobieżne oględziny ujawniają, co następuje: na wpół zjedzone kawałki pizzy, kipiące popielniczki, Jimmy'ego, porozlewane puszki piwa, pustebutelki po wódce, przeżute kości kurczaka, i Uga. Ale to, co rejestrują moje nozdrza, jest jeszcze gorsze. Jeżeli rzeczywiście wybuchła tu bomba, to na pewno nie była wypełniona TNT, ale raczej mieszanką padliny i zwierzęcych odchodów. Pośpiesznie dopisuję zapach do listy niepożądanych danych sensorycznych i wzorem Amy zatykam nos.

—Na pewno chcesz przez to przechodzić? — pytam z nadzieją. — Pamiętaj — raz jeszcze obrzucam pokój pośpiesznym spojrzeniem — nie będzie to miłe przeżycie i zrozumiem, jeśli...

Lecz John Wayne to pikuś w porównaniu z determinacją Amy.

—Po prostu zaprowadź mnie do niego — mówi tylko.

W drodze do sypialni, w której według wszelkiego prawdopodobieństwa powinien dogorywać Jack, natykamy się na niezbyt przypominającą człowieka istotę, skuloną pod ścianą w przedpokoju. Oczy wychodzą jej z orbit. W kończynie górnej ściska kurczowo kubek z kawą. Bliższe oględziny wykazują, że mamy przed sobą Billy'ego, Jackowego brata, którego wcześniej uznaliśmy za zmarłego. Na nasz widok ręce zaczynają mu drżeć i kawa z kubka rozlewa się na dywan. Lecz bardziej zaskakująca od tego łazarzowego zmartwychwstania jest odzyskana zdolność mowy, którą Billy utracił stosunkowo wcześnie wczorajszego wieczoru.

—Amy — charczy. — Cu...

Amy jednak jest w tej chwili ponad to nadzwyczaj inteligentnie brzmiące pytanie.

Przekracza Billy'ego i wpada do pokoju Jacka.

— Moje maleństwo! — woła stłumionym głosem. Trudno o trafniejsze określenie stanu, w jakim aktualnie się

jej ukochany znajduje. Nie jest w stanie zapanować nad koordynacją ruchową i każda próba przyjęcia pozycji siedzącej kończy się niepowodzeniem. Podobnie upośledzona jest jego koordynacja ruchowo-wzrokowa, bo starając się dotknąć jej twarzy, celnie trafiają w oko. Przeciwnie niż u brata, próby wypowiedzi kończą się u niego niespójnym bełkotem. Co też czyni, prosto do ucha Amy, podczas gdy ona tuli jego sponiewierane ciało. Udaje mi -się wychwycić kilka słów •—• „śmierć" i „lewatywa" — nie zwracam jednak na nie uwagi, tylko wycofuję się dyskretnie, żeby zrobić nam wszystkim kawę.

—Jak mogłeś? — Amy wita mój powrót zjadliwym sykiem. — Przecież obiecałeś.

Jest trochę niesprawiedliwa. Nie przypominam sobie, żebym siłą wlewał mu gorzałę do gardła. Mimo to odpowiedzialności nie mogę się wyprzeć. Za wszystko. W końcu tylko ja jeden ponoszę winę za ciąg zdarzeń, który nas do tego miejsca dowiózł. Dlatego też — i tu ma, niestety, rację — sam muszę poczuwać się do odpowiedzialności za moich towarzyszy.

—Nie jest tak źle, jak się wydaje — mówię. Klękam obok Amy. — Zaufaj mi — proszę, kładąc jej dłoń na ramieniu. — Widywałem go w dużo gorszym stanie. Ma niesamowitą zdolność regeneracji. Nic mu nie będzie.

—Przestań — mówi ostrzegawczym tonem.

—Co mam przestać?

—Przestań wyglądać tak żałośnie. To nie fair. Jak mam się na ciebie złościć, kiedy wyglądasz jak zbity pies?

Nawet nie zdawałem sobie sprawy, że wyglądam jak pies, i do tego zbity, z drugiej jednak strony nie powinno mnie to dziwić, ponieważ tak się właśnie czuję. Coraz bardziej dociera do mnie, że moje szanse na wyjaśnienie spraw z H z każdą minutą kurczą się dramatycznie. Zauważam, że Amy wciąż na mnie patrzy, więc — choć

żarty to ostatnia rzecz, na jaką mam w tej chwili ochotę —robię okropną minę, byle tylko ją rozweselić.

—Tak lepiej? — pytam.

—O wiele — odpowiada i wreszcie jej zachmurzona twarz rozjaśnia się cieniem uśmiechu.

Pierwsze w miarę spójne pytanie Jacka brzmi:

—Może to zabrzmi głupio, ale czy ktoś mógłby mi wytłumaczyć, skąd — tu spogląda na Amy — ty się tu wzięłaś? — Marszczy czoło i całuje ją lekko w policzek. — Nie dlatego, żeby mnie twój widok nie cieszył, ale sama rozumiesz...

Rozmawiają. Ja słucham. Opowiada mu wszystkie poranne wydarzenia. W miarę jak mówi, na twarzy Jacka rośnie wielki znak zapytania. Chyba nie trafia mu do przekonania rzekomy zbieg okoliczności, który sprawił, że obie imprezy odbywają się w tym samym miejscu. Wyraża swoją opinię na ten temat w sposób jasny i klarowny:

—W życiu nie słyszałem podobnego steku pierdoł. Nachyla się i celuje we mnie palcem.

—Albo ten piekielny skurczysyn... albo H, albo — co najbardziej prawdopodobne, biorąc pod uwagę ich wspólne wyczyny

— oboje zafundowali nam ten pasztet. Jeśli to jest przypadek — wyciąga wniosek ostateczny — to ja jestem wujkiem własnej ciotki.

—Nie, naprawdę — Amy zaczyna protestować. Lecz w tej chwili coś ja uderza. I to mocno. Prosto między oczy. — Co masz na myśli, mówiąc: „biorąc pod uwagę ich wspólne wyczyny"?

Jack, spłoszony, spuszcza wzrok.

Amy wybałusza na mnie oczy. — Słucham?

Biorę głęboki oddech.

—Cóż... my... nie wiem... — pląc 0 Tc (—[illegible] 0.12 Tc (k) Tj

Amy wpatruje się we własne stopy. Mruga nerwowo.

—Nie mogę uwierzyć, że H mi nie powiedziała. Zawsze...

Chrząkam. — Nie powiedziała ci pewnie dlatego, że... Zresztą, nie ma o czym mówić. Sama widziałaś, jak zareagowała na mój widok. Nie była szczególnie...

Amy nie zwraca na mnie uwagi.

—A ty, Jack? — pyta. — Jakie masz wytłumaczenie? Szczerość. Pamiętasz jeszcze? Żadnych sekretów.

—Chwila, moment — mówi Jack, dając nam przykład cudownego ozdrowienia, o którym wspominałem Amy. — Ja nie mam z tym nic wspólnego.

—Ja go o to poprosiłem — wtrącam się. — Nie wiedziałem, czy coś z tego wyjdzie. Nie miej do niego pretensji. Jeśli ktoś tu jest winny, to tylko ja. Powinienem był trzymać język za zębami.

—Gdzie jest w takim razie H? — chce wiedzieć Jack.

—Nie wiem — odpowiada Amy. Głos ma cichy i widać, że jest wstrząśnięta. — Wyleciała, jakby ją ktoś gonił. Nigdzie nie mogłam jej znaleźć.

—A ty? — zwraca się Jack do mnie. — Spodziewasz się, że dam się nabrać na ten zbieg okoliczności?

—To naprawdę przypadek.

Chwilę mierzymy się wzrokiem, ale mnie powieka nawet nie drgnie. W końcu kiwa głową, choć wiem, że ani przez chwilę nie dał się zwieść. Nie wiem, czy robi to dla Amy, czy dla mnie, ale i tak jestem mu wdzięczny.

—Cóż, nie takie rzeczy się zdarzały — stwierdza. Tuli do siebie Amy i dodaje: — Chyba lepiej będzie, jak jej poszukasz... Jakoś jej to wytłumaczysz...

Amy kiwa głową na zgodę i wychodzi, na mnie nawet nie spojrzawszy.

Słyszę, jak zatrzaskują się za nią drzwi.

—Wybacz — mówię do Jacka. — Dałem dupy. I to bardzo. Patrzy na mnie ze złośliwym błyskiem w oku.

—Bardzo — mówi, dmuchając w swoją kawę — nawet w przybliżeniu nie oddaje prawdy.

SUSIE

Sobota, godzina 15.00

Stringer zatrzymuje się wreszcie na szczycie wzgórza.

—Może być? — pyta.

Szczerze mówiąc, jest mi absolutnie wszystko jedno. Marzę tylko, żeby wreszcie usiąść.

Bez tchu kiwam głową, zsiadam z roweru i idę za Stringerem na środek polanki. On się nawet nie spocił, pewnie co rok startuje w Tour de France.

Padam na trawę z rozrzuconymi szeroko ramionami i powoli dochodzę do siebie. Kiedy mam wreszcie siłę usiąść, Stringer się śmieje.

—Miło mieć chwilę spokoju — wzdycham z ulgą. Wyciągam przed siebie nogi i zadzieram głowę, żeby spojrzeć w niebo. Wokoło śpiewają ptaki. Rozciąga się stąd widok na dolinę i spomiędzy drzew, za którymi schowany jest kompleks wodny, unoszą się kłęby pary. Poza tym jednak trudno się nawet domyślić, że wciąż jesteśmy na terenie „Niebiańskiego Wypoczynku", tym bardziej że chyba nikt z jego gości nigdy tu nie dociera. Miejsce jest po prostu idealne. Przymykam oczy przed sierpniowymi promieniami słońca i zezem spoglądam na Stringerà. Leży na boku i ssie źdźbło trawy. Czoło mu się marszczy, gdy tak jak ja mruży oczy przed słońcem.

Nagle dzieje się coś dziwnego. Zupełnie jakby ktoś wrzucił pieniążek do szafy grającej, moja pamięć wybiera odpowiednią płytę i zaczyna się odtwarzanie.

Jesteśmy w miejscu, które objawiło mi się w mojej wizji.

Miejsce, w którym wyobrażałam sobie siebie i Stringerà po sesjach OSŻ, tak właśnie wyglądało...

Moja wizja stała się rzeczywistością.

Przełykam gwałtownie ślinę i siadam. W tym miejscu zaczynał się kłopot... kiedy zaczynałam myśleć o nimi o jego dużym...

Oddycham głęboko, za wszelką cenę starając się uspokoić.

Dam radę. Przypominam sobie, że potrafię spojrzeć na Stringerà w sposób wolny od seksualnych podtekstów. Jesteśmy przyjaciółmi. I bardzo mi taki układ odpowiada.

Wybraliśmy się na przyjacielski piknik. Rzucam mu opakowanie kanapek, jedno z kilku, które okrutnie przepłacając, kupiliśmy w sklepie.

—To dziwne, nie uważasz... — zaczynam swobodnym tonem. Stringer podnosi na mnie oczy i chociaż patrzymy na siebie, czuję jego wzrok w swoich majtkach.

—Hmmm ?

—Trochę nad tym myślałam, kiedy tu jechaliśmy. Nie sądzisz, że H zachowała się, jakby jej kompletnie odbiło?

— Czy ja wiem... — mówi, wzruszając ramionami. Krzyżuję ramiona na piersiach, żeby dodać sobie odwagi.

Będę z nim prowadziła luźną, swobodną rozmowę.

— Wyjątkowo wrednie potraktowała Matta, chociaż wcale mu się to nie należało. Chodzi mi o to, że nie wiem co prawda, jak do tego wszystkiego doszło, ale wcale mi to nie przeszkadza. Jesteśmy tu razem i jest fajnie.

— Może chodzi o seks — podsuwa Stringer. Potrząsam głową, zaalarmowana faktem użycia przez Stringerà słowa „seks".

— Nie bardzo rozumiem? — mówię i wsuwam za ucho niesforny kosmyk włosów, ze wszystkich sił starając się zatuszować skrępowanie.

Stringer jednak jest kompletnie wyluzowany. Wzdycha i gładzi ręką trawę.

—Cóż, nie powinienem co prawda o tym wiedzieć, ale poszli do łóżka. Myślę, że w tym cały problem.

—H i Matt?

Stringer potakuje i skrobie się po głowie.

—Jack puścił farbę. Zdaje się było to w ubiegłym tygodniu.

—Niemożliwe! To znaczy... co? Myślisz, że Matt to wszystko ukartował?

—Wątpię. Wyglądał na tak samo zaskoczonego jak H.

—W życiu bym nie pomyślała.

Jestem w szoku. Nie mogę uwierzyć, że nie pisnęła na ten temat słówka. Nagle przypomina mi się przymiarka sukien do ślubu i wszystko układa się w logiczną

całość. Stringer parska śmiechem.

—Co? — pytam i uśmiecham się do niego.

—Śmiesznie wyglądasz. Z tymi skrzyżowanymi rękami przypominasz mi starą plotkarę. Nigdy nie przypuszczałem, że zapomnisz języka w gębie. Do tej pory w zasadzie buzia ci się nie zamykała — pokpiwa sobie ze mnie.

Czuję, że się rumienię. Prostuję ramiona i naprowadzam rozmowę na grunt neutralny.

—W takim razie założę się, że widok Matta potężnie ją zaskoczył — mówię z namysłem.

Stringer zrywa trawkę, ale nic nie mówi. Spoglądam na niego ukradkiem i widzę, że przygląda się swoim dłoniom. Ja też. Ma takie długie palce.

—Seks zawsze wszystko komplikuje — odzywa się nagle.

—Słucham?

—Mam na myśli, między przyjaciółmi.

—Och, och — nie mogę wykrztusić słowa. W końcu mi się udaje. — Zgadzam się z tobą w zupełności.

Gdy to mówię, próbuję zignorować cios w samo serce, który właśnie mi zadał.

—Serio? — pyta, patrząc na mnie uważnie. Odwzajemniam spojrzenie.

Jasne, że się zgadzam. W końcu chcę, żeby Stringer był moim przyjacielem, no nie? A to oznacza, że powinnam być wobec niego szczera. Będzie to mój pierwszy krok na drodze zmierzającej ku zmianie moich układów z mężczyznami.

Tylko że... dlaczego nie wybrałam sobie kogoś brzydszego?

—Tak — kiwam głową zdecydowanie. — Seks między przyjaciółmi to katastrofa, niszczy wszystko. Nie raz ten błąd popełniałam — dodaję głosem wiktoriańskiej matrony.

Bawię się kanapką, Stringer w tym czasie nie mówi nic.

—Zawsze sobie wyobrażałam, że mogę uprawiać seks, ilekroć nadarzy się okazja. Ale to za proste. Życie nie składa się wyłącznie z samych uciech.

—Nie? — pyta, patrząc na mnie.

—Nie. No, tak. Ale sypianie z wszystkimi dookoła wcale nie jest takie zabawne. Chciałabym czegoś więcej dla siebie. Nie sądzisz, że głupio gadam?

Bo mnie się wydaje, że tak... Zdobywam się na odwagę.

—Bo widzisz, poszłam na ten kurs. Dużo tam było bzdur, ale niektóre rzeczy miały sens.

Stringer sięga do swojej torby i wyjmuję puszkę lemoniady. Otwiera ją i podaje mi. Trochę dziwnie się czuję, mówiąc mu o tym kursie, on jednak słucha bez mrugnięcia okiem. Mówię więc dalej. Opowiadam mu, jak to się nadpalam i miałam wizje. A on tylko słucha i pije lemoniadę.

W końcu zdobywam się na odwagę i opowiadam mu o tej najważniejszej wizji, w której łączy mnie z mężczyzną związek platoniczny, bez podtekstu seksualnego.

—Nie chodzi o to, że nie lubię seksu. Wręcz przeciwnie, uważam, że to coś fantastycznego — mówię, rumieniąc się aż po nasadę włosów. — I nie znam nikogo, kto myślałby inaczej. Chodzi po prostu o to, że dużo ostatnio na ten temat czytałam i nie chcę już wskakiwać do łóżka każdego napotkanego człowieka... faceta. Chciałabym dogadywać się z nimi w sposób nieseksualny.

Ciekawe, co on o tym wszystkim myśli, ponieważ dla mnie brzmi to idiotycznie. Czy może być coś bardziej głupiego od tłumaczenia najwspanialszemu facetowi na całym świecie, że właśnie postanowiło się zrezygnować z seksu?

Ale Stringer się uśmiecha.

I nie ma w tym uśmiechu cienia złośliwości, tylko zrozumienie. Ten uśmiech jest po prostu... słodki. Ja też się uśmiecham.

—Cóż, odcinam się od przeszłości. Mojej lubieżnej, obrzydliwej, przeszłości — pokpiwam sama z siebie, i częściowo także z niego. — No wiesz, twoja też nie była wiele lepsza, prawda? Tak przynajmniej słyszałam...

STRINGER

Sobota, godzina 15.05

— W tym, co słyszałaś o mojej przeszłości, jest wiele przesady. Wszystkie te opowieści są... jakby to powiedzieć... — zacinam się — nie do końca prawdziwe.

Susie nie odpowiada. Myślę, że czeka na ciąg dalszy. Staram się wytrzymać jej spojrzenie, ale przegrywam z kretesem. Spuszczam wzrok.

Jakie to trudne. Nie dlatego, że mam przed sobą Susie. Z tym akurat nie ma problemu. Jest ze mną szczera. Po prostu opowiedziała mi, jak się sprawy mają. Na początku trochę mnie zaskoczyła. Nie znamy się przecież aż tak dobrze, ale może właśnie dlatego, że jestem dla niej właściwie obcy, było jej łatwiej. Podobnie było ze mną i z Davidem z „Rzuć to na dobre". Susie nie musiała mi niczego mówić. Nie potępiałem jej za jej schrzanione życie, nie domagałem się, żeby zaczęła wszystko od początku. Taka myśl nawet mi nie zaświtała (chociaż teraz, kiedy już się pojawiła, uważam, że niepotrzebnie wszystko tak analizuje).

Mój problem nie wynika z tego, co ona powiedziała, ale z tego, czego ja nie powiedziałem — czego powiedzieć nie mogę. Nie jestem Davidem. Nie siedzę tu i nie słucham jej z profesjonalnym podejściem. Skinienie głową i pytanie „Jak się z tym czujesz?" nie wystarczą jej. Zachowałbym się wobec niej nie fair, bo nasze wynurzenia powinny być obopólne. Coś w stylu wymiany kartek z piłkarzami, czym pasjonowałem się jako dzieciak. Nie można ot tak, po prostu, wziąć Gary'ego Likenera i nie dać niczego w zamian. Tak robią tylko sknery.

Ja po prostu nie mam nic na wymianę, podobnie jak podczas gadki z KC w kuchni. Nie chowam w zakamarkach pamięci żadnych smakowitych seksualnych sekretów. Tam, gdzie powinny się one znajdować, jest czysta, dziewicza tabela wyników. Strzeżenie tej tajemnicy stało się równie silnym nałogiem, jak niegdyś uzależnienie od koki. Jakże chętnie bym się przyznał, że jestem całkowitym przeciwieństwem Susie. Cudownie byłoby stworzyć w ten sposób podwaliny wzajemnej sympatii, opartej na

czymś znacznie ważniejszym i bardziej znaczącym niż tylko jeszcze jedna, zwykła, tyle że spędzona wspólnie chwila. Lecz strach nadal rządzi moim życiem. Mogę sobie wyobrazić jej reakcję, gdybym nagle wyznał jej całą prawdę: otwarte ze zdumienia usta; podejrzenie, że robię ją w balona; przerażenie i współczucie, że taki jestem pokręcony. Nie, nie stać mnie na to. Nie potrafię się w ten sposób obnażyć, wystawić na strzał, zwłaszcza kogoś, o kim jestem przekonany — zwłaszcza w świetle, jakie rzuciła na swoje nowe podejście do życia — że stał się moim bliskim przyjacielem.

—Wszystko sprowadza się do ról, które musimy w życiu odgrywać, nie uważasz? — mówię. — Tak jest w przypadku Matta, Jacka, każdego z nas. W ten sposób to działa. Jack to macho, Matt mózg, a ja... ogier. To jest stereotypowe myślenie i ciężko to zmienić. Trudno im przyjąć, że jest się kimś innym, niż oni sobie wyobrażają, więc w ich obecności trzeba się zachowywać zgodnie z ich oczekiwaniami.

—Ale przecież jesteś tym, kim jesteś, Stringer. Co inni o tobie myślą, nie ma znaczenia. Ważna jest twoja własna opinia o sobie samym.

—Żeby to było takie proste.

—Uważasz, że nie jest?

—Ludzie osądzają cię na podstawie tego, co słyszą o tobie od innych. Ty też osądziłaś mnie na podstawie zasłyszanych o mnie opinii.

—W ogóle cię nie osądzałam.

—A obrzydliwa przeszłość? Pytałaś o nią, prawda? I to ty zaczęłaś o niej mówić.

—OK — zgadza się ze mną. — Teraz jednak mówisz mi co innego. Mówisz mi, że nie jesteś seks-maszyną, i ja ci wierzę. W tym momencie wszystko, co o tobie słyszałam wcześniej, przestaje się liczyć. Podobnie powinno być ze mną.

—To znaczy?

Susie prycha. — Nie będziesz chyba próbował mi wmówić, że Jack nie uświadomił cię, jaka to ze mnie puszczalska?

—Hm, on nie należy raczej do osób, z którymi...

—Może i nie, ale założę się o ostatniego pensa, że to i owo zdołał ci zasugerować.

—Fakt — nie mogę się z nią nie zgodzić. — Tak było.

—I uwierzyłeś mu?

—Nie obchodziło mnie to.

—Och.

Zamrugała szybko.

—Źle mnie zrozumiałaś.

—To znaczy jak? — pyta.

—Z tym obchodzeniem. Powiedziałem, że mnie to nie obchodziło. Ale w takim sensie. Chciałem powiedzieć, że... to nie było coś, co mnie interesowało. — Wzdycham. — Jezu, teraz to wyszło jeszcze gorzej.

Zauważam błąkający się po jej twarzy uśmiech, więc próbuję raz jeszcze:

—Chciałem powiedzieć, że nie interesowało mnie, czy jesteś puszczalska, czy też nie, ponieważ nic mi do tego. Podobnie jak nic do tego Jackowi, który przede wszystkim miał się na ten temat nie wypowiadać.

Susie spogląda na mnie chytrze.

—Więc dlaczego to zrobił? Pytałeś go?

—Nie — rumienię się i czuję jak dupek. — Nie — powtarzam. — No dobra, pytałem go o ciebie, ale...

—Ale co? — wchodzi mi w słowo niewinnie.

—Ale nie z tego powodu. Nie podszedłem do niego i nie zapytałem prosto z mostu: „Hej, Jack. Jaka jest ta Susie? Rzeczywiście taki z niej kurwiszon, jak mówią?"

—Miło mi to słyszeć. — Odsuwa z czoła kosmyk włosów. — A co dokładnie powiedziałeś?

—Nie pamiętam.

—Wysil się.

Udaję, że strasznie się zastanawiam.

— Nie, jednak nie mogę sobie przypomnieć. Tak jakoś, samo wyszło. No dobra — poddaję się w końcu na widok jej uniesionych brwi. — Rozmowa zeszła na ciebie. I

wtedy Jack mi powiedział.

—Podobnie jak moja rozmowa z Amy zeszła na ciebie...

—No, widzisz. Kuli się w sobie.

—I dokąd nas to zaprowadziło?

Rozglądam się wokół, nie bardzo wiedząc, co mógłbym powiedzieć.

—Na otoczone drzewami wzgórze — mówię niepewnie. Chwilę się nad tym zastanawia, w końcu mówi:

—Chyba pora, żebyśmy poszukali reszty... Może szczęśliwie wszystko już jakoś między sobą załatwili...

Przypomina mi się podsłuchana w łaźni rozmowa. Biedny Matt.

—Dobry pomysł — mówię, przepełniony nagłym poczuciem winy, że nie zdążyłem zdradzić mu, co H chodzi po głowie. Wstaję. — W dalszym ciągu jesteś za tym, żebyśmy się później spotkali wszyscy na basenie?

—Jak najbardziej. Chodźmy.

Wyciąga do mnie rękę, nachylam się więc, by ją ująć. Jest chłodna w dotyku. Pomagam Susie wstać. Kiedy zabiera dłoń, jakaś część mnie chciałaby, żeby tego nie zrobiła.

R S

H

Sobota, godzina 15.10

Dopalam właśnie kolejnego papierosa i gapię się na nie bojące się niczego, aż nadto oswojone kaczki, gdy za plecami wyczuwam nagle czyjąś obecność. Zagryzając wargi, oglądam się przez ramię. Za mną stoi Amy z założonymi na piersiach rękami. Mierzy mnie z góry zimnym spojrzeniem.

— To ty — mówię i obracam się z powrotem w stronę jeziora.

Pięknie. Tylko tego mi jeszcze trzeba.

Amy kuca obok, po chwili rozsiada się na trawie.

Chcę zgasić papierosa, ale ona wyjmuje mi go z ręki i sama ciągnie ostatniego sztacha. Podsuwa mi palącą się jeszcze kipę, ale kręcę przecząco głową. Podciągam kolana pod brodę, a Amy, zapatrzona w jezioro wydmuchuje dym w kierunku baraszkujących kaczek. Wreszcie gasi papierosa czubkiem swojego nowego adidasa.

Teraz się zacznie.

—Dlaczego mi nie powiedziałaś? — pyta, wciąż wpatrując się w jezioro.

Milczę. Aha, więc ona myśli, że to wszystko moja wina. Patrzę, jak wielki ptak pikuje w wodę i po chwili odlatuje z kawałem jakiegoś cuchnącego śmiecia w dziobie. Ryby, jak wszystko inne w tym przeklętym miejscu, wyzdychały już dawno.

Nie mam ochoty rozmawiać z Amy. Najlepiej by było, gdyby dała mi spokój.

—H? — mówi z naciskiem.

—Co? — warczę, nie skrywając zniecierpliwienia. Amy wciąga głęboko powietrze.

—O Matcie? Dlaczego mi nie powiedziałaś, że poszłaś z Mattem do łóżka?

Obraca się w moją stronę, ale ja na nią nie patrzę. Typowe. Mogłam się była domyślić. Powinnam była przewidzieć, że Matt wszystko rozgada.

—A więc ci powiedział? — pytam.

—Nie on, tylko Jack. Przed chwilą.

—Myślisz, że wszyscy już o tym wiedzą?

—Nie mam pojęcia, ale to możliwe. Zagryzam policzek. — Wspaniale.

Spoglądam na Amy. Ona także siedzi z kolanami pod brodą i widzę, że marszczy brwi. Po raz pierwszy, odkąd się znamy, zauważam, że zaczynają się jej robić zmarszczki. Na pewno jest wściekła, że nie powiedziałam jej o Matcie, i zbieram siły, aby odeprzeć atak, który niewątpliwie teraz nastąpi, ona jednak — ku mojemu zdumieniu — zmienia front.

—Wiem, że nie jest ci łatwo — zaczyna. — Naprawdę bardzo mi przykro.

Trzeba przyznać, że mnie zaskoczyła.

—Z jakiego powodu jest ci przykro? Jeśli ktoś tu jest winny, to tylko Matt — rzucam oschle. — Nie powinien był mówić Jackowi, a już na pewno nie powinno go być tutaj.

Ignoruje moją wypowiedź.

—Nie, to mnie jest przykro.

Przykłada dłoń do piersi. Zauważam, że nie ma pierścionka zaręczynowego.

—Przykro mi, że nie mogłaś mi powiedzieć — mówi i przerywa, przenosząc wzrok na drzewa. — Chcę powiedzieć, że przykro mi, że nie jesteśmy już tak blisko jak kiedyś.

Stwierdza to, ot tak, po prostu, jako fakt i słyszę w jej głosie smutek. Jej słowa sprawiają, że zaczyna ściskać mnie w piersiach.

—Jesteśmy blisko — mówię, starając się nie zwracać na to uwagi.

—Nie traktuj mnie protekcjonalnie — denerwuje się. — Ja mówię szczerze — dodaje z westchnieniem.

Odwracam wzrok, ale Amy mówi dalej.

—Wiem, że teraz Jack odgrywa wielką rolę w moim życiu. Bo tak chciałam.

—Samo życie — mówię.

—Zgadza się. I musi toczyć się dalej, H. Przykro mi, że nie mam dla ciebie zawsze czasu, ale twoja złość z tego powodu stawia mnie w niezręcznej sytuacji. Jestem z Jackiem, ale ty także jesteś mi potrzebna. Chcę dzielić z tobą myśli i uczucia... Ponieważ się przyjaźnimy. I dlatego jest mi przykro, że mnie od siebie odsunęłaś. Jeśli przestaniesz się na mnie wściekać, może będę mogła ci pomóc — mówi miękko. — Masz dołek, ale nie musisz walczyć z tym sama. I nie musisz czuć się opuszczona.

Mam ochotę wrzasnąć, że niepotrzebnie domyśla się, co czuję. Chcę jej powiedzieć, żeby się odwaliła, bo to nie jej interes. Że ona wcale nie musi mówić, że czuję się opuszczona. Ale to prawda, jestem samotna. Zaczyna ściskać mnie w gardle. Amy kładzie swoją dłoń na mojej.

—No więc, jak to było z Mattem? — pyta.

Opowiadam jej wszystko.

—To było zwykłe bzykanko. — Wzdycham. — Całkiem niezłe, prawdę mówiąc. Ale wtedy nie zastanawiałam się nad konsekwencjami. W tamtej chwili myślałam po prostu, że to dobry pomysł.

—A potem pojechałaś do Paryża i spotkałaś Laurenta... — kończy za mnie i kiwa głową ze zrozumieniem. — Gówniana sprawa, no nie?

—Gówniana — przytakuję. — A teraz Matt nie chce się ode mnie odczepić. Słowo daję, nie mogę uwierzyć, że tu jest. Po prostu nie mogę. To był dla mnie prawdziwy szok.

—Wydaje mi się, że wyraziłaś się całkiem jasno.

—Nie mieści mi się w głowie, że postanowił właśnie tu zorganizować bal samców dla Jacka. Zrobił to celowo. Wszystko to sobie zaplanował... przeze mnie.

Amy gładzi mnie po plecach, jakby chciała mnie uspokoić.

—Posłuchaj. Przecież nie wiesz tego na pewno. Prawda?

—To oczywiste. Kręci głową.

—Matt wyglądał na równie zszokowanego jak ty. Przecież znasz go i Jacka, kumpla by nie okłamał. A gdyby Jack coś wiedział, na pewno by mi powiedział. Wiesz, jaka z niego pepla. Za nic w świecie nie umie dotrzymać tajemnicy. Naprawdę mi się wydaje, że to czysty zbieg okoliczności.

—Wcale nie—jęczę.

—Ale mogłoby tak być?—Wybałusza na mnie oczy. — No, sama powiedz, mogłoby?

Potrząsam głową.

—Zastanów się — nie daje za wygraną. — Niby dlaczego Matt nie miałby wpaść na ten sam pomysł co ty? Przecież ja nic nie powiedziałam Jackowi, tak jak ty Mattowi.

Wzdycham i chwilę się nad tym wszystkim zastanawiam. Matt w żaden sposób nie mógł się o niczym dowiedzieć.

—OK, OK — poddaję się w końcu. — Mogłoby tak być.

—A jeśli rzeczywiście było?

—Cóż, skoro tak, to napadłam na Matta bez powodu.

—Właśnie.

Chwilę siedzimy cicho. Ale czuję się niepewnie, bo w sumie nie wiem, po czyjej ona jest stronie.

—Więc co mam zrobić? — pytam. Amy ciężko się zastanawia.

—Jest tylko jedno wyjście. Szczerość. Powiedz mu, że związek z nim cię nie interesuje. Matt to duży chłopczyk. Jakoś to przeżyje.

Chowam głowę w dłoniach. Wcale nie mam ochoty oglądać Matta, a już tym bardziej z nim rozmawiać.

—Dzięki Bogu, że nie wie o Laurencie. To by dopiero wszystko skomplikowało.

—Tylko nie stchórz — mówi zdecydowanie Amy. — To jedyne wyjście, żeby uratować sytuację. Inaczej ten weekend zamieni się w

MATT

Sobota, godzina 15.35

—Musiało być fajnie — to jedyny komentarz, na jaki mnie stać po wysłuchaniu opowieści Stringerà o pikniku, jaki urządzili sobie z Susie. Była niezwykle romantyczna i aż ociekająca piwem imbirowym i naprawdę powinienem był wykazać nieco więcej entuzjazmu — powinienem był. Przynajmniej on i Susie zachowują się jak dorośli i spokojnie podchodzą do faktu, że znaleźliśmy się tu wszyscy razem. Normalny człowiek cieszyłby się na moim miejscu. I odetchnąłby z ulgą. Ale nie ja. Ja jestem na dnie rozpaczy. Siedzę tu, sam już nie wiem od kiedy i staram się wykoncypować, co powiem H, kiedy zobaczę ją znowu, jak załagodzę nasze stosunki. Ale poza tym, co już ode mnie usłyszała, nic nowego nie przychodzi mi do głowy. Co gorsza, mam wrażenie, jakby dopadł mnie paraliż. Dopóki jej nie odnajdę, nie stanę z nią twarzą w twarz, jedyne, co mogę zrobić, to czekać.

—Dobrze się czujesz? — pyta Stringer, nie przerywając pakowania ekwipunku pływackiego. Zamierza dołączyć do reszty, szalejącej już zapewne na basenie.

—Nie, Stringer — mówię mu. — Nie czuję się dobrze. Ostatni tydzień upłynął mi na przygotowywaniu tego weekendu i rozmyślaniu o H. A teraz weekend okazał się do dupy i H myśli, że ja też jestem do dupy. Uczucie szczęścia i ja niezbyt dobrze pasujemy do siebie w tej chwili.

—Chłopaki jakoś to przeboleją — dodaje mi otuchy. Siada obok mnie na kanapie i patrzy przez okno. — Zjeżdżalnie dobrze im zrobią. Poza tym nie mogą bez końca obwiniać cię za to, że dziewczyny tu są. To nie twoja wina. Jack wie o tym i dopilnuje, żeby oni też w to uwierzyli.

—No a H? — pytam. — Zimna woda na zjeżdżalni nie wystarczy, żeby się uspokoiła. Potrzebna by chyba była tona lodu.

—Tak — przyznaje. — Myślę, że tu możesz mieć rację. Kręci się niespokojnie na kanapie.

—Słuchaj, Matt. Pamiętasz, na basenie chciałem ci coś powiedzieć...

—Aha — mówię przepraszająco. — Wybacz, ale tyle tam było zamieszania... Więc o co chodziło?

Stringer znowu się wierci. Tym razem spoglądam na niego, on jednak nie wytrzymuje mojego spojrzenia i spuszcza oczy.

—Sam nie wiem, jak ci to powiedzieć. Nawet nie wiem, czy mam prawo... — zaczyna, ale jakoś nie może się wygadać.

—Co? — ponaglam go. Cokolwiek by to było, nie może być chyba gorsze od tego, co już się dzisiaj stało.

—No — mówię, starając się, żeby zabrzmiało to beztrosko. — Wyduś to z siebie.

—Chodzi o H — mówi i patrzy na mnie. — W łaźni podsłuchałem, jak rozmawiała z Amy. Nie wiedziały, że tam jestem. Rozmawiały o jakimś facecie. To znaczy — uściśla — Ho nim mówiła.

Przestaje mi się to podobać, mimo to mówię: — I? Patrzy na mnie.

—I? — powtarzam.

—I nie chodziło o ciebie, Matt — wykrztusza wreszcie. — Ten facet. Ten facet, o którym rozmawiały, to nie byłeś ty.

Pomiędzy bólem a rozpaczą granica jest bardzo cienka. Jest jak lina, z której można spaść w jedno albo drugie, zależy tylko, z której strony wiatr powieje. W tej chwili ja właśnie po tej linie kroczę. I zaczynam tracić równowagę.

—Gadaj wszystko — proszę. Ponieważ muszę poznać prawdę, choć już w tej chwili wiem, że to, co usłyszę, na pewno nie będzie tym, co usłyszeć bym sobie życzył.

—Jest Francuzem. Jakiś Laurent. Spędziła z nim cały ostatni tydzień w Paryżu. Zabujała się w nim. Naprawdę zabujała. Przykro mi, stary. Zwłaszcza po tym, co dzisiaj rano powiedziałeś w „Chick-0-Lix". Jest mi cholernie, kurewsko przykro.

Spadam. Nawet nie próbuję się ratować. Nie ma sensu, bo pragnę zapaść się w ciemność, która zieje pode mną. Za swoją głupotę nie zasługuję na nic więcej, jak tylko z pokorą przyjąć ból, który zaczynam właśnie odczuwać.

Przygryzam język, bo mam wrażenie, jakby ktoś dźgnął mnie nożem. A więc stało się: na własnej skórze odczuwam niemiły skutek przygody na jedną noc. Ponieważ — sam tłumaczyłem to Jackowi, gdy Amy odstawiła go na jakiś czas — każdego z nas od czasu do czasu to spotyka. Ale — niech to cholera weźmie — lepszego momentu nie mogło sobie wybrać. Czuję, że łzy napływają mi do oczu, w gardle mnie ściska. Oczyma wyobraźni widzę H i chcę ująć ją za rękę. Nadaremnie jednak, bo ona odwraca się do mnie plecami. Zupełnie jakby słowo „nadzieja" bezlitośnie starła z powierzchni ziemi. Nie będę płakał. I nie będę siedział tu, czekając, aż się zjawi. Ponieważ oznaczałoby to czekanie bez końca.

—Stringer, zrób coś dla mnie... — mój głos brzmi bezbarwnie.

—Co tylko zechcesz.

—Nie mów o tym innym. Zwłaszcza Jackowi. Nie chcę, żeby ten weekend okazał się jeszcze gorszy.

Patrzy na mnie ze smutkiem.

—Masz to jak w banku.

—Dziwne, nie? — mówię, biorąc ze stołu butelkę wódki i pociągam z niej spory łyk.

—Co takiego?

—Że czasem, kiedy ma się wydarzyć coś naprawdę okropnego, człowiek się nie boi, po prostu się wyłącza.

H

Sobota, godzina 15.50

—Wszystkie poszły na basen — mówi Amy, przeczytawszy wiadomość, którą Susie zostawiła dla nas w domku. Otwieram okno, żeby wpuścić trochę świeżego powietrza.

—Ty idź — mówię do Amy. — A ja spróbuję załatwić wszystko z Mattem. No, bierz ciuchy i idź. Zmarnowałaś już dość czasu przeze mnie.

—Na pewno sobie poradzisz? Mogę zostać i zaczekać na ciebie, jeśli chcesz.

—Nie, nie, idź — wzdycham. — Muszę się z tym sama uporać.

—Ale później przyjdź.

—Jasne — kłamię. — Jeśli go znajdę. Przecież nawet nie wiem, czy tu jest.

Amy wychodzi, a ja przeglądam gazetę Sam, chociaż wiem, że gram po prostu na zwłokę.

Nie spodziewam się zastać Matta w domku obok, mimo to jednak próbuję. Z drżeniem pukam do drzwi i czekam, gapiąc się na niebo. Nerwy mam napięte jak postronki. Już zamierzam odejść, kiedy nagle drzwi się otwierają i staje w nich Matt.

Wygląda na skacowanego i chyba jest bardzo zły. Stoi w drzwiach z ręką na klamce, nie zapraszając mnie do środka. Ma na sobie szorty i zauważam jasne włoski na jego opalonych udach.

Zapada dłuższa chwila milczenia. Chrząkam.

—Mogę wejść? — pytam.

—Czego chcesz? — Przenosi ciężar ciała na jedną nogę i patrzy na mnie zniecierpliwiony. Cuchnie od niego wódą. Ma przekrwione oczy i tak zimne, że aż włos mi się jeży na karku.

Nie będzie to łatwa przeprawa.

—Przyszłam, żeby cię przeprosić. Hm... chyba trochę przegięłam — mówię drżącym głosem i przestępuję z nogi na nogę. — To znaczy, miałeś rację. To chyba rzeczywiście zbieg okoliczności.. . — Uśmiecham się przymilnie..

Matt jednak patrzy na mnie z kamienną twarzą.

—Ale jeżeli zaplanowałeś to z powodu ubiegłego weekendu ... to znaczy, było super i w ogóle, ale nie chciałabym, żebyś źle to sobie tłumaczył...

Matt potrząsa głową i przerywa mi lekceważącym prychnięciem.

—Naprawdę sobie wyobrażałaś, że zaplanowałem to wszystko, bo... bo co, H? Bo miałem nadzieję, że będziemy razem? Pójdziemy do łóżka? Tak właśnie myślałaś?

—Przeszło mi to przez myśl — mówię rozdrażniona, ale staram się, żeby zrozumiał mój punkt widzenia. — Tak to przynajmniej wyglądało.

—Posłuchaj. To, co między nami zaszło... byliśmy oboje pijani, przyszłaś do mnie, czemu więc nie miałem wykorzystać nadarzającej się okazji na niezobowiązujące bzykanko? O nic więcej mi nie chodziło.

—Ja przyszłam do ciebie! — aż mnie zatyka.

—Po prostu zapomnijmy o wszystkim.

Tak mnie zaszokował, że głos więźnie mi w gardle.

—Skoro tak sobie życzysz.

—Życzę sobie zostać z chłopakami i bawić się, tak jak wieki temu zaplanowałem. Bawiliśmy się świetnie. Byłbym ci więc wdzięczny, gdybyś się łaskawie wyniosła i zajęła własnymi sprawami. — Protekcjonalnie macha ręką i zamyka mi drzwi przed nosem.

—Świetnie! — wrzeszczę, obracam się na pięcie i obrażonym krokiem maszeruję do siebie. Zamykam z hukiem drzwi — niech sobie nie myśli — i bez siły się o nie opieram. Czuję się, jakby mi ktoś przyłożył. Potrząsam głową, żeby odpędzić od siebie to, co się właśnie stało, ale bez skutku.

—Jak on śmiał? — mamroczę wściekła i idę do kuchni po papierosa. Z furią chodzę tam i z powrotem po szarych kafelkach. Fizycznie czuję jego obecność w domku obok, aż mnie skóra świerzbi.

Wypalam pięć papierosów jeden za drugim i wreszcie zaczynam myśleć logicznie.

Koniec końców sama się o to prosiłam.

Chwytam kostium kąpielowy i ręcznik. Nie zostanę tutaj. Idę na basen i będę szaleć z dziewczynami. A jeśli Matt Davies odważy się tam pokazać, jak amen w pacierzu, utopię go.

SUSIE

Sobota, godzina 17.30

Z lubością wystawiam plecy na kojące działanie bąbelków w gorącym basenie przy wejściu na zjeżdżalnię. Przez krawędź basenu przeskakuje Amy i siada obok mnie. Policzki ma zarumienione i chociaż nie może złapać tchu, uśmiecha się do mnie radośnie.

—Rozwiązła Susie w jacuzzi — woła wesoło. — Co za ubaw. Idziesz jeszcze pozjeżdżać?

Muszę przyznać, że odkąd znaleźliśmy się na basenie, kompletnie nam odbiło i zachowujemy się, jakbyśmy cofnęły się do czasów dzieciństwa. Szalejemy i wydzieramy się niczym cofnięte w rozwoju dzieci.

Nachylam się, żeby pomasować sobie stopy.

—Może za chwilę.

—Ja w każdym razie idę! — krzyczy, ale kiedy chce wyjść, noga jej się ześlizguje i z pluskiem ląduje pod wodą. Chwytam ją, żeby się nie utopiła. Wynurza się, plując wodą na wszystkie strony i obie wybuchamy śmiechem.

—Siedź sobie tutaj, dla mnie jest za gorąco — mówi, strzelając strużką wody spomiędzy zębów. — Mnie by chyba poniosło na tych bąbelkach. Wiadomo: orgazmy w jacuzzi zawsze były najlepsze! —Wstaje, żeby wyjść, i wpada na Stringerà. Uśmiecha się do niej zmieszany.

—Oho, wygląda na to, że erzac ci nie potrzebny — mówi bezwstydnie i robi sprośną minę. Przeskakuje przez obrzeże basenu wielkim flopem, jak dzieciak.

—Jest w świetnym humorze — zauważa Stringer, siadając naprzeciwko mnie.

—Jak wszyscy — uśmiecham się, jednocześnie zastanawiając się, czy słyszał głupią uwagę Amy o orgazmie. Czuję, jak oblewa mnie rumieniec. — Nawet H, po raz pierwszy od przyjazdu. W końcu trochę się rozruszała. Bo przedtem zachowywała się koszmarnie.

— Chyba nigdy nie widziałem jej w tak doskonałym humorze — przytakuje. Wysławia się tak elegancko, jak prawdziwy dżentelmen. Jakoś dziwnie tu nie pasuje, zupełnie jakby wstydził się swego prawie całkowitego obnażenia.

Nie jest w tym osamotniony.

Stringer uśmiecha się i spogląda w dół, na wodę. Jego spodenki nabrały powietrza i śmiesznie się wybrzuszyły. Następuje chwila krępującej ciszy, podczas której czuję, jak mocne strumienie wody walą mnie po udach.

—Wymyśliłyście już coś na wieczór?—przerywa milczenie Stringer.

—Aha, idziemy na dyskotekę. A wy? Wzrusza ramionami.

—Matt decyduje o wszystkim. Myślę, że nigdzie się nie ruszymy. Bal samców trwa dalej — mówi sarkastycznie.

—Nie możecie iść z nami na dyskotekę? Byłoby fajnie. Stringer parska śmiechem.

—Z Mattem i H? Nie wydaje mi się. Tak coś czuję, że bawić się będziemy osobno.

—Szkoda. Ale może spotkalibyśmy się później, co ty na to?

— proponuję.

—Czemu nie. Spróbuj mnie namierzyć gdzieś koło jedenastej, OK?

—Masz jak w banku.

—Susie, chodź! — słyszę krzyk Amy, więc wystawiam głowę ponad betonowe obramowanie basenu i widzę ją, jak macha do mnie ze szczytu zjeżdżalni.

—Chyba muszę iść — mówię, dając jej znak. Jednak kiedy próbuję wstać, dostrzegam, że stanik mi się przesunął, prawie całą pierś wystawiając na widok publiczny.

Jezu, i Stringer to widział!

Nie patrząc na niego, doprowadzam się szybko do porządku i chcę wyskoczyć, ale noga mi zjeżdża i ląduję prosto na nim w burzy bąbelków. Przez krótką, mrożącą krew w żyłach chwilę jesteśmy jedną wielką plątaniną rąk ihi

—Ja się napiję. — Amy podsuwa mi swoją szklankę.

—Czyj jest ten szampon? — woła spod prysznica Susie.

—Mój — odpowiadam.

—Chyba dobry, no nie?

—Nie zobaczymy, co robią chłopaki? — dopytuje się Loma.

—Amy? — mówię i wyciągam rękę, żeby mogła przybić na znak umowy, którą zawarłyśmy wcześniej.

—Chyba powinnyśmy się dzisiaj zabawić tylko w swoim gronie — odpowiada, zerkając na mnie nerwowo.

Uśmiecham się zwycięsko. Dopijam wino i czuję, jak buzuje mi w środku.

—Całkowita racja — oświadczam. — Dzisiaj jest wieczór panieński i zabawimy się na całego.

Stukam się szklanką z Amy.

—Pośpieszcie się. Marnujecie bezcenny, przeznaczony na picie czas.

—H, na pewno dobrze się czujesz? — Amy jest wyraźnie zaniepokojona.

Ja jednak ignoruję ją i z impetem wychodzę.

R S

SUSIE

Sobota, godzina 22.00

—Nie mógłbyś puścić Abby? — drę się do didżeja. — *Dancing Queen,* cokolwiek?

W ogóle nie zwraca na mnie uwagi, tylko ze słuchawką przy uchu kiwa głową w takt muzyki. Co prawda trudno nazwać to coś muzyką. Na początku było jeszcze nieźle, ale przez ostatnią godzinę puszcza tylko to gówniane techno, za którym nigdy specjalnie nie przepadałam. Całym sercem jestem za dobrą muzyką dyskotekową, ale to tutaj to zwykły łomot. Rzucam okiem na parkiet, na którym kłębi się tłum spoconych, niedomytych nastolatków.

—Ej! — wrzeszczę.

—Czego? — odwrzaskuje didżej i podnosi palec na znak, żebym zaczekała, a sam tymczasem puszcza kolejną parodię muzyki. Wreszcie podchodzi.

—Co jest? — pyta przez gumę do żucia.

—Nie mógłbyś zagrać czegoś, przy czym dałoby się potańczyć? Mamy panieński wieczór i chciałybyśmy trochę poskakać. — Kręcę biodrami, żeby łatwiej zrozumiał, o co mi chodzi. — Kapujesz? Jakieś piosenki? Wiesz, co to takiego?

Patrzy na mnie, jakbym się urwała z choinki.

—Idźcie sobie poszukać jakiegoś innego miejsca! — mówi oburzony.

Odwracam się, czując się potwornie stara. Czy on nie wie, z kim rozmawia? Mam na swoim koncie więcej imprez niż on ciepłych obiadów. Żałosny dupek.

—Bez szans?—krzyczy Loma, kiedy udaje mi się przedrzeć przez tłum do stolika.

—Jeśli nie możesz ich pokonać, przyłącz się do nich! — odpowiadam ze wzruszeniem ramion i pokazuję Amy na parkiecie. Mimo okropnej muzyki, tańczy na całego, wymachując nad głową welonem. Kiwa na nas, żebyśmy się do niej przyłączyły. Za jej plecami grupka gówniarzy podziwia jej nogi. Jeden z nich, z czymś, co za wiele lat stanie się wąsem, przepycha się w jej stronę. Kiedy jest już tuż za nią, robi kilka niewybrednych gestów, po czym zaczyna rozpinać rozporek.

Podchodzę i daję mu potężnego kuksańca.

—Sama się prosiła—stawia się, nie chcąc się zbłaźnić przed kumplami. Podskakuje, jakby zamierzał się ze mną bić.

—Na pewno nie o ciebie. Płyń, malutki! — krzyczę. Jenny wybucha śmiechem.

—Spokojnie mogłabym być jego matką.

Amy odwraca się i dopiero wtedy zauważa, co się dzieje.

—Znowu wychowujesz nieletnich, Sooze? — parska śmiechem.

—Taką mam pracę — odpowiadam, czując się jak wykidajło.

—Chodź, napijemy się — Amy przekrzykuje jazgot.

Podchodzimy do baru, do którego od dziesięciu minut usiłuje się dopchać H.

Biorę sprawy w swoje ręce i toruję nam drogę do kontuaru. Po chwili opieramy się o niego łokciami. H najwyraźniej postanowiła spełnić misję dziejową, bo na dzień dobry zamawia płonące koktajle, a potem dwie tequile.

—Przestań! — woła ze śmiechem Amy i wali ją w ramię. — Ja już więcej nie mogę.

—Cieniara — kpi H. — Susie, zamów coś jeszcze — rozkazuje i znika razem z Amy.

Barmanka, niepokojąco małoletnia — nawet śladu biustu — jest okropnie zblazowana.

—Płaci pani czy nie? Oglądam się za H.

Chyba zapłaciła? A może nie?

—Nie można tego dopisać do rachunku? -— pytam spanikowana.

—Nie tutaj.

Tequila szumi mi w głowie, więc nie dyskutuję, tylko wręczam jej ostatnie pieniądze, chociaż i tak większość kolejek ja stawiałam. Udaje mi się jeszcze coś wyskrobać na parę piw, które wsadzam pod pachę.

—Te, pokaż cycki! — drze się jakiś niedorostek, gdy przeciskam się obok niego.

—Odpierdol się! — odpowiadam grzecznie.

—Oooooo! Uważaj, mamuśka, żeby ci peruka nie spadła!

—Skąd się tu wzięły te bachory? — pytam, dzieląc piwami. Nasz stolik ktoś zaanektował, więc podpieramy ścianę, popatrując na szalejące małolaty.

—Ta muzyka jest koszmarna — wzdycha Amy. — Naprawdę się starałam, ale więcej już nie mogę.

—Pijmy wobec tego — krzyczy H. Podchodzi Kate i staje obok mnie.

—Coś okropnego — szepcze. — Chodźmy na zewnątrz. Wychodzimy, zostawiając za sobą dudniący łomot.

—Cóż, pora spojrzeć prawdzie w oczy — wzdycham, przysiadając na ławce. — Jestem stara.

—Wcale nie — protestuje Kate i opada obok mnie.

—Jestem. Dawniej każda impreza była dobra, ale to tutaj mnie przerasta.

—Amy chyba się nieźle bawi.

—Coś ty. Udaje na nasz użytek.

—Przecież nie możemy się jeszcze poddać — mówi Kate.

—Wiem — wzdycham. — Ale okropnie jest udawać, że się świetnie bawimy, podczas gdy najchętniej przyłączyłybyśmy się do chłopców.

Patrzę na migający nad wejściem do klubu neon i myślę o Stringerze.

—Naprawdę tego chcesz?

—Tak.

Wydaję jęk, dając upust rozdrażnieniu.

—Och, Kate, niech to szlag.

—Co się stało?

—Widzisz... Tak bardzo chciałam się zmienić. Naprawdę próbowałam sporządnieć i zaprzyjaźnić się z nim platonicznie. Ale prawda jest taka, że on mi się okropnie podoba. Naprawdę lecę na niego.

—Na kogo?

—Stringerà — przyznaję się.

Potrząsa głową, wyraźnie nie rozumiejąc. Postanawiam jej więc wytłumaczyć.

—Rano pojechaliśmy na rowery, zrobiliśmy sobie piknik i było wspaniale. Ale ja mu się nie podobam.

—E, chrzanisz.

—Po prostu nie wiem, co robić. Coraz bardziej się pogrążam. Wciąż myślę o tym, że Amy chce być z Jackiem, a ja jestem sama i chcę być ze Stringerem, a całe to panieńsko-kawalerskie zawracanie głowy jest, szczerze mówiąc, do dupy.

Kate wybucha śmiechem.

—A najgorsze, że rezygnuję z jedynej szansy, żeby spotkać

się ze Stringerem i zrobić coś dla siebie ze względu na Amy. Ale to czysta głupota, bo ona wcale by tego nie chciała.

—Przecież to ty zawsze powtarzasz, że jeśli ma się na coś ochotę, to nie ma się co zastanawiać, tylko to robić. Może spróbuj pogadać z dziewczynami? — podsuwa Kate.

Kiedy jednak pół godziny później przedstawiam propozycję H, ona nie chce o niczym słyszeć.

—Nie ma mowy. To jest wieczór Amy i byłoby niełądnie, gdybyśmy wyszły. Spytaj Amy, powie ci to samo...

—Ale...

—Nie — mówi ze wściekłą miną. — Koniec rozmowy. Żadna z nas nie wychodzi.

—Dlaczego bez przerwy nam mówisz, co mamy robić? — nie wytrzymuję.

—Ja wam mówię, co macie robić? — przedrzeźnia mnie H. — A to dobre.

Tego już za dużo. Mam jej powyżej uszu.

—Och, zamknij się wreszcie! Od samego początku rządzisz się jak szara gęś!

—Ja się rządzę! — prycha. — Ja się rządzę! Ktoś tu musi być odpowiedzialny za Amy.

—Aha, i tym kimś masz być właśnie ty, tak? Jak na razie nie robisz nic innego, tylko wszystko psujesz i zachowujesz się jak rozwydrzony bachor.

—O-ho-ho! — H udaje strasznie przestraszoną. — Wybacz, ale to nie ja się obrażam i demonstracyjnie wychodzę. I to nie ja nie chcę się bawić.

—Ja robię, co mogę, żeby Amy dobrze się bawiła — odpalam lodowatym tonem.

—Co się tu dzieje? — Amy wkracza między nas.

H patrzy na mnie pijackim wzrokiem i wyciąga pieniądze, które wręcza Amy.

—Nic. Idź, kup nam coś do picia.

—Widzisz? — mówię oskarżycielskim tonem. — Znowu, wredna suko, nam rozkazujesz.

—Susie? — Amy aż zatyka. Pieniądze w jej ręce drżą.

—Sorry, Marchmont, ale nie musisz szpanować przede mną swoją kasą. — Wyrywam pieniądze Amy i wciskam je H.

—Przestańcie — krzyczy Amy. — Obie.

—Jesteś żałosna — mówi drwiąco H. — Tak cię w majtkach swędzi, że nawet dwóch sekund nie możesz wytrzymać bez facetów.

—Przynajmniej z żadnym z nich się nie przespałam, w przeciwieństwie do ciebie — nie pozostaję jej dłużna. Zaraz jednak staram się jakoś załagodzić sytuację, nie dając jej dość do słowa.

—Chodzi mi o to, że tu jest beznadziejnie. Żadna z nas się dobrze nie bawi, więc równie dobrze możemy się stąd wynieść — mówię, już spokojnym głosem. — Powiedz, Amy, podoba ci się tutaj?

Amy spogląda to na mnie, to na H. Jest autentycznie rozdarta, ale tym razem nie ustąpię.

—Amy? — pyta H, wbijając w nią wzrok.

—Ja... to panieński wieczór.

—Właśnie — syczy jadowicie H. — Ale jeżeli ty, Susie, masz ochotę wyjść, proszę bardzo, nie krępuj się.

—Sooze — błaga Amy, łapiąc mnie za ramię. — Nie idź. Zostań. Napijemy się jeszcze. Po co się kłócić? Zwłaszcza z mojego powodu. Tak się dobrze bawię. Naprawdę.

H nie spuszcza ze mnie wzroku i czuję, że szczerze jej nienawidzę. Amy może i jest zbyt słaba, żeby jej się przeciwstawić, ale ja nie.

—Przykro mi, Amy. Zobaczymy się później.

Kiedy jednak toruję sobie drogę obok szatni i przez tłum małolatów, wiem, że przegrałam. H wmanipulowała mnie w te zawody, która z nas jest lepszą przyjaciółką. To żałosne i głupie, ale po raz ostatni czułam się tak w podstawówce.

Podobnie jak ze Stringerem.

MATT

Sobota, godzina 22.45

Nie potrafię na niczym skoncentrować wzroku. Ale cuchnie. Te cholerne domowe hydroponiczne uprawy Uga. Mocne jak jasny gwint. Ale mi dały kopa.

Chociaż jedno: kawalerski bal samców Jacka przebiega bez zakłóceń. Jackowi jakoś udało się przekonać resztę hałastry, że pobyt dziewcząt w tym samym miejscu niczego nie zmienia i nawet Jimmy się wyluzował. Szkoda tylko, że ja nie mogę brać udziału w imprezie. Za bardzo odpłynąłem. Patrzę na nich i mam wrażenie, że są nadzwyczaj pobudzeni. Jack prezyduje za stołem i pilnuje, żeby picie przebiegało właściwie. Widzę, jak śmieje się z czegoś, co Damien szepcze mu właśnie do ucha. Na moment przypominam sobie, jakie to uczucie, kiedy człowiek dobrze się bawi. Ale ta chwila mija bardzo szybko. Wszystkie moje myśli kręcą się wokół H i obezwładniający ból po jej utracie powraca z nową siłą. Bo to się właśnie stało, no nie? Odeszła. Znikła z mojego życia, powracając do swojego własnego. Chociaż nie, nie mogłem jej utracić, bo przecież tak naprawdę nigdy jej nie miałem. Z wyjątkiem tej jednej nocy, która teraz wydaje mi się nierealna, jak sen. Widzę teraz, że cała moja, tak starannie zaplanowana strategia, w rzeczywistości okazała się iluzją. Od samego początku stałem na straconej pozycji, ponieważ dla H, tak jak kiedyś dla Penny Brown, nie byłem nigdy mężczyzną upragnionym.

Gapię się w dywan, mając nadzieję, że dostrzegę w nim właz. Prosto do piekła. Nic mnie nie obchodzi. Jestem w tak beznadziejnym stanie, że nigdzie nie mógłbym się czuć gorzej niż tutaj.

SUSIE

Sobota, godzina 23.10

Porzucam rower na początku ścieżki. Świeże powietrze trochę mnie otrzeźwiło i jest mi teraz żal samej siebie. Z domku chłopców dochodzą odgłosy wesołej zabawy. Oddałabym wszystko, żeby zobaczyć teraz Stringerà, ale wejść tam nie mogę. Przynajmniej nie teraz. Może byłoby najlepiej, gdybym spakowała swoje rzeczy i pojechała do domu.

Wyciągam z kieszeni klucz, kiedy nagle słyszę jego głos.

—Susie?

Podnoszę wzrok i widzę Stringerà siedzącego z rękami w kieszeniach na progu naszego domku. Taka radość ogarnia mnie na jego widok, że podbiegam do niego i rzucam mu się na szyję.

Chwilę mnie tuli, potem delikatnie odsuwa.

—Hej, hej — mówi. — Co jest?

Ja tylko potrząsam głową i wręczam mu klucz. Stringer otwiera drzwi i włącza światło.

—Bardzo się cieszę, że przyszedłeś — mówię mu, kiedy wchodzimy do pokoju.

—Co się stało?

—Totalna katastrofa. Pokłóciłam się z H — zaczynam. Mogłabym mu powiedzieć resztę, ale teraz, skoro tu jest, to już i tak nie ma sensu.

—Usiądź i wyluzuj się — proponuje.

Opadam na kanapę w nadziei, że się do mnie przyłączy, on jednak siada na krześle, po drugiej stronie stołu.

—Co się stało? — pyta znowu.

—A tam, nieważne. Jest pijana i zachowuje się jak wredna suka.

—Masz ochotę na drinka? — pyta, rozglądając się wokół. Kiwam głową i pokazuję na kuchenną ladę.

—Tam powinna być jeszcze tequila.

Wstaje, płucze szklankę i nalewa mi trochę alkoholu.

—Sobie też nalej — mówię.

Stringer chwilę się waha, ostatecznie jednak robi drinka dla

siebie. W ciszy, jaka zapada, słychać dochodzące z sąsiedniego domku wrzaski chłopaków.

—Co tam się dzieje?

—W sumie nic — potrząsa głową. — Mniej więcej powtórka z wczoraj.

—Dlatego tu przyszedłeś?

—Świeże powietrze i świeże towarzystwo...

—Nie mam już żadnych przyjaciół. Chcę wracać do domu.

—Ja tu jestem — mówi łagodnie.

To prawda. Choć tak naprawdę nie tu, tylko tam. A ja naprawdę chcę się do niego przytulić.

—Jeśli ci to coś pomoże, ja jestem twoim przyjacielem — uśmiecha się do mnie.

Odwzajemniam uśmiech i podnoszę do góry butelkę.

—Jeszcze raz to samo?

STRINGER

Sobota, godzina 23.15

—Lej — mówię i popycham szklankę w jej stronę. — Jeśli nie możesz ich pokonać...

Susie posłusznie napełnia moją szklankę tequila. Leje jej tyle, że tworzy się menisk wypukły. Stukamy się szklankami i pijemy. Susie wypija swoją do dna i z hukiem odstawiają na stół.

—Hej, cieniarzu, do dna — pokpiwa, zauważając, że wypiłem zaledwie połowę.

Posłusznie robię, co mi każe, i z trudem powstrzymuję się, żeby nie zwymiotować.

—Sorry — mówię, krzywiąc się. — Ale dawno już tego nie piłem.

—Co, kiepski z ciebie pijak? — Jest wyraźnie zdumiona. — Myślałam, że w takim towarzystwie picie jest obowiązkowe. Dbasz o siebie, tak?

—To trochę bardziej skomplikowane—bąkam niewyraźnie. Nie zważając na to, znowu napełnia nasze szklanki.

—Może mi o tym opowiesz—proponuje, ale na widok mojej miny szybko się wycofuje. — Jeżeli naturalnie masz ochotę...

—Duże U — mówię.

—Hę?

Chyba się rumienię. Nie jestem pewien, czy mam na to ochotę. Z drugiej jednak strony, czemu nie miałbym spróbować? Przecież nie będzie mnie osądzać. Jestem o tym przekonany.

—Uzależnienie — wyjaśniam. — Koka. Miałem z tym kiedyś problem. Wpadłem w nałóg. I chodziłem na terapię.

—To przykre — mówi, ściągając usta. — Nie wiedziałam. To znaczy, dużo się o tym słyszy, ludzie popadają w tarapaty, ale...

—Ale ty tego próbowałaś, niektórzy twoi kumple próbowali, niektórzy robią to nawet codziennie, i nic z tego nie wynika...

Parska śmiechem, widząc, że odgaduję jej myśli.

—Mnie się noga powinęła—mówię dalej. — Wpadłem. I to na dobre. Bywa...

—Przykro mi — powtarza. — Ja...

—Nie — przerywam jej, bo nie chcę, żeby poczuła się niezręcznie. — Nie przepraszaj. Uporałem się z tym. Problem jest z wódą. Na początku, kiedy zaczynałem wychodzić na prostą... Starałem się unikać gorzały. Jedno z drugim za bardzo się łączyło. Lubię się napić, ale staram się nie przeginać.

Podnoszę szklankę i patrzę na nią. Chętnie bym się nawalił. I to z nią. Wciąż patrzę na szklankę. Chyba coś się zmieniło, bo już się nie boję. Może się od tego uwolniłem? Chrząkam.

—Ale od tamtego czasu minął już prawie rok i... — kiwam głową w stronę, skąd dochodzą odgłosy balu samców — skoro udało mi się przeżyć Jimmy'ego i Uga... — Podnoszę szklankę i piję. — Twoje zdrowie — mówię. — Nasze zdrowie. Zdrowie wódy i dobrej zabawy.

Nasze spojrzenia się spotykają i żołądek podchodzi mi do gardła. Boże, przemyka mi przez myśl. Czuję, jak wzbiera we

mnie głębokie westchnienie. Ta chwila jest idealna, podobnie jak idealny był cały dzień. Oczy Susie zwężają się w uśmiechu. Szkoda, że nie mogę jej pocałować. Bardzo bym tego chciał. Chciałbym, żeby było jak w filmach, gdzie najpierw się uśmiechają, potem całują i wreszcie lądują w łóżku. Chciałbym wiedzieć, że wszystko dobrze się skończy. Och, żebym przestał się w końcu bać, a zaczął funkcjonować jak normalny facet.

—Uśmiechnij się — mówi Susie.

Robię, jak mi każe, ponieważ wiem, że tutaj, przy niej, nic mi nie grozi. Będziemy się uśmiechać, wygłupiać, będziemy przyjaciółmi. I będzie mi to musiało wystarczyć.

Nagle oboje spoglądamy w stronę okna. Z dala dochodzi pijacka wersja *Wonderwall* Oasis w wykonaniu chóru dziewczęcych głosów.

Susie patrzy na mnie.

—Nie mam ochoty ich teraz oglądać. Wstaje i bierze butelkę z tequilą.

—Szczególnie H. Mieszkam w pokoju z Amy. Chodźmy tam. Może zostawią nas w spokoju.

SUSIE

Sobota, godzina 23.35

Podchodzę chwiejnie do łóżka i poprawiam kołdrę. Ściągam buty i ciskam je pod ścianę. Siadam na łóżku i podwijam nogi pod siebie.

—Sorry, ale stopy mi trochę śmierdzą. Stringer przysiada na brzegu łóżka i patrzy na mnie.

—Na pewno nie tak jak moje — mówi z uśmiechem.

—Mimo to śmierdzą. Ściągaj buty.

Zdejmuje adidasy. Klepię miejsce obok siebie, więc podchodzi, siada i prostuje nogi.

—Widzisz? — pokazuję na jego palce. — Drugi palec masz dłuższy od palucha.

—I co z tego?

—Wiesz, co mówią o facetach, którzy mają takie palce? — pytam i śmieję się.

—Cokolwiek by to było, nie jest prawdą. — Stringer spogląda na swoje stopy. — Mój ojciec miał takie same.

—Nie krępuje go to? — Wciąż się śmieję.

—Już nie. Zmarł.

—Przepraszam — mówię, zasłaniając ręką usta.

—Nie ma sprawy.

—Co się stało?

Rozmawiamy, Stringer opowiada mi o swoim ojcu, a ja czuję, że jest mi coraz bliższy. Chłonę każde jego słowo i zaczynam widzieć całe jego życie, jak na dłoni.

Nagle milknie.

—Nie nudzę cię? — pyta po chwili. Prostuję nogi.

—Coś ty, to fascynujące. Stringer parska śmiechem.

—Coś mi się przypomniało. Dawniej tak mi robił. Nachyla się i łapie mnie za stopę. Natychmiast zaczynam chichotać.

—O. Tak mnie łaskotał — mówi i smyra mnie palcem po podeszwie. Aż się krztuszę ze śmiechu.

—Odwal się! —piszczę.

Rzucam się na niego, ale on też się śmieje i wcale nie zamierza przestać. Turlamy się po łóżku, gdy nagle drzwi do pokoju się otwierają.

—Susie, muszę...

Stringer odskakuje jak oparzony, a ja widzę stojącą w drzwiach Amy. Patrzy na nas, a my czerwienimy się oboje.

—Przepraszam — bąka zmieszana i zamyka drzwi za sobą. Kaszlę. Stringer poprawia na sobie spodnie.

—Uups — mówię.

—No, to jesteśmy załatwieni.

Sięgam po butelkę z tequila. Stringer milczy, a zza drzwi dochodzą stłumione szepty dziewcząt.

—Pij — mówię, wręczając mu butelkę. Przeczesuje palcami włosy i bierze flaszkę.

—Musimy sobie dodać odwagi.

—Wyluzuj się. Nie ma się czym przejmować — śmieję się i klepię go uspokajająco po ramieniu.

Patrzy na mnie, wyraźnie spłoszony.

—Ciekawe, co teraz mówią.

—A czy to ważne? Przecież to nie grzech, że siedzimy tu sobie we dwójkę.

Stringer pociąga łyk z butelki i ociera usta wierzchem dłoni.

—Na pewno pomyślą, że się bzykamy.

—A jeśli nawet, to co w tym złego?

Widzę, że ciężko się nad czymś zastanawia, i podejmuję decyzję.

—Zdradzić ci sekret? -— pytam szeptem.

—Wal.

Zbieram się w sobie, patrząc na jego profil i sposób, w jaki włosy opadają mu na czoło. Pragnę go. O Boże, tak bardzo, że aż boli.

—Chcę — wyrzucam z siebie.

—Co chcesz? — pyta, odwracając się do mnie.

—Chcę... z tobą... teraz. Potrząsa głową i odwraca wzrok.

—Nie mówisz tego poważnie.

—Zupełnie poważnie — szepczę i przysuwam się do niego. — A ty?

STRINGER

Niedziela, godzina 00.21

—Jesteśmy nawaleni — mówię. Choć nie sądzę, żeby ta informacja zmieniała w czymkolwiek moje kłopotliwe położenie. Serce wali mi, jakby za chwilę miało wyskoczyć. Czuję, jak tequila podchodzi mi do gardła. Usta Susie są centymetr od moich.

—Więc? — pyta w końcu. — Lubisz kochać się po pijanemu?

—Nie w tym rzecz, Susie — bełkoczę. Ale jestem za bardzo pijany, żeby wiedzieć w czym rzecz. Nie mogąc znaleźć słów, wybieram milczenie.

—Kapuję — mówi z westchnieniem. Kładzie się na plecach i patrzy w sufit. — Po prostu nie chcesz się ze mną przespać. Powinnam się była domyślić. Zawsze jest tak samo. Ktoś mi się podoba, mam na niego chrapkę, ale on nie chce mnie znać. *C'est la* pieprzone *vie.*

—To nie tak.

Ściska mnie delikatnie za ramię, pragnąc dodać mi otuchy.

—Nie przejmuj się — mówi. — Stara ze mnie wyjadaczka. Jakoś to przeżyję.

Uśmiecha się słabo, a mnie nagle szlag trafia. Chcę, żeby wszystko było jak przed chwilą. Czemu nagle staliśmy się sobie tacy obcy? Nie chcę, żeby i tym razem wszystko przepadło.

—Dzisiaj rano miałeś rację — ciągnie, leżąc z zamkniętymi oczami i znużonym wyrazem twarzy. — Seks między przyjaciółmi wszystko psuje. Mimo to — kończy i trze ręką czoło — nie wiń dziewczyny, że próbowała.

—Nie winię — słowa wymykają mi się same, bez udziału rozumu. — To nie tak, jak myślisz. Nie w tym rzecz, że mi się nie podobasz. Podobasz mi się. Pragnę cię... ja... Chryste, nie potrafię... ja... chcę... —Z trudem przełykam ślinę, ale to nie pomaga. Łzy napływają mi do oczu. Ten cholerny alkohol, wszystko mi utrudnia. A może to wcale nie alkohol, tylko coś głębiej, co siedzi we mnie. — Bardzo cię pragnę... — Głos mi zamiera, ale wiem, że tym razem posunąłem się za daleko i nie mam już odwrotu.

—O co chodzi? — pyta i delikatnie przykłada mi dłoń do policzka. Coś dziwnego jest w jej twarzy. Strach? Boi się o mnie?

Odzyskuję oddech i kręcę głową.

—O nic, tylko...

—Powiedz mi — nalega, chwytając mnie za szyję. Patrzy mi prosto w oczy. — Nie kryj tego, Stringer. Nieważne, co to jest, po prostu wyciągnij to na światło dzienne. Jeśli będziesz to chował, z każdym dniem będzie się stawało coraz większe.

Wbrew sobie, pomimo pożerającego mnie wstydu i rozpaczy, uśmiecham się.

—Co tym razem? — kompletnie się już pogubiła.

—To, co właśnie powiedziałaś. — Już się nie uśmiecham, tylko chichoczę jak wariat. Nerwy zupełnie mi puściły.

—Ta cholerna tequila —jęczę i wycieram nos w rękaw. Ale wciąż chce mi się śmiać. — To, co powiedziałaś — udaje mi się w końcu wykrztusić. — Że mam tego nie kryć. Że... — To na nic. Zaraz chyba pęknę.

Kręci głową, ale także zaczyna się uśmiechać, chociaż wciąż nie wie, o co chodzi. Bacznie mi się przygląda, nie tracąc nadziei, że w końcu odkryję tajemnicę.

—Nic z tego nie rozumiem.

Raz jeszcze biorę głęboki oddech i próbuję znowu.

—Mówisz, że mam tego nie kryć — mówię szybko. — W tym problem. To niemożliwe. Nigdy tego nie pokazuję.

Otwiera usta, żeby coś powiedzieć, ale ja już nie dam sobie przerwać.

—Chodzi o mojego fiuta. O mojego pieprzonego fiuta. Co wcale nie oznacza, żeby cokolwiek pieprzył — dodaję po namyśle. — Nigdy nie miał ku temu okazji.

Spogląda w okolice mojego rozporka, potem przenosi wzrok na moją twarz.

—O czym ty gadasz?

Zaciskam zęby, żeby się znowu nie roześmiać, ale nie panuję już nad sobą zupełnie.

—Nie wiem, co to kobieta — mówię, za wszelką cenę starając się zachować

powagę. — Jestem prawiczkiem, Susie. Jestem prawiczkiem z minikutasikiem.—Wzruszam ramionami. — Jestem prawiczkiem, bo mam małego ptaszka.

Odsuwa się gwałtownie i wspiera na łokciach. Usta ma otwarte ze zdziwienia. Patrzy na mnie przez długą chwilę, badając wzrokiem moją twarz. W końcu wzdycha głęboko.

—Żartujesz sobie, prawda?

Równie gwałtownie, jak się pojawił, teraz mój śmiech zamiera. Czuję się wypluty i obnażony.

—Wręcz przeciwnie — bąkam. Marszczy czoło. Po czym nagle się rozluźnia.

—No, dalej — mówi.

—Co dalej?

—Dalej, wyciągaj go. Oczy jej błyszczą.

—Zobaczmy, jaki to też mały jest ten twój ptaszek.

—Mówisz poważnie?

—Tak samo poważnie jak ty — prowokuje mnie.

—Ja mówię poważnie.

—Więc zrób to — mówi, chwyta leżące na nocnym stoliku okulary, zakłada je na nos i wbija wyczekujący wzrok w moje krocze.

Skoro tego chce. Nawet się nie zastanawiam, tylko pozwalam, żeby mój pijany umysł zawładnął moim pijanym ciałem i podnoszę się. Staję w rozkroku na środku łóżka, odpinam pasek i opuszczam spodnie do kolan.

SUSIE

Niedziela, godzina 00.30

Oto jest.

Stringer ma rację. Rzeczywiście nie jest za duży.

—Choć gruby i mały, wchodzi cały, chudy i cienki dławi panienki — żartuję bez zastanowienia.

Stringer spogląda w dół, jakby sam w to nie wierzył. Nagle żałuję, że mam taki niewyparzony pysk. Chwytam go za rękę i zmuszam, żeby ukląkł przede mną. Podnoszę mu brodę do góry i patrzę prosto w oczy.

—I cały ten czas tym się martwiłeś? — pytam łagodnie. Kiwa głową, a mnie serce aż się skręca z żalu.

—Ty idioto. Przecież jest zupełnie normalny. Patrzy na mnie wzrokiem rannego zwierzęcia.

—Nieprawda — upiera się.

—Ależ tak — uśmiecham się. — W końcu kto może wiedzieć lepiej ode mnie? Dość się ich naoglądałam.

Kładę mu dłoń na policzku.

—Nie wierzę ci. Po prostu chcesz być miła.

Jest mi taki bliski. Nie ma w tym nic nienaturalnego. Szkoda tylko, że Stringer myśli inaczej. Nagle wpadam na pomysł.

—Jeśli ci to pomoże, to zobacz, jedną brodawkę mam mniejszą od drugiej. Sam zobacz.

Ściągam bluzkę i zdejmuję przez głowę stanik.

—Proszę bardzo — mówię. — Jedną już widziałeś, a teraz patrz. Ta jest dużo mniejsza.

—Wcale nie — protestuje, nie odrywając ode mnie wzroku.

—Patrz! — Podnoszę jedną pierś. — Ta-dam.

Widzę, że Stringerowi zaczyna stawać. Spoglądamy oboje w dół. A potem nasze oczy się spotykają i zaczynamy oboje chichotać.

Powoli wyciągam rękę i obejmuję go palcami. Wciąż patrzymy sobie w oczy i uśmiechamy się.

—Jesteś cudowny — szepczę. — Przecież to też ty. Czuję, jak jego ręka nieśmiało dotyka mojej piersi, i aż przechodzi mnie dreszcz.

Nachyla się, zamykam oczy i nasze usta się spotykają. Pod palcami czuję, jak robi się coraz bardziej sztywny.

—Przepraszam... nie mogę... nie wiem... — mówi przerywanym szeptem, odsuwając się.

—Ciii. Nie bój się. Pokażę ci.

I zrobię to. Nic nie sprawi mi większej przyjemności. Poza tym mogę sobie zmieniać swoje życie i takie tam, ale na tym w końcu znam się najlepiej.

CZĘŚĆ III

STRINGER

Niedziela, godzina 16.15

Parkuję mikrobus przed swoim mieszkaniem, wyłączam silnik i spoglądam na odtwarzacz — w tej chwili znajdujący się w stanie nieodwracalnego zniszczenia. Pod kątem czterdziestu pięciu stopni sterczy z niego śrubokręt z żółtą rączką, wbity tam przez Uga mniej więcej w połowie drogi, co położyło kres piekielnemu jazgotowi harmonijek ustnych (Ug przypuścił atak z taką gwałtownością i zdecydowaniem, że żadnemu z nas nie starczyło odwagi, żeby zapytać, skąd śrubokręt znalazł się w jego posiadaniu.) Bez wątpienia wypożyczalnia samochodów „Wolny Jeździec" pociągnie mnie do odpowiedzialności za powstałe zniszczenia, kiedy jutrzejszego ranka pojadę zwrócić samochód w imieniu Matta, ale patrząc na jego postać skuloną obok mnie, na siedzeniu pasażera, nie mam serca zawracać mu tym w tej chwili głowy.

Matt prezentuje się dość nędznie. Ciemne włosy ma przetłuszczone i w nieładzie, przez co przywodzą mi na myśl pióra tych nieszczęsnych morskich ptaków, które pokazują czasem w telewizji jako ofiary katastrofy tankowca. Jego twarz nie wygląda lepiej. Gdybym, nie znając go, miał zgadnąć, ile ma lat, powiedziałbym, że zbliża się do sześćdziesiątki, podczas gdy faktycznie ma raptem dwadzieścia osiem. Kąciki ust opadły mu prawie do linii brody, a wory pod oczami wprawiłyby w kompleksy samego deputowanego Dawga.

Stanu jego umysłu mogę się tylko domyślać, jako że on sam nie odezwał się słowem przez całą drogę powrotną, poza krótkim pożegnaniem, które rzucał, gdy po kolei wysadzałem uczestników kawalerskiej zabawy. Jeśli wierzyć plotkom dochodzącym mnie z tylnej części mikrobusu, wątroba Matta stara się w tej chwili uporać z prawie

całą zawartością butelki wódki, kilku szklanek whisky, pełnego kubka Bailey's Irish Cream i bliżej nie określoną liczbą piw. Innymi słowy, lub raczej słowami Uga, „narodziła się legenda". Lub może, patrząc na to z innego punktu widzenia, była to nieudana próba samobójcza.

Matt odwraca się do okna i zauważa — chyba po raz pierwszy — że mikrobus stoi.

—Na pewno chcesz wracać do domu piechotą? — pytam.

—To mi dobrze zrobi — mamrocze niewyraźnie, odpinając pas i wyciągając zza siedzenia torbę. — Może mi się trochę przejaśni w głowie. — Patrzy na mnie tępym wzrokiem. — A ty? Faktycznie możesz za mnie odstawić jutro mikrobus?

—Żaden problem — zapewniam go. Widzę, że po policzku spływa mu kropelka potu. — Powinieneś się chyba wcześnie położyć, stary... — dodaję.

—Masz rację — wzdycha i wyciąga do mnie rękę na pożegnanie. — Szkoda tylko, że to nie rozwiąże moich kłopotów. — Udaje mu się zdobyć na nikły uśmiech. — Zobaczymy się na weselu — dodaje i wysiada z auta, po czym rusza wolno ulicą.

Biorę swoją torbę, zamykam mikrobus i pokonuję kilka schodków prowadzących do moich drzwi. Szczerze współczuję Mattowi. Już prawie zapomniałem, jak okropnie można się czuć po przepitej nocy. Cały dzień upływał mi w zwolnionym tempie. Nawet teraz reaguję i poruszam się niezdarnie, a żołądek co chwila podchodzi mi do gardła. Mam wrażenie, jakbym złapał grypę. Do tego wszystkiego dochodzi jeszcze poczucie winy — tak dobrze mi znane z dawnych czasów — że z własnej woli zatrułem swój organizm. Pewnie nie jest aż tak źle, ale fakt pozostaje niezmienny: zalałem się w trupa. Co prawda to jeszcze nie koniec świata. Złamałem jedną zasadę i kwestią czasu pozostaje, kiedy posunę się do znacznie gorszych czynów. Tak to już jest z przekraczaniem granic. Przekroczysz jedną i nic się nie dzieje, rodzi się więc pokusa, by iść dalej.

Wchodzę do domu i czuję unoszący się w powietrzu zatęchły smród papierosów, potęgujący się z każdym krokiem, zbliżają cym mnie do salonu. Nie wiem, co uderza

mnie bardziej: poczucie, że coś jest bardzo nie w porządku, czy też świadomość, że w wirze weekendowych wydarzeń ani razu nie pomyślałem o Karen. Przypominam sobie rozmowę, jaką przed moim wyjazdem odbyliśmy na temat Chrisa, i zaczynam podejrzewać, że może rzeczywiście zerwała z nim pod moją nieobecność.

Na widok ruiny, w jakiej znajduje się salon, podejrzenie zaczyna przeradzać się w pewność. Cały dywan zasłany jest niedzielnymi gazetami. Mały wiklinowy kosz przy telewizorze kipi od pustych puszek i opakowań po chińskim jedzeniu na wynos, z których jedno zostało wykorzystane na popielniczkę. Na ekranie telewizora zapomniana Lara Croft niecierpliwie czeka na następne polecenie. Odsuwam zasłony i otwieram okno. Napływa chłodne powietrze i przez chwilę stoję nieruchomo, oddychając nim głęboko. Ruszam na dalsze rozpoznanie i odkrywam, że kuchnia nie prezentuje się wiele lepiej. Na stole króluje nie zjedzone opakowanie Opychy z wbitą na sztorc łyżką, a pod kuchenką wala się nadgryziony tost.

Pukam delikatnie do pokoju Karen, ale wewnątrz panuje cisza. Uchylam nieco drzwi i zaglądam do środka. Zasłony są zaciągnięte i nie ma światła. Karen natomiast jak najbardziej jest. Stoję w milczeniu przez sekundę, może dwie, i patrzę. Zupełnie naga, leży płasko na brzuchu. Smużka światła wpadająca przez uchylone drzwi oświetla delikatnym blaskiem jej skórę od kostek do szyi, nadając jej złotawy koloryt. Karen porusza się przez sen, a ja odwracam się i cicho zamykam za sobą drzwi.

Gdy pokonuję ostatnie sto metrów dzielące mnie od Battersea Bridge, zaczyna siąpić lekki deszczyk. Pomału dochodzę już do siebie, zupełnie jakby z każdym krokiem mój organizm pozbywał się trucizny. Nie zatrzymując się, podnoszę rękę i patrzę na zegarek. Czas mam prawie pięć minut gorszy od tego, w jakim zwykle pokonuję ten dystans, co mnie jednak nie dziwi. Płuca mi świszczą jak dziurawy miech kowalski, a w boku mnie kłuje, jakby korpus łada moment miał mi pęknąć na pół. W połowie mostu przystaję, żeby złapać oddech. Grzbietem dłoni ocieram

pot z czoła, opieram się o balustradę i spoglądam w dół, na mętne i mroczne wody Tamizy, które jednak nawet w połowie nie są tak mroczne jak to, co kłębi się w mojej głowie.

Przez większość dnia skutecznie udawało mi się unikać większości myśli związanych z wydarzeniami ostatniej nocy. Mówię „większości", ponieważ gdy obudziłem się dzisiaj rano, czując tuż obok ciepło ciała Susie, trudno było o tym nie myśleć. Leżałem chwilę bez ruchu, niepewny, co powinienem zrobić. Skakać z niepohamowanej radości? Czy też raczej leżeć i udawać zimnego luzaka? Ani jedno, ani drugie nie wydało mi się odpowiednie, skoncentrowałem się więc na jej regularnym oddechu i pod jego kojącym wpływem pogrążyłem się w stanie głębokiego rozluźnienia. W takiej chwili nie powinno się myśleć. W takiej chwili powinno się być.

Jakiś czas później, być może wyczuwając, że już nie śpię, Susie zaczęła się wiercić.

—Stringer? — wychrypiała, patrząc na mnie nieprzytomnie. Wydałem z siebie jakiś piskliwy dźwięk i dopiero kiedy

odchrząknąłem, mogłem spróbować raz jeszcze.

—Tak?

—Czy my... ? — zaczęła, zamiast jednak dokończyć, zajrzała pod kołdrę. Z trudem zwalczyłem gwałtowną chęć ukrycia się przed jej spojrzeniem, co byłoby przecież idiotyczne. Choć w sumie niewiele było do oglądania, Susie w nocy zobaczyła wszystko. Ścisnąłem nerwowo pośladki w drżącym oczekiwaniu na jej, trzeźwy już teraz, werdykt. Wychynęła spod kołdry i puściła do mnie oko.

—Zdaje się, że tak... — Zrobiła lekko kpiącą minę. — Duży chłopiec...

Zmrużyłem oczy, ale nie udało mi się ukryć przed nią cisnącego mi się na usta uśmiechu.

—Obiecałaś...

—Wiem — powiedziała, jednocześnie potężnie ziewając. — Ale skoro już ustaliliśmy, że twoje klejnoty są jak najbardziej sprawne, może nadszedł czas na rozprawienie się z kompleksem na ich punkcie, nie uważasz? A to oznacza wyrobienie sobie

w tym względzie poczucia humoru. — Wsadziła rękę pod kołdrę i lekko mi pociągnęła. — Poczynając od tej chwili.

—W porządku — zgodziłem się i przyciągnąłem ją do siebie. — A potem co?

Wsadziła nos pod własną pachę.

—Byłoby najlepiej, gdybyśmy się umyli. — Spojrzała na mnie z szerokim uśmiechem. — Przynajmniej ja muszę iść pod prysznic.

—A potem?

—A potem każde z nas powinno wrócić do swojego towarzystwa, żeby im zamknąć gęby.

—Pewnie masz rację — zgodziłem się z nią, chociaż oboje wiedzieliśmy, że wcale nie o to pytałem.

Spojrzała na mnie, tym razem poważnie.

—Potem jednak...

—Tak?

—Myślę, że moglibyśmy się spotkać jeszcze przed ślubem... gdybyś miał ochotę...

—Chcę.

—Co powiesz na wtorek wieczorem? — zaproponowała. — Być może do tego czasu zdążymy już dojść do siebie.

—Dobrze. W takim razie wtorek.

Kiedy to mówiłem, naprawdę chciałem się znowu z nią zobaczyć. Wtedy, patrząc jej w oczy, mówiłem z pełnym przekonaniem. Pamiętałem, jak usnęła w moich ramionach, a ja nie mogłem zamknąć oczu, bo bałem się, że kiedy się obudzę, wszystko okaże się tylko snem. Pragnąłem, aby uniesienie, które odczuwałem, trwało wiecznie. Pragnąłem tkwić w jego objęciach, tak jak ona tkwiła w moich. To była moja chwila, moje wejście w dorosłość, połączenie się z tą częścią mnie, której dotąd mi brakowało.

Wciąż patrzę na płynącą pode mną wodę. Uniesienie przeminęło. Zawsze wierzyłem, że ten pierwszy raz zmieni mnie diametralnie, wpłynie na całe moje jestestwo i sposób postrzegania świata, lecz wcale tak się nie stało. Podobnie jak orgazm, chwila szybko minęła, a mnie zostały tylko wspomnienia poprzedzających ją

wydarzeń. Jestem tą samą osobą co przedtem. Nic się nie zmieniło. To, czego tak bardzo pragnąłem: zmysłowość, miłość, romantyzm, wciąż pozostaje poza moim zasięgiem. Okazało się, że seks jako taki niewiele ma z tym wspólnego. Ale zdałem sobie z tego sprawę dopiero teraz. Seks pozwala tylko zbliżyć się do drugiej osoby na tyle, by tym bardziej tego pragnąć. Być może każdy z nas czuje podobnie. Być może byłoby mi łatwiej, gdybym mógł się przed kimś wygadać, jak lata temu Richard Lewis na szkolnym podwórzu. Może dzisiaj powiedziałby mi, że w sumie czuł się zawiedziony, więc nie mam się czym stresować. Ja jednak nie mam z kim o tym porozmawiać i to mnie właśnie stresuje.

Najgorsze zaś w tym wszystkim jest to, że seks, który ubiegłej nocy uprawiałem, był żenujący, a w najlepszym razie komiczny. Nie da się tego ukryć. Susie zawdzięczam tylko, że moje przyprawiające o mdłości skrępowanie po żałosnym przedstawieniu obróciła w śmiech. Ale w niczym ta noc nie przypominała bajeczki, jaką uraczyłem KC w kuchni, w najmniejszym nawet stopniu nie pokrywała się z moimi marzeniami. Nie było muzyki, świec, namiętnych pocałunków. Ich miejsce zajęły stłumione odgłosy pijackiej zabawy dochodzące zza ściany, jaskrawe światło gołej żarówki pod sufitem i przerywane chichotem instrukcje Susie. Byliśmy pijani. Ani śladu zmysłowości czy romantyzmu. Był to prostu zabieg terapeutyczny, w którym rolę psychiatry zajęła Susie, ja zaś byłem pacjentem. Ona wiedziała, o co w tym wszystkim chodzi — robiła to już przedtem pewnie z tysiąc razy —ja natomiast nie miałem zielonego pojęcia. Dałem plamę, z czego doskonale zdawałem sobie sprawę, mimo iż ona w żaden sposób tego nie okazała.

Nie winię jej za to, bo inaczej nie miało się to prawa odbyć. Pretensje mogę mieć tylko i wyłącznie do siebie. Pomijając oczywisty powód, dla którego —jak mi się zawsze wydawało — nie zrobiłem tego wcześniej, czemu zabrakło mi jaj, by jak każdy inny nastolatek załatwić sprawę w odpowiednim czasie? Gdybym wtedy zdobył się na odwagę, dzisiaj nie musiałbym znosić upokorzenia.

Zapewne wszystko wyglądałoby inaczej, gdybym był w Susie zakochany. Gdyby jednak tak było, stałbym tu teraz, nie mogąc się doczekać, żeby do niej zadzwonić i umówić na randkę. Ale nie kocham jej i wbrew temu, co wcześniej myślałem, fakt, że się z nią przespałem, niczego nie zmienił. Wczoraj byliśmy przyjaciółmi, a kiedy dzisiaj rano się ubieraliśmy, do uczucia przyjaźni doszło wzajemne zaufanie. Ale emocjonalnie wszystko zostało po staremu.

Podnoszę wzrok i spoglądam przez rzekę na Battersea Park. Widzę nagą Karen leżącą na łóżku w domu. I widzę ją wyraźnie, przeciwnie niż Susie z ubiegłej nocy. Myślę o zapachu papierosów unoszącym się w całym mieszkaniu i łączę go z faktem, że przecież Karen nie pali, a także z tym, że Chrisa nie zastałem. I zaczynam biec z powrotem do domu.

—Cześć — wita mnie Karen. Jest pijana i mówi bełkotliwie, a głowa jej się chwieje, jakby była na rozkołysanym morzu. — Jak się udał bal samców? Zdarzyło się coś interesującego?

Stoję w drzwiach do łazienki z ręcznikiem owiązanym wokół pasa. Spowijający mnie obłok pary tylko pogłębia surrealizm i tak już surrealistycznej sytuacji. Karen siedzi rozwalona na kanapie w salonie, zawinięta w znoszony, niegdyś zapewne biały szlafrok. W jednej ręce trzyma zapalonego papierosa, w drugiej ściska szklankę po brzegi wypełnioną whisky. Twarz ma szarą, oczy przekrwione, a skórę nabrzmiałą.

—Fajnie było — mówię. — W sumie żadnych niespodzianek.

Nie wiem, czemu nie potrafię powiedzieć: „Och, straciłem wreszcie cnotę z dziewczyną o imieniu Susie i nie wiem, czy to dobrze czy źle". Zamiast tego dodaję cicho:

—Zwykłe męskie wygłupy. Głowa Karen nie przestaje się kiwać.

—Chris ze mną zerwał — odzywa się.

—On zerwał z tobą? — upewniam się, bo nie takiego rozwiązania się spodziewałem.

—Aha — potakuje i wypuszcza nosem strużkę dymu, która ulatuje w stronę otwartego okna. Zauważa, że odprowadzam ją wzrokiem. — Wybacz ten smród i bałagan — mówi, krzywiąc się z obrzydzeniem. — Trochę straciłam nad sobą panowanie.

Stoję, a woda ze mnie ścieka na kafelki.

—Kiedy to się stało?

—W czasie lunchu. Dzisiaj. Zaraz potem wyszedł.—Cmoka językiem. Wygląda na autentycznie zrezygnowaną. — To jest właśnie najgorsze. Rano, kiedy się jeszcze nie całkiem obudziłam, bzyknął mnie, poszedł zaparzyć kawę, wrócił i obwieścił mi nowinę, kiedy się ubierał. Takie pożegnalne dupczonko. Po tylu latach. Powiedz mi: jak można być takim kutasem?

Odsuwam z czoła mokre włosy.

—Wydawało mi się, że to ty zamierzasz z nim skończyć. Sądziłem, że tak właśnie postanowiłaś...

—Jeszcze niczego nie zdecydowałam — poprawia mnie. — Na razie tylko rozważałam taką możliwość, ale nie byłam jeszcze pewna. Myślałam, że może jakoś się nam mimo wszystko uda. Głupota, no nie?

—Nie — mówię nieprzekonująco. — Nie do końca. To poważna decyzja i trzeba mieć absolutną pewność.

—Myśleć a zrobić to dwie różne rzeczy — mówi dalej, nie zwracając na mnie uwagi. — Żeby coś takiego zrobić, trzeba się całkowicie odciąć. Trzeba być twardym i na nic nie zważać.

—Tak jak zrobił to Chris — domyślam się.

—Właśnie — zgadza się, pijąc whisky i gasząc papierosa w talerzyku, który trzyma na kolanach. — Tak jak Chris.

Podchodzę do kanapy, a ona podkurcza nogi, żeby zrobić mi miejsce. Spodek ześlizguje jej się z kolan i ląduje na podłodze, a popiół i niedopałki rozsypują się po kanapie i dywanie. Pod kanapą dostrzegam puszkę coli, podnoszę ją, otrzepuję z popiołu i otwieram. Odwracam się do Karen i pytam:

—Jak ci to powiedział? Śmieje się gorzko.

—To jest właśnie najlepsze. Jak biznesmen. Po prostu podał

mi fakty, zupełnie jakbym straciła kontrakt, czy coś takiego. Powiedział mi, że oboje wiedzieliśmy, że sprawy między nami od jakiegoś czasu się nie układają, a on nie widzi sposobu wyjścia z impasu. Impas — prycha. — Co to, do kurwy nędzy, miało oznaczać? Co sobie myślał, że jesteśmy jakimiś generałami na polu bitwy?

—Jak to przyjęłaś? Uśmiecha się ponuro.

—A jak myślisz? Odbiło mi — i to kompletnie. Zrobiłam istny cyrk. — Patrzy prosto na mnie. — Powiedziałam mu, że na pewno jest jakaś inna i że na pewno robi to, o czym wszyscy doskonale wiemy, że robi.

—A on co? — dociekam. — To znaczy, przyznał się?

—W końcu. Po jakichś dziesięciu minutach moich histerii, w końcu się przyznał. Ona ma na imię Emma. — Wstrząsa nią dreszcz i opatula się szczelniej szlafrokiem. — Jezu, jej imię prawie nie przechodzi mi przez gardło.

Wstaję i podchodzę do okna, żeby je zamknąć.

—Pracują razem i — tu uważaj — nie chciał, żeby tak się stało, ale się stało. Samo — mówi dalej. — Powiedz mi, Greg, jak to możliwe? Jesteś facetem. Powiedz mi: czy takie rzeczy w ogóle się zdarzają?

-— Nie wydaje mi się — odpowiadam z przekonaniem. Siadam z powrotem na kanapie i dodaję: — Przynajmniej mnie się nigdy nie zdarzyło.

Obserwuję jej twarz. W jej oczach smutek walczy o lepsze z zagubieniem. Podobnie wyglądała Xandra w dniu pogrzebu naszego ojca. Niby pogodziła się z rzeczywistością, ale tak naprawdę nie dotarło jeszcze do niej, co faktycznie się stało.

—No, w każdym razie Chrisowi się zdarzyło. Zaczął się z nią spotykać. Jakoś bez jego udziału spotykali się coraz częściej, potem — również bez jego udziału — zaczęło się rodzić jakieś uczucie i w końcu wylądował z nią w łóżku. — Bierze whisky ze stolika obok i napełnia sobie szklankę. — Co za dupek. Zastanawiam się i to poważnie...

—Nad czym?

—Co ja w ogóle w nim widziałam? Nie na samym początku. Wiem, co wtedy czułam, kiedy jeszcze studiowaliśmy. Był z niego jajcarz. Oboje tacy byliśmy. Ale przez te ostatnie lata... — Wzrusza ramionami i pije. — Co za strata czasu. Jestem za miękka, w tym cały problem. Nie powinnam była czekać, aż to on podejmie decyzję... Powinnam była sama się na to zdobyć, i to dawno temu, zamiast czekać nie wiadomo na co. Powinnam była jakoś ułożyć sobie życie.

—Nie możesz się tak obwiniać.

Na policzki występuje jej krwisty rumieniec.

—A to niby czemu? Patrz, gdzie mnie to zaprowadziło — mamrocze, nagle bardzo cichym głosem. — Donikąd. Gdybym wcześniej to załatwiła, nie siedziałabym tu teraz, pijana jak bela i zrozpaczona, zamartwiając się o przyszłość, marnując energię na nienawiść do Chrisa, robiąc z siebie idiotkę.

—Cieszę się — mówię. Nie chciałem tego powiedzieć, jakoś tak samo mi się wymknęło. Teraz już nie mogę tego cofnąć.

Przygląda mi się zdumiona.

—Cieszysz się, że mnie olał? — pyta z niedowierzaniem.

—Nie, cieszę się, że między wami już koniec. Kiwa głową, jakby wszystko było jasne.

—Spodziewałam się tego. Ostrożnie.

—Co chcesz przez to powiedzieć? Spogląda na mnie znad szklanki.

—Cóż, nigdy nie należałeś do jego zagorzałych wielbicieli, prawda? Zawsze mi mówiłeś, że stać mnie na coś lepszego. I miałeś rację. Nie tylko zresztą w tym... —Na jej ustach pojawia się coś, jakby cień uśmiechu.—Rzeczywiście okropnie cuchnęło mu z gęby...

Zagryzam policzek, bo powiedziałem to kilka miesięcy temu, kiedy ucięliśmy sobie pijacką pogawędkę.

—Pamiętasz to?

—Aż taka pijana nie byłam. — Podnosi szklankę do góry

i przygląda się jej pod światło. — Przynajmniej nie tak jak teraz. — Pociera ręką czoło. — Pamiętam to, i jeszcze co nieco... — Podnosi wzrok i czeka, jak zareaguję.

—Uważałem, że niepotrzebnie zajmuje miejsce — przyznaję, bo nie ma sensu, żebym dłużej zatrzymywał tę opinię dla siebie.

—Jeśli już o tym mowa, on także ciebie nie znosił...

—A to czemu? — pytam zdumiony. — W czym mu zawiniłem?

—W niczym—tłumaczy, wzruszając ramionami.—Chodzi o to, co podejrzewał, że robimy.

Serce zaczyna mi bić szybciej.

—Przecież to śmieszne...

—Czyja wiem. — Przekrzywia głowę i taksuje mnie wzrokiem. —Przystojny z ciebie facet. Nie masz nikogo. Przyjaźnimy się i mieszkamy razem. Nie trzeba nadmiaru wyobraźni, żeby sobie dośpiewać resztę.

Jeśli przedtem moje serce biło jak szalone, teraz ruszyło z szybkością ponaddźwiękową.

—Chyba cię nie podejrzewał o nic konkretnego?

—Nie, nie mówił niczego wprost — przyznaje. — Ale raczej rzadko przemawiał z pozycji siły, musisz przyznać?

—Fakt — mówię. — Przynajmniej nigdy czegoś takiego nie zauważyłem.

—Widziałam, jak na ciebie patrzył, kiedy zostawał na noc. Obserwował nas i starał się znaleźć choć cień dowodu, że jednak coś nas łączy.

—Nigdy czegoś takiego nie było — zauważam.

—Czyżby? — Spogląda na mnie chytrze. — Ani razu? Nawet kiedy się tu wprowadziłam?

—Nie wiem—jąkam się. Uśmiecha się ze smutkiem.

—Ja też nie byłam pewna—mówi. — Po prostu myślałam... na początku... czasem widziałam, jak na mnie patrzyłeś...

—Byłem ciekawy — usiłuję jakoś wybrnąć.

—Ciekawy czego?

—Jaka jesteś... jaką jesteś osobą... Nachyla się i spogląda mi prosto w oczy.

—To znaczy, że nigdy ci się nie podobałam? Ani troszeczkę? Otwieram usta. Sam nie wiem, co chcę powiedzieć. Jestem

rozdarty. Chciałbym wykrzyczeć wszystko, co do niej czuję, ale teraz nagle przeraża mnie, że to się dzieje naprawdę. Poza tym ona jest pijana i może tak sobie tylko gada. To mogą być tylko czcze słowa. Może po prostu pragnie, żeby przyjaciel, ktoś, przy kim czuje się bezpieczna, podbudował jej ego. Zanim jednak mam czas cokolwiek powiedzieć, Karen rozwiewa wszystkie moje wątpliwości.

—Pytam — mówi dalej — bo mi się podobałeś. Wciąż mi się podobasz — uściśla. Przymyka oczy i prostuje się. — No — wzdycha z ulgą. — Nareszcie to z siebie wyrzuciłam.

Jednym haustem opróżnia szklankę z whisky, aż jej dech zapiera.

Siedzę bez ruchu. Mam wrażenie, jakby prąd mnie popieścił.

—Co za dzień — kręci z niedowierzaniem głową. — Żeby tak obnażyć wszystkie swoje uczucia... bardzo to z mojej strony nieelegancko... — Wykrzywia śmiesznie twarz i znowu patrzy na mnie. Nagle celuje we mnie palcem typowo pijackim, przesadnym gestem. — A tak w ogóle, to mógłbyś coś powiedzieć. I nie przejmuj się, jeśli czujesz inaczej. W tej chwili cierpię na nadmiar odrzucenia i szczerze wątpię, czy dodatkowa dawka mogłaby mi jeszcze zaszkodzić.

Pomalutku nachylam się i ujmuję jej dłoń. Patrząc na nią, zamykam ją w mocnym uścisku i nagle czuję, że ona odpowiada tym samym.

—To nie tak — mówię, zniżając głos niemal do szeptu. Ściska moją dłoń jeszcze mocniej, drugą ręką ujmując mnie

pod brodę. Palcem zaczyna gładzić mi policzek.

—Powiedz to — prosi.

—Że mi się podobasz? Potakuje skinieniem głowy.

— Podobasz mi się — mówię.

Czuję jej oddech na twarzy i wtedy to się dzieje: nasze usta się stykają.

— Byłeś wcześniej w moim pokoju? — dochodzi mnie jej szept. Kiedy mówi, nie przestaje muskać mnie ustami.—Widziałeś mnie, kiedy leżałam na łóżku.

Przymykam oczy. — Tak.

— Nie spałam. Wiedziałam, że tam jesteś.

Całuje mnie znowu, ale tym razem nasze wargi się rozchylają. Jej ręka błądzi po moim udzie. Wiem, dokąd zmierza, i pragnę tego. Pragnę tego rozpaczliwie. Nie przestajemy się całować, kiedy nagle staje mi przed oczami Susie i przypomina mi się, co czułem, gdy minionej nocy mnie całowała. Jestem kompletnie skołowany, bo tamto nijak się ma do tego. Nasze nocne pieszczoty pozbawione były intensywności tych obecnych, oszałamiającej mieszaniny przerażenia i zachwytu. Mimo to jednak coś oznaczały, czego nie powinienem ignorować. Nie potrafię nawet określić, co łączy Susie i mnie. Mamy się spotkać we wtorek, czy to jednak oznacza, że ze sobą chodzimy? Czy w tej właśnie chwili dopuszczam się aktu zdrady, staczając się tym samym do poziomu Chrisa? Nie wiem. Nie mam żadnych odnośników, nie wlokę za sobą bagażu podobnych przeżyć, do których teraz mógłbym się odwołać i sprawdzić, jaki następny ruch powinienem wykonać. Mam tylko własne sumienie i to ono nakazuje mi przestać.

— Co się stało? — pyta Karen, gdy się od niej odsuwam.

— Nie mogę tego zrobić. Krzywi się, zdezorientowana.

— Dlaczego?

Zbieram się na odwagę i mówię:

— Spotkałem kogoś w ten weekend — zaczynam powoli, starając się nie patrzeć na nią. — Nazywa się Susie. Ona się nie li... — Sam sobie przerywam i po chwili się poprawiam. — Nie, liczy się. Jest moją przyjaciółką.

Karen odsuwa się ode mnie.

— Nie ma sprawy — mówi martwym głosem. — Nie musisz nic więcej dodawać. Skoro jesteś już zaangażowany... —Znowu przenikają dreszcz. — Ależ się zalałam... — Potrząsa głową i zamyka oczy. — Strasznie jestem głupia.

Łapię ją pośpiesznie za rękę.

— Nie — staram się, żeby mój głos brzmiał zdecydowanie. — Źle mnie zrozumiałaś. To z tobą chcę być, Karen. Uwierz mi, proszę, bo to szczera prawda.

Słyszy, co mówię, ale znaczenie moich słów do niej nie dociera.

—A co z nią? — Przygryza wargę. — Z Susie? Co z nią?

— Kochaliśmy się — przyznaję się bez ogródek. — I nie wiem, co jest między nami w tej chwili. Dlatego nie mogę tego zrobić — z tobą — dopóki nie wyjaśnię wszystkiego z nią. Mam się z nią zobaczyć we wtorek. Powiem...

Ale wszystko, co mówię, brzmi nie tak. Nie potrafię jej wytłumaczyć, o co mi chodzi, bo zrywa się i staje przede mną na chwiejnych nogach. Jej twarz nie wyraża żadnych uczuć.

—Jutro wyjeżdżam — oznajmia. — Na cały tydzień.

— Karen, proszę cię — próbuję raz jeszcze i nachylam się, żeby wziąć ją za rękę. — Zostań i wysłuchaj mnie.

Demonstracyjnie chowa obie dłonie za plecami i ze wzrokiem wbitym w ziemię, kręci powoli głową.

— Nie teraz — mówi cicho. — Dzisiaj mam dość. Za wiele się naraz wydarzyło. Muszę iść. Do łóżka. — Potykając się, przechodzi obok mnie. Przystaje na chwilę i dodaje: — Przepraszam cię. Powinnam była trzymać gębę na kłódkę.

I odchodzi, zanim zdążę cokolwiek powiedzieć. Słyszę, jak zamykają się za nią drzwi do jej pokoju, i nagle zostaję kompletnie sam.

SUSIE

Poniedziałek, godzina 20.00

Nie da się ukryć, że przeholowałam: moje nerki czują się jak worek treningowy Jackie Chana.

Co się ze mną dzieje? Dawniej była ze mnie prawdziwie imprezowa dziewczyna, pierwsza przychodziłam, bawiłam się do upadłego, wychodziłam ostatnia i mogłam zaczynać od początku. A teraz? Jeden głupi weekend i jestem kompletnie wypluta. Może już nie wytrzymuję tempa i znalazłam się „na zakręcie", jak powiadają u mnie w domu. Więc to już koniec? Przede mną już tylko starcze włoski na gębie i ciepłe gacie?

Rzucam torby na krzesło w kuchni i prostuję kręgosłup jak baba w ciąży, podpierając plecy rękami.

Dzisiejszy dzień był koszmarny. Całą noc śniły mi się horrory: o pieniądzach, jeśli chcecie wiedzieć. Były tak realistyczne, że ze strachu bałam się ponownie zasnąć, więc zrobiłam sobie gorącą kąpiel, zużywając resztkę luksusowego olejku do kąpieli. Jednak moja podświadomość wciąż pracowała, bo kiedy wkładałam stopę do gorącej piany, nagle mi się przypomniał stary rachunek oszczędnościowy, lata temu założony na moje nazwisko, chyba przez babcię, gdy niespodziewanie wygrała jakąś kasę na loterii. Tak mnie podekscytowała wizja zapomnianej gotówki, powiększonej przez nietknięte od co najmniej dwudziestu lat odsetki, że bez namysłu wyciągnęłam korek z wanny, narzuciłam byle co na grzbiet i pognałam na pocztę. Chyba mi odbiło, skoro liczyłam, że legitymując się kartą członkowską wypożyczalni kaset wideo i dowodem, ale bez książeczki oszczędnościowej bez trudu dostanę swoją nagrodę. Po godzinnym wystaniu się w kolejce i dobrej chwili błagania, od faceta za ladą usłyszałam, że brakuje mi piątej klepki, i zostałam z niczym.

Wróciłam do samochodu i oczywiście okazało się, że za mało zapłaciłam za parkowanie, a strażnik miejski już stał i pracowicie wypisywał mandat.

— Proszę, niech mi pan tego nie robi — zaczęłam go błagać. — Pan nic nie rozumie, ja naprawdę jestem biedna.

—Ja też — odparł, ze spokojem wyrwał mandat z bloczka i zamaszystym ruchem włożył go za wycieraczkę.

Głupi dupek.

—Ale ja nie mam z czego zapłacić. Jestem bez pracy — jęczałam, z przerażeniem czytając wysokość mandatu.

—Powinna się pani zgłosić do urzędu miejskiego. Potrzebują ludzi. Może pani wypisywać mandaty — skwitował, odchodząc dumnie, jak staroświecki stójkowy. — Albo wywozić źle zaparkowane samochody. Możliwości są nieograniczone.

—Może jestem w tragicznej sytuacji, ale na pewno nie aż tak tragicznej! — wrzasnęłam za nim wściekła, szarpnięciem otwierając drzwiczki.

Potem nie było lepiej. Czując, jak wokół mnie, niczym zapach taniego dezodorantu, unosi się zła karma, zebrałam się na odwagę i powędrowałam do banku. Nad moją kartą do bankomatu wypowiedziałam zaklęcie, chociaż w głębi duszy wiedziałam, że jak tylko włożę ją do złowieszczej gęby maszyny, natychmiast zostanie połknięta. Mimo to zabolało, gdy stało się, jak przewidywałam. To już szczyt bezczelności, żeby bank tak bezceremonialnie zabierał człowiekowi jego kartę kredytową. Mieć tyle lat i być bez grosza — cóż za upokorzenie. Nie da się ukryć, że za czasów studenckich wiodło mi się znacznie lepiej, na pewno zarabiałam wtedy więcej, niż wydawałam.

Siedziałam w samochodzie jak gliniarz na służbie, nie posiadając się z oburzenia i popijając herbatę z automatu, podejrzanie zalatującą kocimi sikami. Pogryzałam też hamburgera — na pewno z psich odchodów — przeglądałam darmową gazetę, znalezioną na stacji metra. Dwie minuty później czułam się kompletnie zatruta i równie kompletnie załamana. Jedyne oferty pracy dotyczyły sprzedaży medialnej, a ja beznadziejnie radzę sobie z telefonem.

Zgnębiona, zaczęłam grzebać w torebce w poszukiwaniu jakiejś starej gumy do żucia, ale znalazłam tylko pomiętą paczkę po papierosach, kilka zmaltretowanych tamponów i stary notes. Wyciągnęłam go i zaczęłam przeglądać nabazgrane wieki temu adresy, zastanawiając się, czy ktokolwiek z mojej wyblakłej listy mógłby mi dać

jakąś pracę albo przynajmniej pożyczył parę groszy. Wątpliwe jednak, skoro z większością z nich się przespałam. Już miałam wrzucić notes z powrotem do torby, żeby podjąć przerwane poszukiwanie gumy do żucia, gdy nagle mój wzrok padł na adres „Najlepszej pracy dorywczej", agencji, którą sto lat temu poleciła mi Amy. W sumie nie wiedziałam czemu, ale uznałam, że warto spróbować.

Biuro agencji mieściło się w pobliżu Oxford Street i kiedy tam weszłam, zastałam tłum dziewcząt, młodszych, bystrzejszych (i na pewno z lepszymi kwalifikacjami) ode mnie. Wieki trwało, zanim dopchałam się do maleńkiego pokoiku z biurkiem oraz drzewem kauczukowym wyrastającym z doniczki pełnej ubrudzonych szminką niedopałków. Przejrzałam wręczony mi formularz. Amy mówiła, że rejestracja tó pestka, trzeba tylko odpowiadać twierdząco na większość pytań. Kiedy w końcu stanęłam przed konsultantką, ta obejrzała mnie od stóp do głów i oświadczyła, że wątpi, czy uda jej coś dla mnie znaleźć. Zaproponowała, żebym popytała o pracę w najbliższym sklepie. Oto, jak się traktuje człowieka.

Ostatecznie dobił mnie Kwikshop. Od samego rana mój udręczony organizm błagał: daj owocki, daj mi jarzynki, daj mi witaminki, daj mi wodę Evian, daj mi cokolwiek, bylebym tylko mógł się znowu poczuć zdrowy, ale jedynym parszywym miejscem, w którym była szansa, że przyjmą moją jeszcze bardziej parszywą kartę kredytową, był właśnie Quikshop za rogiem. Nienawidzę tego miejsca. Większość okolicznych mieszkańców jest przekonana, że sklep to przykrywka dla mafii narkotykowej, a jak wiadomo, w każdej plotce zawsze tkwi ziarnko prawdy. Facet, który tam sprzedaje, faktycznie wygląda, jakby bez mrugnięcia okiem był zdolny poderżnąć komuś gardło. A ten zapach! Mieszanina zwietrzałego piwa i zepsutej wieprzowiny. W dziale warzywno-owocowym straszą pomarszczone, rozkładające się okazy, w tym cytryny, które na pewno leżą tam od czasu, gdy się tu wprowadziłam. Oglądając nędznie zastawione półki i czując na sobie podejrzliwe spojrzenie, zdecydowałam się w końcu

na zupę pomidorową w puszce, stęchły krojony chleb, semteksowy ser (z plastiku i bez wątpienia o działaniu śmiertelnym) i wielką butelkę coli. Dlaczego w tym mieście nie da się jeść zdrowo, jeśli nie dysponuje się kupą forsy? Tylko patrzeć, jak lada dzień wyląduję na ulicy jako żebraczka, na dodatek zatruta.

Podnoszę okno i wlewam zupę do rondla. Moja antyczna kuchenka żyje własnym życiem, nie odstępuję jej więc na krok, ziewając potężnie. Jeszcze mi tylko trzeba, żebym puściła cały ten bajzel z dymem.

Tył mojego mieszkania wychodzi na żelazne schodki pożarowe, zasłane od góry do dołu śmieciami, które lokatorzy wyrzucają do stojących na dole cuchnących kubłów. Z naprzeciwka dochodzi motyw przewodni z *EastEnders* i zawodzący płacz dziecka. Dwa piętra niżej Evander i Tyson, dwa przerażające buli mastyfy jak zwykle zjadają sobie nawzajem uszy. Mieszkająca na parterze staruszka zostawiła drzwi otwarte i słyszę, że znowu kaszle, wprawiając w ruch strzępy płuc, pozostałość po pięćdziesięciu latach nałogowego przywiązania do rothmansów. Biedulka. Aż mnie ręka świerzbi, żeby jej porządnie przywalić w grzbiet.

Odgłosy ludzkiej egzystencji zapewne są kojące, ale mając świadomość, że wszyscy mieszkamy samotnie w tych wielkich blokach, jedni nad drugimi, czuję się dziwnie wyizolowana. Nawet nie wiem, jak się nazywają ludzie, którzy być może parzą w tej chwili herbatę, oddzieleni ode mnie zaledwie ścianą. Może ktoś z nich leży tam gdzieś martwy, co sądząc po zapachu, nie jest wcale takie niemożliwe.

Po co mam brać talerz, skoro i tak jestem sama. Mniej zmywania. Siadam z rondlem przy stole i przysuwam do siebie małe, przenośne radio, w którym nic nie ma. Same idiotyczne reklamy albo dyskusje o rolnictwie w trzecim świecie. Przelatuję skalę, aż natrafiam na jakąś taneczną muzykę i zaczynam kiwać głową do taktu, bez przekonania jednak.

Zanurzam chleb w zupie i patrzę, jak skapuje z niego pomarańczowa ciecz. Nagle czuję, że zbiera mi się na płacz. Częściowo to opóźniony efekt działania alkoholu, nie

mam się więc czemu dziwić. Dawkując sobie taką porcję dobrej zabawy, musiałam nadwerężyć receptory szczęścia. Ale nie jest to jedyny powód. Drzemiące we mnie dziecko zawsze się w takich chwilach zastanawia, czy nie byłoby lepiej nie doświadczać niczego w życiu, żeby potem, kiedy wszystko mija, po prostu nie cierpieć? Weźmy taki przykład: czy pomidorowa zupa z puszki nie smakowałaby mi lepiej, gdybym wcześniej nie poznała wyśmienitego smaku mamusinej zupki jarzynowej? Pytanie jest idiotyczne, ponieważ tak naprawdę uwielbiam pomidorową z puszki. Po prostu tęsknię za domowymi pieleszami. I tęsknię za minionym weekendem.

Chciałabym, żeby nigdy się nie skończył. Te dwa dni spędzone z Amy i częściowo ze Stringerem minęły błyskawicznie i kiedy teraz siedzę sama w mieszkaniu, tak brutalnie przywrócona swojemu codziennemu, nędznemu żywotowi, samotność i przygnębienie dokuczają mi ze zdwojoną siłą. Głupia jestem, bo przecież panieński weekend Amy trudno określić mianem „normalnego", ale ja lubię mieć koło siebie ludzi. Czasem czuję się jak postać z *Przyjaciół.* Tylko że tam nikt nie zażywa miękkich narkotyków i wszyscy mają piękne włosy.

Mimo że H zachowała się jak ostatnia suka, i tak świetnie się bawiłam. Ale to się już nigdy nie powtórzy. Spotkamy się wszyscy jeszcze raz na ślubie, po czym Amy wyjedzie z Jackiem, a co stanie się ze mną?

Wycieram garnek do czysta kolejną kromką chleba i wrzucam go do zlewu. Zazwyczaj gdy wpadam w taki nastrój, wychodzę. Dzisiaj jednak jestem zbyt zmęczona, no i nie mam grosza przy duszy. Wystarczy, że człowiek odetchnie w tym mieście-pijawce, a kasa

wycieka jak woda z dziurawej beczki. Nie pozostaje mi nic innego, jak walnąć się w wyro. To jedyne miejsce, na które mnie jeszcze stać.

Wkładam swoją najbardziej wysłużoną piżamę i kładę się na łóżku z poczuciem, że znowu mam dziesięć lat. Zasłony są zaciągnięte, ale wiem, że na dworze wciąż jest jeszcze jasno, i słyszę, jak po dachu dreptają gołębie. Przekręcam się na brzuch i biorę

z nocnego stolika książkę. Może w końcu uda mi się trochę poczytać, bo odkąd zaczęłam ją kilka tygodni temu, niezmiennie usypiam na tej samej stronie. Z westchnieniem przyciągam do siebie poduszkę, żałując, że to nie ciepłe ciało Stringerà. Nie, żebym miała ochotę na seks. Chciałabym się tylko do kogoś przytulić. Może zaspokoję to pragnienie jutro, kiedy się z nim spotkam. Przynajmniej mam na co czekać.

Musiałam chyba usnąć jak kamień, bo dobrze po północy wyrywa mnie ze snu dźwięk telefonu. Niezdarnie gramolę się z łóżka i idę odebrać go w przedpokoju.

Dzwoni Maude.

—Mówisz, jakbyś spała — świergoli.

—Bo spałam — ziewam i zdejmuję okulary. Zasnęłam w nich i teraz mam na nosie głębokie odciski.

—To się obudź, głuptasie.

—Dobra, dobra, już nie śpię.

—Teraz słuchaj. Zrobiłam poważne rozeznanie terenu i uważam, że byłabyś-skończoną idiotką, gdybyś tu nie przyjechała.

Zaczyna podawać mi tysiąc powodów, dlaczego. Ze bardzo szybko znalazłabym dorywczą pracę. Że kupiłybyśmy sobie samochód, wyruszyły na podbój Stanów i przeżyły przygodę życia. Słucham

jej i każde słowo trafia mi prosto do serca. Ponieważ zawsze o tym marzyłam i ponieważ nie wiem, czy tu właśnie chcę się osiedlić na dobre.

—Pamiętasz, jak robiłyśmy listę tego, co chcemy zrobić przed trzydziestką? — pyta Maude.

—Pamiętam.

— I co było na pierwszym miejscu twojej?

—Zwiedzić świat — przyznaję, wspominając swoją młodzieńczą pazerność.

—Teraz masz swoją szansę. Obojętnie jak, ale zbieraj się i przyjeżdżaj. Sooze, zawsze lubiłaś korzystać z okazji. Co prawda czasem ci się zdarzało źle trafić, ale przysięgam — ta jest najlepsza, jaka ci się do tej pory nadarzyła.

Kiedy się rozłącza, stoję jeszcze chwilę z ręką na słuchawce. Słyszę buczenie lodówki i widzę smugę pomarańczowego światła na ścianie, rzuconą przez przejeżdżający samochód. Niby wszystko wygląda jak zawsze, ale coś się jednak zmieniło. Sprawiły to słowa Maude, które niczym zaklęcie kazały mi podjąć decyzję.

Idę do łazienki i siadam na klopie, zakłopotana i podekscytowana jednocześnie. Nieomal w tej samej chwili telefon dzwoni znowu. Klnąc na czym świat stoi, biegnę do przedpokoju, pewna, że to znowu Maude. Ale nie, dzwoni Stringer.

Telefon Maude tak mnie wytrącił z równowagi i tak mi się chce sikać, że słysząc mój, pewnie dziwny, głos, Stringer mówi sztywno i bardzo oficjalnie.

—Wybrałem nieodpowiedni moment? — pyta. — Może zadzwonię kiedy indziej. Rzeczywiście, jest już późno...

—Nie, nie. Nic się nie stało — Pocieram ręką czoło. Bardzo chciałam z nim pogadać, ale teraz kompletnie mnie zaskoczył. Mam ochotę natychmiast o wszystkim mu powiedzieć, pochwalić się, że jadę do Kalifornii, ale coś mnie powstrzymuje.

—Jak się masz? — pytam, niczym grzeczna sekretarka, dość nietypowo jak na siebie.

—Och, no wiesz... — kiedy mówi, od razu jego twarz staje mi przed oczami. Widzę, jak marszczy brwi i robi mu się między nimi głęboka bruzda. — W pracy istne wariactwo. Jestem kompletnie upieprzony.

—Pewnie upieprzony w dosłownym znaczeniu tego słowa, co? — wyskakuję jak kretynka. Gryzę się w język, szkoda, że trochę poniewczasie. Następuje chwila ciszy, po czym Stringer chrząka.

—Susie, to do jutra...

—Jutra? — powtarzam, starając się, żeby zabrzmiało to tak, jakbym zapomniała, że mieliśmy się spotkać. — Jutra? Ach, tak. Jakiś problem?

—To znaczy... hm... trochę mi głupio, ale mam zaległości w pracy i chyba nie będę miał czasu się z tobą spotkać.

—Och.

—Ale postaram się coś wykombinować na weekend, obiecuję — mówi pośpiesznie.

—Nie zawracaj sobie głowy—jestem wspaniałomyślna, ale serce mi się kraje namyśl, ile jeszcze trzeba czekać do weekendu.

—Nie gniewaj się — przeprasza znowu. — Naprawdę chciałbym się z tobą zobaczyć.

—Ja także chciałabym cię zobaczyć — wymyka mi się, choć wiem, że powinnam siedzieć cicho.

Stringer nie reaguje.

—Pogadamy w tygodniu — mówi.

I rozłącza się. Tak po prostu. Zupełnie jakbyśmy podczas ostatniego spotkania wymienili wizytówki, anie płyny ustrojowe.

—Gówno — klnę. — Gówno, gówno, gówno.

H

Wtorek, godzina 9.30

Otwieram puderniczkę, żeby sprawdzić, jak wyglądam, i ewentualnie przypudrować trochę nos. Zrobiłam to już dwukrotnie dzisiejszego ranka, ale dbałości o wygląd nigdy za dużo. Grzebię w kosmetyczce, wyławiam z niej moją najlepszą konturówkę Lancóme i odkręcam, żeby raz jeszcze obrysować sobie usta.

—Już tu jest — mówi Brat, gwałtownie otwierając drzwi i stając w nich z ręką opartą na klamce.

—Nie rób tego! — krzyczę, a konturówka podskakuje mi aż pod nos.

—Prześlicznie — mówi ze złośliwą satysfakcją i z hukiem zatrzaskuje drzwi, a ja znowu podskakuję.

Robię wściekłą minę do zamkniętych drzwi i wyciągam papierową chusteczkę ze stojącego na biurku pudełka, żeby poprawić to, co właśnie przez tego idiotę schrzaniłam. Nie wyglądam najgorzej, zważywszy, że ostatniej nocy prawie w ogóle nie spałam, a na czole, między brwiami wyrósł mi kolosalny pryszcz, który

potraktowałam toną korektora.

Dotykam go małym palcem i krzywię się.

Uspokój się. Przestań świrować.

Perfumuję się za uszami, potem psikam przegub ręki i ocieram go o drugi. Oddycham głęboko i wycieram spocone dłonie w spódnicę, ale nie na wiele się to zdaje.

Laurent tu jest.

Tutaj, w Londynie.

W tym budynku.

W tej chwili.

Biorę papiery z biurka i robię w nich porządek. Przy swoim biurku Brat znowu szepcze przez telefon, przysłaniając dłonią słuchawkę. Stoję zniecierpliwiona, czekając, aż łaskawie skończy. Spogląda na mnie i odkłada telefon.

—Masz mi to skserować — mówię, nie zwracając uwagi na jego zgnębioną minę i rzucam mu papiery na biurko. — Gdzie poprawione scenariusze? — pytam.

—Gdybyś dała mi trochę czasu, zająłbym się nimi — burczy. Wzdycham, nie kryjąc zniecierpliwienia. Od wczorajszego

ranka, kiedy zjawiłam się w pracy, Brat ma najwyraźniej jakiś problem. Pewnie ma muchy w nosie, bo kiedy byłam w Paryżu, mógł się obijać na całego.

—Może gdybyś mniej gadał przez telefon, załatwiając prywatne sprawy, znalazłbyś czas — mówię z naciskiem. — Chcę to mieć na swoim biurku po południu. I żadnych wykrętów.

Obracam się, przyciskając teczkę z dokumentami do piersi i idę do windy. Ciekawe, czy ktoś widzi, że drżą mi kolana.

Jakie to niesprawiedliwe. Chciałam, żeby nasze następne spotkanie z Laurentem odbyło się bez świadków. Wyobrażałam sobie, że on czeka na mnie na dworcu w Paryżu albo ja biegnę i rzucam mu się w objęcia na lotnisku. Nawet przez myśl mi nie przeszło, że zjawi się tutaj, w Londynie. Nie wyobrażałam go sobie w moim świecie. W moim biurze. W obecności Eddiego, na miłość boską.

Zanosi się na jedno wielkie upokorzenie. Od wyjazdu z Paryża nie zamieniłam z

nim ani słowa i pewnie teraz sobie myśli, że jestem jakąś nimfomanką. Dzwoniłam do niego z „Niebiańskiego Wypoczynku" i zostawiłam na sekretarce tragiczną, łzawą wiadomość, w niedzielę wieczorem posłałam mu trzy SMS-y, a przez cały wczorajszy dzień próbowałam złapać go w biurze, ale wciąż był „na spotkaniu".

O piątej po południu, sięgnąwszy samego dna rozpaczy, zadzwoniłam do Amy.

—On mnie nienawidzi — oznajmiłam jej.

—Wcale cię nie nienawidzi — odparła, najwyraźniej nie traktując mnie serio. — Może rzeczywiście jest na spotkaniu.

—Nieprawda. Ignoruje mnie. To już koniec.

—Uspokój się. Wszystko będzie dobrze — powiedziała, ale jakoś bez przekonania. Znacznie bardziej interesowało ją, czy nie powinna zawieźć Jacka na pogotowie, ponieważ przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny nawet się nie poruszył.

Uznałam, że pora zakończyć ten dzień, i wyłączałam właśnie komputer, gdy zjawił się Eddie.

—Wszystko w porządku? — zapytał, niby ot, tak sobie. Kiwnęłam głową, wiedząc, że o coś mu chodzi.

—Miałam ciężki weekend i chyba już pójdę do domu — powiedziałam ostrzegawczym tonem, otwierając torbę.

—Możesz przyjść jutro wcześnie? — on na to.

—Zawsze jestem wcześnie — nie omieszkałam mu przypomnieć i schowałam do torby rękopis, rozwścieczona jego insynuacją, że się obijam.

—No tak, ale jutro mamy gościa — powiedział.

—Kogo?

—Laurenta. Przyjeżdża z Paryża i wygląda na to, że chce się z bliska przyjrzeć naszej strategii.

Gdyby zapowiedział wizytę prezydenta Stanów Zjednoczonych, doznałabym mniejszego szoku, ale i tak udało mi się wytrzymać spojrzenie Eddiego, i chociaż żołądek, wykonując salto, podskoczył mi do gardła, zachowałam zimną krew.

— Spotkanie z Laurentem i resztą władzy ma się odbyć o dziewiątej trzydzieści,

ale pomyślałem, że może miałabyś ochotę wpaść się przywitać nieco wcześniej, skoro zdążyliście się już poznać.

— Jasne — powiedziałem. — Wielkie dzięki.

Spakowałam resztę moich rzeczy, ale w głowie tak mi huczało, że nie zauważyłam Eddiego, który wciąż jeszcze wyczekująco stał w drzwiach.

—Och... i... ee... gdybyś mogła mi te harmonogramy wydrukować od nowa, na papierze firmowym? — zapytał na pożegnanie i odpłynął tanecznym krokiem, zanim zdążyłam zaprotestować.

Przez chwilę stałam jak zamurowana. Ocknęłam się, chwyciłam żakiet i pognałam do domu, żeby rozpocząć gorączkowe przygotowania.

Jakaś część mnie — ta bardziej próżna — drżała sekretnie, podekscytowana, bo przecież istnieje szansa, cień szansy, że Laurent zaplanował tę niespodziewaną podróż, ponieważ zapragnął się ze mną zobaczyć. Może po prostu nie mógł oddzwonić, ale tak bardzo chciał ze mną porozmawiać, że postanowił przyjechać osobiście i wynagrodzić mi w ten sposób swoje milczenie. Może nawet trzyma w zanadrzu jakiś wspaniały plan: na przykład chce się przeprowadzić do mnie, do Londynu. Albo zaproponuje mi wyjazd do Paryża i współpracę.

A może po prostu powinnam się walnąć w czoło.

Mam na sobie swój najlepszy żakiet od Josepha i bluzeczkę, którą musiałam wyprać w rękach i która jeszcze jest troszkę wilgotna, mimo że rano robiłam, co mogłam, żeby wyprasować ją do sucha. Teraz, kiedy wysiadam z windy, jest mi w niej trochę niewygodnie. Sprawdzam raz jeszcze, czy wszystkie papiery mam w porządku.

Zastaję Eddiego i Laurenta w salce konferencyjnej, gdzie oglądają jakąś reklamówkę mydła na ustawionym w kącie wideo. Laurent stoi zjedna ręką założoną na piersi, drugą przytrzymuje brodę i ze zmarszczonym czołem wpatruje się w ekran. Jest opalony i nosi garnitur, który jakoś dziwnie do niego nie pasuje. Ale do tej pory widziałam go wyłącznie w dżinsach i T-shircie,

ze szpakowatymi włosami opadającymi swobodnie na kołnierzyk. W tym garniturze wygląda trochę jak gwiazdor futbolu na przyjęciu oficjalnym i chociaż obiecałam sobie zachowywać się jak profesjonalistka, nic nie mogę poradzić na tępy ból, który nagle pojawia mi się w kroku.

—O, jesteś! — mówi Eddie na mój widok i naciska przycisk stop na pilocie. — Laurent, poznałeś już Helen?

—Witaj znowu — mówię z uśmiechem i nachylam się, żeby uścisnąć mu dłoń. Tę samą dłoń, którą widziałam w hotelowym lustrze, pieszczącą namiętnie mój pośladek.

—Cześć — odpowiada Laurent bez zbędnych ceregieli i wpatruje się we mnie tymi swoimi niebieskimi oczami.

—Tak, to ja może pójdę po dokumenty do siebie i po drodze złapię Willa — mówi Eddie, ruszając ku drzwiom. Ale ja prawie go nie słyszę. — Helen, zaopiekujesz się Laurentem, prawda?

—Och, naturalnie — uśmiecham się radośnie. Patrzymy oboje, jak Eddie wychodzi i zamyka za sobą drzwi.

Następuje chwila ciszy.

—Co słychać...?—pytam, trochę nerwowo splatając dłonie. Jak to zwykle bywa z takimi pytaniami, także i to jest niezwykle głębokie, ale musimy się przecież śpieszyć.

Laurent patrzy na mnie, a ja fizycznie czuję swoją nie najlepiej nałożoną szminkę i wiem, że może wyprzedzam fakty, kiedy jednak powoli uśmiecha się do mnie, zalewa mnie ogromna fala ulgi.

Więc jednak cieszy go mój widok.

—No właśnie, co słychać? — powtarza, drocząc się ze mną.

Wpatrzona w jego twarz z lekko uniesioną brwią i chłopięcymi dołeczkami w policzkach, niezdarnie pokonuję dzielący nas wzorzysty dywan i wkraczam w jego osobistą przestrzeń.

—Tęskniłam za tobą — mówię szeptem i dotykam lekko dłonią jego rękawa, pamiętając, jak cudownie jej było pod jego ramieniem.

—Och, Helen — wzdycha Laurent. Jego akcent jest dla mnie jak pieszczota i przymykając oczy, nachylam się, czekając, kiedy mnie obejmie. Ale zamiast zamknąć

mnie w namiętnym uścisku, on tylko kładzie mi ręce na ramionach.

—Ty chyba nie rozumiesz — mówi, patrząc na mnie łagodnie.

—Czego nie rozumiem? Laurent prostuje się i cofa ręce.

—Twoja wizyta — zaczyna — była... jak mam to ująć...?— Wygląda, jakby miał opisać smak nie znanego mu wina, po czym kończy myśl: — Bardzo wyjątkowa.

Stoję zupełnie nieruchomo. Choć mówi z silnym francuskim akcentem, bardzo dokładnie słychać w jego głosie słowo „ale".

—Co to znaczy?

—O mój Boże. — Wyraz mojej twarzy chyba go nieco bawi.

— Mam nadzieję, że nie wyciągnęłaś pochopnych wniosków.

—Jakich pochopnych wniosków?

—Nie możemy kontynuować tej... — macha ręką, jakby chciał przegonić jakiś niemiły zapach — .. .rzeczy.

—Rzeczy? — powtarzam.

Laurent podchodzi do mnie znowu, ale ja się cofam, nagle pojmując całą swoją bezgraniczną głupotę.

—Jesteś piękną kobietą — mówi, ale ja już nie chcę niczego słuchać.

—Wykorzystałeś mnie — przerywam mu drżącym głosem.

—Myślę, że wykorzystaliśmy się nawzajem—uśmiecha się.

— I to całkiem przyjemnie.

Wbijam wzrok w dywan. Czuję, jak narasta we mnie gniew.

—Czy nie możemy zostać przyjaciółmi? — pyta, ujmując mnie pod brodę i podnosząc moją twarz, ale ja potrząsam głową i jego ręka opada. W tym momencie otwierają się drzwi i wpada przez nie Will, nasz szef, Eddie tuż za nim.

—Laurent, stary przyjacielu! — woła Will od progu. Obładowany jest stosem segregatorów i kaset, które z czerwonymi od wysiłku policzkami z ulgą rzuca na stół.

—Helen już znasz, to dobrze, bardzo dobrze -— mówi bez tchu, podchodząc do nas.

Eddie przeczesuje ręką włosy i patrzy na mnie z niepokojem. W obecności Willa zawsze jest zdenerwowany, a mnie nie powinno tu być wcale. Choć pieką mnie oczy, staram się zachowywać jak gdyby nigdy nic i zbieram swoje papiery.

—No, świetnie — sapie Willy, wspierając się pod boki. — Co tam w domu? — zwraca się do Laurenta. — Jak żona?

Żona?!

—A dzieciaki?

Zamykam oczy. Każdy mięsień mam napięty jak struna.

—Mają się świetnie, dziękuję — mówi grzecznie Laurent.

—Wspaniale. Wyśmienicie — powtarza Will i zaciera ręce. — To co, bierzemy się do roboty?

Patrzę na Laurenta i mam wrażenie, że nogi wrosły mi w podłogę.

—Helen? — mówi znacząco Eddie. — Miło, że znalazłaś chwilkę, żeby spotkać się z Laurentem. A teraz może zajęłabyś się tymi harmonogramami?

—Ach, tak... jasne — bąkam spłoszona i ruszam sztywno do drzwi.

R S

SUSIE

Wtorek, godzina 19.30

—No, Sooze. Brudy, proszę — mówi Amy, rzucając mi spojrzenie przez ramię. Stoi przy kuchennym zlewie, zajęta przesadzaniem kwiatka i to ona jest brudna, po łokcie umorusana ziemią.

—Wszystko już wiesz. Nie ma co więcej opowiadać — wzruszam ramionami.

Nakrywam dla nas stół, z zachwytem podziwiając modne fioletowe podkładki pod talerze. Wprosiłam się do Amy na obiad, ponieważ Jack gdzieś wyszedł, a Stringer wystawił mnie do wiatru. Poza tym gdybym jeszcze chwilę spędziła we własnym

mieszkaniu, chodząc tam i z powrotem i zjadając kolejną porcję Opychy, jak nic wylądowałabym u czubków.

Amy podcięła sobie włosy i kiedy teraz dociska ziemię w doniczce, pięknie układają jej się na ramionach.

—Tak jest znacznie lepiej — mówi, odstawiając paprotkę na parapet.

—Co tu się dzieje? — pytam, rozglądając się wokół. — Wszystko aż lśni.

—To robota Jacka — śmieje się Amy. — Kiedy w końcu doszedł do siebie, stwierdził, że w takim chlewie mieszkać nie będzie. Uważa, że jestem strasznym niechlujem i razem z MrMuscle wypowiedział wojnę brudowi.

Na myśl o Jacku w gumowych domowych rękawicach także wybucham śmiechem.

—Pewnie ma wyrzuty sumienia — chichocze Amy. — Ale co tam, nie zamierzam wyprowadzać go z błędu. Zresztą zapał do prac domowych szybko mu przejdzie. Ma przywieźć resztę swoich rzeczy od Matta, więc zapewne chwilowo zaleją nas pozostałości kawalerskiego życia mojego przyszłego małżonka—dodaje i wyrzuca gazetę, na której przesadzała kwiatek.

—Ojejku! Świerszczyki, majtki byłych ukochanych, ckliwe liściki miłosne, składanki muzyczne — zawsze to samo. — Kiwam ze zrozumieniem głową. — Coś okropnego.

Amy mierzy mnie wzrokiem.

—Jack? Nie, nie, nie. To będą tylko przytulanki i zdjęcia z dzieciństwa — mówi słodziutkim głosem.

—Akurat — parskam śmiechem.

Śle mi jedno z tych swoich spojrzeń więziennego klawisza.

—Wszelkie ślady przeszłości zostaną bezzwłocznie zlikwidowane — ostrzega.

—Fiu! Ostra z ciebie żoneczka, co? — droczę się z nią.

—A co! — śmieje się. Wyciera ręce w kuchenną ścierkę i ciska nią we mnie.

—Teraz ty — mówi złowieszczo. — Przestań zmieniać temat. Proszę mi tu zaraz opowiedzieć wszystko o Stringerze.

—Ale co? — pytam obronnym tonem.

Amy stawia nogę na taborecie i widelcem zaczyna sobie czyścić ziemię zza paznokci.

— Na początek chcę usłyszeć, czy jego sława jest uzasadniona? Rzeczywiście ma takiego wielkiego? — Patrzy na mnie ze złośliwym uśmieszkiem.

Po raz pierwszy muszę ją okłamać.

—O, tak — potwierdzam. — Coś niewiarygodnego. Amy aż piszczy z uciechy.

— Wiedziałam, wiedziałam! Trudno się pomylić co do takich facetów jak Stringer. Wiedziałam, że musi mieć wielkiego kutasa!

Uśmiecham się, starając się nie pokazać po sobie zakłopotania. Kosztuję wino.

—No i? — Strasznie jest dociekliwa. — A seks? Jak było? Zamiast jednak jej powiedzieć, że czułam się jak puf-mama

z burdelu na Dzikim Zachodzie, której udało się rozprawiczyć najpiękniejszego kowboja w mieście; zamiast przyznać, że byliśmy pijani i niezdarni i nasza noc w niczym nie przypominała szalonego maratonu seksu, j akiego się spodziewałam, opieram się łokciami o stół i mówię po prostu:

—Cudownie. Było naprawdę cudownie.

—Cudownie? — Amy krzywi się zawiedziona. Odkłada widelec i zdejmuje nogę z taboretu. — Tylko tyle?

Wstaje i podchodzi do kuchenki, na której gotuje się spaghetti. Nad kuchenką zamontowała sobie jedno z tych modnych ostatnio wieszadeł, pełne lśniących kuchennych przyrządów. Podnosi pokrywkę z garnka i zdejmuje spiczastą łyżkę, żeby zamieszać spaghetti. Co się z nią porobiło? Dawniej potrafiła tylko zrobić tosty, a teraz wygląda, jak żywcem wyjęta z kolorowego dodatku do niedzielnej gazety.

—Co złego w tym, że było cudownie? — pytam obronnym głosem, ale chyba trochę przesadziłam, bo odwraca się i spogląda na mnie.

—Nie, jasne, że nic — mówi, a ja wiem, że w ten sposób kupiłam sobie członkostwo w jej klubie. Klubie ludzi, którzy nie opowiadają o seksie ze swoimi

partnerami, ponieważ jest to sprawa intymna, wyjątkowa i cudowna. Ponieważ się kochają. Nic więcej dodawać nie trzeba.

Och, od tak dawna pragnę się w tym klubie znaleźć. Od chwili, gdy zamieszkała z Jackiem i zaczęła wspólnie z nim wić gniazdko. Ale moja pora jeszcze nie nadeszła. I chociaż ona cieszy się, że być może Stringer i ja pójdziemy w ich ślady, co ma wyraźnie wypisane na twarzy, ja tej radości jakoś z nią nie dzielę.

Amy zdejmuje z suszarki dwa talerze i nakłada na nie spaghetti.

—O co chodzi? — pyta, siadając i podsuwając mi talerz.

—To nie tak. Ze Stringerem i ze mną. — Spoglądam na dymiący talerz, wdycham aromat carbonary, ale nagle nie czuję się już głodna.

—Sooze? — pyta.

—Wyjeżdżam — wyrzucam z siebie.

—Co?

—Do Kalifornii. Do Maude i Zip.

Amy, wyraźnie zaskoczona, prostuje się na krześle.

—Chrzanisz! Kiedy na to wpadłaś?

—Maude dzwoniła do mnie, zaraz jak przyjechała i jeszcze raz, wczoraj wieczorem. Taka okazja może się już nie powtórzyć.

—Och — mówi w osłupieniu. — I co ty na to?

Oto pytanie za sześć milionów dolarów i powód, dla którego tu przyszłam. Ponieważ z jednej strony jestem podniecona, ale z drugiej boję się jak cholera, a wiem, że Amy będzie wiedziała, co z tym począć. To jedyna znana mi osoba, która posiada odpowiednie kwalifikacje, żeby przeprowadzić mnie przez morze wszystkich za i przeciw takiej decyzji i powiedzieć mi, czy podejmuję słuszną. Ale kiedy mam ją właśnie zapytać o radę, dzwoni telefon. Amy sięga za siebie i bierze bezprzewodową słuchawkę.

—Słucham? — mówi, mnie dając znak, żebym zaczekała, bo to potrwa tylko chwilkę. Po drugiej stronie jednak odzywa się H i Amy wywraca oczami.

— Co się stało? — pyta ze współczuciem i podnosi swój widelec, zachęcając mnie gestem, żebym zaczęła jeść.

Typowe. Stoję oto przed najważniejszą decyzją w moim życiu i od razu musi się napatoczyć H, żeby wleźć mi w paradę.

Wbij am widelec w spaghetti, przepełniona absurdalną złością. Teraz moja pora i H nie ma prawa mi przeszkadzać, ale słyszę, jak Amy wzdycha, nie pozostaje mi więc nic innego, jak dalej w samotności przeżuwać makaron.

Królowa dramatu, oto cała H. Gdyby miała choć odrobinkę samoświadomości, potrafiłaby rozwiązywać swoje problemy sama, a nie szukać co pięć minut ratunku u Amy. Tak jakby Amy nie miała dość swoich własnych zmartwień.

Ale kiedy tak siedzę, kierując na H złe wibracje, dociera nagle do mnie, że przecież ja nie jestem lepsza. Jestem po prostu zazdrosna, bo chciałabym, żeby Amy swój czas poświęcała wyłącznie mnie i mnie pomagała uporać się ze zmartwieniami. Z tym że nie musi mi mówić, co mam robić, ponieważ ja już wiem. Wiedziałam od chwili, gdy zadzwoniła Maude.

Cały dzień zżerał mnie strach, martwiłam się o Stringerà i teraz, słuchając jednym uchem, jak Amy radzi H, żeby była szczera wobec kogoś tam, uznaję, że i mnie szczerość wobec samej siebie by się przydała.

Muszę więc spojrzeć prawdzie w oczy i uczciwie przyznać sama przed sobą, że nawet jeśli rzeczywiście podobam się Stringerowi — bo, że on podoba się mnie, wiem na pewno — nic więcej nas nie łączy: tylko się sobie podobamy. Nie kocham go. Uważam, że jest superfacetem, ale podobnie uważa zapewne milion dziewcząt, a teraz, gdy nabrał seksualnej pewności siebie, czy mam prawo stać mu na drodze?

A jeśli mam być już tak do końca szczera, to muszę przyznać, że jego niewinność jest dla mnie odpychająca. Mój bagaż doświadczeń w tej dziedzinie jest imponujący, on zaś jest jak czysta, niezapisana tablica i nawet gdybym z całych sił starała się być wobec niego lojalna, prędzej czy później nie wytrzymałabym. Ponieważ zawsze tak było, czemu więc ze Stringerem miałoby

być inaczej ? Nie chcę faceta, o którego musiałabym się troszczyć. Chcę być kochana i otoczona opieką — chcę miłości, jaką Jack obdarza Amy.

Ale to też nie do końca jest tak. Jack wcale nie otacza Amy opieką. Nie żyjemy przecież w latach czterdziestych. Rozglądam się po ich nowej, przytulnej, zalanej ciepłym światłem nowo zainstalowanych lamp kuchni. I nagle pojmuję, że na tym właśnie polega miłość: na znalezieniu odpowiedniej osoby, z którą buduje się nowe, wspólne życie, oparte na wzajemnych kompromisach, z której przeszłością i złymi nawykami trzeba żyć, bo w niczym się one od naszych nie różnią.

Ja nawet się do tego nie zbliżyłam. Nie tylko ze Stringerem, ale z nikim w ogóle. Chyba więc, na razie, muszę radzić sobie sama.

—Wybacz — mówi Amy, odkładając telefon.

—Coś się stało? — pytam, wciągając do ust nitkę makaronu, choć tak naprawdę H nic a nic mnie nie obchodzi, o czym Amy dobrze wie.

—Jakiś podwójny kryzys: z pracą i z facetem— wyjaśnia. Nic nie mówię i przez chwilę jemy w milczeniu.

—Nie gniewaj się. — Amy nachyla i dotyka mojej ręki. — Naprawdę mi przykro, że nam przeszkodziła. Ale była załamana i nie mogłam jej tak po prostu spławić.

—Nie ma sprawy — uśmiecham się. — Wybrała sobie nie najlepszą porę, ale to nie twoja wina, że wszyscy chcemy się ciebie radzić. Nie mam pojęcia, co zrobimy, jak już wyjdziesz za mąż.

—Nie mów tak! Przecież nie umieram. Dalej tu będę.

—Wiem, wiem — mówię. — Tyle tylko, że wszystko tak nagle się zmienia.

—Ale zmiany to nic złego.

Kiwam głową. — Czasem tylko są trochę przerażające.

—Mnie to mówisz! — parska śmiechem. — W przyszłym tygodniu mam pójść do ołtarza. To dopiero jest przerażające!

—E tam, to pikuś — bagatelizuję sprawę. — Tak było ci pisane.

—A twój wyjazd? Też był ci pisany?

—Chyba tak. Boję się i jestem cała chora, ale przynajmniej się nie nudzę. Trochę potrwa, zanim zbiorę forsę.

—Stringer już wie? — pyta. Potrząsam głową.

—Martwisz się, jak to przyjmie? — Jak zwykle trafia w dziesiątkę. Ponieważ rzeczywiście trochę się tego obawiam. Nie chcę odbierać mu dopiero co zdobytej pewności siebie ani stwarzać pozorów, że przed nim uciekam. Poznałam przecież jego największy kompleks i ostatnie, czego bym chciała, to go w nim utwierdzać. Mógłby przecież pomyśleć, że go odrzucam. Ale tego Amy usłyszeć nie może.

—Obawiam się, że ma nadzieję na jakiś poważniejszy dam-skomęski układ — wyjaśniam jej.

—A na nic takiego się nie zanosi?

—Na razie chyba nie. Kiedyś, może. Ale w tej chwili nie mam na to ochoty. Chcę podróżować, zwiedzać świat i chcę tego dla siebie. Czy jestem bardzo samolubna?

Amy uśmiecha się do mnie.

—Jesteś. Ale cieszę się, że w końcu tak myślisz. Dotąd zawsze troszczyłaś się przede wszystkim o innych.

—Więc co mam począć ze Stringerem?

—Musisz zebrać się w sobie i powiedzieć mu wszystko prosto z mostu, zanim zacznie sobie coś wyobrażać. I bez obrazy, ale na brak dziewczyn Stringer nie może raczej narzekać, więc jestem pewna, że szybko dojdzie do siebie.

—Racja — przyznaję ze śmiechem, choć dobrze wiem, że to nieprawda.

—Myślę nawet, że przyda mu się trochę utemperować to jego wybujałe ego.

—Być może — mówię.

Amy nalewa mi do kieliszka wino.

—Twoje zdrowie, moja śliczna Sooze — wznosi toast. — Ani przez chwilę nie będzie mi cię brakowało.

Uśmiecham się, szczęśliwa i smutna jednocześnie, ponieważ ona nawet nie podejrzewa, że jej brakuje mi już w tej chwili.

H

Środa, godzina 11.00

Wyciągam szyję, żeby dojrzeć przez przednią szybę nazwę ulicy. Rozlega się kliknięcie zapalniczki samochodowej, więc rzucam plan Londynu na deskę rozdzielczą. Jadę wolniutko wzdłuż zaparkowanych samochodów i zapalając papierosa, staram się odczytać numery mijanych domów na rozwalających się furtkach i poniszczonych drzwiach wejściowych przy Barbly Road. To typowa londyńska ulica, z typowymi śmieciarzami, których dostrzegam dopiero, gdy jeden z nich wali w maskę mojego samochodu, tak że o mało nie wyskakuję ze skóry.

— Hej ! Ty, szpanerka — wrzeszczy i macha na mnie ręką w roboczej rękawicy. Za nim czai się ogromna śmieciara.

Spłoszona wrzucam tylny bieg i szybciutko się wycofuję. Znajduję kawałek wolnego miejsca za zniszczonym białym transitem i parkuję tyłem. W tej okolicy moje auto rzeczywiście wydaje się szpanerskie i aż mnie kusi, żeby mu powiedzieć, że bmw nie należy do mnie, a ja żadną szpanerka nie jestem, tylko skromną, nieważną osóbką.

Przynajmniej tak się dzisiaj czuję.

Wyłączam stacyjkę, antena chowa się automatycznie w bagażniku i słyszę już tylko pipanie śmieciary, wycie policyjnej syreny i krzyki bawiących się nieopodal, na szkolnym podwórku, dzieci. Odgłosy środowego poranka w rzeczywistym świecie.

Przynajmniej rzeczywistym dla mnie.

Drżącą ręką biorę z siedzenia pasażera list od Brata i raz jeszcze sprawdzam adres. List znalazłam dzisiaj rano na swoim biurku, gdy weszłam do biura, mijając po drodze puste biurko mojego asystenta i Olive z kamienną twarzą, która nie chciała ze mną nawet rozmawiać.

Biorąc pod uwagę ostatnie zajścia, list był utrzymany w zdawkowym i grzecznym tonie. W nadzwyczaj poprawnej angielszczyźnie Brat informował mnie w nim o swojej rezygnacji, spowodowanej nieodwracalnym załamaniem się naszych stosunków zawodowych.

„Załamanie się naszych stosunków zawodowych". Cóż, pewnie można to ująć i w ten sposób.

Problem w tym, że uznał je za nieodwracalne.

I wybuchłam.

Ofiarą eksplozji padł Brat.

Wieki trwało, zanim uporał się z poprawkami scenariuszy, które mu zleciłam. Kiedy siedziałam u siebie, układając zjadliwy e-mail do Laurenta, przez szybę obserwowałam Brata, jak co chwila robi sobie przerwę na papierosa albo ucina sobie kolejną pogawędkę przez telefon. O czwartej moja wściekłość przekroczyła masę krytyczną.

Otworzyłam gwałtownie drzwi i mierząc go rozjuszonym wzrokiem, wycedziłam przez zaciśnięte zęby:

—Chodź tutaj w tej chwili.

Chwilę później się zjawił, a ja ruszyłam do ataku.

—To szczyt niekompetencji — powiedziałam, ciskając w niego poprawionymi scenariuszami. Nie trafiłam i papiery sfrunęły na podłogę.

Brat na nie spojrzał, ale się nie poruszył.

—Jezu! Wyluzuj się — powiedział tylko.

—Wyluzuj się! Wyluzuj się! — wrzasnęłam. — Nie, nie wyluzuję się. Odkąd wróciłam, nawet palcem nie kiwnąłeś. Nic nie robisz. Rzygać mi się chce od twoich wykrętów. Rano cię prosiłam, żebyś się tym zajął, a ty tak to odwaliłeś, że trzeba wszystko zaczynać od początku. Co znaczy, że nie wyjdę stąd przed północą. Znowu.

—Nie drzyj się.

Wycelowałam w niego drżący palec, ale on w napięciu patrzył na walające się po podłodze papiery.

—Owszem, będę się drzeć. Bo na to zasłużyłeś. Jesteś beznadziejny. Słyszysz? — krzyczałam i wymachując rękami, biegałam po pokoju. — Tylko kurzysz i gadasz przez telefon z kumplami...

—Zastanowiłaś się kiedyś, dlaczego tak się dzieje? — przerwał mi gwałtownie Brat.

—Proszę bardzo. Oświeć mnie — powiedziałam z sarkazmem, biorąc się pod boki.

—Ponieważ praca z tobą to zwykłe kurestwo. Jesteś wredną

suką i dlatego wcale się nie staram. Bo już to olewam. Ponieważ każesz mi odwalać za siebie brudną robotę, po czym wszystko krytykujesz, co jest tym zabawniejsze, że od siebie nie wymagasz niczego.

—Jak śmiesz! — wrzasnęłam.

—Zamknij się! — odwrzasnął. — Jeszcze nie skończyłem.

—Gówno mnie to obchodzi — powiedziałam, pokazując mu drzwi. Cała aż się trzęsłam z wściekłości.

—Ciężko ci to pojąć, prawda? — powiedział złowrogo i postukał się po głowie. — Nie możesz mnie wyrzucić. Ponieważ sam odchodzę. Dość mam twoich humorów i napadów szału. Dłużej nie będę tego znosił. Tak jak Gav czy każdy inny facet przy zdrowych zmysłach.

—Nie masz prawa mówić [illegible]

—Proszę — mówię błagalnie. — Nie możemy przez chwilę porozmawiać?

—Z czym masz problem? Nie wiesz, jak powiedzieć Eddie-mu, że cię olałem?

Zaciskam usta, bo strzał był celny.

—Nie o to chodzi. On już wie—mówię stłumionym głosem. Patrzy na mnie bez słowa.

—Mogę wejść? -— pytam nieśmiało, ale cała jego postawa daje mi do zrozumienia, że odpowiedź jest przecząca.

—Posłuchaj. Wiem, że jesteś wściekły — próbuję jeszcze raz.

—Nic nie wiesz — rzuca.

Chyba nie najlepiej mi idzie, mogę więc od razu przejść do rzeczy.

—Przyszłam cię przeprosić — mówię z naciskiem, wbijając wzrok w ziemię. Nie tak dawno podobnie stałam przed Mattem, w „Niebiańskim Wypoczynku".

Zagryzam wargi i patrzę błagalnie na Bena. Po chwili otwiera przede mną drzwi.

—W takim razie lepiej będzie, jak wejdziesz — mówi. — Chciałbym tego posłuchać.

Mieszkanie Bena jest niewiarygodnie małe i panuje w nim straszny bałagan. Zasłony są zaciągnięte, a powietrze cuchnie starymi skarpetami i dymem z papierosów. Przysiadam na pokrytej brązowym sztruksem kanapie, a on znika w sypialni, żeby się ubrać.

Mam ochotę dać nogę, ale zmuszam się, żeby zostać. Na przeciwległej ścianie widnieją dwa jaśniejsze prostokąty, a obok okna stoi regał z kilkoma rozrzuconymi na półkach książkami. Na dywanie jest wielka plama otoczona rozsypaną ziemią. Albo Ben dopiero się wprowadził, albo jest w trakcie wyprowadzki.

Nagle dociera do mnie, że przez ostatnich kilka miesięcy spędziłam z Benem więcej czasu niż z kimkolwiek innym. I przez cały ten czas nie dowiedziałam się o nim właściwie niczego. Aż do tej pory, na widok jego mieszkania, tak bardzo do niego nie

pasującego, nie potrafiłam go sobie wyobrazić w otoczeniu innym od biurowego. Do głowy mi nie przyszło, że może się przeprowadzać, jeździć metrem, spać, czytać, oglądać telewizję, słowem: przyjąć, że jest zwykłym, normalnym człowiekiem — takim jak ja. Chyba właśnie z tego powodu wylądowałam tu dzisiaj.

—Więc?—pyta, zjawiając się przede mnąw dżinsach i starym, rozciągniętym swetrze. Tak mnie zaskoczył, że aż podskakuję.

Odsuwa zasłony i moim oczom ukazuje się długi rządek śladów po doniczkach, rozrzucone, zeschłe liście i kupki rozsypanej ziemi. Potem odwraca się do mnie i wiem, że teraz albo nigdy.

—Wybacz, że tak cię nachodzę — mówię, wyłamując palce. — Ale musiałam z tobą porozmawiać. ,

Ben kładzie ręce na biodrach i patrzy na mnie bez słowa. Ma ponurą, zaciętą twarz, więc spuszczam wzrok i patrzę na jego bose stopy.

—Okropnie mi przykro z powodu wczorajszego zajścia — zaczynam. — I nie mam do ciebie pretensji o ten list. Na twoim miejscu zrobiłabym pewnie tak samo. Ale... wszystko mi się zawaliło i tak naprawdę nie mówiłam tego wszystkiego poważnie. Wcale tak nie myślę.

Zapada długa chwila milczenia, podczas której patrzę na niego błagalnie.

—Cóż, ja chyba też trochę przesadziłem — mówi wreszcie Ben cichym głosem.

—Chodzi o to, że... jesteś świetnym pracownikiem i dlatego właśnie tu przyszłam. Nie chcę, żebyś odchodził. Masz przed sobą karierę i dzisiaj rano rozmawiałam z Eddiem i postanowił dać ci podwyżkę...

Brat bierze papierosa z leżącej na stoliku paczki i zapala go.

—Aha, więc starasz się mnie przekupić, żebym wrócił? — pyta cynicznie.

Przesuwam dłonią po włosach i spoglądam na sufit.

—Niech to cholera weźmie, Ben, zdaje się, że nie idzie mi najlepiej, prawda?

Nic nie mówi, tylko przesuwa bosą stopą po dywanie.

—Posłuchaj. Jeżeli wrócisz, będziesz pracował na trochę innych zasadach — nie jako mój sekretarz, ale jako asystent. Chciałabym cię we wszystko wprowadzić, żebyś się lepiej orientował. Tak było ze mną, kiedy robiłam to co ty, a przecież ja nie będę wiecznie tkwić na tym stanowisku i ktoś będzie musiał mnie kiedyś zastąpić...

Ale Ben tylko pali, patrzy w dywan i nie wiem, jak to wszystko przyjmuje. W każdym razie nie reaguje. Patrzę na niego ze ściśniętym gardłem i żałuję, że się tu w ogóle znalazłam. Szkoda, że nie da się tego cofnąć.

—Chcę tylko powiedzieć, że nie musisz sobie rujnować życia wyłącznie dlatego, że ja jestem emocjonalnym wrakiem. — Kaszlę, bo w gardle ciągle coś mi przeszkadza. — Tylko to przyszłam ci powiedzieć. Naprawdę bardzo mi przykro. Chciałam, żebyś wiedział.

Nic więcej powiedzieć nie mogę, bo wiem, że go zawiodłam, i jest mi z tego powodu naprawdę cholernie smutno. Zbieram się do wyjścia i jestem już przy drzwiach, gdy zatrzymuje mnie jego głos.

—H?

Obracam się, pośpiesznie wycierając nos.

—Dzięki za przeprosiny.

Kiwam głową, usiłując zapanować nad drżeniem brody.

—Wrócisz? — mówię błagalnie, stłumionym głosem. — Proszę.

Ben wzdycha i kładzie rękę na biodrze.

—To chyba niemożliwe. I... i nie chodzi o pieniądze.

—W takim razie o co?

—Nie nadaję się do tej roboty. — Patrzy na mnie.

—Nadajesz się. — Robię krok w jego stronę. Kręci głową.

—To się nigdy nie uda... nam. Nie umiem pracować dla kogoś takiego jak ty, H.

—Co to znaczy?

—Dla ciebie praca jest najważniejsza. Żyjesz nią i jeśli tobie

to odpowiada, mnie nic do tego. Ale ja nią nie żyję. Pewnie, praca jest ważna, ale na niej świat się nie kończy. Ty traktujesz wszystko tak... strasznie poważnie. I według ciebie każdy, kto myśli inaczej, nie jest nic wart.

Czuję, że zapiera mi dech.

—Ale ja... wcale...

—Owszem, H. Właśnie tak. Krytykujesz wszystko, co zrobię. Wczoraj powiedziałem ci to, co naprawdę myślę. Nie chciałem, żeby wyszło to tak niegrzecznie, ale poniosło mnie. Ani razu nie dałaś mi szansy ani czasu, żebym mógł się wykazać. Zupełnie jakby ci zależało, żeby mi się powinęła noga.

—Nieprawda... ja...

—Oczekujesz, że będę zapieprzał tak samo jak ty, ale ja nie jestem tobą. Nie potrafię funkcjonować, wiedząc, że ciągle jesteś ze mnie niezadowolona. Wybacz, ale tak się sprawy mają.

—Naprawdę jestem taka wredna?—pytam, zdając sobie sprawę, że przez cały czas słuchałam go ze wstrzymanym oddechem.

Kiwa głową.

—Wiem, że nie robiłaś tego specjalnie, ale...

—O Boże. Tak mi przykro.

Zagryzam wargi i patrzę na niego, jakbym zobaczyła go po raz pierwszy.

Nie mam pojęcia, co dalej.

—I jeszcze ta afera z Gavem... — dodaje na koniec. Macham ręką i silę się na uśmiech.

—Daj spokój. Myślę, że sobie zasłużyłam.

— To było nie w porządku. — Pokazuje na pokój. — Jak widzisz, moja dziewczyna mnie zostawiła. To dlatego bez przerwy wisiałem na telefonie. Ja też jestem emocjonalnym wrakiem.

Czuję się okropnie. Nawet nie wiedziałam, że ma dziewczynę. Ani tym bardziej, że z nią mieszkał.

—Biedaku.

Nadyma policzki i wzrusza ramionami, ale w oczach czai mu się uśmiech.

—Cóż, gówniane przypadki chodzą po ludziach — mówi.

—Coś musi być w powietrzu — zauważam. — Jeśli ci to poprawi humor, ja też wczoraj dostałam kopa.

—Dostałaś kopa? Od kogo? — pyta zdziwiony.

—Od Laurenta. No wiesz... tego z Paryża. Oczy mu się rozszerzają ze zdumienia.

—Chrzanisz!

Uśmiecham się, rozbawiona jego uciechą.

—Ale przecież on ma żonę! I dzieci! — wykrzykuje.

—Owszem — kiwam głową. — Wczoraj się dowiedziałam. Od Willa.

—Ja wiedziałem od początku — mówi ze złośliwą satysfakcją.

—Mogłeś mi powiedzieć — złoszczę się na żarty.

—A ty mogłaś mi powiedzieć, co zrobić z Liz — nie pozostaje mi dłużny, ale już się oboje uśmiechamy.

—Spróbujemy jeszcze raz? — pytam. Znowu nadyma policzki i patrzy na swoje ręce.

—Nie wiem. Będę musiał to przemyśleć.

—Rozumiem.

—Ale lunch mogłabyś mi postawić — proponuje i znowu jest sobą, z tym swoim głupawym uśmieszkiem.

—Masz to jak w banku.

MATT

Czwartek, godzina 13.50

—Muszę na chwilę wyskoczyć — powiada Philip, wstając. — Potrzebujesz czegoś?

—Tak — odpowiadam i zginam świeżo sprokurowane ogłoszenie o poszukiwaniu współlokatora. Zaklejam kopertę i podaję Philipowi. — Mógłbyś to po drodze wrzucić do skrzynki?

—Jasne — mówi Philip, bierze kopertę, odwraca się i wychodzi.

Nie ma nic lepszego na uporządkowanie myśli niż odroczenie. Obrońca drugiej strony poprosił właśnie o nie i sąd zgodził się na dwie godziny, z których została jeszcze jedna. Siedzę przy stoliku w Bear Garden, na przekór nazwie nie będącym ogrodem, lecz w królestwie gry słów i kalamburów, jakim jest Sąd Najwyższy, nie powinno to dziwić. Jest to wyłożona czerwonym dywanem, wysoko sklepiona sala, z biegnącą pod sufitem galerią. Wokół mnie siedzą najrozmaitsi obrońcy, doradcy i ich klienci. Jedni przeglądają papiery i dokumenty, inni czytają gazety, są i tacy, którzy po prostu palą i bez celu rozglądają się wokół. Spoglądam na teczkę ze sprawą Tia Marii Tel, grubą jak moje udo. Zaraz jednak opieram się wygodnie i, z lekkim poczuciem winy unikając wzroku sędziów na olejnych portretach ozdabiających ściany, ziewam.

Sama obecność tutaj powinna mnie nakręcać. Było, nie było, w moim zawodzie sprawa w Sądzie Najwyższym jest szczytem marzeń i ukoronowaniem kariery. O tym marzyłem jako student, dla tego ślęczałem nad książkami. I naprawdę cieszę się i doceniam. Dzisiaj rano z dreszczykiem podniecenia obserwowałem wojnę podjazdową prowadzoną w sali sądowej numer 22. Robiłem, co do mnie należało, Philip, nasz doradca, od samego początku był świetnie przygotowany i służył niezbędnymi informacjami. Myślę, że odwaliliśmy kawał niezłej roboty, i jestem prawie pewien, że Tia Maria Tel dostanie swoje odszkodowanie i przeprosiny. Powinienem być zachwycony, podekscytowany, ale kiedy tak tu sobie siedzę i czekam na wznowienie rozprawy, mam wrażenie, że wszystko to dzieje się obok mnie, a ja nie mam z tym nic wspólnego.

Dłużej już nie mogę winy za przemożne uczucie wyobcowania zwalać na kaca. W poniedziałek —jak najbardziej, od biedy mogłem to przedłużyć do wtorku. Wtedy jeszcze byłem nasiąknięty alkoholem jak gąbka i mogłem temu przypisywać paranoi-dalny stan mojego umysłu. Ale już wczoraj, tak jak i dzisiaj, kiedy procenty wyparowały z mojego krwiobiegu, nadeszła chwila, gdy muszę spojrzeć prawdzie w oczy i przyznać, że podczas weekendu zachowałem się jak idiota. I ponieść tego konsekwencje. A te nadejdą

już wkrótce. Ściśle mówiąc, za dziewięć dni. Za dziewięć dni będę stał obok Jacka przed ołtarzem w kościele parafialnym w Barking. Obok niego będzie Amy, przy niej jej ojciec. A gdzieś tuż za nimi stać będzie H.

Jasne, staram się wzbudzić w sobie do niej nienawiść. Wracając do siebie w niedzielne popołudnie, próbowałem sobie wmówić, że zachowała się jak suka. Pieprzyła się ze mną, spała ze mną i tuliła się do mnie, a potem wskoczyła do łóżka z pierwszym facetem, który się nawinął, nawet przez chwilę nie zastanawiając się, że przecież ja mogę ewentualnie coś do niej czuć, i że jednak coś między nami zaszło. Przez krótki czas zadowoliłem się takim wytłumaczeniem. Ale już o czwartej nad ranem, gdy zbudziłem się zlany zimnym potem i dochodząc do siebie, wpatrywałem się w sufit, z gardła wydarł mi się długi, przeciągły jęk. Na nic zdało się zamykanie oczu. Kiedy je otwierałem, wszystko było jak poprzednio.

Zacząłem żałować, że nie rozegrałem tego inaczej. Szkoda, że tak mnie ruszyła wiadomość Stringerà o Laurencie i że nie odłożyłem jednonocnej przygody z H *ad acta.* Wstyd mi, że kiedy przyszła, nie zachowałem się bardziej godnie i cywilizowanie, zamiast mścić się na niej i kłamać o swoich uczuciach do niej. Niestety, zachowałem się jak dziesięcioletni smarkacz, i to cofnięty w rozwoju. Gdybym miał jej już nigdy więcej nie oglądać, nie byłoby tak źle. Albo gdyby mi już na niej nie zależało. Ale zobaczę ją i zależy mi na niej.

Cóż więc mi pozostało? Dręczy mnie myśl, że gdybym powiedział jej prawdę — że to, co między nami zaszło, było dla mnie czymś więcej niż tylko seksem po pijanemu — spojrzałaby na mnie inaczej (scenariusz raczej mało prawdopodobny.) No i nadciąga chwila, gdy będę musiał stawić czoło koszmarnemu skrępowaniu, jakie wywoła jej obecność na weselu.

Czy coś mogę na to poradzić? Z wyjątkiem tego, że na wesele nie pójdę — co się nie zdarzy — raczej niewiele. Pozostaje mi jedynie nadzieja. Nadzieja, że H przypisze moje skandaliczne zachowanie

działaniu alkoholu. I nadzieja, że nadejdzie wkrótce chwila, w której stanie mi się obojętna, tak jak ja stałem się obojętny jej.

Natomiast nie powinienem łudzić się nadzieją, choć się łudzę, że jakimś cudem przestanę być jej obojętny i że zapała do mnie cieplejszym uczuciem.

STRINGER

Sobota, godzina 15.25

—Gregory, bardzo ci dziękujemy za pomoc — mówi matka Amy, Sandy, i całuje mnie na pożegnanie.

—Nie ma sprawy — odpowiadam niedbale, starając się nie pokazać, jak mile jestem połechtany. — Próbowali nas naciągnąć. To normalka.

Nie potrafię zapanować nad uśmiechem. Zrobiłem w sumie niewiele, ale zrobiłem to ja i zachowałem się jak profesjonalista. Udowodniłem sobie dzisiaj, że potrafię, i duma wprost mnie rozsadza.

—Mimo to — przerywa mi ojciec Amy, Hugh — świetnie sobie poradziłeś i zaoszczędziłeś nam mnóstwo pieniędzy, za co ci jesteśmy bardzo wdzięczni.

Ojciec Amy jest cichym, opanowanym mężczyzną i o ile mnie pamięć nie myli, jest to pierwsza zdecydowana opinia, którą dzisiaj wygłosił. Zapewne powiedział to, co naprawdę myśli.

—To prawda, stary, odwaliłeś kawał dobrej roboty — dodaje Jack i klepie mnie po ramieniu. — Załatwiłeś ich na cacy.

Stoimy przed „Dworem", nieopodal Barking. Jest to podrabiany na styl tudorowski budynek, zaprojektowany z myślą o urządzaniu przyjęć weselnych i konferencji. Zakończyliśmy właśnie spotkanie z Christine Wilcox, panią odpowiedzialną za organizację przyjęcia Jacka i Amy. Zjawiłem się tu, ponieważ wczoraj zadzwoniła do mnie przerażona Sandy. Ona i Hugh w ubiegły weekend pojechali

do Calais, gdzie w strefie wolnocłowej kupili szampana i wino na wesele, po czym, kiedy przywieźli to wszystko do „Dworu", dowiedzieli się, że zostaną obciążeni kosztami korkowego za każdą otworzoną w czasie przyjęcia butelkę.

Wracam z Amy i Jackiem do Londynu. Siedzę z tyłu i wyglądając przez okno, słowo po słowie przypominam sobie całą rozmowę, jaką przed chwilą odbyłem z Christine.

Siedzieliśmy przy stole w małym pokoju konferencyjnym na pierwszym piętrze i po ustaleniu wszystkich szczegółów dotyczących przyjęcia (czas wynajęcia lokalu, godziny pracy mojego personelu) Jack napomknął o korkowym, prawdziwym powodzie naszego przybycia.

—Chodzi o to — zaczął — że z powodu korkowego, którym chcecie nas obciążyć, wyjazd taty Amy do Francji po tańszy alkohol stał się bezsensowny.

Christine Wilcox, kobieta w średnim wieku i ze spiczastym nosem, uśmiechnęła się słabo.

—Zdaję sobie z tego sprawę, proszę pana, ale musi pan zrozumieć nasze stanowisko. Ponieważ postanowiliście zaangażować — tu skinęła głową w moją stronę i rzuciła okiem w leżące przed nią papiery — Chichi, firmę cateringową z zewnątrz, nasze zyski dramatycznie spadną. Dlatego też musimy to sobie zrekompensować w inny sposób...

—Och, proszę pani — przerwała jej Amy, niecierpliwie bębniąc palcami po stole. — A pieniądze, które płacimy za wynajęcie tego miejsca? Tani nie jesteście. Nie wmówi mi pani, że nic na tym nie zarabiacie.

Christine nie dała się zbić z tropu.

—Panno Crosbie, proszę mi wybaczyć, ale zwyczaj pobierania korkowego jest jasno przedstawiony w umowie, którą państwo podpisaliście. Jak już wcześniej mówiłam, możecie państwo zamówić wino bezpośrednio u nas, wówczas korkowe nie jest pobierane. Nie możecie obwiniać mnie za waszą decyzję sprowadzenia wina z zewnątrz.

—Ale ceny waszych win są astronomiczne — oburzyła się Amy.

Sandy uspokajającym gestem dotknęła ramienia Amy.

—Kochanie, wydaje mi się, że decyzja pani jest nieodwołalna — bąknęła, uśmiechając się niezręcznie do Christine.

—Rzeczywiście? — spytał Jack, odchylając się do tyłu i splatając ręce za głową. — Nic nie utargujemy?

—Jak już wspominałam — powiedziała Christine, kładąc dłonie na stole — Warunki wynajmu wyrażają się w tej kwestii zupełnie jasno...

Jack spojrzał na mnie zmartwiony.

—Stringer?

Chrząknąłem, posłałem Christine mój najlepszy uśmiech, ponieważ jednak zdawał się nie zrobić na niej najmniejszego wrażenia, chrząknąłem raz jeszcze i demonstracyjnie zacząłem przeglądać kartę win, JDworu" i cmokać z niedowierzaniem. Uśmiechnąłem się szeroko do Jacka i powiedziałem:

—Zdumiewające. Ceny mają takie same jak w Park Lane Hotel.

Był to oczywiście czczy wymysł, ale nie przejmowałem się tym. Zwróciłem się do Christine:

—Wiedziała pani o tym? — spytałem ją.

—Nie — odparła, po raz pierwszy od początku spotkania zdradzając pewien niepokój w głosie. — Nie wiedziałam. Nie.

—Doprawdy zdumiewające — powtórzyłem z lekkim uśmiechem i położyłem przed sobą kartę win.

—Cóż — powiedziałem wolno, patrząc po kolei na zebranych przy stole, na samym końcu zatrzymując wzrok na Christine. — Skoro nie zamierzacie obniżyć korkowego, nie mamy wyboru.

Christine wyraźnie odetchnęła z ulgą.

—Co oznacza? — zwróciła się do Jacka. — Zapłacą państwo korkowe czy też skorzystacie z naszej oferty?

—Nie, nie — wtrąciłem się, skupiając na sobie jej uwagę. — Chodzi mi o to, że w ogóle zrezygnujemy z wina.

Zapadła kilkusekundowa cisza, podczas której mierzyliśmy

się z Christine wzrokiem. Kątem oka dostrzegłem, że Amy trąca matkę w bok, dając jej znak, żeby siedziała cicho.

—Chyba nie do końca pana rozumiem — odezwała się w końcu Christine.

—Tylko w ten sposób ominiemy problem korkowego — pośpieszyłem z wyjaśnieniem. — Jeżeli nie będzie wina, nie możecie policzyć korkowego, prawda?

—Owszem — powiedziała wolno — ale...

—Cóż, w takim razie sprawa jest prosta. Rezygnujemy z wina. Jest mnóstwo drinków, które mogę zaproponować w zamian. Na przykład koktajle. Chichi oferuje wspaniały wybór koktajli. A za wysokoprocentowe trunki korkowego nie możecie naliczać, nie mylę się, prawda?

—Eee, nie.

—Wspaniale.

Zwróciłem się do Jacka i Amy.

—Proponuję, żebyśmy w ogóle zrezygnowali z wina. Jestem przekonany, że Hugh chętnie zatrzyma wino, które już kupił. Przecież się nie zepsuje?

Jedno ostrzegawcze spojrzenie Amy i Hugh kiwnął głową na zgodę.

—Weźmiemy tylko szampana na toasty i ograniczymy się do dużych butelek, w której to sytuacji korkowe nie wyniesie wiele.

— Pomysł wydaje mi się doskonały — ucieszył się Jack.

—Naturalnie — zwróciłem się znowu do Christine — w ten sposób przepadnie wam prawie cały zysk z wina, ale... — tu zacząłem wertować warunki umowy — .. .to nie wydaje się być w niezgodzie z waszymi przepisami...

Patrzyłem, jak Christine wyraźnie markotnieje; rezygnacja z wina oznacza utratę zysku. No, dalej, przemyśl to sobie, ponagliłem ją w duchu.

Christine poskrobała się po nosie, po czym powiedziała:

—Hm, w pewnych okolicznościach firma pozostawia mi wolną rękę.

—Na przykład jednorazowa opłata korkowa? — podsunąłem jej

szybko. — Państwo Crosbie zapłacą określoną sumę i będą mogli otworzyć dowolną ilość wina i szampana.

—Eee, tak — zgodziła się niechętnie Christine. — W tym szczególnym przypadku taka jednorazowa opłata rzeczywiście jest najlepszym wyjściem.

Uniosłem brwi, zachęcając ją do kontynuowania tematu.

—Powiedzmy tysiąc funtów? — zaproponowała.

Gwizdnąłem cicho. — To dość wygórowana kwota i zastanawiam się, czy nie zostaniemy jednak przy koktajlach. Pięćset funtów odpowiadałoby nam bardziej, jak sądzisz, Jack?

—Absolutnie się z tobą zgadzam — przytaknął, starając się nie uśmiechać.

Christine rozważała to w milczeniu przez chwilę, która mnie się wydała wiecznością.

—Czy nie moglibyśmy tego podnieść do siedmiuset pięćdziesięciu?

—Sześćset—powiedziałem.

—Doskonale — zgodziła się w końcu. — Umawiamy się więc na sześćset funtów.

Teraz, w samochodzie, z przesuwającymi się za oknem widokami, wciąż jeszcze jestem nabuzowany. Chyba po raz pierwszy w życiu dokonałem czegoś znaczącego na polu zawodowym i dodatkowo cieszy mnie, że skorzystali na tym moi przyjaciele. Szkoda tylko, wzdycham ciężko, że w pozostałych dziedzinach życia nie układa mi się równie gładko...

Poza karteczką od Karen, którą znalazłem w poniedziałek wieczorem, przez cały tydzień nie miałem od niej żadnych wieści. Zostawiłem dla niej dwie wiadomości u rodziców, ale na nie także nie odpowiedziała. Chociaż muszę przyznać, że mnie to nie dziwi. Jej liścik brzmiał raczej jednoznacznie. Był zwięzły i jasny:

Kochany Gregu! Przepraszam. Przepraszam. Po tysiąckroć przepraszam. Czy możemy puścić w niepamięć wszystko, co wczoraj zaszło? Mam taką nadzieję. To, co powiedziałeś, zasmuciło mnie

i byłam trochę skołowana. Mam nadzieję, że kiedy wrócę, wszystko będzie jak dawniej. Proszę, wybacz mi, że tak się wygłupiłam.

Twoja przyjaciółka Karen

Po powrocie zastałem w domu idealny porządek; nie było śladu po jej wczorajszej pijatyce. Poszedłem do swojego pokoju, położyłem się na łóżku i wciąż od nowa czytałem jej list. Ale nie udało mi się niczego doczytać między wierszami. Była „skołowana". Nic więcej. Żałowała swojego wybuchu i chciała, żeby między nami dalej wszystko było normalnie. Nie przyjęła do wiadomości, że moje normalne uczucia do niej nigdy nie były i nie będą normalne. Chciałem jej o tym przypomnieć. Chciałem jej to powtarzać tak długo, aż w końcu to zrozumie i zaakceptuje. Dlaczego nie została i nie dała mi szansy na dokończenie tego, co chciałem jej powiedzieć o Susie? Dlaczego nie pozwoliła mi wyjaśnić, że jestem gotowy z Susie skończyć, po to tylko, żeby być z nią? Dlaczego wyjechała, pozostawiając tyle niedomówień?

—Wczoraj widziałem się z Mattem—woła Jack zza kierownicy.

—Co u niego? — pytam. — Doszedł już do siebie po weekendzie?

—H ciągle się na niego gniewa — wtrąca Amy. — Zdaje się potraktował ją dość obcesowo, kiedy poszła do waszego domku, żeby wszystko mu wyjaśnić.

—Wcale mnie to nie dziwi — stwierdzam, po czym, widząc pytający wzrok Amy, dodaję: — Był załamany. Ona naprawdę wpadła mu w oko.

—Wiem — mówi Amy. — Jednak tak postanowiła, co nie oznacza, że nie żałuje. Myślę, że idealnie by do siebie pasowali. Ale tak czy owak, nie powinien był się zachować jak ostatni gówniarz.

—To trochę bardziej skomplikowane...

—Mianowicie?

—Amy, Matt wie o Laurencie — wzruszam przepraszająco ramionami. — Ja mu powiedziałem.

Amy jest autentycznie zaskoczona.

—Ale skąd wiedziałeś?

—Byłem w łaźni — wyznaję. — Siedziałem z ręcznikiem na głowie. Zaczęłyście gadać i było za późno, żeby was powstrzymać, poza tym zgłupiałem, jak was tam zobaczyłem...

—Och, Stringer — jęczy Amy.

—Kto to jestLaurent? — pyta Jack.

—Facet z Francji, z którym H się przespała, jak była w Paryżu.

—Co takiego? — wykrzykuje Jack. — Zaraz potem, jak była z Mattem?

—Aha.

—O mój Boże, Stringer — woła Amy z rozpaczą. — Musi być kompletnie zdołowany.

Nagle dzwoni mój telefon. Powstrzymuję Amy ręką i wyciągam go z kieszeni.

—Zaczekaj chwilę. Pewnie dzwonią z pracy. Dzisiaj organizuję imprezę w „London Aquarium". — Przykładam telefon do ucha. — Słucham?

—Stringer?

—Tak? — W tej chwili rozpoznaję głos. — O, Susie — mówię i odwracam się do okna. — Jak się masz?

—Do ataku, stary! — krzyczy Jack. Nie zwracam na niego uwagi.

—Co u ciebie? — pytam Susie. Na sam dźwięk jej głosu budzą się we mnie wyrzuty sumienia. Byłem taki zajęty w pracy, że nie miałem czasu się z nią zobaczyć i powiedzieć jej o Karen. Nie rozmawiałem z nią od czwartku i... niech to dunder świśnie... umówiłem się z nią na dzisiaj.

—Świetnie — mówi wesoło. — Czy dzisiejsze spotkanie...

—Nie. Cholera. Przepraszam cię. Tiff zachorował i muszę go zastąpić wieczorem w pracy.

—Och.

—Słuchaj, możemy się umówić kiedy indziej? Następuje chwila ciszy, potem się odzywa:

—Wolałabym, żeby to było dzisiaj. O której kończysz?

—Na pewno nie przed północą.

—W takim razie przyjdę wtedy. Odpowiada ci?

—Jasne. — Nie mam wyjścia. Karen wraca w przyszłym tygodniu i jeśli tego nie załatwię, znowu znajdę się w martwym punkcie. — Dam znać ochronie przy wejściu.

—W takim razie do zobaczenia — mówi i wyłącza się. Chowam telefon i patrzę na Amy. Zauważam, że się spociłem.

—Tak — mówię. — Na czym to skończyliśmy?

SUSIE

Sobota, godzina 23.30

Czuję się idiotycznie. Absolutnie idiotycznie.

Stojąc tu w środku nocy i czekając na ostatnie metro, które ma mnie zawieźć na schadzkę ze Stringerem, wyglądam pewnie jak kurwiszon. A już z całą pewnością tak się czuję.

Doprawdy nie wiem, czemu tak się przejmuję, czy wyglądam dobrze, tak jak nie wiem, dlaczego zdecydowałam się na sukienkę w kwiaty. Przecież Stringer widział mnie w mało wyjściowym bikini w „Niebiańskim Wypoczynku", nie mówiąc już o tym, jak się prezentowałam w niedzielny poranek. Raczej nie zajęłabym pierwszego miejsca w konkursie na sobowtóra Marilyn Monroe, kiedy zbudziliśmy się w jednym łóżku, skacowani i cuchnący. Po jaką więc cholerę wystroiłam się jak indyk na Boże Narodzenie, skoro chcę mu tylko powiedzieć, że sorry, ale postanowiłam wyjechać? Przecież to i tak niczego nie zmieni. Może po prostu mam nadzieję, że kiedy będę wyglądała kobieco i słodko, łatwiej przyjmie cios. Z drugiej jednak strony, gdybym wyglądała normalnie, to znaczy niechlujnie i byle jak, szybciej by się z moją decyzją pogodził.

Nigdy nie wiadomo, może by nawet odetchnął z ulgą, że uwalniam go od siebie.

Podjeżdża pociąg i usuwam się z drogi tłumowi facetów, którzy wyśpiewując piłkarskie pieśni, idą na koniec wagonu. Uśmiecham się z nostalgią na myśl o tym wszystkim, co będzie mi oszczędzone, kiedy opuszczę to miasto.

Ściskam na kolanach torbę i czytam reklamy na ścianie wagonu, bo jestem za bardzo zdenerwowana, żeby skupić się nad książką. Zresztą i tak już ją olałam, bo niezmiennie nad nią zasypiam. Jest reklama kropli na katar sienny, obok widnieje zdjęcie Tower of London i zachęcające ogłoszenie agencji pomagającej odnaleźć prawdziwą miłość, wątpię jednak, czy rzeczywiście odnosi na tym polu sukcesy.

Kiedyś skorzystałam z podobnej oferty, dla jaj. Dostałam zdumiewającą liczbę chamskich propozycji i nawet umówiłam się z jednym facetem. Chyba miał na imię Jimmy i po zjedzeniu połowy pizzy w Pizza Hut wyznał mi, że przyniósł ze sobą nabijaną gwoździami psią obrożę i smycz, prezent od byłej żony. Uciekłam przez okno w damskim klopie.

Oto jeden ze sposobów na puszczenie kogoś kantem. Można zniknąć i nigdy więcej się nie pojawić. Albo, jeżeli starający się jest wyjątkowo nachalny, można pokusić się na brutalną szczerość i oświadczyć mu: „Już mi się nie podobasz". Jest to wyjątkowo skuteczne i odkąd przekonałam się, że faceci prawidłowo na takie dictum reagują, najczęściej z niego korzystam.

Jak się tak zastanowić, to w dziewięciu przypadkach na dziesięć, ja zrywałam z moimi chłopakami. Posunęłabym się nawet do stwierdzenia, że olewanie facetów to moja specjalność, podobnie jak produkcja skrętów, fajek wodnych i porzucanie pracy. Szkoda, że nie mogę tego wszystkiego ująć w swoim CV.

Ze Stringerem jednak sprawa ma się inaczej. Nie chcę go olać ani być okrutna, ponieważ naprawdę mi na nim zależy i nie chcę zranić jego uczuć. Boję się spotkania z nim i tego, co zamierzam mu powiedzieć, nie dlatego jednak, że się przespaliśmy. Po prostu byliśmy ze sobą szczerzy i wyznaliśmy sobie nasze największe sekrety.

Nie chcę, żeby pomyślał, że zawiodłam jego zaufanie, jak gdyby to, co mi powiedział, nic nie znaczyło.

Wszystko się okaże, tłumaczę sama sobie. Wszystko się okaże, jak staniemy twarzą w twarz.

Ale kiedy go widzę, moje zdenerwowanie rośnie. Stoi na środku sali w „London Aquarium" i wydaje polecenia obsłudze, zajętej sprzątaniem stołów i usuwaniem krzeseł pod ścianę.

Stringer wygląda na zmęczonego i naprawdę bardzo zajętego. Przyglądam mu się przez chwilę, żałując, że wymogłam na nim to spotkanie. Zastanawiam się, czy nie odejść, zanim mnie zauważy.

Dostrzega mnie jednak.

W jednej ręce ściskam torbę, drugą macham do niego, jak kretynka.

—Wracam za dziesięć minut — informuje Stringer swoich pracowników, nie odrywając ode mnie wzroku, ale niczego nie potrafię w jego spojrzeniu wyczytać.

—Cześć — mówię nieśmiało, podchodząc do niego.

—Jednak przyszłaś. — Nachyla się, żeby pocałować mnie w policzek. Nie przypomina to radosnego powitania, którego się obawiałam, ale ostatecznie jest w pracy, do największych czarusiów też nie należy.

—Owszem — uśmiecham się do niego.

—Hm? — Jest chyba trochę skrępowany. — Napijesz się kawy? Chyba jeszcze trochę zostało.

—Chętnie.

Akwaria są podświetlone i wszędzie wokół pływają kolorowe ryby. Podchodzę bliżej, żeby im się przyjrzeć.

—Proszę. — Stringer wraca i wręcza mi kubek.

—Dzięki —- mówię. — Niesamowite miejsce, prawda? Kiwa głową i przygląda mi się.

—Cholernie ładnie wyglądasz — zauważa.

—Aha — śmieję się. — Za to czuję się cholernie głupio. Stringer też się śmieje, ale jest wyraźnie zdenerwowany. Odwraca wzrok i pociera policzek.

—Może usiądziemy? — Wskazuje drogę do pomieszczeń służbowych.

Idziemy w milczeniu, a ja przyglądam się rybom, popijając kawę. Kiedy znikamy innym z oczu, Stringer nagle się zatrzymuje.

—Susie? — mówi, ujmując mnie pod ramię, więc odwracam się do niego.

Mam wrażenie, że chce mnie pocałować. Oho-ho.

Odstawiam kawę na półkę i kładę mu rękę na piersi.

—Stringer — mówię łagodnie. — Chciałam ci coś powiedzieć.

—Ja też chciałem ci coś powiedzieć — odpowiada, odsuwając się ode mnie.

Nie takiej reakcji się spodziewałam i przez chwilę nie bardzo wiem, co robić.

—OK. — Kiwam głową. — Ty pierwszy.

—Nie, nie. Najpierw ty — mówi i zaczyna iść.

—W ten sposób nie wyjdziemy stąd do rana. Gadaj, o co chodzi?

Stringer wyłamuje sobie ręce, jakby krępowały go jakieś więzy, nastawiam się więc na poważną deklarację. Może być ciężko, ale kiedy poznam jego uczucia, może łatwiej mi będzie wyrazić swoje.

—Nie wiem, jak to powiedzieć—zaczyna w końcu i podnosi na mnie oczy.

Dotykam jego rękawa i czuję przez materiał jego prężne ramię.

—Stringer? — pytam, patrząc mu prosto w oczy. — Mogę ci coś doradzić?

—OK.

—Nie komplikuj wszystkiego. Zrób tak jak ja i wal prosto z mostu. To zawsze skutkuje.

Cofam się i krzyżuję ramiona na piersiach.

—W porządku — mówię. — Jestem gotowa. Nie oszczędzaj mnie.

Oddycha głęboko.

—Pamiętaj, tylko gołe fakty — przypominam mu, co przyjmuje z uśmiechem.

—Dobra — zgadza się i odsuwa z czoła kosmyk włosów, ale nie patrzy na mnie, tylko wbija wzrok w dywan. — Oto fakty, zakochałem się w dziewczynie, która u mnie mieszka, Karen. Nawet już nie pamiętam, kiedy to się stało. Nigdy nie przypuszczałem, że coś z tego będzie, bo... no, wiesz... a poza tym ona miała chłopaka.

—I...?

Dmucha przez nos.

—Ale jej chłopak zerwał z nią w ostatni weekend, a ona powiedziała, że nie jestem jej obojętny. W niedzielę, kiedy wróciłem z „Niebiańskiego Wypoczynku". Ale ja powiedziałem jej o tobie i...

Słucham go, kiwając głową z powagą, a kiedy się zacina, ręką daję mu znak, żeby mówił dalej. Serce wali mi jak oszalałe, chociaż udaję, że jestem twarda. Nie wiem, czy odczuwam zazdrość czy też raczej ulgę, ale czuję, że zbiera mi się na śmiech.

—Boję się jak jasna cholera — mówi Stringer do dywanu. — I nie wiem, co robić, ale musiałem ci to powiedzieć, zanim pozwolę sobie na cokolwiek z Karen. Jeśli w ogóle do tego dojdzie. Ona była pijana, a ja wyrażałem się dość niespójnie. Kiedy dowiedziała się o tobie, po prostu wyszła.

Robię do niego minę, ale on niczego nie zauważa.

—Chodzi o to, że nie bardzo mogę się z tobą wiązać, skoro czuję inaczej. — Oddycha z ulgą. — Wiesz już wszystko — kończy i wreszcie podnosi na mnie wzrok.

Ale ja chichoczę jak głupia, przysłaniając dłonią usta.

—Co jest? — woła. — Co w tym takiego śmiesznego?

—Nic — mówię i śmieję się dalej.

Stringer bierze się pod boki. Chyba się trochę zdenerwował.

—OK. Teraz twoja kolej — mówi ze zmarszczonym czołem. Jest taki słodki, że sama nie wiem, czy go pocałować, czy też

owinąć wielką kołdrą i schować gdzieś, gdzie my, kobiety, nie stanowiłybyśmy dla niego zagrożenia.

Podchodzę do niego, zagryzając wargi, żeby się nie roześmiać znowu.

—Och, Stringer. — Mam wielką ochotę pogłaskać go po włosach. — Tak bardzo chciałam z tobą porozmawiać. Jedna z moich kumpeli wyjechała do Kalifornii i postanowiłam, że pojadę do niej, ale strasznie bałam się ci o tym powiedzieć. Myślałam, że poczujesz się obrażony, a ty przez ten cały czas myślałeś o innej kobiecie — droczę się z nim.

—Więc nie jesteś na mnie wkurzona? — uśmiecha się szeroko. — Ale przecież my...

—Owszem — zgadzam się z nim. — I było cudownie. Ale to tylko seks. A seks ma wiele twarzy, nie należy jednak zawsze traktować go poważnie. To ma być zabawa. Nie zapominaj o tym.

Stringer wsadza ręce do kieszeni i chwilę milczymy.

—Wyjeżdżasz? — pyta w końcu. — Kiedy?

—Niedługo. Po weselu.

—Jak się z tym czujesz?

—Jestem przerażona — krzywię się. — Skoro pytasz. Ale mną się nie przejmuj. Lepiej opowiedz mi wszystko o Karen i spróbujemy ci jakoś pomóc się z tego wyplątać.

Biorę go pod ramię i z przyjemnością słuchamjego opowieści. Nie odczuwam zazdrości ani ulgi. Po prostu czuję, że jest mi bliski, jak wtedy w „Niebiańskim Wypoczynku" i cieszę się, że chce mi się zwierzyć.

—Na twoim miejscu bym się nie martwiła — mówię, gdy opowiada mi o liście od Karen. — Pewnie najchętniej strzeliłaby sobie w łeb. Nie ma nic gorszego, jak obudzić się rano i uświadomić sobie, że się po pijanemu przystawiało do swojego najlepszego kumpla. Wierz mi, sama przeżyłam to setki razy.

—Ale jeżeli ona naprawdę tak myśli? To znaczy, jeżeli chce, żebyśmy dalej byli tylko przyjaciółmi? — pyta.

Rozglądam się wokół.

—Wiesz, jak to powiadają — żartuję. — Tego kwiatu jest pół światu. — Szturcham go w bok, ale on nie jest nastawiony rozryw-

kowo — Stringer — mówię poważnie. — Na pewno jej się podobasz. Jesteś przecież boski.

—Pięknie dodajesz mi otuchy — dąsa się, ale widać, że już mu lepiej.

—Odrobina wiary, człowieku.

—Naprawdę myślisz, że mnie wysłucha?

—Założę się o wszystkie pieniądze. A to nie byle co, zważywszy, że jestem spłukana.

—Greg? — woła go jeden z pracowników.

—Chyba muszę wracać — mówi przepraszająco.

—Nie ma sprawy. Już spadam.

—Poradzisz sobie? — pyta. — Odwiózłbym cię do domu, ale sama widzisz, co się dzieje...

—Nie martw się o mnie. Jestem dużą dziewczynką. Stringer chwyta mnie za rękę.

—Susie. Co do ubiegłego tygodnia... Uśmiecham się i spuszczam wzrok na jego rozporek.

—O to ci chodzi? Nikomu nie powiedziałam słowa. Może i mam niewyparzoną gębę, ale aż tak niedyskretna nie jestem.

—Nie o tym myślałem.

—A o czym?

—Po prostu chciałem ci podziękować. To wszystko—mówi i przykłada mi dłoń do policzka.

—Proszę bardzo — odpowiadam lekko, ale w gardle aż mnie ściska ze wzruszenia.

—Nie. Naprawdę bardzo ci dziękuję — powtarza i przyciąga mnie do siebie, ściskając delikatnie. — Jesteśmy przyjaciółmi?

—Spoko — mówię i odsuwam się. — A teraz do dzieła, łap tę dziewczynę. — Pukam go palcem w pierś. — Kiedy wraca?

—Na początku tygodnia — odpowiada.

—Cóż, mam nadzieję, że mi wszystko opowiesz.

—Naprawdę nie wiem, jak ci dziękować — mówi na pożegnanie.

Kiedy jednak jadę nocnym autobusem i patrzę na mijane ulice, dochodzę do wniosku, że tak naprawdę to ja powinnam podzięko

wać Stringerowi. Bo dzięki niemu miałam swoją wizję. I chociaż przez cały ten czas uważałam, że wizja dotyczy jego i platonicznego związku z nim, tak naprawdę widziałam w niej siebie i to, że mam do zaofiarowania coś więcej niż tylko seks. Co mi się właśnie udało.

STRINGER

Wtorek, godzina 22.40

—Susie? — pytam.

—Stringer? — dobiega mnie jej głos z drugiego końca linii, prawie niesłyszalny w hałasujące w tle muzyce.

—Tak. Cześć. Jak leci?

—Zaczekaj moment! — krzyczy. — Nie słyszę cię. Radio...

Słyszę, jak kładzie słuchawkę i odchodzi gdzieś. Uświadamiam sobie, że przecież nigdy nie byłem w jej mieszkaniu, a teraz, kiedy wyjeżdża, nie zobaczę go już nigdy. Z westchnieniem rozglądam się po własnym pokoju. Jest równie czysty i posprzątany, jak w dniu, w którym wyjechała Karen. Zmuszam się, żeby usiąść w fotelu. Przez ostatnią godzinę spacerowałem nerwowo tam i z powrotem, powtarzając sobie kwestię jak bezrobotny aktor czekający w kulisach na wielkie przesłuchanie. Przez cały ten czas ani razu nie udało mi się wypowiedzieć jej jak należy.

—Boże, ledwo żyję — mówi Susie, wracając do telefonu.

—Pracowity dzień?

—Pracowite cholerne życie. Mówię ci, stary, ta wyprawa do Stanów do cholernie skomplikowane przedsięwzięcie.

—Chyba nie zamierzasz zmienić zdania?

—No, coś ty. Absolutnie. Tylko ilość tego wszystkiego, co zgromadziłam, odkąd tu zamieszkałam, jest obezwładniająca. Spakowałam już tego tyle, że Oxfam2 będzie mieć zajęcie przez

2Oxfam — brytyjska organizacja charytatywna zajmująca się pomocą dla krajów słabo rozwiniętych.

następne pięćdziesiąt lat. Drugie tyle czeka na spakowanie, a to na razie tylko moje ubrania. Nie wyobrażam sobie, co z resztą tego całego chłamu. No i są jeszcze Torvill i Dean... Mała szansa, żebyś się nimi zaopiekował, co? Jakoś nie mogę się zdobyć na to, żeby spuścić ich do klozetu, jak proponuje moja mama...

—Mam nadzieję, że nie rozmawiamy o gwiazdach łyżwiarstwa figurowego z lat osiemdziesiątych?

Chichocze.

—Nie bądź głupi, ty matole. Ich by się nie dało spuścić. Łyżwy by im się zaklinowały na zakręcie. Nie, Torvill i Dean to moje złote rybki. Są takie miłe i grzeczne. Bardzo dobrze wychowane. Nie miałbyś z nimi żadnych kłopotów, słowo.

—Na pewno są fantastyczne, ale obawiam się, że muszę odmówić twojej przemiłej prośbie. Moja ostatnia złota rybka zdechła, zanim zdążyłem donieść ją do domu.

—Szkoda.

—A może Jack i Amy? — Przychodzi mi do głowy. — To mógłby być świetny prezent ślubny dla nich.

—Widzisz, to jest jakiś pomysł...

Na chwilę milknie, a ja nie podejmuję rozmowy.

—Stringer, u ciebie wszystko w porządku? — upewnia się. — Masz jakiś taki smutny glos.

Wzdycham i znowu rozglądam się po mieszkaniu.

—Tak, chyba rzeczywiście jestem trochę zdołowany.

—Jak rozumiem, Karen jeszcze nie wróciła? — pyta, bezbłędnie odgadując prawdziwy powód mojego telefonu.

—Nie. I nie odezwała się ani razu. Kilka minut temu próbowałem się dodzwonić do jej rodziców, ale zgłosiła się tylko automatyczna sekretarka.

—Więc chyba nie pozostaje ci nic innego, jak siedzieć i czekać. W końcu kiedyś wróci. Zdaje się, że zostawiła wszystkie swoje rzeczy, a wiem z doświadczenia, że dziewczyna nie tak łatwo rozstaje się z tym, co do niej należy.

—Pewnie masz rację.

—Jasne, że mam. Teraz poważnie, postanowiłeś' już, jak to z nią rozegrasz?

—Sam nie wiem. Próbowałem coś wymyślić, ale zawsze coś mi nie pasowało. — Chwilę się nad tym zastanawiam, po czym dochodzę do wniosku: — Pewnie skończy się na tym, że powiem jej całą prawdę.

Pomysł najwyraźniej jej się nie spodobał.

— Chryste, nie. Tego nie rób. Ani cała prawda, ani nic poza nią. Brzmi to trochę zwariowanie, ale powiesz jej, że zabujałeś się w niej po uszy, a ona z wrzaskiem ucieknie gdzie pieprz rośnie.

—Ale czemu?

— Żadna frajda. O co tu zabiegać, skoro wszystko podane jest na tacy? Na prawdę pora przyjdzie później. Zaufaj mi, Stringer. Jesteś w tym nowy, więc posłuchaj rady starej wyjadaczki.

Choć wcale mi nie wesoło, parskam śmiechem.

—Skoro nie mogę powiedzieć jej prawdy, to co mam zrobić?

— Przede wszystkim nic nie mów. Oboje już wiecie, że na siebie lecicie, więc przestań chrzanić jak potrzaskany, tylko bierz się do dzieła. Pocałuj ją. Nic więcej na razie wiedzieć nie musi. Nie może wstydzić się tego, co ci powiedziała, ani martwić się o ciebie i o mnie, jeśli wsadzi ci język do gardła, no nie?

Słyszę dźwięk przekręcanego w zamku klucza.

—Muszę kończyć — mówię.

—To ona?

—Tak.

— No, to powodzenia. I jak to wy, chłopcy, powiadacie — dodaje ze złośliwym uśmiechem — zrób jej raz dobrze ode mnie.

Kiedy odkładam telefon, nieomal słyszę śmiech Susie.

Wejście Karen do pokoju przyjmuję na stojąco. Na ramieniu niesie torbę sportową, w ręce ściska pocztę, którą wzięła ze stolika w holu. Włosy ma krótko obcięte, sięgają zaledwie uszu. I lśnią jak jedwab. Ubrana jest w czarne dżinsy i popielaty kaszmirowy sweterek.

— Witaj, nieznajomy — mówi, rzucając torbę na podłogę. Taksuje mnie bacznym spojrzeniem.

—Nazywam się Stringer—przypominam jej.—Ale możesz mówić do mnie Greg.

Posyła mi słaby uśmieszek, ale z oczu nie znika jej napięcie. Podchodzi do komody i kładzie na niej listy. Stoi tam chwilę, przygarbiona, po czym odwraca się do mnie.

—Myślę, że winna ci jestem przeprosiny — mówi. — Dostałeś list ode mnie?

Już otwieram usta, żeby powiedzieć jej, że za nic nie musi przepraszać, i wytłumaczyć dlaczego, powstrzymuję się jednak. Przypominam sobie radę Susie i mówię:

—Zamknij oczy.

Patrzy na mnie podejrzliwie, a kąciki jej ust drżą ledwo zauważalnie, jak gdyby nie wiedziała: śmiać się czy płakać?

—Po co?

—Proszę, zrób to.

Spełnia moją prośbę. Zamyka oczy i prostuje się, krzyżując ramiona na piersiach. Nie ruszam się, tylko patrzę na nią. Jest tak blisko, na wyciągnięcie ręki, a jednocześnie dzieli nas przepaść.

—No? —- pyta zniecierpliwiona, tupiąc stopą.

I wtedy to robię. Przekraczam dzielącą nas przepaść, na co potrzebuję tylko jednego kroku. Delikatnie rozplątuję jej ramiona i ujmuję ją za ręce. Otwiera oczy i przez jedną nanosekundę patrzymy na siebie. Potem ja zamykam oczy, nachylam się i całuję ją. Nie wiem, ile trwa nasz pocałunek, ale kiedy odrywam się od niej dla złapania tchu, wciąż obejmujemy się mocno, a ona ma szaleńcze błyski w oczach. Jej uśmiech zdradza mi, że podobne są w moich. Nie wiem, które z nas zrobiło pierwszy krok, ale po chwili zmierzamy do jej sypialni. W drzwiach przepuszczam ją przodem. Patrzę, jak podchodzi do łóżka i zapala nocną lampkę. Siada i, nie odrywając ode mnie ani na sekundę wzroku, zaczyna rozpinać pasek.

—Karen — odzywam się, nagle okropnie zdenerwowany. Wspomnienie setek podobnych sytuacji dopada mnie i obezwładnia. — Muszę ci coś powiedzieć.

Jej palce jakby się zawahały.

—Co?

Potrząsam głową i przepędzam dręczące mnie demony.

—Nic — mówię i podchodzę do niej. — To już nie ma znaczenia.

MATT

Czwartek, godzina 21.50

Sky siedzi w fotelu naprzeciwko. Ma dwadzieścia trzy lata i jest uderzająco ładna: ma długie, kruczoczarne włosy, jakiś metr sześćdziesiąt wzrostu i niesamowite szare oczy. Ja siedzę na kanapie, obok siebie mam Chloe, która pomaga mi w rozmowach z kandydatami na sublokatora mającego zająć miejsce Jacka. Właśnie skończyłem wyjaśniać Sky moje domowe idiosynkrazje: stół do bilarda i oryginalne barowe wyposażenie, pochodzące z czasów, gdy dom funkcjonował jako pub.

—Och, to takie zabawne! — wykrzykuje zachwycona Sky.

—Myślę, że omówiliśmy już wszystko — mówi sztywno Chloe, rzucając okiem na zegarek. — Matt, masz jeszcze jakieś pytania?

—Wspominałaś, że przy sprzyjającej pogodzie chciałabyś ćwiczyć w ogrodzie jogę?

Sky spogląda na nas promiennie.

—Och, tak. Uwielbiam dotyk słońca na nagiej skórze. Dlatego dostęp do ogrodu jest dla mnie taki ważny.

—Rozumiem — mówię. I rzeczywiście, doskonale mogę ją sobie wyobrazić. — Zawsze chciałem sam zacząć uprawiać jogę — dodaję, nie zwracając uwagi na jęk Chloe. — Bycie wziętym prawnikiem ma mnóstwo dobrych stron, czasem jednak zastanawiam się, czy nie zaniedbuję swojej strony duchowej.

—Jezu, błagam — mamrocze Chloe. — Najbardziej zbliżasz się do swojej strony duchowej, kiedy komunikujesz się z butelką whisky.

—Być może nie mylisz się, Chloe — mówię, spoglądając ze zmarszczonym poważnie czołem na Sky. —Może wyżej sięgnąć nie potrafię.

—Och, nie — Sky jest wyraźnie przejęta. -— Chloe, masz prawo do swoich przekonań, ale uważam, że każdy ma w sobie coś, co predestynuje go do wkroczenia do drogę duchowego oświecenia.

—Może... — zaczynam, by zaraz jednak się powstrzymać. Potrząsam głową zrezygnowany. — Nie, nie, prosiłbym o zbyt wiele...

—O co ci chodzi? — pyta Sky, nachylając się ku mnie.

—Zastanawiałem się, czy gdybyś u mnie zamieszkała, nie mogłabyś nauczyć mnie podstaw, no wiesz, tak żebym mógł...

—Ależ oczywiście — mówi, rozpromieniając się znowu. — Nic nie sprawi mi większej przyjemności, niż pomóc ci odnaleźć siebie.

—No, dobrze — brutalnie przerywa nam Chloe. Wstaje i znowu ostentacyjnie spogląda na zegarek. — Obawiam się, że musimy niestety kończyć. — Patrzy na mnie ostrzegawczo. — Prawda, Matt? Za kilka minut mamy następne spotkanie.

Podnoszę leżącą obok mnie na kanapie listę i przebiegam ją wzrokiem.

—Ależ skąd — zaprzeczam. — Sky jest ostatnia.

—Mylisz się — poprawia mnie Chloe. — Nie jest. Wygładza spodnie i rzuca Sky lodowaty uśmiech.

—Odprowadzę cię do drzwi.

—Och. Jasne. — Sky podnosi torbę w indiański wzór i wstaje. Ja również wstaję i serdecznie ściskam Sky rękę.

—Zadzwonię do ciebie — mówię.

—Wspaniale. — Waha się, trochę skrępowana spojrzeniem Chloe. Uśmiecha się spłoszona. — Lepiej już pójdę. Miło było was poznać.

Chloe odprowadza Sky do drzwi wyjściowych, a ja macham jej, gdy przechodzi przez ulicę.

—Sięgnąć wyżej — prycha Chloe, wracając do pokoju.

Patrzy na mnie lodowato. — Powiedziałabym raczej, że sięgnąć do jej cycków.

—Jesteś cyniczna — obruszam się. Opada na kanapę obok mnie.

—To wariatka.

—Nie można kogoś uważać za wariata tylko dlatego, że patrzy na życie inaczej.

—Kompletnie rąbnięta — Chloe nie ustępuje, wybałuszając na mnie oczy. — Na miłość boską, jak można mieć na imię Sky? Czego więcej ci trzeba?

—Pozwól sobie przypomnieć, że na ogół rodzice nadają imiona swojemu potomstwu, trudno więc obwiniać o to Sky.

Chloe z sykiem wypuszcza powietrze przez zaciśnięte zęby.

—Słowo daję, czasem mnie zadziwiasz. A poza tym — dodaje — o ile się nie mylę, wciąż jeszcze nie możesz przestać myśleć o H?

—Owszem.

—I mimo to chcesz wynająć pokój Sky, w nadziei, że będzie z tobą nago uprawiać jogę w ogródku.

—Znam gorsze przywary sublokatora.

Chloe postanawia poznać moje doświadczenie w tym względzie.

—Na przykład...?

—Pomyśl tylko o tej reszcie, która się przewinęła — oburzam się. — Do ideału było im raczej daleko, nie uważasz?

—Keith był w porządku...

—Nie, Chloe. Nie był w porządku. Myślę, że spokojnie możemy założyć, że lada dzień wyląduje w wariatkowie. Poza jego nad wyraz denerwującym zachwytem, że ze strychu jest widok na cmentarz, głównie martwił się, czy... — zaglądam w notatki, które robiłem podczas przesłuchań — ...cytuję: „Jest tu piwnica? Mam trochę rzeczy — prywatnych rzeczy, które chciałbym trzymać w piwnicy, jeśli jest". — Spoglądam na Chloe.—Pewnie chodziło mu o wypolerowane na wysoki połysk czaszki właścicieli poprzednich domów, w których mieszkał...

—Niech ci będzie — mówi zrezygnowana. — Może rzeczywiście był trochę dziwny.

Sprawdza w swoich notatkach.

—A co powiesz o Alice?

Tylko na nią patrzę. Nawet nie wysilam się, żeby unieść brwi. Pierwsze pytanie, jakie Alice zadała, dotyczyło możliwości wykorzystania przez nią salonu na nocne seminaria Opętanych Apostołów.

Chloe znowu zagląda do notatek.

—W takim razie William. Był całkiem miły. Uważam, że miał niezłe poczucie humoru.

—Z taką twarzą człowiekowi nic innego nie pozostaje.

—łan?

—Śmierdział.

—Czym?

—Aż się boję pomyśleć. Znowu przegląda notatki.

—Maciek?

—Nigdy nie ufałem facetom, którzy nazywają się jak męski organ płciowy.

—Maddy?

—Szurnięta.

—Julia?

—Dziwaczna.

—Jonah?

—Pechowiec.

Chloe zdesperowana ciska notatki na podłogę.

—Świetnie — mówi. — Zostaje więc Sky. Ale nie przychodź do mnie z płaczem, kiedy po miesiącu okaże się, że to pomyłka.

—Czemu niby miałbym to zrobić?

—Z prostej przyczyny, że twoje motywy wynajęcia jej mieszkania są, delikatnie mówiąc, mało honorowe. Po prostu masz ochotę ją bzyknąć, Matt.

—I nauczyć się jogi — dodaję.

—Racja. Więc najpierw ją bzykniesz — zakładając, że wykaże cień zainteresowania — potem nauczysz się jogi i co dalej?

—Znowu ją bzyknę? — podsuwam.

—A potem?

—O co ci w końcu chodzi?

—Chodzi mi o to, Matt — mówi wolno i dobitnie — że nie możesz siedzieć tu i skamleć jak zbity szczeniak, użalając się nad swoją samotnością, a potem rzucać się w objęcia pokręconej hippiski, z którą nawet za milion lat nie uda ci się stworzyć prawdziwego związku. Zwariujesz przez nią i dobrze o tym wiesz. Nie wspominając już, że w ten sposób pozbawisz się szans na poznanie kogoś odpowiedniego...

—Dobra — mówię, czując jak dopada mnie depresja. — Jeżeli nie Sky, to kto? Rozmawialiśmy dzisiaj z ośmioma osobami. A wybraliśmy najlepszych kandydatów. Inni, którzy dzwonili, albo nie potrafili sklecić zdania, albo chcieli, żebym najlepiej wynajmował im mieszkanie za darmo.

Chloe nachyla się i podnosi porzucone notatki.

—W porządku — mówi, biorąc do ręki długopis, nagle traktując przedsięwzięcie z czysto marketingowego punktu widzenia. — Podejdźmy do tego naukowo. Skoro zgłaszają się nieodpowiedni kandydaci, oznacza to, że ogłoszenie zostało źle sformułowane. Postarajmy się szczegółowo wyjaśnić o co nam chodzi, w ten sposób licząc na odzew właściwych osób. — Klepie mnie po ręce. — Zobaczysz, uda się. Powiedz, jaki według ciebie powinien być idealny sublokator, a ja ułożę ogłoszenie.

—OK. Ma to być ktoś z jajem, żaden nudziarz, który z czasem zostanie moim najlepszym kumplem. — Chwilę się zastanawiam. — To musi być facet, z powodów, dla których przed chwilą wykluczyliśmy Sky. Facet, z którym będę mógł przegadać całą noc, zdolny rozśmieszyć mnie do łez. Wolałbym, żeby nie pracował w City, bo ich mam aż nadto w pracy. Powinien mieć naturę twórczą, ale żeby nie był pretensjonalny. Mógłby być muzykiem, albo artystą, albo...

—Albo Jackiem — wchodzi mi Chloe w słowo.

—Słucham?

—Jackiem. Przecież opisujesz właśnie jego.

—Nie — kręcę głową. Po zastanowieniu dodaję: — No, może rzeczywiście, ale przecież... nie... chociaż w sumie, ktoś taki jak Jack byłby idealny.

—Matt, nie możesz do końca życia szukać drugiego Jacka. To nierealne. Jack odszedł. Nie ma go.

—Nie miałem na myśli klonu Jacka — bronię się. — Chciałbym po prostu znaleźć kogoś równie fajnego jak on.

Chloe kręci głową. — Matt, nie możesz w ten sposób planować swojego życia. Nie uda ci się. Tak, jak planowałeś, że H albo Sky wpasują się w twoje życie. Ludzie mają swój rozum i wolę. Pora, żebyś to uszanował i zrozumiał, że nie będą zachowywać się tak, jak ty chcesz, tylko dlatego, że tobie to pasuje.

—Wydaje mi się, że nie można ich porównywać.

—Kogo? H i Sky? Są do siebie bardziej podobne, niż ci się wydaje. — Bierze ze stolika butelkę z dietetyczną colą i wymachując nią, chwilę mi się przygląda. Odstawia butelkę. — Chodzi o to, jak ty na nie patrzysz, Matt.

—Proszę bardzo — mówię sztywno. — A mianowicie jak to ja na nie patrzę?

—Brutalna prawda? — upewnia się, przekrzywiając głowę.

—Brutalna.

—Jak na pionki.

—Pionki? — zatyka mnie.

Zapala papierosa i wydmuchuje dym przez cały pokój. Kiedy mówi, brzmi to bardzo dobitnie.

—Tak. Przyjrzyjmy się faktom. Starasz się wmanipulować Sky w sytuację, w której będziesz mógł dać upust swoim potrzebom seksualnym, i naturalnie — dodaje z uśmiechem — zgłębić tajniki jogi, jednocześnie zmniejszając koszty utrzymaniu domu. Z H postąpiłeś identycznie: dopilnowałeś, żeby imprezy Jacka i Amy odbyły się w tym samym miejscu, sobie umożliwiając wykonanie kolejnego ruchu. To, że w przypadku H kierowałeś się emocjami, nie umniejsza twojego cynizmu. Wtrącałeś się w cudze życie, żeby polepszyć swoje własne.

Siedzę absolutnie osłupiały.

—Podobno jesteś... podobno jesteś moją przyjaciółką — jąkam się. — Powiedziałem ci o imprezie, bo chciałem, żebyś zrozumiała, ile H dla mnie znaczy. A nie po to, żebyś... wykorzystywała to przeciwko mnie.

Na Chloe moja skarga nie robi większego wrażenia. Bierze butelkę z colą i pociąga z niej łyk.

—I nikogo nie zamierzam kontrolować — wybucham, wyrywając jej butelkę, żeby nalać sobie do szklanki.

—Z tego, co mówiłeś o H, wynikało, że wcale jej nie znasz. I że w zasadzie cię nie obchodzi...

—Obchodzi? — wołam, opluwając sobie colą koszulę. — Jak możesz tak mówić? Przecież ja ją kocham. Albo przynajmniej kochałem. Przynajmniej wszystko ku temu zmierzało...

—Nie, Matt — Chloe nie ustępuje. — Uznałeś, że nadeszła w twoim życiu chwila, żeby się zakochać. Zupełnie jakbyś postanowił kupić mieszkanie albo starać się o awans. Nie twierdzę, że H była ci obojętna; wręcz przeciwnie, uważam, że naprawdę ci na niej zależy. Ale żeby zaraz kochać? Daj spokój, nie wciskaj mi kitu. Tak naprawdę zaczynałeś ją dopiero poznawać.

—Dobry Boże — wykrzykuję i obracam się, żeby usiąść z nią twarzą w twarz. — I ty to mówisz? A kto nie tak dawno zwabił mnie do swojego mieszkania, żeby wzbudzić w nowym chłopaku zazdrość? — pytam. — Jeśli to się nie nazywa manipulacja, to ja jestem księdzem. Manipulacja — ciągnę, zapalając się coraz bardziej — to praktyka stosowana przez każdego człowieka na tej planecie dzień po dniu. To podstawowa funkcja ludzkiej egzystencji.

—Zgadza się — kiwa głową. — Ale dać Andy'emu powód do myślenia, a spieprzyć weekend kilkunastu osobom to dwie różne rzeczy. Próbuję ci po prostu wytłumaczyć, żebyś spuścił trochę z tonu i zastanowił się, dlaczego tak naprawdę starasz się wszystkimi wkoło manipulować. Weźmy takiego Andy'ego. Wszystko wskazywało na to, że z nim mi się powiedzie.

—Tak jak mnie z H.

— Być może, z tym że ja zdążyłam całkiem nieźle Andy'ego poznać. Nasza znajomość trwała już od jakiegoś czasu. A ty z H zaledwie się bzyknąłeś, i to po pijaku. Popraw mnie, jeśli się mylę, Matt, ale czy nie uważasz, że byłoby lepiej, gdybyś trochę lepiej poznał H, zanim zaangażujesz się na całego?

Patrzę na nią oniemiały. Gębę mam otwartą, ale jak na złość, nie nasuwa mi się żadna błyskotliwa riposta.

H

Sobota, godzina 15.35

Mam nadzieję, że Amy bardziej świadoma jest tego, co się dzieje, niż ja.

—Gotowe? — pyta i odwraca się do Susie i do mnie. Muszę przyznać, że wbrew mojej ciężkiej alergii na wszystko, co się wiąże ze ślubem, wygląda oszałamiająco. Nie wiem, jak udaje jej się wyglądać tak wyjątkowo, skoro ma na sobie to, co ma, to znaczy najzwyklejszą suknię ślubną. Niemniej jednak nie da się zaprzeczyć, że tak właśnie jest. Bije od niej blask, radosne podniecenie, tak bardzo niepodobne do Amy, którą znam. Mam ochotę uszczypnąć ją w policzek, żeby sprawdzić, czy jest prawdziwa, a nie tylko manekinem ze ślubnych żurnali.

Potrząsa długim trenem, ciągnącym się za suknią.

—Tylko żebyście mi na niego nie nadepnęły — ostrzega nas z uniesionymi brwiami, po czym odwraca się do pastora.

Godzina wybiła. Drzwi do kościoła stają otworem i kroczymy nawą. Nie chciałam zbytnio się nad tym wszystkim zastanawiać, ale teraz, kiedy się już zaczęło, czuję się jakoś dziwnie. Jakbym występowała w telewizji.

Po obu stronach widzę rzędy zamazanych twarzy i kapeluszy. Nagle z jednego z nich w zwolnionym tempie wyłania się Chloe i prosto na mnie kieruje aparat. Błysk flesza oślepia mnie na moment i podrywając rękę do góry, zasłaniam twarz bukietem.

Nie widziałam tej fladry od czasu, gdy ostentacyjnie olała najlepszego kumpla mojego brata. I chociaż przyjaźni się z Jackiem i Mattem, nie wpuściłabym jej za próg, o czym doskonale wie. Pewnie dlatego stara się mnie teraz namierzyć. Wykrzywiam się do niej ze złością.

Spoglądam przed siebie i widzę obracającego się ku nam Jacka. Jest blady i wystraszony i wygląda, jakby za chwilę miał puścić bąka. Robi jakąś dziwną minę i odwraca się znowu do ołtarza. Stoi sztywno, jakby kij połknął.

Nie Jack jednak interesuje mnie w tej chwili najbardziej, ale nieruchoma postać tuż za nim.

Odwróć się, błagam w myślach.

Odwróć się i popatrz na mnie.

Ponieważ muszę zobaczyć twoją twarz.

Nie zwróciłam uwagi, że przez cały czas, gdy kroczyłyśmy w stronę ołtarza, grały organy. Zauważyłam natomiast, że nagle zapada cisza, w której rozlega się głos pastora. Zauważam błyszczące oczy Amy, gdy spogląda na Jacka, który ujmuje ją za rękę. Nie przestaję jednak patrzeć na Matta.

Cofnął się nieco. Stoi wyprostowany, ze wzrokiem wbitym w sufit i głęboko oddycha.

Może on także jest zdenerwowany.

Co za dziwna rzecz, seks. Prześpi się człowiek z kimś i od razu patrzy na niego inaczej. Pewnie dlatego, że widział jego wytrzeszczone oczy tuż nad swoją twarzą, wie, jak przeżywa orgazm i jak wygląda, kiedy śpi.

Kiedy jednak patrzę teraz na Matta, przypominam go sobie w klubie „Zanzibar", do którego poszłam z Amy. Wydał mi się wtedy naprawdę wspaniały.

Ależ to było dawno.

Rozlegają się pierwsze akordy hymnu i widzę, jak sięga po swój plan mszy. Stoi ode mnie na wyciągnięcie ręki, a mnie się wydaje, jakbym patrzyła na niego przez odwróconą lornetkę.

Spuszczam wzrok na słowa hymnu i słuchając głosu Amy, czuję się dziwnie skrępowana.

Wczoraj wieczorem siedziałyśmy z Amy na łóżku w domu jej rodziców. Amy z podciągniętym pod brodę kolanem, kończyła malować paznokcie u stóp.

—Nie boisz się spotkania z Mattem? — spytała.

—Nie — skłamałam. Bo tak naprawdę się bałam. I to bardzo.

—Psia mać! — wykrzyknęła nagle.

—Co się stało? — spytałam, patrząc na nią w okrągłym lusterku, zatrzymując w pół ruchu cążki, którymi regulowałam sobie brwi.

—Matt—powiedziała, podnosząc na mnie wzrok. — Zapomniałam ci powiedzieć. On wie o Laurencie.

Żołądek podjechał mi do gardła. Obróciłam się do niej.

—Skąd?

—Razem z nami w łaźni był Stringer.

Przypomina mi się „Niebiański Wypoczynek" i dziwny facet w ręczniku na głowie. O matko, aż mi się zrobiło słabo.

—To był Stringer?

Chyba musiałam nieszczególnie wyglądać, bo Amy sięgnęła do szuflady przy łóżku i wyciągnęła z niej dwa papierosy. Zapaliła obydwa, podała mi jednego i skinęła, żebyśmy podeszły do okna.

—Tak, ten, co tak sapał. Słyszał, jak piałaś na temat Laurenta, i powiedział Mattowi...

Nasze sylwetki odbijały się w otwartym oknie, a za nami, jak duch, majaczyła wisząca na szafie suknia ślubna.

—Myślę, że dlatego potraktował cię wtedy tak podle — powiedziała Amy, wydmuchując dym na zewnątrz. — Nie mogę uwierzyć, że jutro wychodzę za mąż, a moja matka wciąż nie wie, że palę — dodała.

Zaciągnęłam się papierosem, ledwo jej słuchając.

—Dobrze się czujesz? — spytała, zaglądając mi w oczy.

—Tak — powiedziałam niepewnie.

—Przykro mi, że ci powiedziałam, ale chyba powinnaś wiedzieć.

Teraz jednak, gdy razem z Susie siedzę w pierwszej ławce, czuję wstyd i lekkie mdłości.

Matt wie, że spałam z Laurentem. Zaraz potem, jak przespałam się z nim. Nic dziwnego, że się wściekł. Gdyby on potraktował mnie w ten sposób, chyba bym go zabiła.

Z drugiej jednak strony może wcale nie żartował, mówiąc, że seks ze mną nic dla niego nie znaczył. Może rzeczywiście wcale mu się nie podobało.

Skąd więc ta próżność we mnie? Dlaczego wszystko we mnie aż krzyczy: spójrz na mnie, zobacz, jak ślicznie wyglądam w tej sukience, z kwiatami we włosach?

Bo to wszystko nie ma sensu.

Popsułam wszystko, postawiłam krzyżyk na Matcie i sobie z powodu Laurenta.

I po jaką cholerę? Aż mi się niedobrze robi na samą myśl. Jeśli mam być szczera, to Laurent nie urny wał się w łóżku do Matta. Z Mattem to była zabawa; z Laurentem może i było romantycznie, ale tak naprawdę pomyliłam się, uważając, że jest egzotyczny. Wcale nie był. Po prostu nie był kolejnym kumplem Amy i nie był jeszcze jednym zwykłym facetem z Londynu, jak Gav.

Patrzę na Jacka i Amy. Wyglądają jak dzieci, patrząc na pastora szeroko otwartymi oczami, zdenerwowani obecnością tylu ludzi. Chociaż jednak skupia się na nich tyle spojrzeń, oni widzą tylko siebie.

Czuję, jak łzy napływają mi do oczu. Niby jestem taka cyniczna, ale widząc ich oboje, Jacka, duszącego się w krawacie, nie mam najmniejszych wątpliwości — jak chyba każdy w tym kościele — że naprawdę bardzo się nawzajem kochają. Aż do tej pory byłam tym wszystkim przerażona, bałam się, że kiedy Amy wyjdzie wreszcie za Jacka, stracę ją i zostanę na tym świecie sama jak palec. Niczego to jednak nie zmienia. Amy jest dla Jacka bratnią duszą. Są w tym razem, i moje rozterki nawet ich nie dotknęły.

Gdy wypowiadają słowa małżeńskiej przysięgi, przez łzy spoglądam na witraże. Jestem szczęśliwa z ich powodu, ale sobie współczuję.

To ja miałam stać na ich miejscu, z Gavem. On jednak wkrótce

zwiąże się, ale nie ze mną. Patrzę na płatki goździków w moim bukiecie i dociera do mnie, że Gav i ja to przeszłość. On odszedł. Na zawsze.

Może w tym wszystkim chodziło właśnie o Gava. Wylądowałam w łóżku z Mattem, potem z Laurentem, wściekałam się na każdego faceta, który miał pecha stanąć na mojej drodze. Był jeszcze Brat, niewinna ofiara mojego szaleństwa: odbiło mi na punkcie pracy, próbowałam się w niej zatracić, wmawiając sobie, że jest dla mnie wszystkim. Chciałam odnieść sukces, wykazać się, ale nie powinnam była tego robić kosztem własnego życia.

Harowałam i wściekałam się, ponieważ w rzeczywistości nie chciałam pogodzić się z odejściem Gava. Siedzę tak w tej pierwszej ławce, patrzę na światło słoneczne wlewające się przez witraże kolorowymi, zakurzonymi strumieniami, widzę, jak Jack i Amy całują się, już jako mąż i żona, i nareszcie żegnam się z nim ostatecznie.

SUSIE

Sobota, godzina 20.00

Amy zadziera do góry sukienkę, cofa się drobnymi kroczkami i chichocząc, ląduje na klopie.

—Ulicznica — droczę się z nią.

—Dla ciebie p a n i Ulicznica.

—Amy? — rozlega się zza drzwi głos H.

—Tu jesteśmy — woła w odpowiedzi i spuszcza wodę. Wychodzimy i przyglądam się jej odbiciu w lustrze. Wianek jej się przekrzywił, całe policzki ma pobrudzone szminką, a pod oczami ciemne smugi tuszu do rzęs, który jej się rozmazał, gdy płakała podczas przemowy Jacka. Ale i tak wygląda prześlicznie.

Chwyta mnie i H i przyciąga nas obie do siebie. Patrzy na nas w lustrze.

—Byłyście dzisiaj cudowne — mówi.

—Przestań! — wołam. — Bo się rozkleję.

—Ja też — wtóruje H.

Amy tuli nas jeszcze mocniej do siebie.

—Jesteście moje wyjątkowe dziewczyny — mówi i całuje nas obie w policzki, ale w tym momencie przerywa nam Jack, wpadając jak bomba do toalety.

—Moja żona! — krzyczy od drzwi, — Gdzie się podziewa moja żona?

Na nasz widok staje jak wryty.

— Proszę, proszę, witajcie, drogie panie — mówi, ruszając zabawnie brwiami.

Wygląda absurdalnie i do tego absurdalnie szczęśliwy, i kiedy wyciąga rękę do Amy, nie wytrzymuję i parskam śmiechem.

— Wybaczcie, dziewczyny — chichocze Amy, nie odrywając oczu od Jacka—ale wygląda na to, że zostałam poproszona do tańca.

Jack porywa ją na ręce i przy wtórze jej pisków, wynosi przez drzwi. Ruszam za nimi, ale powstrzymuje mnie H.

—Susie? Obracam się do niej.

— E... — mówi niepewnie. — Chciałam ci tylko życzyć szczęścia w Stanach, na wszelki wypadek teraz, gdybym potem nie miała okazji.

—Dzięki. — Jej szczerość autentycznie mnie zaskakuje.

—Kiedy wrócisz, może wybierzemy się razem na drinka?

—OK. — Kiwam głową. — Bardzo chętnie. Patrzymy na siebie przez długą, wiele mówiącą chwilę.

— Chodź, idziemy poskakać — przerywam wreszcie milczenie.

—Za chwilę do ciebie dołączę.

Lada moment ma się zacząć dyskoteka, co właśnie zapowiada didżej przy wtórze pisków mikrofonu.

Podchodzę do stołu z prezentami, żeby sprawdzić, jak się miewają Torvill i Dean. Obwiązałam akwarium szeroką różową kokardą, a na dnie ustawiłam plastikową parę młodą. Jestem pewna, że dobrze będzie im się żyło u Jacka i Amy.

—Tu jesteś.

Obracam się i widzę przed sobą uśmiechniętego od ucha do ucha Stringerà.

—Cześć — mówię i wspinam się na palce, żeby go pocałować. — Co tam u ciebie?

—Jestem wykończony. — Ujmuje mnie za ręce. — Och, Susie. Wyglądasz zabójczo.

Dygam przed nim, zadowolona z komplementu, bo rzeczywiście czuję się jak prawdziwa księżniczka.

—Ty też prezentujesz się nie najgorzej — mówię, bawiąc się jego krawatem. Zdążył się już przebrać w garnitur, bo kręcił się jak w ukropie, nadzorując swój personel. -— Jedzenie także było super.

—Wreszcie mogę trochę dychnąć. Zostało mi jeszcze tylko kilka spraw.

—Nie ma mowy — mówię, słysząc, że zaczynają właśnie grać *Tainted Love*. — Chodź, to moja ulubiona piosenka. Musisz ze mną zatańczyć.

—Nie umiem tego tańczyć — opiera się, kiedy bezceremonialnie ciągnę go za krawat na parkiet. Zbytek skromności. Chyba skończył kurs tańca, bo idzie mu świetnie. Nigdy nie widziałam, żeby ktoś wyczyniał takie harce.

—Jak tam?—pytam, gdy kołyszemy się w tańcu. — Z Karen wszystko poszło dobrze?

Uśmiecha się radośnie, okręcając mnie pod ramieniem.

—I dalej idzie — mówi.

Trącam go żartobliwie w okolice krocza, na co wybucha śmiechem i podnosi wzrok do sufitu.

—Aha, to też idzie, dzięki tobie.

—Cała przyjemność po mojej stronie — chichoczę. — A Karen?

—Jest cudowna — mówi uszczęśliwiony. — Chciałbym, żebyście się poznały.

—Nic straconego. Możesz napisać do mnie do Kalifornii i opowiedzieć mi o niej wszystko. Pisać chyba umiesz? — wolę się upewnić.

Na co on podnosi mnie w powietrze i okręca tak gwałtownie, że aż zaczyna mi wirować w głowie.

MATT

Sobota, godzina 23.55

Przyglądam się Jackowi i Amy, wraz z kilkoma innymi parami tańczącymi lekko na parkiecie. To już ostatni taniec i atmosfera zapanowała odpowiednio podniosła. Jack i Amy wyglądają cudownie, rodzice Amy spoglądają na nich z zachwytem, nawet rozwiedzeni rodzice Jacka patrzą na siebie z rozrzewnieniem. Światła są przyćmione i nawet didżejowi — chyba po raz pierwszy tego wieczora — udało się powstrzymać od zachęcania do zabawy, co czynił, z zapałem przekrzykując muzykę.

Co stwierdziwszy, siedząc na skraju parkietu z butelką szampana, dzięki uprzejmej trosce Stringerà dostarczonej mi przez jednego z jego pracowników, dochodzę do wniosku, że w przedziwny sposób czuję się nie związany ze wszystkim, co wokół mnie się dzieje. Jak jedna ze złotych rybek, ofiarowanych przez Susie w prezencie ślubnym Jackowi i Amy, mam wrażenie, że oddziela mnie od reszty świata niewidzialna bariera, sprawiająca, że jedyne, co mogę robić, to przyglądać się. Nie mam pojęcia dlaczego. Przecież mam wszelkie powody do zadowolenia. Udało mi się dopilnować Jacka, żeby poprzedniego dnia wyszedł z pubu o własnych siłach. Szczęśliwie i na czas dostarczyłem go dzisiaj do kościoła. Nie zapomniałem obrączki i nie upuściłem jej. Nawet moje przemówienie wypadło nieźle — co znamienne, biorąc pod uwagę, że wziąłem się do niego dopiero po wyjściu Chloe w czwartkowy wieczór. Być może to, co usłyszałem od niej wówczas i o czym nie przestałem myśleć aż do teraz, wprawiło mnie w ten dziwny nastrój.

Miała absolutną rację. We wszystkim: słusznie oceniła mój stosunek do H i Sky, jak również tendencję do układania sobie życia bez uprzedniego rozpoznania terenu.

Wczoraj zadzwoniłem do Sky, choć wyłącznie przez grzeczność, aby zawiadomić ją, że jednak nie zamieszka u mnie. Dodałem, iż po zastanowieniu postanowiłem chwilowo w ogóle nie rozglądać się za sublokatorem, co było i nadal jest prawdą. Nie przyjmę nikogo. Wczoraj sprawdziłem, jak przedstawia się stan moich finansów po pozytywnym załatwieniu sprawy Tia Marii Tel. Istnieje wszelkie prawdopodobieństwo, że mogę spodziewać się podwyżki, w której to sytuacji z powodzeniem mogę sobie pozwolić na samodzielne opłacanie hipoteki. Lecz nie pieniądze zaważyły na mojej decyzji. Raczej to, co powiedziała Chloe. O tym, że swoje szczęście w zbyt dużym stopniu uzależniam od innych ludzi. Doszedłem do wniosku, że najlepiej uporam się z własnym życiem, mieszkając samotnie. Tylko ja i to, co przyszłość trzyma dla mnie w zanadrzu.

Podnoszę wzrok i widzę, że Jack kiwa na mnie. Uśmiecham się do niego. Czuję, jak budzi się we mnie nadzieja. Któregoś dnia i ja będę tak stał, obejmując moją świeżo upieczoną żonę. Któregoś dnia spotkam wreszcie tę jedyną, wymarzoną, poznam ją i pokocham. W tej właśnie kolejności. Nie będę już próbował robić wszystkiego za jednym zamachem, bo i tak nic z tego nie wychodzi. Do tego czasu będę miał oczy szeroko otwarte. Codziennie spotykam nowych ludzi. Kto wie, jaką rolę odegrają w moim życiu, jeśli tylko dam im na to czas?

Zauważam, że Chloe uwalnia się od prymitywnych podrygów Uga i podchodzi do mnie. Siada obok.

—Nie tańczysz? — pyta.

Wyciągam korek z butelki i nalewam sobie szampana. — Nie. Obejmuje mnie ramieniem i ściska lekko.

—Myślisz o H?

Kiwam głową, nie przestając się za nią rozglądać: nigdzie jej nie ma.

—W pewnym sensie. — Obracam się do Chloe. — Ale nie martw się, już nie tak jak dawniej. Teraz zastanawiam się, czy nie powinienem z nią porozmawiać i przeprosić za swoje zachowanie. Wyczyścić sobie konto, kapujesz?

Zanim Chloe ma czas odpowiedzieć, w sali rozlegają się oklaski i wiwaty. Widzę, jak Jack wraz z Amy idą za Stringerem w stronę wyjścia.

—Chodź — mówi Chloe, pomagając mi wstać. — Wychodzą. Odstawiam kieliszek i idę za nią do drzwi, w tłum gości, zgromadzonych, żeby pożegnać parę młodą.

—Matt! — woła Jack i przeciska się do mnie. — Tu jesteś.

— Patrzy na roześmiane twarze wokół niego. — Przerażające, no nie? — zauważa, ale uśmiecha się radośnie.

Goście rozstępują się na chwilę i widzę przed sobą Amy. Wygląda nieziemsko. Jack kręci głową, jakby nie mógł uwierzyć własnemu szczęściu.

—Fantastyczna — mówi. — Cholernie, niesamowicie fantastyczna.

—Jednak ci się udało — mówię mu, gdy obejmuje mnie mocno.

—No nie? — Odsuwa się nieco i opiera mi ręce na ramionach. — I tobie też. Byłeś świetny. Debeściarski drużba pod słońcem. Debeściarskie przemówienie. Debeściarski, jedyny kumpel.

—Uważajcie na siebie w podróży poślubnej — radzę mu.

—Święta racja. — Przez krótką chwilę zagląda mi w oczy.

— Czy któregoś dnia pozwolisz mi się odwdzięczyć?

—Jasne—odpowiadam bez zastanowienia.—Jak nadejdzie odpowiednia pora.

—Matt. — Amy pojawia się nagle, wsuwa między nas i całuje mnie serdecznie. — Dzięki za wszystko. Byłeś genialny. I dzięki za to, co powiedziałeś, że jesteśmy z Jackiem dla siebie stworzeni. Bardzo dużo to dla mnie znaczy.

—Mówiłem szczerą prawdę — mówię, ale ich już nie ma, zostają wciągnięci na środek koła, naprędce utworzonego przez Stringerà z gości. Pora, żeby Amy rzuciła swój bukiet.

—Na trzy — krzyczy Amy i obraca się tyłem do zgromadzonych dziewcząt.

—Dwa! — zachęcają tłum.

—Trzy!

Bukiet Amy frunie w górę i po chwili zaczyna opadać ku ziemi, prosto w oczekujące ręce... Stringerà.

—O cholera — słyszę jego zdziwiony okrzyk. Jest czerwony jak burak. Obraca się do stojącej obok niego Susie i wręcza jej bukiet. — Za Amerykę — mówi do niej. — Kto wie, kogo tam spotkasz?

Jack i Amy wsiadają do taksówki i machają wszystkim na pożegnanie. Taksówka rusza i okrzyki stopniowo cichną, zastępowane grzechotem puszek przywiązanych do zderzaka. Wciąż trzymam w ręku otwartą butelkę szampana i wznoszę ją w toaście za odjeżdżającym samochodem. Kiedy znika, podnoszę ją do ust i piję.

—Mam szansę na drinka? — pyta ktoś z mojej lewej strony.

—Jasne — mówię i odwracam się. Przede mną stoi H. Trzyma kieliszek i po krótkim wahaniu opieram szyjkę butelki o jego brzeg i nalewam jej szampana.

H

Niedziela, godzina 00.05

Patrzę na niego, a ręka z kieliszkiem drży mi wyraźnie.

—Chcesz wejść do środka? — pyta.

Tyle chciałabym mu powiedzieć i tak bałam się tej chwili, że kiedy w końcu nadeszła, w głowie mam pustkę.

—Przejdźmy się — udaje mi się wykrztusić.

Patrzę, jak nasze stopy idą równo po żwirowej ścieżce, i przebiega mnie dreszcz. Matt bez słowa zdejmuje marynarkę i okrywa nią moje ramiona.

—Dzięki — mówię szeptem, ściskając kurczowo kieliszek.

—Usiądziemy? — Wskazuje stojącą między dwoma drzewami ławkę.

Zrzucam buty i siadając, wsuwam pod siebie stopy. Przez chwilę nic nie mówimy, tylko patrzymy na zalane blaskiem księżyca drzewa. W oddali widać przesuwające się po autostradzie światła;

poza tym panuje zupełny spokój. Tylko wiatr szumi w koronach drzew.

—Świetne wesele — mówię i odwracam się do Matta. — Twoje przemówienie było rewelacyjne.

—Dzięki.

Znowu zapada trudna do zniesienia cisza.

—Matt?

—Więc? — mówi w tym samym momencie i oboje wybuchamy śmiechem.

Potrząsam głową.

—To czyste wariactwo. Unikałam cię przez cały dzień.

—Wiem. Szkoda, bo chciałem ci powiedzieć, że wyglądasz cudownie.

Spoglądam na niego przez ramię.

—Dziękuję. Ty też prezentujesz się nie najgorzej. — Nasze oczy się spotykają i z trudem przełykam ślinę. — Matt, naprawdę bardzo mi przykro.

—Chciałem ci powiedzieć to samo.

—Chodzi mi o Laurenta — mówię. — Wiem, że ty wiesz. Wczoraj Amy powiedziała mi, że Stringer podsłuchał nas w łaźni.

—Cóż, muszę przyznać, że nie byłem ci za to szczególnie wdzięczny. A wszystko to, co ci powiedziałem...

—Myślę, że to wyrównuje nasze rachunki.

—Chyba tak — zgadza się ze mną.

Upijam trochę szampana i wzdycham, spoglądając na ciemne niebo. Z podjazdu dobiega chrzęst żwiru, gdy kolejni goście odjeżdżają.

—Czuję się taka pusta — wyznaję.

—Daj spokój, po jedzeniu Stringerà? Spuszczam głowę i uśmiecham się.

—Siedziałam dzisiaj w kościele i mogłam myśleć tylko o tym, że wszystko, co zrobiłam, było spowodowane tym, że czułam się załamana po odejściu Gava. Aż tyle czasu potrzebowałam, żeby to zrozumieć.

—A teraz jak się czujesz?

—Chyba już dobrze — wzruszam ramionami. Teraz Matt pociąga łyk ze swojej butelki.

— Przykro mi. Że tak się między nami poukładało — mówię i patrzę na niego. — Nie chciałam, ale tak wyszło.

Matt nie odpowiada. Trzyma butelkę z szampanem i wpatruje się w ziemię.

— Wiesz co? Mam wrażenie, że cały czas kogoś przepraszam. Dlaczego zawsze muszę wszystko spieprzyć?

Matt nachyla się do przodu i opiera łokciami o kolana.

—Nie jesteś w tym odosobniona. Ja także muszę ci coś wyznać.

—Och?

—Chyba powinnaś wiedzieć, że celowo zarezerwowałem „Niebiański Wypoczynek". Adres znalazłem w kopercie, którą miałaś w torbie, wtedy, kiedy zostałaś u mnie na noc.

—Żartujesz!

—Chciałem ci zrobić niespodziankę.

—I udało ci się.

Kręcę głową, zawstydzona i smutna zarazem. Przecież to się mogło udać. W innej czasoprzestrzeni mogło się między nami ułożyć, teraz jednak wszystko szlag trafił. Poznaliśmy się, zostaliśmy kochankami, wreszcie wrogami, i to w tak krótkim czasie. Została tylko emocjonalna pustka. Matt chrząka.

— A co u ciebie? Co z tym facetem z Francji? Spuszczam nogi i odwracam się twarzą do niego, zdumiona, że o niczym nie wie.

—Och, Matt, to nie tak, jak myślisz. Skończyło się totalną katastrofą.

—Więc się z nim nie widujesz?

—Nie. Za to jego żona jak najbardziej. Nie wspominając o dzieciach.

Nagle czuję się kompletnie zagubiona. Nie potrafię nazwać przepełniającego mnie uczucia, ale to chyba wielki żal. Żal mi Gava, Laurenta, Amy, mojej młodości, Matta, ale przede wszystkim siebie samej. Wzdycham głęboko.

—Pieprzeni faceci — żartuje Matt, jakby wiedział, co czuję.

—Masz rację, pieprzeni faceci — powtarzam. — Same z nimi kłopoty.

I zamiast płakać, zaczynam się śmiać.

Matt dolewa mi trochę szampana do kieliszka.

—Za nowy początek — wznosi toast.

—Za nowy początek — powtarzam za nim jak echo.

Matt potrząsa głową i długą jak wieczność chwilę patrzy przed siebie.

—Ciekawe, co tam u Amy i Jacka — mówi w końcu. Śmieszne, ale ja właśnie myślałam o tym samym.

—Pewnie konsumują. Matt parska śmiechem.

—Albo śpią. Nie jesteś wykończona?

Nagle dociera do mnie, że rzeczywiście tak jest. Drżę i ziewam jednocześnie.

—Chodź — mówi Matt i pomaga mi wstać.

Gdy wracamy do „Dworu", poza nami nie ma już nikogo i kierownik zamyka wszystko. Na podjeździe czeka jedna taksówka i Matt podchodzi do niej, żeby porozmawiać z kierowcą.

—Możemy się zabrać razem — mówi, otwierając przede mną drzwiczki.

Oglądam się przez tylne okno, zadowolona, że jest mi w końcu ciepło. Taksówka rusza. Kierownik gasi latarnię nad głównym wejściem. Patrzę, jak w świetle księżyca podjazd nabiera niebieskawego koloru, a trawniki stają się ciemnymi plamami.

Nie wiem, dokąd zmierzamy, ale wiem, siadając wygodnie wsparta na ramieniu Matta, że wszystko będzie dobrze.